

CZARNA DROGA
DIABLO®
THE #2
BLACK ROAD



MEL ODOM

Mel Odom

DIABLO

Czarna Droga

Tłumaczenie: Anna Studniarek–Więch



JEDEN



Darrick Lang pociągnął wiosło i przyjrzał się okrytym mrokiem klifom nad rzeką Dyre. Miał nadzieję, że piraci, na których polowali, nie widzą ich. Oczywiście, o tym, że zostali zauważeni, dowie się dopiero po pierwszym ataku, a piraci nie byli znani z litości wobec żołnierzy marynarki Zachodniej Marchii. A już szczególnie tych, którzy polowali na nich zgodnie ze stałymi rozkazami króla Marchii. Myśl o pojmaniu nie była zbyt przyjemna.

Łódź wiosłowa płynęła pod prąd, ale dziób przecinał wodę tak gładko, że fale nie rozбивały się o kadłub. Straże wystawione na okolicznych klifach podniosłyby alarm, gdyby tylko usłyszały lub zobaczyły łódź, a w efekcie rozpętałoby się piekło. Darrick miał pewność, że gdyby tak się stało, żaden z nich nie powróciłby na pokład „Samotnej Gwiazdy”, czekającej w Zatoce Zachodniej Marchii na ich powrót. Kapitan Tollifer, dowódca okrętu, był jednym z najbardziej surowych dowódców morskich służących królowi w całej Zachodniej Marchii i nie zawahałby się przed wypłynięciem, gdyby Darrick i jego ludzie nie pojawili się przed świtem. Darrick pochylił się do przodu i powiedział szeptem:

- Spokojnie, chłopcy. Tylko ostrożnie, a uda się nam. Wejdziemy i wyjdziemy, zanim ci prze kłęci piraci w ogóle coś zauważą.
- Jeśli będziemy mieli szczęście – wyszeptał Mat Hu-Ring.

– Będziemy go potrzebować – odrzekł Darrick. – Nigdy nie miałem nic przeciwko szczęściu, a ty zawsze wydajesz się mieć go aż za dużo.

– Ty nigdy nie zabiegałeś o szczęście – powiedział Mat.

– Nigdy – zgodził się Darrick. Mimo grożącego im niebezpieczeństwa czuł przyływ odwagi. – Ale za to nie zapominam o przyjaciółach, którzy je mają.

– To dlatego zabrałeś mnie ze sobą na swój mały wypad?

– Tak – odpowiedział Darrick. – I, o ile się nie mylę, ostatnim razem uratowałem ci życie. Chyba jesteś mi coś winien.

Mat wyszczerzył się w ciemności, pokazując białe zęby. Podobnie jak Darrick wysmarował się sadzą, żeby ukryć twarz i lepiej wtapiać się w mrok. Darrick miał jednak rudawe włosy i brązową skórę, zaś włosy Mata były czarne, a skóra orzechowa.

– Tej nocy masz zamiar igrać z losem, nieprawdaż, przyjacielu? – zapytał Mat.

– Mgła się utrzymuje. – Darrick wskazał głową na srebrnoszarą zasłonę, która kłębiła się nisko nad rzeką. Tej nocy wiatr i woda współpracowały ze sobą, i mgła wypływała nad morze, przez co odległość, którą mieli do pokonania, zdawała się jeszcze większa. – Może możemy polegać na pogodzie bardziej niż na twoim szczęściu.

– A jeśli nadal będziecie tak kłapać – warknął stary Maldrin – to może ci strażnicy, którzy się jeszcze nie pospali, usłyszą was i przygotują jakąś cholerną zasadzkę. Wiecie, gadanie nad wodą niesie się dalej niż nad lądem.

– Owszem – zgodził się Darrick. – I wiem, że głos nie poniesie się aż do tamtych klifów. Są dobre czterdzieści stóp nad nami, nie mniej.

– Głupi szczur lądowy z Hillsfar – warknął Maldrin. – Mleko masz pod nosem i za młody jesteś do takiej roboty. Gdyby ktoś mnie pytał, to kapitan Tollifer chyba na głowę upadł.

– Wystarczy, pierwszy oficerze Maldrin – powiedział Darrick. – Nikt was, cholera, nie pytał.

Kilku innych marynarzy roześmiało się. Choć Maldrin miał reputację świetnego marynarza i wojownika, młodszy członkowie załogi uważali go za kwokę i panikarza.

Pierwszy oficer był niskim mężczyzną, ale ramiona miał szerokości toporzyska. Siwiejącą brodę przycinał krótko, czubek głowy miał łysy, lecz po bokach zostało mu sporo włosów, które zaplatał w warkoczyk. Wilgoć z rzeki i mgły błyszcząca na pokrytych smołą spodniach i przemoczyła ciemną koszulę.

Darrick i pozostali odziani byli w podobny sposób. Wszyscy owinęli ostrza kawałkami płótna żaglowego, by chronić je przed światłem księżyca i wilgocią. Woda w rzece Dyre była słodka i nie niszczyła metalu tak jak słona woda Zatoki Zachodniej Marchii, ale nawyki żołnierzy z Królewskiej Marynarki pozostały.

– Bezczelny szczeniak – mruknął Maldrin.

– I kochasz mnie za to, choć się do tego nie przyznajesz – stwierdził Darrick. – Jeśli myślisz, że teraz jesteś w kiepskim towarzystwie, pomyśl tylko, co byś robił, gdybym cię, cholera, zostawił na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”. Mówię ci, nie wyobrażam sobie ciebie wykręcającego żagle przez całą noc. Naprawdę, nie wyobrażam sobie tego. A ty tak mi dziękujesz za to, że ci tego oszczędziłem.

– To nie będzie tak łatwe, jak chcesz w to wierzyć – powiedział Maldrin.

– A czym się mamy martwić, Maldrin? Kilkoma piratami? – Darrick uniósł wiosło, sprawdził, czy załoga łodzi nadal porusza się w jednym rytmie, opuścił je i znów uniósł. Łódź płynęła przez rzekę w dość szybkim tempie. Ćwierć mili wcześniej zauważyli niewielkie ognisko pierwszej straży. Port, którego szukali, nie mógł być daleko.

– To nie są zwykli piraci – odrzekł Maldrin.

– Nie – stwierdził Darrick. – Muszę się z tobą zgodzić. To są piraci, którym mamy narobić kłopotów, zgodnie z rozkazami kapitana Tollifera. Lepiej nie myśl, że po takich rozkazach wystarczyliby mi jacyś tam piraci.

– Mnie też nie – wtrącił Mat. – Jestem wyjątkowo wybredny, jeśli chodzi o walkę z piratami i im podobnymi.

Kilku pozostałych zgodziło się i zaśmiało cicho.

Nikt, jak zauważył Darrick, nie wspomniał o chłopcu, którego porwali piraci. Ponieważ nie znaleziono go na miejscu poprzedniego ataku, wszyscy sądzili, że został porwany dla okupu. Mimo iż musieli się wyładować przez wejściem do twierdzy piratów, myśl o chłopcu otrzeźwiała ich.

Maldrin tylko potrząsnął głową i skierował całą uwagę na wiosło.

– Taa, jesteś wrzodem na tyłku, Darricku Langu. Przysięgam na wszystko, co święte. Ale jeśli na pokładzie statku kapitana Tollifera jest ktoś, komu mogłoby się to udać, to chyba tylko ty.

– Chylę przed tobą kapelusza, Maldrinie – powiedział ujęty Darrick. – To znaczy gdybym go miał.

– Noś lepiej głowę na karku, jeśli ci pasuje, dobra? – warknął Maldrin.

– Rzeczywiście – powiedział Darrick – mam taki zamiar. – Mocniej uchwycił wiosło. – Ciągnijcie, chłopcy, póki rzeka jest spokojna, a mgła nam sprzyja. – Spoglądając na góry czuł, że jakaś dzika część jego duszy raduje się myślą o nadchodzącej bitwie.

Piraci nie oddadzą chłopca za darmo. A kapitan Tollifer, w imieniu króla Zachodniej Marchii, także żądał ceny krwi.

– Przekłeta mgła – powiedział Raithen i zaklął z całego serca. Gwałtowność kapitana piratów wyrwała Buyarda Cholika ze snu. Stary kapłan zamrugał kilka razy, aby pokonać trzymające go mocno zmęczenie i

popatrzył na potężnego mężczyznę, który stał oświetlony blaskiem pochodni pochodzącym z komnat wewnątrz budynku.

– O co chodzi, kapitanie Raithen?

Raithen stał nieporuszenie, niczym góra przy kamiennej barierze balkonu, wznoszącego się nad pełnymi kolumn i alabastru ruinami małego portowego miasta, w którym od kilku miesięcy obo1 zowali. Poglądził bródkę, osłaniającą jego masywną szczękę, i podświadomie dotknął paskudnej szramy w prawym kąciku ust, która sprawiała, że zdawał się uśmiechać zimno.

– Mgła. Cholernie trudno dostrzec rzekę. – Blade światło księżyca załśniło na czarnej kolczu dze, którą Raithen założył na ciemnozieloną koszulę. Kapitan zawsze był doskonale ubrany, nawet o tak wczesnej porze. Albo tak późno w nocy, poprawił się Cholik, niepewny, czy tak to właśnie dla kapitana nie wyglądało. Czarne szerokie spodnie Raithena były równiutko wsunięte w buty z wy winiętymi cholewami. – Nadal też sądzę, że z naszego ostatniego zadania nie wywiniemy się tak łatwo.

– Mgła utrudnia także nawigację na rzece – zauważył Cholik.

– Może tobie, ale dla człowieka znającego się na kaprysach morza – odparł Raithen – rzeka na tym odcinku będzie łatwa do przepłynięcia.

Spoglądając na rzekę, znów pogładził się po bródce i skinął głową.

– Gdybym był na ich miejscu, zaatakowałbym dzisiaj w nocy.

– Jesteś przesądny – powiedział Cholik, nie mogąc powstrzymać się od nadania tym słowom pogardliwego wydźwięku. Założył ręce. W przeciwieństwie do Raithena, Cholik był tak chudy, że niemal nie było go widać. Niespodziewany nocny chłód, poprzedzający nadejście zimowych miesięcy, pochwyił go zupełnie nieprzygotowanym. Nie miał już także młodego wieku kapitana, co choć trochę pomogłoby mu w tej sytuacji. Dopiero teraz zauważył, że wiatr przewiewa jego czarno-szkar-łatne szaty.

Raithen spojrział na Cholika, a twarz jego zaczynała się krzywić, jakby miał zamiar uznać taką ocenę za obrazę.

– Nie próbuj się kłócić – rozkazał Cholik. – Widzę, że masz taki zamiar. Wierz mi, nie uznaję tego za wadę. Ale ja wybrałem wiarę w rzeczy, które dają mi lepsze pocieszenie niż przesady.

Twarz Raithena wykrzywiła się. Znane były jego niechęć i brak zaufania do tego, co zrobili akolici Cholika w odnalezionych, zasypanych podziemiach opuszczonego miasta. Miejsce to znajdowało się na odległym, pomocnym krańcu Zachodniej Marchii, z dala od króla. Ponieważ było opuszczone, Cholik sądził, że spodoba się kapitanowi. Ale kapłan zapomniał o zdobyczach cywilizacji, z którymi piraci stykali się w różnych portach, gdzie nie wiadomo, kim są – lub nikogo to nie obchodziło, gdyż wydawali złoto i srebro tak samo szybko, jak inni. Pijaństwo i rozróby, do których piraci byli zdolni, były niemożliwe w miejscu, gdzie teraz obozowali.

– Żadne z naszych straży nie ogłosiły alarmu – ciągnął Cholik. – A sądzę, że wszyscy się zgłosili.

– Owszem – zgodził się Raithen. – Ale jestem pewien, że zauważyłem zagle następnego statku płynącego za nami, kiedy popołudniem żeglowaliśmy w górę rzeki.

– Powinieneś to sprawdzić.

– Zrobiłem tak – skrzywił się Raithen. – Zrobiłem i nic nie znalazłem. – Właśnie. Widzisz? Nie ma czym się martwić. Raithen posłał Cholikowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Martwienie się o różne rzeczy to jedno z zadań, za które płacisz mi tyle złota.

– Lecz martwienie mnie już nie.

Mimo ponurego nastroju na wargach Raithena pojawił się uśmiech.

– Jak na kapłana kościoła Zakarum, który wyznaje łagodność, odzywasz się wyjątkowo nie grzecznie.

– Tylko wtedy, kiedy to konieczne.

Raithen zachichotał, splótł ramiona na piersi i oparł się o balkon.

– Zdziwiasz mnie, Cholik. Kiedy poznaliśmy się kilka miesięcy temu i powiedziałaś mi, co zamierzasz zrobić pomyślałem, że jesteś szaleńcem.

– Legenda o mieście pogrzebanym pod innym miastem to nie szaleństwo – odparł Cholik. Jednak rzeczy, które musiał uczynić, aby zabezpieczyć święte i niemal zapomniane teksty Dummala Lunnasha, czarodzieja z klanu Vizjerei, który tysiące lat temu był świadkiem śmierci Jere’a Harasha prawie go do tego doprowadziły.

Tysiące lat temu Jere Harash był młodym akolitą Vizjerei, który odkrył moc rozkazywania duchom zmarłych. Młodzieniec twierdził, że wiedza ta została przekazana mu we śnie. Bez wątpienia Harash posiadał nowe umiejętności, a jego moc przeszła do legendy. Chłopiec udoskonalił proces, w którym magowie czerpali moc umarłych, przez co stawali się potężniejsi niż ktokolwiek przed nimi. Poznawszy nową wiedzę, Vizjerei – będący tysiące lat temu jednym z trzech głównych klanów tego świata – stali się znani jako Klan Duchów.

Dumał Lunnash był historykiem i jednym z ludzi, którzy przeżyli ostatnią próbę całkowitego opanowania świata duchów przez Jere’a Harasha. Kiedy młodzieniec wprowadził się w trans niezbędny do przekazania energii tkanemu właśnie zaklęciu, duch opanował jego ciało i rozpoczął rzeź. Potem Vizjerei dowiedzieli się, że duchy, które przywołał i niechcący wypuścił, były demonami z samego dna Piekieł.

Jako kronikarz czasów i czarów Vizjerei Dumał Lunnash był raczej pomijany, ale jego dzieła poprowadziły Cholika przerażającym i zawiłym

śladem, który zakończył się w opuszczonym, zapomnianym mieście nad rzeką Dyre.

– Nie – powiedział Raithen. – Takie legendy występują wszędzie. Sam podążylem śladem kilku z nich, ale nigdy nie widziałem, aby stawały się rzeczywistością.

– Wobec tego jestem zaskoczony, że w ogóle tu przybyłeś – odparł Cholik.



Unikali tej rozmowy przez całe miesiące i dziwił się, że dochodzi do niej teraz. Ale tylko do pewnego stopnia. Na podstawie znaków, które odnalazł podczas zeszłego tygodnia, gdy Raithen znajdował się gdzieś daleko, paląc i rabując – lub robiąc cokolwiek, co piraci Raithena robili, kiedy znajdowali się gdzieś daleko – Cholik wnioskował, że są blisko odkrycia największej tajemnicy opuszczonego miasta.

– To było wasze złoto – przyznał Raithen. – Tylko to mnie zainteresowało. Teraz, kiedy wróciłem, zauważyłem, że twoi ludzie uczynili postępy.

Cholika przepełniła gorzka słodycz. Choć było mu miło, że oczyścił się w oczach kapitana, kapłan wiedział też, że Raithen już zaczynał myśleć o ukrytym tam być może skarbie. Kto wie, może w bezmyślnej gorliwości on albo jego ludzie mogli uszkodzić to, co Cholik i jego akolici zamierzali stąd zabrać.

– Jak sądzisz, kiedy uda się ci znaleźć to, czego szukasz? – zapytał Raithen. – Wkrótce – odparł Cholik. Wielki pirat wzruszył ramionami.

– Byłoby dobrze, gdybym miał o tym jakieś pojęcie. Jeśli dzisiaj ktoś płynął za nami... – Jeśli ktoś dzisiaj za wami płynął... – uciął Cholik –... to

jest to wyłącznie wasza wina. Raithen posłał mu drapieżny uśmiech.

– Naprawdę?

– Jesteś poszukiwany przez marynarkę Zachodniej Marchii – powiedział Cholik – za przestępstwa przeciwko królowi. Jeśli cię dostaną, zawieszysz na szubienicy w Diamentowej Dzielnicy.

– Jak zwykły złodziej? – Raithen uniósł brew. – Hej, być może zawisnę na szubienicy jak luźny żagiel na rei, ale nie sądzisz, że król będzie miał coś specjalnego dla kapłana Zakarum, który zdradził jego zaufanie i powiedział piratom, które statki wiozą królewskie złoto przez Zatokę Zachodniej Marchii i Wielki Ocean?

Uwagi Raithena dopiekły Cholikowi. Archanioł Yaerius przekonał młodego ascetę imieniem Akarat do założenia religii oddanej Światłości. I przez jakiś czas kościół Zakarum tym właśnie był, lecz wraz z upływem lat i kolejnymi wojnami zmieniło się to. Niewielu śmiertelników, jedynie ci w wewnętrznym kręgu Zakarum, wiedziało, że kościół został opanowany przez demony i teraz w swoich działaniach podąża drogą mrocznego i głęboko i ukrytego zła. Kościół Zakarum był także związany z Zachodnią Marchią i Tristram, stanowił potęgę skrytą za potęgą królów. Ujawniając trasy statków wiozących skarby, Cholik umożliwił piratom okradanie także kościoła. A kapłani byli nawet bardziej mściwi niż król.

Odwróciwszy się plecami do większego mężczyzny, Cholik zaczął chodzić po balkonie, próbując się nieco ogrzać. Wiedziałem, że w pewnej chwili do tego dojdzie, powiedział sobie. Tego należało się spodziewać. Odetchnął głęboko, z rozmysłem, pozwalając Raithenowi myśleć, że go pokonał. Przez lata kapłaństwa Cholik odkrył, że ludzie często popełniają ogromne błędy, gdy pochwalają się ich inteligencją czy moc.

Cholik wiedział, czym jest prawdziwa moc. Dlatego właśnie przybył do Portu Tauruka, aby odnaleźć od wieków pogrzebane Ransim, które zginęło

podczas trwającej przez stulecia Wojny Grzechu, gdy Chaos w milczeniu, lecz gwałtownie walczył ze Światłością. Ta wojna zakończyła się dawno temu i miała miejsce na wschodzie, zanim jeszcze Zachodnia Marchia stała się cywilizowana, czy potężna. Wiele miast i miasteczek zostało w tych czasach zniszczonych, większość wcześniej ograbiono z wszystkiego, co wartościowe. Ransim jednak przetrwało nieodkryte przez długi okres Wojny Grzechu. Choć większość ludzi wiedziała o Wojnie Grzechu niewiele ponad to, że trwały bitwy (choć nie dlatego, że walczyły ze sobą demony i Światłość), o Ransim nie mieli pojęcia. Portowe miasto było zagadką, czymś, co nie powinno istnieć. Niektórzy ze wschodnich magów wybrali je jednak, by w nim pracować i ukrywać się, pozostawiając po sobie tajemnice. Teksty Dunnala Lun–nasha były jedynym źródłem, w którym Cholik znalazł informacje o lokalizacji Ransim, lecz nawet i one zmusiły go tylko do żmudnego zbierania informacji ukrytych wśród starannie wymyślonych kłamstw i półprawd.

– Co chcesz wiedzieć, kapitanie? – zapytał Cholik.

– Czego tu szukasz? – odpowiedział bez wahania Raithen.

– To znaczy, czy są tu złoto i klejnoty? – spytał Cholik.

– Kiedy myślę o skarbach – stwierdził Raithen – właśnie te rzeczy przychodzą mi na myśl i ich pragnę.

Cholik potrząsnął głową zaskoczony małodusznością mężczyzny. Bogactwo było czymś mało znaczącym, lecz moc... moc to prawdziwa nagroda, której pożądał kapłan.

– Co? – sprzeciwił się Raithen. – Jesteś za dobry, by mieć nadzieję na złoto i klejnoty? Jak na człowieka, który zdradził królewski skarbiec, masz zaiste dziwne pomysły.

– Władza materialna przemija – powiedział Cholik. – Jest skończona. Często znika tak szybko, że nawet tego nie zauważamy.

– Trochę sobie odłożyłem na czarną godzinę. Cholik uniósł wzrok do rozgwieżdżonego nieba.

– Ludzkość jest obrazą dla niebios, kapitanie Raithen. Niedoskonale wykonanym niedoskonałym naczyniem. Udajemy wszechpotężnych, znając potencjał, który być może w nas się znajduje, lecz zawsze będzie nam odmawiany.

– Nie mówimy o złocie i klejnotach, których szukasz, prawda? – Raithen brzmiał, jakby czuł się zdradzony.

– Może ich tam trochę być – przyznał Cholik. – Ale nie to mnie tu ściągnęło.

Odwrócił się i spojrzał na kapitana.

– Podążałem za zapachem mocy, kapitanie Raithen. Zdradziłem króla Zachodniej Marchii i kościół Zakarum, żeby móc zapewnić sobie twój statek na własne potrzeby.

– Moc? – Raithen z niedowierzaniem potrząsnął głową. – Daj mi kilka stóp ostrej jak brzytwa stali, a pokażę ci moc.

Rozzłoszczony Cholik machnął ręką w stronę kapitana piratów. Kapłan zobaczył, jak fale delikatnie migoczącej mocy wypłynęły z jego wyciągniętej dłoni i ruszyły w stronę Raithena. Pasma owinęły się wokół szyi potężnego mężczyzny jak stalowa obręcz i odcięły powietrze. W następnej chwili Cholik sprawił, że mężczyzna oderwał się od ziemi. Żaden kapłan nie mógł posługiwać się taką mocą i nadszedł czas, by kapitan piratów dowiedział się, że nie był kapłanem. Już nie. Nigdy

– Brzeg! – zaskrzeczał z dzioba jeden z marynarzy. Mówił cicho, żeby jego głos nie niósł się zbyt daleko.

– Złożyć wiosła, chłopcy – nakazał Darrick, wyjmując własne z wody. Czując pulsowanie krwi w skroniach wstał i popatrzył na rozciągające się przed nimi góry.

Wszystkie wiosła podniosły się jednocześnie i zostały złożone pośrodku łodzi.

– Sternik – zawołał Darrick, spoglądając na błyszczące kręgi światła z latarni czy ognisk niedaleko przed nimi.

– Panie – odpowiedział Fallan przy sterze łodzi.

Teraz, kiedy już nie wiosłowali, łódź nie przecinała wody. Miast tego unosiła się i opadała gwałtownie z prądem.

– Zabierz nas do brzegu – nakazał Darrick – i zobaczmy, co z tymi cholernymi piratami, którzy zabrali królewskie złoto. Doprowadź nas do brzegu w odpowiednim miejscu, jeśli łaska.

– Tak, panie. – Fallan użył wiosła sterowego i skierował łódź w stronę lewego brzegu.

Prąd odpychał łódź, ale Darrick wiedział, że stracą najwyżej kilka jardów. Najważniejsze było znalezienie bezpiecznego miejsca, w którym mogli przywiązać łódź, i wypełnić misję kapitana Tollifera.

– Tutaj – zawołał Maldrin, wskazując w stronę lewego brzegu. Mimo swojego wieku stary pierwszy oficer miał najlepszy wzrok na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”. Do tego nieźle widział w ciemnościach.

Darrick przebił wzrokiem mgłę i dostrzegł skaliste wybrzeże. Była to właściwie krótka kamienna półka wystająca z klifów, które wyglądały jakby zostały wycięte ogromnym toporem w Górach Orlego Dzioba.

– To najgorszy dok, jaki kiedykolwiek widziałem – skomentował Darrick.

– Nie, jeśli jesteś kozicą – powiedział Mat.

– Cholernej kozicy wcale nie podobałaby się taka wspinaczka stwierdził Darrick, wzrokiem oceniając czekające ich strome podejście.

Maldrin zmrużył oczy i popatrzył na klif.

– Jeśli tędy pójdziemy, czeka nas niezła wspinaczka.

– Panie – zawołał Fallan ze steru – co mam zrobić?

– Przybijamy tam do brzegu, Fallan – powiedział Darrick. – Zaryzykujemy i wykorzystamy tę okazję. – Uśmiechnął się. – Jak widzicie, ta droga jest tak trudna, że piraci nie będą się nikogo spodziewać. Wykorzystam to i dodam do szczęścia, które i tak nam dzisiaj sprzyja.

– Tomas – powiedział Darrick – kotwica, szybko. Marynarz uniósł kotwicę ze środka łodzi, oparł na burcie i rzucił w stronę brzegu. Olbrzymi ciężar nie trafił na ląd, lecz upadł w płytkiej wodzie. Marynarz chwycił linę i zaczął ciągnąć kotwicę po dnie.

Pod nami jest kamień – szepnął Tomas, gdy lina naprężyła się w jego dłoni. – Żadnego błota.

– W takim razie miejmy nadzieję, że uda ci się o coś zaczepić – odpowiedział Darrick. Denerwował się na pokładzie, pragnął już znaleźć się pośrodku niebezpieczeństwa, jakie na nich czekało. Im szybciej się ruszą, tym szybciej skończą i wrócą na pokład „Samotnej Gwiazdy”.

– Już prawie minęliśmy brzeg – skomentował Maldrin, gdy zdryfowali kolejne kilka jardów w dół rzeki.

– Być może zaczniemy noc od krótkiej kąpieli – odpowiedział Mat.

– W takiej wodzie można się przeziębnić na śmierć – narzekał Maldrin.

– Może piraci zrobią to za ciebie, zanim przekręcisz się w łóżku ze starości – powiedział Mat. – Na pewno nie oddadzą nam swojego skarbu, kiedy się zjawimy.

Darrick poczuł, że ściska mu się żołądek. „Skarb”, który przetrzymywali piraci, był głównym powodem, dla którego kapitan Tollifer wysłał Darricka i innych marynarzy w górę rzeki, zamiast sprowadzić „Samotną Gwiazdę”.

Z zasady piraci, którzy napadali na statki króla wypływające z Zachodniej Marchii, nie pozostawiali nikogo przy życiu. Tym razem zostawili kupca jedwabnego z Lut Gholein na złamanym drzewcu na tyle

dużym, że mogło służyć jako tratwa. Miał przekazać królowi, że jeden z królewskich bratanków został pojmany. Darrick wiedział, że wkrótce pojawi się żądanie okupu.

Byłby to pierwszy kontakt, jaki piraci nawiązali z Zachodnią Marchią. Po całych miesiącach udanych napaści na królewskie statki handlowe, nadal nikt nie wiedział, skąd biorą informacje o transportach złota. Pozostawili jednak przy życiu tylko człowieka z Lut Gholein, co sugerowało, że nikt z Zachodniej Marchii nie mógł ujść z życiem, gdyż mógłby ich zidentyfikować.

Kotwica drapała po kamiennym dnie, cal po calu zabierając margines bezpieczeństwa. Woda i odgłosy prądu tłumiły dźwięk. Nagle kotwica zatrzymała się, a lina naprężyła w dłoniach Tomasa. Marynarz chwycił ją i mocno ścisnął.

Łódź zatrzymała się, ale nadal kołysała na wodzie.

Darrick spojrział na brzeg oddalony o niewiele ponad sześć stóp. – Musi nam wystarczyć to, co mamy, chłopcy – Spojrział na Tomasa. – Jak tu głęboko? Tomas sprawdził węzły zawiązane na linie.

– Osiem i pół stopy.

Darrick spojrział w stronę brzegu.

– Dno musi gwałtownie opadać od krawędzi klifu.

– Dobrze, że nie jesteśmy w zbrojach – powiedział Mat. – Choć z drugiej strony wolałbym mieć na sobie kolczugę, żeby chroniła mnie w trakcie całej awantury.

– Wtedy utonąłbyś jak trafiona piorunem ropucha – odpowiedział Darrick. – I może wcale nie dojść do walki. Może uda nam się wejść na pokład statku piratów i uratować młodzika bez robienia hałasu. – Taa – mruknął Maldrin – a gdyby tak się stało, byłby to pierwszy raz. Darrick

wyszczерzył się, mimo zmartwienia gryzącego w ciemnych kąciakach umysłu.

– Czyżbym słyssał w twoich słowach wyzwanie, Maldrin?

– Słyssa sobie, co chcesz – warknął pierwszy oficer. – Daję ci rady z dobrego serca, ale widzę, że rzadko przyjmujesz je w duchu, w którym były dawane. Jak dla mnie, to oni sprzymierzyli się z truposzami i im podobnymi.

Słowa pierwszego oficera otrzeźwiły Darricka, przypominając mu, że choć spoglądał na ich nocną wyprawę jak na przygodę, nie była to wcale zabawa. Niektórzy kapitanowie piratów posługiwali się magią.

– Polujemy na piratów – powiedział Mat. – Tylko piratów. Zwykłych ludzi, których można zranić i którzy krwawią.

– Zgadza się – powiedział Darrick, ignorując suchość w gardle, którą wywołały słowa Maldrina. – Tylko ludzi.

A jednak załoga zetknęła się ze statkiem trupów kilka miesięcy wcześniej, podczas patrolu. Walka była brutalna i przerażająca, kosztowała życie wielu marynarzy, nim nieumarli i ich statek zostali posłani na dno.

Młody dowódca spojrział na Tomasa. – Jesteśmy bezpieczni na kotwicy? Tomasz pokiwał głową, ciągnąc linę. – Tak, o ile jestem w stanie stwierdzić. Darrick wyszczерzył się.

– Chciałbym móc wrócić do tej łódki, Tomasiu. A kapitan Tollifer bardzo nie lubi, kiedy jego załoga gubi sprzęt. Kiedy dotrzemy do brzegu, upewnij się, że łódź jest bezpieczna, jeśli łaska.

– Tak. Tak zrobię.

Wyjąwszy swój kord ze stosu broni owiniętej w tkaninę, Darrick wyprostował się ostrożnie, aby nie wywrócić łodzi. Spojrział na szczyty klifów. Ostatnie strażę, które zauważyli po drodze, znajdowały się sto jardów za nimi. Przez mgłę wciąż widział płonące ognisko. Spojrział w górę

na światła błyszczące w pewnej odległości, a do jego uszu doszedł dźwięk olinowania uderzającego o maszty.

– Wygląda na to, że nic się nie da zrobić, chłopcy – powiedział Darrick. – Czeka nas zimna kąpiel. – Zauważył, że Mat ma już w dłoni swój miecz, a Maldrin młot.

– Za tobą – stwierdził Mat, wskazując na rzekę.

Darrick bez słowa zsunął się do rzeki. Zimna woda zamknęła się nad nim, odbierając mu oddech. Walcząc z prądem popłynął do brzegu.

DWA



Raithen walczył przeciwko zakłęciu Cholika, skręcał się i zwijał, machał rękami próbując uchwycić trzymające go pasma niewidzialnej mocy. Jego twarz przybrała wyraz zdziwienia i strachu. Cholik wiedział, że mężczyzna uświadomił sobie, iż nie stoi naprzeciwko słabego, starego kapłana, do którego odzywał się z taką pogardą. Wielki pirat otworzył usta i usiłował coś powiedzieć, jednak nie udało mu się to. Jednym gestem Cholik sprawił, że Raithen wypłynął poza krawędź balkonu i znalazł się sto stóp nad ziemią. Poniżej leżały już tylko popękane głazy i resztki budynków, które kiedyś tworzyły Port Tauruka.

Kapitan piratów przestał walczyć, a na jego purpurowiejącej twarzy pojawiło się przerażenie.

– Moc przyprowadziła mnie do Portu Tauruka – powiedział szorstko Cholik, utrzymując ma giczny uchwyt i czując chorą przyjemność płynącą z używania takiego zakłęcia – i do ukrytego pod nim Ransim. Moc, jakiej ty nigdy nie posiadałeś. Moc, która ci nic nie da. Nie wiesz, jak się nią posługiwać. Naczynie tej mocy musi być uświęcone, a ja chcę być tym naczyniem. Ty nigdy nie będziesz w stanie. – Kapłan otworzył dłoń.

Krztusząc się i dysząc ciężko, Raithen wpłynął z powrotem na balkon i opadł na kamienne płyty. Leżał na plecach, z trudem łapiąc powietrze i masując posiniaczoną szyję lewą ręką. Prawa szukała rękojeści ciężkiego miecza u boku.

– Jeśli wyciągniesz ten miecz – stwierdził Cholik – to awansuję dowódcę twojego statku. A choćby i pierwszego oficera. Mógłbym nawet ożywić

twojego trupa, choć wątpię, by spodobało się to twojej załodze. Z drugiej strony, mało mnie obchodzi, co sobie pomyślą.

Dłoń Raithena zatrzymała się. Mężczyzna spojrzał na kapłana.

– Potrzebujesz mnie – zaskrzeczał.

– Owszem – zgodził się Cholik. – Dlatego pozwoliłem ci żyć, kiedy pracowaliśmy razem. Nie było to przyjemne, nie zrobiłem też tego z poczucia przyzwoitości, charakterystycznego dla ludzi o słabej woli. – Przybliżył się do potężnego mężczyzny opartego plecami o balustradę.

Na szyi Raithena już zaczęły pojawiać się fioletowiejące siniaki.

– Jesteś narzędziem, kapitanie Raithen – powiedział Cholik. – Niczym więcej.

Potężny mężczyzna patrzył na niego wściekle, ale nic nie mówił. Przęłykanie śliny było dla niego widocznym, bolesnym wysiłkiem. – Ale w tym, co robię, jesteś ważnym narzędziem. – Cholik ponownie poruszył ręką. Widząc drżącą dłoń kapłana wypisującą mistyczne symbole w powietrzu, Raithen zadrżał. Później jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

Cholik wiedział, że stało się to dlatego, iż mężczyzna nie spodziewał się złagodzenia swoich cierpień. Kapłan znał zaklęcia leczące, choć ostatnio łatwiej wychodziły mu te zadające ból.

– Proszę, wstań, kapitanie Raithen. Jeśli sprowadziliście kogoś tutaj, a mgła ukryła ich obecność, chciałbym, żebyś się tym zajął.

Raithen podniósł się powoli i ostrożnie.

– Czy się rozumiemy? – Gdy Cholik spojrzał w oczy mężczyzny, zrozumiał, że zrobił sobie wroga do końca życia. Szkoda. Planował, że kapitan piratów pożyje dłużej.

Aribar Raithen zwany był przez większość marynarki Zachodniej Marchii Kapitanem Szkarłatne Wody. Naprawdę niewielu z ludzi przeżyło

zdobyć przez niego swojego statku, a większość kończyła na dnie Wielkiego Oceanu i, szczególnie ostatnio, Zatoki Zachodniej Marchii.

– Tak – warknął Raithen, ale jego głos, z powodu ochrypłości, nie był zbyt przerażający. – Zaraz się tym zajmę.

– Dobrze. – Cholik wstał i spojrzał na popękane i wypatroszone budynki Portu Tauruka. Udał, że nie zauważa, jak Raithen wychodzi, niczym nie pokazał też, że słyszy lekkie szuranie stóp kapitana zdradzające, iż ten zastanawia się nad wbiciem mu noża w plecy.

Metal zaszurał o skórę. Tym razem jednak, jak wiedział Cholik, ostrze wróciło do pochwy.

Cholik pozostał na balkonie. Ścisnął kolana, żeby nie drzeć z zimna i wyczerpania wywołanego użytym zaklęciem. Gdyby musiał wykorzystać więcej mocy, na pewno zemdlałby i znalazł się na łasce Raithena.

Na Światłość, gdzie się podział czas? Gdzie się podziela moja siła? Patrząc na gwiazdy płonące na smolście czarnym nocnym niebie, Cholik czuł się stary i słaby. Dłonie mu drżały. Przez większość czasu był to w stanie kontrolować, ale czasem mu się nie udawało. Kiedy nadchodził jeden z takich okresów, trzymał ręce ukryte w fałdach szaty i unikał towarzystwa. Te chwile zawsze mijały, ale trwały coraz dłużej.

W Zachodniej Marchii nie minęłoby wiele lat, nim jeden z młodszych kapłanów zauważyłby jego rosnące kalectwo i zwrócił na to uwagę starszego kapłana. Cholik wiedział, że gdyby tak się stało, natychmiast zostałby odesłany ze świątyni i umieszczony w hospicjum, gdzie służyłby przy starcach i chorych, wszystkich powoli umierających. Pomagałby im powoli zejść do grobu, jednocześnie samemu zbliżając się do łoża śmierci. Sama myśl o takim końcu żywota była dla niego nieznośna.

Port Tauruka i ukryte pod nim Ransim, informacje znalezione w świętych tekstach – Cholik postrzegał to wszystko jako szansę osobistego zbawienia.

Oczywiście, jeśli pozwolą mu na to mroczne siły, z którymi przez ostatnie kilka lat współpracował.

Przeniósł spojrzenie z gwiazd na pokrytą mgłą rzekę. Białe, wełniste masy unosiły się nad kamienistą ziemią. Dalej na północ problem mogłyby stanowić plemiona barbarzyńców, ale tutaj, na pustkowiach daleko na północ od Zachodniej Marchii i Tristram, byli bezpieczni.

To znaczy, rozważał Cholik, byli bezpieczni, o ile ostatnia wycieczka Raithena po statek pełen królewskiego złota nie sprowadziła kogoś za nimi. Spojrzał w dół na mgłę, ale widział tylko wysokie maszty pirackich statków, wystające ponad pasma srebrzystoszarych oparów.

Latarnie na pokładach tych statków tworzyły bladożółte i pomarańczowe aureole, z tej odległości podobne do świetlików. Chrapliwe głosy mężczyzn, głosy piratów, a nie wyuczonych akolitów, których Cholik starannie dobierał przez te wszystkie lata, wołały do siebie ze zwykłą pogardą. Rozmawiali o kobietach i wydawaniu złota, które zdobyli tego dnia, nieświadomi mocy, jaka spoczywała pod miastem.

Tylko Raithen zaczął interesować się tym, czego szukali. Piratom wystarczyło złoto, które ciągle dostawali.

Cholik przeklinał swoje drżące ręce i zimny wiatr wiejący znad Gór Orlego Dzioba. Gdyby tylko był młodszy, gdyby tylko wcześniej odnalazł święty tekst Vizjerei...

– Mistrzu.

Nagłe przerwanie zamyślenia zaskoczyło go, ale Cholik szybko się opanował i odwrócił. Schował drżące ręce w fałdach szaty.

– O co chodzi, Nullat?

– Wybacz mi, że przerywani waszą samotność, Mistrzu Choliku.

Nullat uklonił się. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, ciemne włosy i ciemne oczy. Jego szary poplamione były ziemią i kurzem, a gładką twarz i

ramię ozdabiały zadrapania – pamiątka wypadku podczas kopania, który kosztował życie dwóch innych akolitów.

Cholik pokiwał głową.

– Wiesz, że nie należy mi przerywać bez ważnego powodu.

– Tak. Brat Altharin kazał mi po was pójść.

Cholik poczuł, że serce bije szybciej w jego wychudłej piersi. Nadal utrzymywał jednak kontrolę nad sobą i swoimi emocjami. Wszyscy akolici, których nagiął do swoich celów, bali się go i bali się jego mocy, ale jednocześnie pragnęli darów, którymi, jak wierzyli, ich obsypie. Pragnął, by tak pozostało. Milczał, nie wypowiadając pytania, które Nullat pozostawił wiszące w powietrzu.

– Altharin wierzy, że dotarliśmy do ostatniej bramy – powiedział Nullat.

– Czy Altharin wstrzymał prace? – spytał Cholik.

– Oczywiście, mistrzu. Wszystko poszło tak, jak nakazałeś. Pieczęcie nie zostały złamane. – Twarz Nullata zmarszczyła się z troską.

– Czy coś się stało?

Nullat zawahał się i milczał przez chwilę. Głosy piratów i odgłosy lin uderzających o reje i maszty bez przerwy napływały z dołu.

– Altharin myśli, że słyszał głosy z drugiej strony bramy – powiedział Nullat. Uciekł wzrokiem przed spojrzeniem Cholika.

– Głosy? – powtórzył Cholik, czując podniecenie. Przyływ adrenaliny sprawił, że jego ręce zaczęły się trząść jeszcze bardziej. – Jakie głosy?

– Złe głosy.

Cholik wpatrywał się w młodego akolite.

– Czy oczekiwałeś czegoś innego?

– Nie wiem, mistrzu.

– Czarnej Drogi nie znajdą ludzie o tchórzliwym sercu. – W rzeczy samej, Cholik wywnio skował ze świętych tekstów Vizjerei, iż, same płyty

zostały zbudowane z kości mężczyzn i kobiet wychowanych w wiosce wolnej od zła i niedostatku. Nigdy nie zadali braku, póki ich populacja nie wzrosła na tyle, że mogli posłużyć celom demonów. – Co mówią te głosy?

Nullat potrząsnął głową.

– Nie wiem, mistrzu. Nie rozumiem ich.

– A Altharin?

– Nawet jeśli, mistrzu, nie powiedział mi. Nakazał mi tylko, bym przyszedł po ciebie.

– A jak wygląda ostatnia brama? – zapytał Cholik.

– Tak, jak nam mówiliście, mistrzu. Potężna i przerażająca. Oczy Nullata rozszerzyły się. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Ani nikt inny przez setki lat, pomyślał Cholik.

– Przyniesź świeżą pochodnię, Nullacie. Zobaczymy, co odkrył brat Altharin. – I módlmy się, żeby święte teksty się nie myliły. Inaczej zło, które uwolnimy spoza tej bramy, zabije nas wszystkich. ^m

Darrick Lang wtulił się w wilgotną ścianę klifu, wsparł na czubkach butów i jednej dłoni, a drugą szukał kolejnego chwytu. Wyraźnie czuł linę owiniętą wokół bioder i lędźwi. Przeciągnął linę przez hak wbity w ścianę pięć stóp poniżej, oznaczając drogę, którą mieli podążać ci za nim. Gdyby poślizgnął się i wszystko zadziałało, lina miała uchronić go przed rozbiciem się o głazy lub wpadnięciem do rzeki sześćdziesiąt stóp pod nim. Gdyby nie zadziałała, mógłby pociągnąć za sobą dwóch mężczyzn, którzy go ubezpieczali. Mgła była tak gęsta, że już nie widział łodzi.



Powinienem zabrać ze sobą Carona, pomyślał Darrick, zaciskając palce wokół kamiennego występu, który wydawał się na tyle stabilny, by

utrzymać jego ciężar. Z drugiej strony, Caron był jeszcze dzieciakiem i nie powinno się go narażać na niebezpieczeństwo. Na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” Caron był władcą olinowania. Nawet gdy nie miał rozkazów wspiąć się na górę, często go tam znajdowano. Chłopak lubił duże wysokości.

Darrick zdecydował się odpocząć przez chwilę, czując napięte mięśnie pleców i karku. Odetchnął głęboko i wciągnął wilgotny, stęchły zapach kamienia i ubitej ziemi. Nie mógł przestać myśleć, że woń ta przypominała mu świeżo wykopany grób. Ubranie miał mokre po kąpieli w rzece i było mu zimno, ale jednocześnie jego ciało znajdowało w sobie tyle ciepła, że się pocił. Dziwiło go to.

– Nie planujesz rozbijać tam obozu, prawda? – zawołał Mat z dołu. Mówił to spokojnie, ale ktoś, kto go dobrze znał, mógł w jego głosie wyczuć nutę napięcia.

– Wiesz, to przez te widoki – zawołał Darrick. Bawiło go, że zachowują się, jakby czekała ich zabawa, a nie poważna sprawa. Ale między nimi zawsze tak było.

Obaj mieli po dwadzieścia trzy lata (Darrick był o siedem miesięcy starszy) i spędzili większość z tych lat dorastając razem w Hillsfar. Mieszkali wśród górali, ładowali towary w rzeczonym porcie i nauczyli się zabijać, gdy plemiona barbarzyńców przyszły z północy z nadzieją na grabież. Gdy skończyli piętnaście lat, udali się do Zachodniej Marchii i przysięgli wierność w królewskiej marynarce. Darrick wyruszył, by uciec przed ojcem, ale Mat pozostawił za sobą rodzinę i szansę na przejęcie rodzinnego młyna. Gdyby Darrick nie odszedł, jego przyjaciel mógłby nigdy nie wyjechać i czasem Darrick czuł się z tego powodu winny. Wiadomości z domu zawsze sprawiały, że Mat mówił o rodzinie, za którą tęsknił.

Koncentrując się ponownie, Darrick spojrział ponad kamienicą ziemią na przystań mniej niż dwieście jardów od niego. Na klifie pomiędzy nimi obozował kolejny strażnik. Mężczyzna rozpałił małe ognisko, niewidoczne z rzeki.

Za nim trzy wysokie kogi, okrągłe statki zbudowane do pływania po rzekach i wodach przybrzeżnych, nie zaś do żeglugi pełnomorskiej, stały na kotwicach w przypominającej niekiedy naturalnej przystani naprzeciwko ruin miasta. Według map kapitana Tollifera, miasto nazywało się Port Tauruka, jednak mało o nim wiedziano prócz tego, że zostało opuszczone wiele lat temu.

Wzdłuż statków wędrowały latarnie i pochodnie, kilka jednak poruszało się w samym mieście. Darrick był pewien, że niosą je piraci. Nie miał jednak pojęcia, czemu o tak wczesnej porze są tak ruchliwi. Kłębiąca się mgła sprawiała, że widzenie na większe odległości było utrudnione, jednak Darrick zauważył przynajmniej tyle.

W łodzi mieściło się piętnastu ludzi, włączając w to Darricka. Zakładał, że piraci mają przewagę ośmiu na jednego. Dłuższe starcie było wykluczone, lecz być może uda im się wyciągnąć królewskiego bratanka i uszkodzić parę statków. Darrick już wcześniej zgłaszał się do takiej roboty i wychodził z tego z życiem.

Na razie, chłopie, powiedział do siebie ponuro.

Choć się bał, część jego duszy cieszyła się wyzwaniem. Przycisnął się do ściany, uniósł but i popchnął ciało do góry. Szczyt klifu znajdował się mniej niż dziesięć stóp od niego. Wyglądało na to, że stamtąd będzie w stanie bezpiecznie dojść do ruin miasta i ukrytego portu. Palce u rąk i nóg bolały go od wspinaczki, ale wyrzucił niewygodę z myśli i ruszył dalej.

Kiedy dotarł do szczytu klifu, musiał powstrzymać okrzyk triumfu. Odwrócił się i spojrział na Mata, zaciskając dłoń w pięść.

Nawet z tej odległości Darrick widział przerażenie na twarzy Mata.

– Uważaj!

Darrick podniósł głowę, choć jakiś wewnętrzny zmysł ostrzegał go przed poruszeniem się, i zauważył mignięcie rozświetlonej blaskiem księżyca stali opadającej w jego stronę. Opuścił głowę i rozluźnił chwyt na krawędzi klifu, szukając jednocześnie innego.

Miecz uderzył o kamień krzesząc iskry o rudę o wysokiej zawartości żelaza. W tej samej chwili dłonie Darricka zacisnęły się na niewielkiej półce, z której odepchnął się ostatnim razem. Mocno uderzył o ścianę.

– Mówiłem ci, że kogoś tam widziałem – powiedział mężczyzna, cofając miecz. Ostrożnie stanął na krawędzi klifu. Jego podkute buty zgrzytały o kamień. – Taa – zgodził się drugi mężczyzna, przyłączając się do pierwszego w polowaniu na Darricka. Darrick trzymał się mocno krawędzi klifu, przycisnął buty do kamienia i bezskutecznie próbował znaleźć podparcie dla nóg, by móc się podnieść. Dziękował Światłu, że piratom teren sprawiał niemal takie same kłopoty jak jemu. Jego podeszwy ślizgały się i zsuwały, gdy próbował się podnieść.

– Odetnij mu palce, Lon – zachęcał mężczyzna z tyłu. Był niskim osobnikiem o twarzy łasicy z brzuchem piwosza opiętym poszarpaną koszulą. W jego oczach płonęły szalone ogniki. – Obetnij mu palce i patrz jak spada na pozostałych. Zanim dostaną się na górę, my dojdziemy do ogniska i ostrzeżemy kapitana Raithena, że nadchodzą.

Darrick zapamiętał to imię. W czasie lat służby na morzu słyszał o Raithenie. W rzeczy samej, kapitan Tollifer mówił, że podczas Kapitańskiego Stołu, kwartalnego spotkania kapitanów wybranych statków Zachodniej Marchii, wspomniano, iż Raithen może być winien powtarzających się napaści. Dobrze wiedzieć, ale pozostanie przy życiu, by to przekazać, może okazać się trudne.

– Cofnij się, Orphik – warknął Lon. – Będziesz się tak kręcił wokół mnie i brzęczał mi za uchem, a sam cię przebiję.

– Odwal się, Lon. Ja to zrobię dla ciebie. – Głos niskiego mężczyzny wyraźnie drżał z podniecenia.

– Niech cię diabli – zaklął Lon. – Włazisz mi w drogę. Szybko, niczym lis w kurniku, Orphik prześlizgnął się pod wyciągniętym ramieniem towarzysza i rzucił się na Darricka z długimi nożami, które właściwie bardziej przypominały krótkie miecze. Zaśmiał się.

– Mam go. Lon. Mam go. Cofnij się i patrz. Założę się, że będzie wrzeszczał całą drogę, aż się rozbije.

Rozkładając swój ciężar jak najbardziej równomiernie i poruszając się z odnowioną siłą, pochodzącą z przyływu adrenaliny, Darrick przerzucał chwyt z jednej ręki na drugą, unikając ciosów Orphika. Mimo to piratowi udało się ciąć kostkę małego palca lewej ręki. Ból objął całe ramię Darricka, ten jednak bardziej obawiał się, że płynąca krew sprawi, iż uchwyt wyslizgnie się z jego dłoni.

– Niech cię diabli! – zaklął Orphik, znów krzesząc iskry z kamienia. – Nie ruszaj się tylko, a za chwilę będzie po wszystkim.

Lon zatoczył się do tyłu.

– Uważaj! Uważaj, Orphik! Tam ktoś ma łuk! – Większy pirat podniósł rękaw, ukazując strza łą, która zaczepiła się pierzyskiem i wisiała na nim.

Orphik, rozproszony obecnością strzały i świadomy, że pozostali mogą wkrótce się dołączyć, cofnął się odrobinę. Podniósł nogę i wycelował w głowę ofiary.

Darrick przechylił się na bok i chwycił nogę niskiego mężczyzny okrwawioną ręką. Wolał nie ryzykować pewnego chwytu prawej dłoni. Zacisnął palce na spodniach pirata. Choć nogawki wciśnięte były w

podkute buciory, i tak pozostało sporo luźnego materiału. Chwyając się mocno jedną ręką, Darrick pociągnął drugą.

– Przeklęty! Lon, pomóż mi, zanim ten szczur pokładowy zrzuci mnie z klifu! – Orphik wyciągnął rękę w stronę drugiego mężczyzny, który chwycił go swoją. Kolejna strzała z dołu odbiła się od ściany za nimi i sprawiła, że obaj piraci schylili się.

Wykorzystując zamieszanie i wiedząc, że drugiej takiej okazji nie będzie, Darrick przerzucił swój ciężar na bok i do góry. Popchnął nogi do przodu z nadzieją, że uda mu się dotrzeć do krawędzi klifu. Może lina obwiązana wokół bioder uratowałaby go podczas upadku, a może Mat i pozostali zapomnieli o niej, gdyż wszystko działo się zbyt szybko.

Darrick wygiął ciało w łuk i potoczył się w stronę półki. Uderzył w nią mocno. Zaczął spadać i w rozpaczliwym geście wyciągnął ramię, modląc się, żeby to wystarczyło. Przez szarpiącą nerwy chwilę kołysał się na krawędzi, potem jednak równowaga zmieniła się i upadł na twarz na półkę. Buyard Cholik podążył za Nullatem przez poskręcane wnętrza Portu Tauruka do enklaw zarazy, które pozostały po Ransim. Przystań, otoczona przez kamień i kolejne warstwy ruin, stanowiące fundament młodszego miasta, wydawała się odległa o miliony mil, jednak chłód mgły pozostał ze starym kapłanem. Kiedy tak szedł korytarzami, ból i dolegliwości, które odganiał ciepłem w swej komnacie, teraz powróciły ze zdwojoną siłą.

TRZY



Akolita niósł pochodnię, a sklepienie było tak nisko, że migoczące płomienie od razu pozostawiały warstwę sadzy na granitowej powierzchni. Nullat, przepełniony nerwowością i niepewnością, spoglądał z prawa na lewo, jego głowa poruszała się jak szybki metronom.

Cholik ignorował złe przeczucia akolity. Z początku, kiedy wiele miesięcy wcześniej zaczęli na serio kopać, Port Tauruka nękała plaga szczurów. Kapitan Raithen sądził, że szczury opanowały miasto, wędrując śladami barbarzyńców, którzy przybyli z mroźnej północy. Podczas ciężkich zim, a ostatnia taka właśnie była, barbarzyńcy wędrowali na południe w poszukiwaniu łagodniejszego klimatu.

Po przybyciu do Portu Tauruka szczury żywiły się jeszcze czymś. Dopiero gdy rozpoczęły się wykopaliska, Cholik uświadomił sobie przerażającą prawdę.

Podczas Wojny Grzechu, gdy Vheran wybudował potężną bramę i pozwolił Kabraxisowi powrócić do świata ludzi, na Port Tauruka rzucono zaklęcia, które miały go chronić i ukrywać przed wojną na wschodzie. A może w tamtych czasach miasto zwało się Ransim? Cholik nie miał pewności, które z nich zostało zaczarowane.

Rzucone zaklęcia wskrzesiły umarłych, nadając im podobieństwo życia, by byli w stanie wykonywać rozkazy demonów, które ich ożywiły. Nekromancja nie była nieznaną zajmującym się Sztukami, ale większość tylko się nią bawiła. Ludzie wierzyli, że nekromancja często wiązała użytkowników z demonami takimi jak Diabło, Baal i Mefisto, zbiorczo

zwanymi Mroczną Trójcą. Z drugiej strony jednak, nekromanci z kultu Rathmy ze wschodnich dżungli walczyli o równowagę między Światłością i Piekłem. Byli wojownikami o czystym sercu, choć większość obawiała się ich i darzyła nienawiścią.

Pierwsza grupa kopaczy która przebiła się przez dolną warstwę Portu Tauruk, odkryła nieumarłe istoty które wciąż czaiły się w ruinach miasta poniżej. Cholik zgadywał, że demon, który zniszczył Ransim, był niedokładny w swej robocie albo się spieszył. Ransim zostało zdobyte, o czym milcząco świadczyły wypalone skorupy budynków i pozostawione ślady rzezi, a wszyscy mieszkańcy zginęli. Później ktoś o znacznej mocy przybył do miasta i ożywił umarłych.

Tam, gdzie leżały świeże trupy, powstały zombie, nawet szkielety wygrzebały się z ziemnych grobów. Nie wszystkie z nich jednak przebudziły się do nie-życia na czas, by pójść za tym, który je wezwał. Być może, zastanawiał się kiedyś Cholik, reszcie mieszkańców powstanie z martwych zajęło lata lub nawet dziesięciolecia.

Zmarli w końcu jednak powstali, a ich ciała zamarły o krok od śmierci. Kończyny zanikły, lecz ciało tylko wyszło, nie powróciło do ziemi. Gdy do miasta dotarły szczury, przeszły pęknięciami i szczelinami z Portu Tauruka do dolnego miasta. Od tego czasu szczury ucztowały i ich populacja osiągnęła niezwykły poziom.

Oczywiście, mając do wyboru ofiarę, która mogła walczyć nawet z odgryzioną nogą, i człowieka, który upadnie i wykrwawi się na śmierć, jeśli zada mu się wystarczająco wiele ran, szczury zdecydowały się na prześladowanie kopaczy. Przez jakiś czas śmiertelność wśród niewolników gwałtownie rosła. Szczury okazały się odpornym i sprytnym wrogiem.

Kapitan Raithen był wówczas zajęty napadaniem na statki Zachodniej Marchii, a później kupowaniem niewolników za pieniądze Cholika. Jeszcze

więcej złota poszło na najemników, których kapłan wynajął do pilnowania siły roboczej.

– Ostrożnie, mistrzu – powiedział Nullat, unosząc pochodnię, by pokazać ziejący otwór przed nimi. – Tu jest przepaść.

– Przepaść była tutaj ostatnim razem, kiedy tędy szedłem – warknął Cholik.

– Oczywiście, mistrzu. Pomyślałem sobie po prostu, że mogliście zapomnieć, ponieważ tak dawno tu nie byliście.

Cholik odezwał się twardo i zimno.

– Ja nie zapominam.

Twarz Nullata zbladła, akolita uciekł spojrzeniem.

– Oczywiście, mistrzu. Ja tylko...

– Ucisz się. Twój głos odbija się echem od korytarzy, to mnie męczy. – Cholik szedł dalej. Zobaczył, że Nullat zadrżał na widok stada czerwonoookich szczurów, przechodzących po głazach na lewo od nich, Szczury, każdy długi jak męskie ramię od łokcia do czubków palców, biegały po kamieniach, walcząc ze sobą o lepsze miejsce do przyjrzenia się dwóm wędrowcom. Skrzeczały i piszczały, tworząc gwar wypełniający całą komnatę. Ich ciała, od wilgotnych nosów po tłuste zady pokrywało błyszczące czarne futro ale ogony pozostawały nagie. Sterty starych, a może nawet i nowszych kości pokrywały spękane kamienie, pokruszone cegły i gruz pozostały z budynków.

Nullat zatrzymał się i drżącą ręką wyciągnął pochodnię w stronę stada szczurów.

– Mistrzu, może powinniśmy zawrócić. Od wielu tygodni nie widziałem takiego zbiorowiska szczurów. Jest ich tyle, że mogą nas z łatwością pokonać.

– Uspokój się – nakazał Cholik. – Daj mi swoją pochodnię. Jeszcze tego brakowało, żeby Nullat znów zaczął mówić o omenie. Ostatnio robił to zbyt często.

Nullat wyciągnął pochodnię, i wahając się przez chwilę, jakby obawiał się, że Cholik może mu ją zabrać i zostawić go samego w ciemnościach.

Cholik pochwycił mocno pochodnię. Wyszeptał słowa mocy i dmuchnął na nią. Jego oddech przeszedł przez płomień i stał się falą ognia, która uderzyła w głazy i rumosz gorącym kowalskiego paleniska. Cholik przesuwając głowę, w prawo i lewo, wzdłuż linii szczurów.

Nullat z krzykiem przypadł do ziemi, ukrywając twarz. Odwrócił się od gorąca i wybił pochodnię z ręki kapłana. Płomień dotknął brzegu szaty Cholika.

Kapłan szarpnął szatę i powiedział:

– Przeklęty głupiec. Prawie mnie podпалиłeś.

– Wybacz mi, mistrzu – zaskomlał Nullat, gwałtownie odsuwając pochodnię. Poruszał się tak szybko, że niemal stłumił płomienie. Na posadzce, gdzie wcześniej leżała, błyszczało jeziorko oliwy.

Cholik miał zamiar dalej łąać mężczyźnę, ale nagle uczył słabość. Zachwiał się na nogach, ledwo zdołał ustać. Zamknął oczy, by uspokoić zawroty głowy. Zaklęcie, użyte wkrótce po tym, które zastosował wobec Raithena i do tego dużo potężniejsze, wyczerpało go.

– Mistrzu – zawołał Nullat.

– Zamknij się – nakazał Cholik. Szorstkość głosu zaskoczyła nawet jego samego. Ohydny smród palonego mięsa, wypełniający komnatę, przyprawiał go do mdłości.

– Oczywiście, mistrzu.

Zmuszając się do głębszego oddechu, Cholik skoncentrował się na swoim wnętrzu. Jego ręce drżały i bolały, jakby połamał wszystkie palce.

Moc, którą był w stanie wykorzystywać, stawała się zbyt potężna dla jego ciała. Jak to jest, że Światłość stworzyła człowieka, pozwala mu posługiwać się potężnymi mocami, a potem pozbawia go śmiertelnego ciała, które wiąże go z tym światem? Właśnie to pytanie zaczęło go odwracać od nauk kościoła Zakarum prawie dwadzieścia lat wcześniej. Wtedy właśnie zwrócił się ku demonom. One przynajmniej obiecywały swego rodzaju nieśmiertelność wraz z zachowaniem mocy. Musiał tylko pozostać przy życiu, kiedy już je otrzyma.

Gdy słabość częściowo przeminęła, otworzył oczy.

Nullat kulił się przy nim.

Próbuje uczynić z siebie mniejszy cel, jeśli pozostały jeszcze jakieś spragnione zemsty szczury, domyślił się Cholik. Kapłan rozejrzał się po komnacie.

Magiczny ogień oczyścił podziemny korytarz. Dymiące, poczerńnięte truchła szczurów pokrywały sterty gruzów. Spalone ciało odpadło od kości, pozostawiając ohydny smród. Słyszał zaledwie słabe piski kilku niedobitków, ale żaden z nich nie miał zbyt wielkiej ochoty, by wyjść z ukrycia.

– Wstawaj, Nullat – nakazał Cholik.

– Tak, mistrzu. Byłem tam tylko po to, by cię przytrzymać, gdybyś upadł.

– Nie upadnę.

Trzymając się krawędzi szlaku, Cholik spojrzał na przepaść po lewej. Ostrożne badanie nie ujawniło jej dna, lecz leżało ono bardzo głęboko. Kopacze wykorzystywali ją do pozbywania się, trupów niewolników i innych, a także gruzu, który musieli usuwać z odkrytych fragmentów tuneli.

Mimo iż Cholik nie schodził do korytarzy pod Portem Tauruka przez tygodnie, starał się wiedzieć wszystko o wijących się i skręcających tunelach, które odkopano. Każdego dnia przeglądał różne rzeczy, które

kopacze wynieśli na powierzchnię. Starannie notował co ważniejsze lub co bardziej interesujące znaleziska w swoim dzienniku. W Zachodniej Marchii same zapisane przez niego informacje byłyby warte tysiące sztuk złota. Gdyby tylko pieniądze mogły przywrócić mu życie i moc, którą stopniowo tracił, przyjąłby je. Ale pieniądze na coś takiego nie pozwalały, pomóc mu mogło jedynie zdobycie magii.

A tylko demony hojnie obdarzały tą mocą.

Szlak, którym podążali, opadał powoli, wgrzając się w górę – Cholik uznał, że mogą znajdować się poniżej poziomu rzeki Dyre. Ciągły chłód i wilgoć osadzająca się na ścianach potwierdzały to przypuszczenie.

Kilka minut później, po wejściu w kolejną odnogę tuneli wykopanych w pozostałościach Ran-sim, Cholik zauważył potężny blask wielu pochodni i ognisk rozpalonych przez kopaczy. Wszystkich niewolników podzielono na zmiany. Każda grupa pracowała przez szesnaście godzin, z ośmiogodzinną zakładką, podczas której oczyszczali tunele z gruzu. Spali osiem godzin na dobę, gdyż Cholik odkrył, że nie mogą pracować dłużej niż szesnaście godzin bez odpoczynku i snu, jednocześnie przez dłuższy czas pozostając w pełni sił.

Takie środki, jak również stráže, które Cholik wystawił, by chroniły kopaczy przed szczurami i nieumarłymi, zmniejszały śmiertelność, ale nie do końca. Ludzie umierali przy pracy, a Cholik martwił się tylko, że Raithenowi zbyt dużo czasu zajmuje znalezienie zastępców.

Cholik przeszedł przez główną komnatę, gdzie spali ludzie. Wszedł za Nullatem w jeden z nowszych tuneli, omijając sterty gruzu leżące przy wejściu i w pierwszej jego części. Stary kapłan minął całe zamieszanie nie zauważając go nawet, gdyż jego spojrzenie przyciągnęły potężne, szarozielone wrota na końcu tunelu.

Przy krawędziach wielkiej bramy nadal trwali praca. Ludzie stali na drabinach wysokich na co najmniej dwadzieścia stóp. Młotki i dłuta uderzały o kamień, a dźwięk ten odbijał się echem w tunelu i komnacie za nim. Inni mężczyźni wsypywali śmieci na taczki i wyrzucali je na sterty przy wejściu do korytarza.

Nad potężną bramą migotała pochodnia, oświetlając umieszczony na niej symbol. Składał się on z sześciu eliptycznych pierścieni, jeden wewnątrz drugiego, przeplecionych poskręcaną linią. Czasem lina przechodziła pod pierścieniami, a czasem nad nimi. Patrząc na drzwi, Cholik szepnął:

– Kabraxis, Pogromca Światłości.

– Łap go, łap go! Jest z nami na górze! – krzyczał Orphik. Darrick spojrział w górę i obserwował zbliżającego się pirata, gdyż nie chciał wyskoczyć i nadzieć się na noże niskiego mężczyzny kiedy ten wejdzie na półkę. Podkute buciory krzeszały na granicie iskry.

– Cholerny sukinsyn prawie mnie wykończył, Lon – zaskrzeczał Orphik, machając nożami przed sobą. – Ty zostań, a ja potnę go na kawałki. Tylko patrz.

Darrickowi ledwo i starczyło czasu, żeby podnieść się na rękach. Lewa dłoń, pokryta krwią ze zranionego palca, ześlizgnęła się odrobinę. Prawie upadł na twarz, ale zacisnął palce na wystającym kawałku kamienia i zerwał się na równe nogi.

Orphik zamachnął się oboma nożami, prawa ręka nad lewą, przecinając powietrze zaledwie cale od oczu Darricka. Ten zrobił kolejny krok do tyłu, uchylając się przed cięciami żyłastego pirata. Nie chcąc ryzykować dalszego cofania się, gdyż każdy fałszywy krok na wąskiej półce oznaczał śmierć, Darrick pochylił się przed kolejnym atakiem i zrobił krok do przodu.

Mijając pirata, wyjął długi nóż z lewego buta. Przez chwilę czuł, jak wyślizguje mu się z zakrwawionych palców, potem jednak zacisnął dłoń na rękojeści. Orphik obrócił się. Bez litości, wiedząc, że jemu nikt nie okaże zmiłowania, Darrick przeciął but mężczyzny. Ostrze weszło w skórę jak w masło i przecięło piratowi ścięgno.

Orphik stracił władzę w zranionej nodze. Machając rękami próbował utrzymać równowagę. Klął i wołał o pomoc, jednocześnie próbując bronić się swoimi nożami.

Darrick zerwał się na równe nogi, odepchnął ostrza mężczyzny i wbił ramię w brzuch pirata. Pęd Darricka i jego większa waga sprawiły, że Orphik oderwał się od ziemi, zupełnie jakby sam skoczył z klifu. Przez całą drogę w dół do rzeki krzyczał i machał rękami. Minął Mata i innych marynarzy o kilka cali, a to i tak tylko dlatego, że tamci zauważyli, co się dzieje i mocno przycisnęli do zbocza.

Darrick uchronił się przed upadkiem, opadając na kolana i chwytając grubego korzenia drzewa, wyrastającego z kolejnego poziomego klifów, który zauważył kątem oka. Patrzył w dół, zafascynowany szybkością wydarzeń.

Orphik nie trafił na głęboką wodę. Niski pirat wpadł na płyciznę i uderzył głową w kamieniste dno. Obrzydliwy trzask łamanej czaszki odbijał się echem od klifów.

– Darrick! – zawołał z dołu Mat.

Uświadamiając sobie niebezpieczeństwo, Darrick odwrócił się w stronę drugiego pirata, myśląc, że tamten jest tuż nad nim. Miast tego Lon wycofał się po półce, która prowadziła do łatwiejszych do przejścia fragmentów gór. Biegł długimi krokami, których dźwięk odbijał się od kamieni.

– Biegnie do ogniska sygnałowego – ostrzegł Mat. – Jeśli do niego dotrze, zaraz dopadną nas piraci. Życie królewskiego bratanka będzie w niebezpieczeństwie. Nasze pewnie też.

Darrick podniósł się, klnąc na czym świat stoi. Zaczął biec, po czym przypomniał sobie o linie obwiązanej wokół bioder. Trzymając nóż w zębach, zręcznymi palcami zaczął rozwiązywać węzły. Obrócił się i obwiązał linę wokół korzenia ze zręcznością i spokojem wyszkolonego marynarza w obliczu szkwału. Popatrzył w stronę uciekającego pirata. Jak daleko jest do ogniska sygnałowego?

Zabezpieczywszy linę, co Łonowi dało zaledwie trzy kroki dodatkowej przewagi, Darrick pociągnął ją dla sprawdzenia. Zadowolony, zawołał w dół:

– Lina zabezpieczona – i rzucił się za uciekającym piratem.

– Wstawaj i ubieraj się – nakazał kapitan Raithen, nie patrząc nawet na kobietę, która leżała obok niego.

Ta wstała bez słowa, gdyż z wcześniejszych pomyłek nauczyła się, że ma nie mówić, i przeszła przez pokój do skrzyni, na której pozostawiła ubranie.

Raithen przyglądał się, jak kobieta się ubiera, choć nic do niej nie czuł, a nawet pogardzał nią za ukazanie mu słabości w panowaniu nad własnym pożądaniem. Pokrywał go pot, własny i jej, gdyż ogień ryczący w kominku zbytnio ogrzewał komnatę. W Porcie Tauruka pozostało niewiele budynków nadających się do zamieszkania, a jednym z nich była ta właśnie gospoda. Piraci wprowadzili się do niej, składując w niej jedzenie, sprzęt i towary, które zabrali z zatopionych później statków.



Kobieta była młoda i nawet trudy życia wśród piratów nie zniszczyły zbytnio jej smukłego i umięśnionego ciała. Na wpół zagojone blizny na udach były świadectwem ostatniego razu, gdy potraktował ją szpicrutą.

Nawet teraz, gdy ubierała się powoli i metodycznie, wykorzystywała swoje ciało, by pokazać mu, że wciąż czuje, iż ma nad nim władzę. Pożądał jej, choć go nie obchodziła, i ona o tym wiedziała.

Jej zachowanie frustrowało Raithena, nie zabił jej jednak od razu. Nie pozwolił też innym piratom wykorzystać jej, zachowując na własne potrzeby. Gdyby zginęła, żadna z kobiet zabieranych ze statków, które zdobywali, nie zadowoliliby go.

– Nadal myślisz, że jesteś taka dumna, kobieto? – zapytał Raithen.

Nie.

– Więc chcesz mi coś pokazać?

– Nie. – Jej odpowiedź pozostała cicha i spokojna.

Ten widoczny brak emocji jeszcze bardziej rozpalał gniew, który Raithen z trudem tylko mógł opanować. Posiniaczona szyja wciąż wypełniała jego głowę oślepiającym bólem, nie mógł też zapomnieć o upokorzeniu, którego doznał z rąk Cholika.

Znów myślał o tym, jak stary kapłan zawiesił go nad przepaścią, udowadniając, że wcale nie jest starym, drżącym głupcem, za którego uważał go Raithen. Kapitan sięgnął po smukłą butelkę z winem, która stała na stoliku przy łóżku. On i jego załoga zabierali ze statków nie tylko złoto i srebro.

Raithen wyjął korek z butelki i pociągnął długi łyk ciemnego, czerwonego wina. Paliło go w gardle i niemal się zakrztusił, ale udało mu się to opanować. Wytarł usta grzbietem dłoni i spojrzął na kobietę.

Stała przy skrzyni w prostej sukience i bez butów. Po tym jak pobił ją za pierwszym razem nawet nie próbowała odejść bez jego pozwolenia. Nie prosiła też o nie.

Raithen zakorkował butelkę.

– Nigdy nie spytałem, jak masz na imię, kobieto.

Na te słowa uniosła odrobinę brodę i przez króciutką chwilę patrzyła mu w oczy. – Czy chcesz poznać moje imię? Raithen wyszczerzył się.

– Gdybym chciał, żebyś miała imię, sam bym ci je nadał. Kobieta niemal straciła opanowanie, jej policzki zapłonęły z gniewu i wstydu. Zmusiła się do przełknięcia śliny. Na jej szyi wyraźnie pulsowała żyła.

Raithen wytarł twarz kocem i podniósł się. Miał nadzieję wypić wystarczająco dużo, by usnąć, ale nie udało mu się to.

– Czy w Zachodniej Marchii byłaś kimś ważnym, kobieto? Raithen wciągnął spodnie. Z przyzwyczajenia pozostawiał miecz i nóż w zasięgu ręki, ale kobieta nigdy nie patrzyła na nie zbyt długo. Wiedziała, że były pokusą, na którą nie mogła sobie pozwolić.

– Nie pochodzę z Zachodniej Marchii – odpowiedziała kobieta.

Raithen założy koszulę. Na statku czekały na niego inne ubrania, a także gorąca kąpiel, gdyż służący dobrze wiedział, że woda nie może wystygnąć.

– A skąd?

– Aranoch.

– Lut Gholein? Wydawało mi się, że słyszę akcent w twoim głosie.

– Na północ od Lut Gholein. Mój ojciec handlował z kupcami z Lut Gholein.

– Czym handlował?

– Był szklarzem. Produkował szkło tak wspaniale, że rzadko spotyka się lepsze. – Jej głos nieco się załamał.

Raithen patrzył na nią zimno, wiedząc, skąd pochodzą te emocje. Kiedy już to odkrył, nie mógł powstrzymać się przed przekręceniem noża.

– A gdzie jest teraz twój ojciec? Jej usta zadrżały.

– Twoi piraci go zabili. Bez litości.

– Prawdopodobnie stawiał im opór. Nie zwracają na to większej uwagi, bo im na to nie pozwoliłem – Raithen przeczesał palcami rozczochrane

włosy.

– Mój ojciec był starym człowiekiem – rzekła kobieta. – Nie mógł z nikim walczyć. Był osobą łagodną i spokojną, nie powinien zostać zamordowany.

– Zamordowany? – odpowiedział Raithen pytaniem na pytanie. Dwoma szybkimi krokami pokonał dzielącą ich odległość. – Jesteśmy piratami, a nie mordercami i życzę sobie, abys mówiła o tym zawodzie w sposób elegancki. Nie popatrzyła na niego. Z jej oczu popłynęły łzy strachu, znacząc posiniaczoną twarz. Ocierając jej policzek wierzchem dłoni Raithen pochylił się i szepnął:

– O mnie też będziesz wyrażać się elegancko, albo utnę ci język i oddam moim wilkom morskim. Gwałtownie uniosła głowę. Jej oczy rozbłysły, odbijając płomień buzujący w kominku. Raithen czekał, zastanawiając się, czy coś powie. Mówił dalej:

– Czy twój ojciec miał lekką śmierć? Nie pamiętam. Czy się bronił, czy też skonał płacząc jak stara baba? – Przeklęty! – krzyknęła. Obróciła się do niego, potrząsając dłonią zaciśniętą w pięść. Poruszywszy ręką, Raithen pochwycił ją. Odchyliła się do tyłu i kopnęła, celując w krocze. Obracając nogę i biodro, kapitan przyjął cios na udo. Potem poruszył barkami i spoliczkował ją wierzchem dłoni.

Poruszana siłą ciosu kobieta przeleciała przez pokój i uderzyła w ścianę. Zamroczyło ją, jej oczy na chwilę uciekły do tyłu i osunęła się na kolana.

Raithen possał skaleczenie na grzbiecie dłoni w miejscu, gdzie go ugryzła. Dzięki bólowi poczuł, że żyje, a widok kobiety leżącej bezradnie przed nim sprawił, iż zaczął bardziej panować nad sobą. Kark dalej go bolał, ale teraz ona też była upokorzona, nawet jeśli o tym nie wiedziała.

– Zabiję cię – powiedziała ochrypłym głosem. – Przysięgam na Światłość i wszystko, co święte, że jeśli mnie nie zabijesz, znajdę jakiś sposób i zabiję

cię. – Otarła krew z ust, plamiąc czerwienią palce.

Raithen uśmiechnął się.

– Cholerny ze mnie głupiec, ale lejesz mi miód na serce, dziewczko. Mówisz, jakbyś zajrzała w głąb mojej duszy. – Popatrzył na nią. – Widzisz? Większość pomyślałaby, że tylko tak mówisz.

– Że miałś ozorem, aby poczuć się lepiej, może nieco odważniej. Ale ja patrzę ci w oczy widzę, że mówisz prawdę.

– Jeśli przeżyję – odpowiedziała – przez resztę swojego życia będziesz musiał oglądać się przez ramię. Bo jeśli gdzieś cię spotkam, zabiję cię.

Raithen skinął głową. Wciąż uśmiechał się, gdyż czuł się bardziej pogodzony z życiem, a jednocześnie zaskoczony sposobem, w jaki to wszystko się potoczyło.

– Wiem, że tak zrobisz, kobieto. A gdybym był tak zadufany jak, na ten przykład, pewien stary kapłan, prawdopodobnie uczyniłbym ten błąd i poniżył cię, a potem zostawił przy życiu. Większość ludzi wystarczy przerazić, a potem ma się ich z głowy.

Kobieta chwiejnie dźwignęła się na nogi w odruchu sprzeciwu.

– Ale ty i ja, kobieto – ciągnął dalej Raithen – jesteśmy inni. Ludzie uważają, że jesteśmy niczym, że cokolwiek powiemy, jest niczym plewy na wietrze. Nie rozumieją, że kiedy już zaczniesz my ich nienawidzić i spiskować przeciwko nim, czekamy tylko, aż wskażą nam jakąś swoją słabość, którą będziemy mogli wykorzystać. – Przerwał na chwilę. – Podobnie jak ty będziesz cierpieć te wszystkie męki, które zadam ci, aby cię złamać, a jednak zachowasz tyle sił, by próbować mnie pokonać?

Stała naprzeciw niego z krwią rozmazaną na policzku. Raithen kolejny raz uśmiechnął się do niej, choć teraz ciepło i szczerze.

– Chciałbym ci za to podziękować, za wyprostowanie kursu i zrefowanie zagli. Przypomniałaś mi o właściwym kursie, który obrałem w tym

przedsięwzięciu. Niezależnie od tego, jak wiele ochła pów rzuci mi podczas naszej podróży mistrz Buyard Cholik, nie jestem psem, który bije się o gnaty i zbiera razy od swego pana.

Podszedł do niej. Tym razem nie odsuwała się od niego. Jej oczy spoglądały na niego tak, jakby spoglądały poprzez niego. – Masz moje podziękowania, kobieto – powiedział Raithen, zbliżając swoje usta do jej. Poruszając się z szybkością i determinacją, której dotychczas nie okazywała, kobieta zatopiła zęby w gardle kapitana, chcąc przegryźć mu tętnicę.

CZTERY



Darrick przesuwiał stopy na skalnej półce, świadom wywołującego zawroty głowy widoku spowitej mgłą rzeki płynącej niżej. Tu i tam światło księżyca padało na jej powierzchnię, pozostawiając po sobie błyski podobne do błysku diamentów. Jego oddech był krótki i urywany. Świadomość, że Mat i inni marynarze już wspinają się po linie nieco go ośmieliła. Wizja spadania przez ciemność, być może wprost na grupkę obozujących na klifie piratów, nie była niczym przyjemnym.

W dłoni trzymał nóż, ale kord tkwił w pochwie przy pasie. Ciężkie ostrze obijało się mu o biodro. Zasłonił twarz wolną ręką i przedramieniem, dzięki czemu jodłowe i sosnowe gałązki nie włożyły mu do oczu. Inne gałęzie uderzały go w twarz i pozostawiały nabrzmiałe szramy.

Wielki pirat pobiegł wydeptaną przez zwierzynę ścieżką przez iglasty las, ale szybko ją opuścił, przebił się przez ścianę z bujnych krzaków i znikł.

Darrick zdwoił wysiłki, po długiej, wyczerpującej wspinaczce niemili przekraczając swoje siły. Przed oczyma latały mu czerwone płatki, nie mógł nabrać w płuca wystarczającej ilości powietrza.

Darrick wiedział, że jeśli piraci ich odkryją, to on i jego ludzie będą mieli niewielką szansę na dotarcie do „Samotnej Gwiazdy” w Zatoce Zachodniej Marchii, nim dopadną ich statki rabusiów. W najlepszym wypadku zostaną zabici natychmiast, prawdopodobnie razem z pojmanym chłopcem.

Darrick dotarł do miejsca, gdzie pirat wszedł między krzaki i ruszył jego śladem. Na chwilę poczuł się zagubiony, niemal straciwszy orientację w

okrywających las ciemnościach. Odruchowo spojrzął do góry, ale gruba zasłona z gałęzi zasłaniała światło gwiazd, więc nie mógł się nimi pokierować. Darrick biegł dalej, polegając na swoim słuchu i podążając ścieżką wydeptaną przez większego mężczyznę.

Coś wyskoczyło nagle z ciemności. Światła było dość, aby Darrick mógł dostrzec duże, skórzaste skrzydła, błyszczące czarne oczy i zbliżające się lśniąco białe zęby. Leciał na niego prawie tuzin nietoperzy, rozjuszonych przejściem pirata. Ich ostre krzyki w zamkniętej przestrzeni były niemal ogłuszające, a kły niemal natychmiast pozostawiały na jego skórze krwawe ślady.

Darrick machał swoim nożem, ale nie zwalniał. Czarne nietoperze były znane ze swych zdolności do polowania w stadzie i często razem atakowały mniejszą zwierzynę. Choć nigdy nie widział tego na własne oczy Darrick słyszał, że duże stada tych pijących krew drapieżników były zdolne powalić rosłego mężczyznę i odrzeć ciało z kości.

Nieco dalej, z nietoperzami nadal kłębiącymi się za jego plecami, Darrick przewrócił się o zwalone drzewo i legł jak długi. Poturlał się, wciąż kurczowo ściskając rękojeść noża. Kord z dużą siłą uderzył go w biodro. Chwilę potem znów stał na nogach, gotów iść w stronę, w którą podążał jego cel.

Darrick biegł przez las z oddechem palącym mu gardło. Serce tłukło się w klatce piersiowej, a słuch tłumiał ryk przepływającej krwi. Wolną ręką uchwycił się drzewa i wykonał ostry zakręt, niemal wybijając sobie bark ze stawu.

Wielki pirat również nie radził sobie zbyt dobrze. Jego oddech był poszarpany i nierówny, nie dawało się w nim wyczuć jednostajnego rytmu.

Darrick wiedział, że mając wystarczająco dużo czasu zabiegłby mężczyzną, aż tamten by padł. Ale teraz go nie miał. Już stąd mógł dostrzec

żółtawe światło, prześwitujące przez gałęzie świerków i jodeł.

Pirat wybiegł z lasu i pognął w stronę ogniska.

Pułapka? – zastanowił się Darrick– czy rozpacz? Czyżby bardziej obawiał się gniewu kapitana Raithena, niż tego, że może go dogonić? Nawet w Zachodniej Marchii kapitanowie utrzymywali surową dyscyplinę. Darrick nadał miał blizny od batów, które otrzymał w przeszłości, gdy pisał się po szczeblach kolejnych stopni. Oficerowie nigdy nie wymierzali mu ich więcej, niż mógł wytrzymać, a pewnego dnia niektórzy z nich pożałowali kar, które mu wymierzali.

Bez wahania, świadom, że nie zdoła zatrzymać mężczyzny, Darrick wyskoczył z lasu, wykorzystując resztki sił. Jeśli było tam więcej ludzi niż ten ocalały pirat, to był już martwy. Wpadł w swój zwykły rytm biegu, niemal tracąc nad nim kontrolę.

Ognisko zostało rozpalone u stóp niewielkiego wzniesienia. Ruchliwe płomienie rzucały cienie na jego zboczu. W pewnej odległości nad nimi, z trzech postawionych na sztorc polan zwieszał się niewielki kociołek, wypełniony smołą: umówione ognisko sygnałowe.

Darrick wiedział, że kociołek jest doskonale widoczny dla następnego posterunku w górze rzeki. Jeśli piratowi uda się go zapalić, nic już nie powstrzyma alarmu.

Rzęząc i sapiąc, pirat chwycił leżącą obok ogniska pochodnię i wepchnął ją w ogień. Zapłonęła natychmiast żółto–niebieskim płomieniem, ponieważ była nasączona tranem. Trzymając pochodnię w ręce, potężny mężczyzna z łatwością wspiął się na zbocze.

Darrick rzucił się na pirata, mając nadzieję, że pozostało mu dość siły i rozpędu, aby pokonać tę odległość. Złapał go pod kolana i pociągnął, przez co tamten uderzył twarzą w granitową skałę. Oszołomiony poczuł, jak pirat

spada na niego, po czym obaj zsunęli się w dół stromej zbocza na spękaną, kamienistą ziemię.

Pirat oprzytomniał pierwszy, podniósł się na nogi i wyciągnął miecz. Blask ogniska oświetlił jego twarz, na której mieszały się strach i gniew. Ujął broń dwiema rękami i zaatakował.

Darrick odtoczył się, niemal nie wierząc, że tamten spudłował. Pozostając wciąż w ruchu, dźwignął się na klęczki i wyciągnął kord, unosząc się na nogi. Ściskając w jednej ręce nóż, a w drugiej kord stanął twarzą w twarz z piratem niemal dwa razy większym od niego.

Nowy ból przeszył Raithena, gdy kobieta zatopiła zęby w jego szyi. Poczul spływającą, ciepłą krew i gwałtowny przypływ paniki, która uderzała w podstawę jego czaszki jak dzikie zwierzę. Przez jedną, przerażającą chwilę myślał, że zaatakował go wampir. Być może kobieta znalazła sposób, aby sprzedać swoją energię życiową jednemu z nieumarłych potworów, które, jak podejrzewał Raithen, Buyard Cholik ścigał w ruinach dwóch miast.

Opanowując zimny strach, który szalał wzdłuż kręgosłupa, Raithen usiłował się cofnąć. Wampiry nie istnieją!– powtarzał. Nigdy nie widziałem ani jednego.

Wyczuwając jego ruch, kobieta rzuciła się na niego. Wbijając czubek głowy w podbródek i opasując go rękami, przyłgnęła jak pijawka. Jej usta i zęby szukały nowego celu, rozrywając skórę.

Raithen krzyknął z bólu, zaskoczony tym manewrem, mimo iż spodziewał się jakiejś reakcji z jej strony. Otrząsnął się jednak i zamachnął prawą ręką. Mały nóż do rzucania, ukryty w przemyślnie wykonanej pochwie, wpadł w nadstawioną dłoń trzonkiem naprzód. Zacisnął na nim palce, obrócił rękę i wbił ostrze w brzuch napastniczki.

Z jej ust wyszedł stłumiony oddech, który owiał mu szyję. Puściła szyję mężczyzny i zacisnęła ręce na jego ramieniu, aby wyrwać nóż z ciała. Potrząsnęła w zaskoczeniu głową i cofnęła się chwiejnie.

Raithen chwycił ją za tył głowy, wczepiając palce we włosy, aby mu nie uciekła, czy nawet wybiegła z pokoju, po czym zrobił krok do przodu i przycisnął ofiarę do ściany. Patrzyła na niego oczyma rozszerzonymi ze zdumienia, gdy on podrywał nóż do góry, szukając serca.

– Drań – wyszeptała. Krwawa bańka pojawiła się na jej ustach, a skąpane w niej słowo zabrzmiało dziwnie cicho.

Raithen trzymał ją, obserwując, jak z jej oczu znikają życie i zrozumienie, doskonale zdając sobie sprawę, co zabiera. Nagle powrócił do niego własny strach, gdyż uświadomił sobie, że krew nadal spływa mu po szyi. Bał się, że kobiecie udało się jednak przegryźć tętnicę szyjną, a w takim wypadku wykrwawi się na śmierć w ciągu kilku minut, bez szans na opatrzenie. Na pokładach statków pirackich w Porcie Tauruka nie było uzdrowicieli, a kapłani zostali zamknięci na noc lub byli zajęci rozkopywaniem grobów. I tak nie wiedział, ilu wśród nich było uzdrowicieli.

W następnej chwili kobieta zwiotczała mu na rękach, ciągnąc go do ziemi.

Raithen, podejrzliwy z natury, nadal trzymał ją i nóż. Mogła udawać – nawet z czterocalowym ostrzem w piersi. Jemu udało się coś takiego w przeszłości, a potem zabił dwóch ludzi.

Trzymając kobietę przez dłuższą chwilę, Raithen uświadomił sobie, że ta już nigdy się nie poruszy. Jej usta pozostały otwarte, podbarwione przez krew, która już przestała płynąć. Oczy, matowe i bez życia, wpatrywały się w kapitana. Twarz miała bez wyrazu.

– Niech mnie, kobieto – wyszeptał Raithen z prawdziwym żalem. – Gdybym wiedział, że masz w sobie taki ogień, moglibyśmy o wiele przyjemniej spędzać ze sobą czas. – Odetchnął głęboko, wciągając słodką woń perfum z ostatniego łupu, które dał jej i nakazał używać do łóżka. Wyczuł też miedziany odór krwi. Oba zapachy były upajające.

Drzwi do komnaty otworzyły się nagle.

Raithen przygotował się na najgorsze. Obrócił się na pięcie i umieścił trupa między sobą a wejściem. Wysunął zeń nóż i wyciągnął go przed siebie.

Do środka wszedł posiwiały mężczyzna z kuszą w ręku. Zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem padającym z kominka.

– Kapitanie? Kapitanie Raithen? – W ręku mocno trzymał kuszę, wycelowaną w oba ciała. – Wyceluj to cholerstwo z dala ode mnie – warknął Raithen. – Kuszy nigdy nie można ufać. Marynarz przesunął broń w bok i oparł okutą kolbę na biodrze. Podniósł dłoń i zdjął trójgraniasty kapelusz.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale myślałem, że macie tu jakieś kłopoty. To znaczy, przez te wszystkie wrzaski. Nie wiedziałem, że zabawiacie się z jakąś dziewczką.

– Bawiłem się – powiedział Raithen z udawanym spokojem, ponieważ nadal chciał wiedzieć, jak mocno został ranny – nie tylko ja. – Puścił ciało kobiety, które z hukiem uderzyło o podłogę u jego stóp.

Jako kapitan najokrutniejszych piratów, którzy pływali po Zatoce Zachodniej Marchii i Wielkim Oceanie, musiał zwracać uwagę na swój wizerunek. Gdyby ktoś z załogi wyczuł jego słabość, mógłby spróbować ją wykorzystać. On sam dowództwo „Barakudy” wziął sobie razem z życiem jej byłego kapitana.

Pettit wyszczerzył się i splunął do wyszczerbionej brązowej spluwaczki stojącej w rogu komnaty. Wytarł usta wierzchem dłoni, po czym powiedział:

– Wygląda na to, że ta ma już dosyć. Przysłać następną?

– Nie. – Panując nad szalejącym w nim strachem i ciekawością, Raithen wytarł objawiony nóż o ubranie kobiety i podszedł do lustra. Było popękane i poplamione ze starości w miejscach, gdzie wytarła się warstwa srebra z tyłu. – Ale o czymś mi przypomniała, Pettit.

– O czym, kapitanie?

– Ten przeklęty kapłan, Cholik, uważa nas za swoich służących. – Raithen wpatrzył się w lu stro, przyglądając się ranie na szyi i macając palcem jej brzegi. Dzięki Światłości, nie krwawiła bardziej niż wcześniej, a nawet chyba przestawała.

Ciało między śladami zębów już napuchło i zaczynało nabierać fioletowej barwy. Kawałki skóry i ciała pod nimi wisały w strzępach. Raithen wiedział, że pozostanie blizna. Ta myśl go rozgorczyła, gdyż był trochę próżny. Wszyscy uważali go za przystojnego mężczyznę i starał się, by tak pozostało. Z drugiej strony, zapewniło mu to bardziej barwne i możliwe do przyjęcia wyjaśnienie tych wszystkich sińców wokół szyi.

– Ano – chrząknął Pettit. – Ci kapłani załóżą człowiekowi za skórę całym tym pokazywa niem, jacy to oni są potężni i wielcy. Zawsze zachowują się tak, jakby byli o niebo lepsi od takich jak ja czy wy. W czasie jednej czy drugiej nocy na straży myślałem sobie, żeby dopaść takiego jednego, wypatroszyć i pozostawić, żeby inni znaleźli. Może wtedy bardziej by docenili, co tutaj robimy.



Raithen, upewniwszy się, że jego życie nie było w niebezpieczeństwie, o ile kobieta nie nosiła w sobie jakiejś choroby, która jeszcze się nie ujawniła, wyjął chustkę, z kieszeni i zawiązał ją na szyi.

– Nie jest to zły pomysł, Pettit.

– Dziękuję, kapitanie, ja zawsze myślę. A poza tym, opuszczone miasto, z tymi wszystkimi historyjkami o demonach i im podobnych, to doskonałe miejsce na taki numer. Dowiemy się, którzy z bandy Cholika naprawdę w to wszystko wierzą. – Uśmiechnął się, ukazując poplamione resztki zębów.

– Niektórzy z naszych też się mogą zacząć martwić.

Patrząc w lustro, Raithen przyjrzał się chustce. Nawet nie wyglądała tak źle. W odpowiednim czasie, kiedy rana zagoi się, wymyśli historię, jak to dorobił się jej w ramionach kochanki, którą zabił albo okradł, a może jakiejś szalonej i namiętnej księżniczki z Kurastu, którą porwał dla okupu i oddał ojcu pozbawioną wianka, oczywiście odebrawszy wcześniej jej wagę w złocie.

– Możemy powiedzieć ludziom, co to było.

– Tajemnicy, Pettit, może dotrzymać jeden człowiek. Nawet we dwóch jest już niebezpiecznie. Powiedzieć całej załodze? – Raithen potrząsnął głową i spróbował się nie skrzywić, gdy zaboląła go szyja. – To byłoby głupie.

– No, ale coś trzeba zrobić. Gdzieś w korytarzach kapłani odkryli drzwi. A jeśli będą się zachowywać jak zawsze, nie pozwolą nam zobaczyć, co jest za nimi.

– Drzwi? – Raithen odwrócił się do swojego zastępcy. – Jakie drzwi?

Wielki pirat, Lon, zaatakował Darricka nie udając nawet, że zna się na szermierce. Wziął tylko swój potężny miecz w obie ręce i opuścił go w stronę głowy Darricka, pragnąc przeciąć ją na pół jak przejrzałego melona.

Darrick wyrzucił w górę kord. Wiedział, że większy miecz może zgruchotać jego ostrze, ale nie miał innej możliwości obrony. Nie próbował zatrzymać ciosu przeciwnika, a tylko skierować go na bok. Jednocześnie zrobił krok w bok, przewidując nagły manewr, którego spróbował pirat. Nie całkiem udało mu się zablokować cios i w efekcie dostał płazem w bok głowy. Prawie stracił przytomność i był mocno zdezorientowany.

Działając zupełnie instynktownie i zgodnie z wyuczonymi odruchami, Darrick zablokował ostrze przeciwnika swoim, jednocześnie próbując nie stracić zmysłów. Jego wzrok i słuch słabły, podobnie jak to się czasem działo ze światem, gdy „Samotna Gwiazda” płynęła wzdłuż długich fal, zamiast je przecinać.

Lon, odzyskując częściowo siły, popchnął Darricka, ale niewiele mu to dało.

Wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i mroczną dzikość wypełniającą go za każdym razem, kiedy walczył, Darrick zrobił krok do przodu i głową uderzył pirata w twarz.

Lon zajęczał i zatoczył się do tyłu.

Darrick bezlitośnie ruszył do przodu. Pirat, najwyraźniej wykorzystując wszystkie swoje umiejętności, żeby utrzymać się przy życiu, cofał się, zataczając i potykając. Próbował wspiąć się na wzniesienie za plecami. Zaledwie kilka chwil później zrobił o krok za dużo.

Jakby z dużej odległości Darrick słyszał, że buty mężczyzny zgrzytają na nierównej ziemi. Potem pirat upadł, machając rękami i wrzeszcząc. Otoczył rękami głowę. Darrick szybko i bez litości wykopał ostrze z ręki pirata. Wielki miecz poszybował w powietrzu i wylądował w gęstych krzakach kilkanaście jardów od niego.

Lon podniósł ręce.

– Poddaję się! Poddaję się! Litości!

Ale Darrick był wciąż oszołomiony po ciosie mieczem i litość znajdowała się poza jego zasięgiem. Pamiętał trupy unoszące się wśród szczątków statku z Zachodniej Marchii złupionego przez piratów. Lecz nawet to odpływało od niego, a jego oszołomiony umysł coraz bardziej pograżał się w przeszłości, przypominając sobie wszystkie lania, jakie dostał od ojca, kiedy był dzieckiem. Ojciec był rzeźnikiem, wielkim i szorstkim, z potężnymi, pokrytymi odciskami dłońmi, które jednym ciosem potrafiły rozciąć skórę na policzku.

Przez wiele lat Darrick nie rozumiał gniewu i wściekłości ojca. Zawsze zakładał, że zrobił coś złego, nie był dobrym synem. Dopiero gdy podrośł, zrozumiał wszystko, co miało znaczenie dla ich kontaktów.

– Litości – błagał pirat.

Darrick jednak słyszał głos ojca, przeklinający go, grożący zakatowaniem na śmierć albo wykrwawieniem jak świeżo zabitego prosiaka. Darrick uniósł kord i zamachnął się, pragnąc odciąć piratowi głowę.

Nagle pojawił się miecz, który zablokował cios Darricka i sprawił, że ostrze wbiło się w ziemię cale od zakrytej rękami głowy pirata.

– Nie – powiedział ktoś.

On jednak wciąż zatopiony był we wspomnieniach bicia i przeszłość nakładała mu się na terażniejszość. Obrócił się i uniósł broń. Co dziwne, ktoś chwycił go za ramię, zanim mógł się zamachnąć, i powstrzymał cios.

– Darrick, to ja. To ja, Darrick. Mat. – Głos Mata, ochryply od emocji, był właściwie szeptem. – Do diabła, to ja, przestań. Ten człowiek musi żyć.

Darrick zmrużył oczy i spróbował skupić wzrok. Po ciosie pirata jego głowę wciąż wypełniał ból, a pole widzenia ciemne płatki. Choć został zmuszony do powrotu do rzeczywistości, wspomnienia przeszłości odchodziły z niechęcią.

– To nie twój ojciec, Darrick – powiedział Mat.

Darrick skupił się na przyjacielu, czując, że emocje opuszczają go, pozostawiają słabym i drżącym.

– Wiem. Wiem o tym. – Ale wcale nie był o tym przekonany. Cios pirata niemal pozbawił go zmysłów. Odetchnął głęboko i próbował powrócić do pełnej przytomności.

– On musi żyć – powiedział Mat. – Chodzi o królewskiego bratanka. Ten człowiek ma informacje, które mogą nam się przydać. – Wiem. – Darrick spojrzał na Mata. – Puść mnie. Mat spojrzał mu w oczy, ale chwyt na ramieniu nie osłabł.

– Jesteś pewien?

Patrząc przez ramię przyjaciela, Darrick zobaczył innych marynarzy. Tylko stary Maldrin nie wydawał się być zdziwiony żądzą krwi, jaką okazał Darrick. Niewielu z załogi wiedziało o mrocznej furii, której Darrickowi czasem nie udawało się opanować. Od dawna mu się to nie zdarzało.

– Jestem pewien – powiedział Darrick. Mat puścił go.

– Te czasy już minęły. Nie musisz do nich wracać. Twój ojciec nie podążył za nami z Hillsfar. Opuściliśmy go wiele lat temu. Zostawiliśmy go tam, i bardzo dobrze.

Kiwając głową, Darrick schował kord do pochwy i odwrócił się od nich. Omiótł spojrzeniem horyzont, wciąż czując na sobie wzrok Mata. Fakt, że przyjaciel nie ufał mu, nawet kiedy powiedział, że wszystko w porządku, martwił go i złościł.

I wciąż słyszał złośliwy śmiech ojca dzwoniący mu w uszach, wskazujący na jego bezwartościowość. Niezależnie od tego, jak bardzo się wysiłał, jak wysoko zaszedł w hierarchii marynarki Zachodniej Marchii, nie był w stanie pozostawić tego głosu za sobą, w Hillsfar. Darrick odetchnął głęboko.

– W porządku, lepiej zabierajmy się za to, chłopcy. Maldrin, weź paru ludzi i przynieście mi wody, jeśli łaska. Chcę, byście zalali to ognisko, żeby nie mogło zostać zapalone celowo, czy przez przypadek.

– Tak, panie – odpowiedział Maldrin, odwrócił się i wskazał na dwóch ludzi, żeby mu towarzyszyli. Szybko przeszukawszy rzeczy strażników, znaleźli parę bukłaków. Opróżnili je nad pochodnią i powędrowali w stronę krawędzi klifu, by dokończyć robotę.

Darrick odwrócił się i spojrzał na pirata, któremu Mat właśnie kończył wiązać ręce chustką.

– Ilu was było na straży? – zapytał Darrick. Mężczyzna milczał.

– Nie zapytam cię po raz drugi – ostrzegł Darrick. – W tej chwili, i spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię, wygodniejszy jesteś dla mnie martwy niż żywy. Nie podoba mi się myśl o wypełnianiu misji i jednocześnie ciągnięciu za sobą więźnia. Lon przełknął ślinę i próbował wyglądać wyzywająco.

– Na twoim miejscu bym mu uwierzył – wtrącił Mat, klepiąc pirata po policzku. – Kiedy jest w takim nastroju, prędzej każe cię zrzucić z klifu niż pozostawi przy życiu w nadziei, że znasz jakieś odpowiedzi na jego pytania.

Darrick wiedział, że leżąc na ziemi pirat ma kłopoty, by czuć, iż w jakimś stopniu kontroluje sytuację. A słowa Mata miały sens. Pirat nie wiedział tylko, że Mat nie pozwoli Darrickowi zadziałać pod wpływem takiego impulsu. Tak czy inaczej, Darrick odzyskał już panowanie nad sobą.

– Lepiej mów – zachęcał Mat w charakterystyczny dla siebie dobroduszny sposób, kucając obok więźnia. – Powiedz nam, co wiesz.

Pirat popatrzył na nich podejrzliwie.

– Pozwolicie mi żyć?

– Ano – powiedział Mat bez wahania. – Daję ci słowo, naprawdę, i nawet splunę na rękę, żeby przybić umowę. – Jak mogę wam zaufać? – spytał pirat. Mat zaśmiał się. – Staruszk, w końcu jeszcze żyjesz, prawda? Darrick spojrział z góry na mężczyznę.

– Ilu was tu było?

– Tylko my dwaj – odpowiedział pirat ponuro.

– Kiedy zmienia się straż?

– Wkrótce – odpowiedział pirat z wahaniem.

– Szkoda – stwierdził Mat – bo jeśli ktoś tu się pojawi w ciągu najbliższych kilku minut, będę ci musiał poderznąć gardło, naprawdę. – Myślałem, że darujecie mi życie – sprzeciwił się pirat. Mat znów poklepał go po policzku.

– Tylko jeśli nie spotkają nas żadne paskudne niespodzianki.

Pirat obliział wargi.

– Nowi strażnicy nie zjawią się przed świtem. Powiedziałem wam to, żebyście odeszli i Raithen nie był na mnie zły, że nie zapaliłem ogniska.

– No – przyznał Mat – to był niezły plan. Sam pewnie spróbowałbym czegoś takiego. Ale my przyszliśmy tutaj w ważnych sprawach, wiesz?

– Pewnie – powiedział pirat, kiwając głową. Mat, jak w większości wypadków, zachowywał się tak łagodnie i z takim zrozumieniem, że aż wprawiało to w zakłopotanie.

Darrick poczuł opływającą go falę ulgi. Zmiana straży w środku nocy nie była czymś, czego by się spodziewał, ale potwierdzenie znaczyło, że wciąż mieli kilka godzin na sprowadzenie królewskiego bratanka, zanim nad ziemią wstanie świt.

– Co z królewskim bratankiem? – zapytał Mat. – To tylko dziecko i wolałbym sienie dowie dzieci, że przytrafiło mu się coś przykrego.

– Chłopiec żyje.

– A gdzie jest? – zapytał Darrick.

– Ma go kapitan Raithen – powiedział pirat, wycierając krew z warg. – Trzyma go na pokładzie „Barakudy”.

– Gdzie możemy znaleźć „Barakudę”? – spytał Darrick.

– Jest na przystani. Kapitan Raithen nigdzie nie puszcza „Barakudy”, chyba że sam jest na pokładzie.

– Dobrze. – Darrick odwrócił się na wschód i zauważył, że Maldrin i pozostali już wrócili z bukłakami, które napełnili wodą z rzeki przy pomocy pozostawionej liny. – Podnieś tego człowieka, Mat. Chcę, żeby został porządnie zakneblowany.

– Tak, panie. – Mat szarpnął pirata i wyjął z kieszeni drugą chustkę, by zrobić z niej knebel.

Darrick podszedł do pirata, czując się źle, gdy mężczyzna skrzywił się i próbował cofnąć. Został na swoim miejscu tylko dlatego, że Mat go przytrzymał. Darrick odezwał się cicho, z twarzą zaledwie cale od twarzy pirata:

– Rozumiemy się, prawda?

Gdy cisza przedłużała się, pirat spojrzał na Mata, który jednak nie zapewnił mu wsparcia. Wówczas więzień odwrócił się do Darricka i pokiwał z nadzieją głową.

– Dobrze – powiedział Darrick, uśmiechając się lodowato. – Jeśli spróbujesz ostrzec swoich towarzyszy, co mogłoby cię kusić, bo może niektórych nawet darzysz sympatią, poderżnę ci gardło równie spokojnie jak człowiek patroszący rybę. Pokiwaj głową, jeśli rozumiesz. Pirat pokiwał głową.

– Nie kocham piratów – stwierdził Darrick. – Uczciwy człowiek może utrzymać się na wiele sposobów, nie żerując na bliźnich. Zabiłem wielu

piratów na Wielkim Oceanie i w Zatoce Zachodniej Marchii. Jeden więcej nie podniesie znacząco ich liczby, ale sprawi, że poczuję się lepiej. Jasne?

Pirat znów pokiwał głową, a w jego oczach pojawiły się krokodyle łzy.

– Jak słońce, panie – dodał Mat energicznie, klepiąc pirata po ramieniu. – Myślę, że po takich wyjaśnieniach nie będziemy mieli żadnych problemów z tym człowiekiem.

– Dobrze. Zabierz go ze sobą, ale trzymaj blisko.

Darrick odwrócił się i skierował na wschód, wzdłuż grzbietu Gór Orlego Dzioba, który miał zaprowadzić ich do Portu Tauruka.

PIĘĆ



Raithen patrzył, jak Pettit sięga do kieszeni pod kamizelką i wyjmując kawałek papieru.

– To mnie do was sprowadziło, kapitanie – powiedział pierwszy oficer. – Valdir posłał to na górę tak szybko, jak tylko mógł, kiedy kapłani znaleźli w ruinach zasypane drzwi.

Raithen przeszedł przez komnatę i wziął papier. Rozwijając go, pochylił się w stronę kominka i lampy stojącej na półce nad nim.

Rolę szpiega spełniał obecnie Valdir, którego kapitan piratów przypisał drużynie kopaczy Choli-ka. Raithen wymieniał ich z przybyciem każdej nowej grupy niewolników. Ludzie, którzy otrzymywali tę rolę, nie byli nią zachwyceni, a fakt, że nie stawali się tak słabi i wychudzeni jak pozostali, przyciągnąłby z pewnością uwagę najemników, którzy pozostawali lojalni wobec Cholika.

Na papierze widniał rysunek serii eliptycznych pierścieni o wspólnym środku, przeplecionych

– Co to? – zapytał Raithen.

Pochylając się, Pettit znów splunął. Tym razem nie trafił do spluwaczki. Wytarł ślinę z policzka.

– To tutaj to symbol, który Valdir widział na tamtej bramie. Jest potężna, kapitanie, wysoka na trzech ludzi, jak twierdzi Valdir. – Rozmawiałeś z nim? Pettit pokiwał głową.

– Poszedłem pogadać z paroma najemnikami, z którymi robimy interesy. Wiecie, żeby, no, utrzymać ich po naszej stronie. Wziąłem dla nich parę

butelczyn brandy, którą zabraliśmy z ostatniego statku Zachodniej Marchii.

Raithen wiedział, że nie był to jedyny powód, dla którego Pettit poszedł odwiedzić tamtych. Ponieważ piraci mieli wszystkie kobiety w porcie, czym Cholik i kapłani nie bardzo się przejmowali, wynajęci przez nich najemnicy musieli negocjować z Petitem cenę za usługi kobiet.

Chciwość była jednym z powodów, dla których Raithen wybrał Pettita na swojego pierwszego oficera. Ten z kolei miał świadomość, że nie tylko jego kariera, ale i życie zależą od lojalności i to sprawiało, że znał swoje miejsce. Poza tym Raithen wiedział, że Pettit nigdy nie widział się w roli kapitana i pragnął jedynie służyć dowódcy, który doceni jego okrucieństwo i spryt.

– Kiedy kapłani znaleźli wrota? – zapytał Raithen.

Jeśli Cholik wiedział, dlaczego go tam nie było? Raithen nadal nie wiedział, czemu Cholik i jego słudzy jak mrówki przekopywali się przez śmietnisko pozostałe po dwóch miastach, ale ich widoczna gorliwość w tym, co robili, podnieciła go.

– Przed chwileczką – odpowiedział Pettit. – Tak wyszło, że byłem w korytarzach akurat, jak Valdir przyniósł wieści o znalezisku.

Umysł Raithena natychmiast zaskoczył. Znowu popatrzył na prymitywny rysunek.

– Gdzie ten sukinsyn Cholik? – Kapłana też szpiegowali.

– Przyłączył się do kopaczy.

– Cholik tam teraz jest? – Raithen zainteresował się jeszcze bardziej.

– Ano, kapitanie. Jak tylko doszły go wieści o odkryciu, natychmiast popędził na dół.

– A my nie mamy pojęcia, co jest za drzwiami? – Oczywiście, Cholik z kolei nie wiedział o królewskim bratanku, którego Raithen i piraci porwali

dla okupu. Obie strony miały swoje tajemnice, lecz Raithen przynajmniej wiedział, że Cholik coś ukrywa.

– Nie, kapitanie, ale Valdir nam doniesie, jak tylko się dowie.

– Jeśli będzie miał co. – Kiedy tylko kapłani znajdowali coś interesującego, natychmiast wyganiali niewolników z okolicy aż skończyli prace. – Ano, kapitanie, ale jeśli ktoś będzie w stanie tego dokonać, to właśnie Valdir. Raithen zwinął kartkę, schował ją do kieszeni i pokiwał głową.

– Wołałbym, żeby ktoś był na dole z kapłanami. Zbierz załogę i wyślij ich pod pretekstem dostarczania zapasów dla niewolników.

– Jeszcze nie czas na dostawę.

– Cholik nie zauważy. Zmusza ich do roboty aż padną, a potem wrzuca do tej swojej krwawej przepaści.

– Ano, kapitanie. Zabiorę się za to. – A co z naszym gościem na pokładzie „Barakudy”? Pettit wzruszył ramionami.

– Trzyma się dobrze, kapitanie. Zdrowy jak rydz. Żywy jest dużo wart, ale martwy, kapitanie? – Pierwszy oficer potrząsnął swoją pokrytą łupieżem głową. – Martwy wart jest tyle, co nawóz, co?

Raithen ostrożnie dotknął osłoniętej chustą rany. Skrzywił się, gdy ból załomotał pod czaszką.

– Ten chłopiec jest bratankiem króla, Pettit. Król Marchii Zachodniej jest dumny z wiedzy swojej i swoich potomków. Większość nauki przekazują dzieciom kapłani, szczególny nacisk kładą na historię, czyli rzeczy, które moim zdaniem powinny zostać zapomniane. – Za wyjątkiem mapy wskazującej drogę do skarbu lub relacji o statku naładowanym skarbami, który zatonął gdzieś na wzburzonym morzu.

– Tak jest, kapitanie. Większość z tego to bzdury. Moim zdaniem.

Raithen nie pozwolił mu wypowiadać swojego zdania, ale teraz nie chciał się tego czepiać.

– Jak sądzisz, jak bardzo prawdopodobne jest, że chłopiec, którego zabraliśmy ostatnio ze statku Zachodniej Marchii, zna się dobrze na historii i innych rzeczach godnych raczej kapłana? Może nawet wie o tym? – Uderzył się w kieszeń na piersi, gdzie trzymał papier z symbolem.

W załzawionych oczach Pettita pojawiło się zrozumienie. Podrapał się po zarośniętym podbródku, odsłaniając resztki pożółkłych od żucia betelu zębów.

– Ja, kapitanie? Cóż, po mojemu szansę są duże.

– Zamierzam porozmawiać z chłopakiem. – Raithen zdjął kapelusz z piórem ze skrzyni w nogach łóżka i wsadził sobie na głowę.

– Możliwe, że trzeba go będzie obudzić – uprzedził Pettit. – A on nie jest zbyt towarzyski. Kiedy dziś wieczór stary Buli poszedł go nakarmić, ten mały łotrzyk prawie odgryzł mu ucho.

– Jak to?

– Stary Buli, jak gdyby nigdy nic, poszedł do ładowni, gdzie trzymamy chłopaka. Młodziak wyskoczył zza belki, gdzie się chował, i skoczył na Bulla. Popieścił go parę razy po łbie kantówką, którą wyrwał ze ściany. Gdyby łepetyna starego Bulla nie była tak twarda, zatłukłby go na śmierć. Tak czy inaczej, dzieciak niemal urwał się z „Barakudy”. – Czy jest ranny? – spytał Raithen. Pettit wzruszył ramionami.

– Nie. Może Buli nabił mu kilka guzów na łbie za swoje krzywdy, ale za dzień – dwa mu zejdzie. – Nie chcę, by chłopcu coś się stało, Pettit. – Głos Raithena stał się szorstki. Pettit skurczył się nieco i podrapał się po karku.

– Nie pozwolę, aby ktoś z załogi go skrzywdził.

– Jeśli temu chłopakowi coś się stanie, zanim z nim skończę – powiedział Raithen, przestępując nad rozciągniętym na podłodze ciałem kobiety –

wtedy odpowiedzialność spadnie na ciebie, Pettit. I odbije ci się na tyłku.

– Rozumiem, kapitanie. Zaufajcie mi, nie będzie z tym problemów.

– Zbierz tych dostawców, ale niech nikt się nie rusza, dopóki nie rozkażę.

Jak każecie, kapitanie. Zamierzam porozmawiać z tym chłopakiem. Może wie coś o tym symbolu. Jeśli mogę coś doradzić, kapitanie, to uważajcie na uszy. Ten chłopak jest naprawdę szybki.

Buyard Cholik spoglądał na wrota. Przez całe lata, kiedy wiedział o Kabraxisie i losie pogrzebanego pod Portem Tauruka Ransim, nigdy nie zastanawiał się, jak to będzie, gdy wreszcie stanie przed drzwiami skrywającymi sekret demona. Nawet miesiące planowania i pracy, schodzenia do podziemi, aby obejrzeć postępy i wywołać w podległych sobie akolitach strach lub pragnienie rewanzu, nie przygotowały go na to.

Choć Cholik oczekiwał, że będzie czuł się dumny i przepelniony radością ze swego odkrycia, zapomniał o strachu, który teraz znów dawał o sobie znać. Przez jego ciało przebiegały dreszcze, niczym wstrząsy przy trzęsieniu ziemi. Chciał skomleć i wzywać archanioła Yaeriusa, który pierwszy zapoznał ludzi z nauką Zakarum. Ale nie zrobił tego. Cholik wiedział, że dawno przekroczył granicę wybaczenia, którą wyznaczano podążającym ścieżkami Światłości.

Cóż dobrego mogło staremu człowiekowi dać miłosierdzie? Kapłan zadał sobie to pytanie po raz kolejny i coraz bardziej utwierdzał się w swoim przekonaniu. Śmierć mogła przyjść do niego już za kilka lat, przez ten czas nie pozostało mu nic ważnego do wykonania.

– Mistrzu – wyszeptał brat Altharin – czy dobrze się czujesz?

Stał po prawej stronie Cholika, o dwa kroki z tyłu, jak wymagał szacunek i cierpliwość starszego kapłana.

Pozwalając irytacji wypalić pozostałości gniewu i niechęci wobec zbliżającej się śmierci, Cholik odpowiedział:

– Oczywiście, że czuję się dobrze. Czemu miałbym czuć się źle?

– Byłeś taki milczący – odparł Altharin.

– Kontemplacja i medytacja – wyjaśnił Cholik – to dwie najważniejsze cechy, które pozwalają zrozumieć wielkie tajemnice, pozostawione nam przez Światłość. Lepiej to sobie zapamiętaj, Altharinie.

– Oczywiście, mistrzu. – Łatwość, z jaką Altharin przyjmował nagany oraz gotowość do nieustannej pracy uczyniła z niego oczywistego kandydata na kierownika wykopalisk.

Cholik przyglądał się potężnym drzwiom. A może powinienem myśleć o nich jak o bramie? Czytane przez niego tajemne teksty sugerowały że drzwi Kabraxisa strzegły innego miejsca, a nie tylko ukrytych rzeczy pozostawionych przez demona.

Niewolnicy pracowali dalej, w świetle latarni i pochodni napełniając taczki kamieniami przy pomocy własnych rąk. Ich łańcuchy brzęczały o kamienną posadzkę. Inni niewolnicy pracowali kilofami, stojąc na kamieniu otaczającym drzwi lub na kruchych rusztowaniach, które dygotały przy każdym ruchu. Niewolnicy mówili do siebie drżącymi głosami, ale jednocześnie spieszyli się z odsłanianiem drzwi. Cholik wiedział, że robili tak, gdyż mieli nadzieję na odpoczynek. Jeśli coś za wielkimi drzwiami ich nie zabije, myślał Cholik, być może przez jakiś czas będą odpoczywać.

– Odsłonięto już większość drzwi – powiedział Cholik. – Dlaczego nie posłano po mnie wcześniej?

– Mistrzu – odrzekł Altharin – nie było żadnych wskazówek, że jesteśmy tak blisko ich odnalezienia. Natrafiliśmy na kolejną trudną do przekopania część, tę ścianę, którą widzisz przed sobą, Skrywającą bramę. Myślałem, że to kolejny kawałek ściany jaskini. Tak wiele razy droga, którą nam wskazałeś, sprawiała, że przebijaliśmy ściany do już istniejących katakumb.

Cholik pamiętał z tekstów, że twórcy miasta zbudowali Ransim tak, by wykorzystać naturalne korytarze w okolicach Dyre. Jaskinie służyły jako magazyny towarów, którymi handlowali, naturalne zbiorniki wód gruntowych, które mogli wykorzystywać podczas oblężenia (co zdarzyło się kilka razy w historii miasta) oraz ochrona przed żywiołami, gdyż ze szczytów Gór Orlego Dzioba często schodziły burze. Port Tauruka, wybudowany po zniszczeniu Ransim, nie skorzystał z tych korytarzy.

– Gdy zaczęliśmy atakować tę ścianę – kontynuował Altharin – zaczęła ona odpadać w dużych fragmentach. Właśnie dlatego przed drzwiami pozostało tyle gruzu.

Cholik patrzył, jak niewolnicy ładują wielkie kawały kamienia na wózki, po czym odwożą je na stosy gruzu. Inni niewolnicy wypełniali wielkie wiadra mniejszymi odłamkami i przynosili na wózki. Okute żelazem koła trzeszczały na suchych osiach i skrzypiały o podłoże.

– Odkrywanie drzwi postępowało bardzo szybko – powiedział Altharin. – Jak tylko wiedzia łem, że to one, posłałem po ciebie.

Cholik podszedł powoli do drzwi, wykorzystując resztki sił. Nogi miał jak z ołowiu, a serce waliło mu o żebra. Za bardzo się wysilił, wiedział o tym. Przeciwstawienie się Raithenowi i zakłęcie rzucone przeciwko szczerom wyczerpały wszystkie jego siły – miał kłopoty z oddychaniem. Wykorzystywanie magii z trudem przychodziło starcom i kalekom. Praca z zaklęciami miała swoje wymagania, często wykrzywiała i niszczyła tych, którzy byli zbyt słabi, by poradzić sobie z mocą. On zaś poznał zaklęcia dość późno, za wiele lat zmarnował w kościele Zakarum.

W miarę zbliżania się do drzwi, podłoga opadała i Cholik bez udziału świadomości zaczął przyspieszać. Niewolnicy zauważyli jego nadejście i uciekali mu z drogi, wołając jeden do drugiego.



Młoty podnosiły się i opadały, gdy kolejni niewolnicy budowali następne rusztowania, wspinając się coraz wyżej. Spieszyli się tak bardzo, że jedna z części rusztowania odpadła od ściany, a z nią spadło czterech ludzi. Jedna latarnia rozbiła się o kamień. Wypłynęła z niej oliwa, która natychmiast zapłonęła.

Jeden z leżących mężczyzn krzyczał z bólu, zaciskając ręce na złamanej nodze. W świetle pochodni zabłysła biała kość, przebijająca łydkę.

– Zgaście ogień – nakazał Altharin.

Jakiś niewolnik wylał wiadro wody na ogień, ale w efekcie tylko posłał płonące krople w stronę drzwi.

Jeden z najemników podszedł i szybkim ruchem noża odciął koszulę niewolnika. Zanurzył ją w innym wiadrze wody i położył ociekającą szmatę na ogień. Płomienie zgasły z sykiem.

Cholik przeszedł przez ogień, nie chcąc okazywać strachu. Stworzył małą tarczę, która chroniła go przed płomieniami, i przeszedł przez nie bez uszczerbku na ciele. Efekt był taki, jakiego oczekiwał – wśród niewolników strach przed drzwiami został zastąpiony strachem przed nim.

Drzwi były groźbą, ale bezzębną. Cholik zaś udowodnił kilkakrotnie, że zabijanie ich i wrzucanie trupów do przepaści nie wywoływało w nim wyrzutów sumienia. Teraz zebrał się i odwrócił do niewolników. Stał mimo ogarniającej go słabości tylko dlatego, że nie pozwolił sobie na słabość.

Wszystkie gorączkowe szepty ucichły, za wyjątkiem jęków rannego mężczyzny. Nawet on zakrył twarz ręką i tylko skomlał, nie krzyczał.

Wiedząc, że potrzebuje więcej siły, by stawić czoła temu, co czekało po drugiej stronie drzwi Kabraxisa, Cholik wypowiedział słowa mocy. Wezwał

do siebie ciemność, której bał się dziesiątki lat wcześniej, którą zaczął się bawić kilka lat temu, i dzięki której ostatnio stał się silny.

Stary kapłan uniósł prawą dłoń i rozcapierzył ją. Gdy wypowiadał słowa, słowa niedostępne tym, którzy należeli do kościoła Zakarum, poczuł, jak wypełnia go moc, wgryzająca się w ciało i ostrymi pazurami wbijająca w kości. Miał pewność, że gdyby zaklęcie nie zadziało, upadłby i zapadł w śpiączkę, aż jego ciało zregenerowałoby się.

Jego dłoń otoczyła fioletowa aureola. W stronę niewolnika ze złamaną nogą poleciał promień. Mężczyzna krzyknął, gdy otoczyło go fioletowe światło i pochwyciły niewidzialne ręce.

Cholik mówił nadal, czując się coraz silniejszym, podczas gdy zaklęcie wiązało do niego mężczyznę. Słowa padały coraz szybciej, coraz pewniej. Niewidzialne ręce rozciągnęły mężczyznę na ziemi, po czym uniosły go w powietrze.

– Nie! – krzyknął mężczyzna. – Proszę! Błagam! Będę pracować! Będę pracować! Kiedyś strach mężczyzny i jego błagania poruszyłyby Cholika. Takie rzeczy nigdy nie poruszały go zbyt głęboko, gdyż stary kapłan nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedłożył potrzeby innych nad swoje. Kiedyś jednak ruszał z misjonarzami kościoła Zakarum, by leczyć chorych i zajmować się rannymi. Ostatnie starcia między Zachodnią Marchią i Tristram dostarczyły wielu takich okazji.

– Niiieee! – wrzeszczał mężczyzna.

Inni niewolnicy cofnęli się. Niektórzy wołali do cierpiącego mężczyzny.

Cholik odezwał się ponownie, po czym zacisnął rękę. Fioletowa aureola pociemniała, jak obita śliwka, i popłynęła wzdłuż promienia trzymającego mężczyznę.

Gdy ciemność dotknęła niewolnika, jego ciało skrzywiło się. Ohydny chrzęst odbijał się echem od ścian, gdy ręce i nogi mężczyzny zaczęły

pękać w stawach. Krzyknął raz jeszcze. Mimo cierpienia, jakie musiało go wypełniać, pozostał świadomy.

Kilku kapłanów, którzy opuścili Zachodnią Marchię z Cholikiem, ale nie porzucili zasad kościoła Zakarum, uklękło i przycisnęło twarze do kamiennej posadzki. Nauki kościoła głosiły doktrynę leczenia i nadziei, zbawienia. Tylko Ręka Zakarum, zakon rycerzy poświęconych przez kościół, i Dwunastu Wielkich Inkwizytorów, którzy poszukiwali demonów wśród członków kościoła i walczyli z nimi, wykorzystywali błogosławieństwa, które Yaerius i Akarat dali swoim pierwszym uczniom.

Buyard Cholik nie był jednak ani jednym, ani drugim. Kapłani, którzy uwierzyli w niego, wiedzieli o tym i mieli nadzieję, że uczyni z nich kogoś więcej, niż byli, teraz jednak zobaczyli, kim naprawdę się stał. Cholik, karmiąc się strachem i życiem niewolnika, które wypełniały go dzięki zaklęciu, wiedział, że niektórzy wyznawcy patrzyli na niego z przerażeniem, a inni z pożądaniem.

Altharin należał do przerażonych.

Cholik przygotował się na wszystko, gdyż nie wiedział, czego oczekiwać, i wypowiedział ostatnie słowo zaklęcia.

Niewolnik krzyknął z bólu, ale jego krzyk urwał się nagle. Zaklęcie rozerwało mężczyznę na kawałki. Fontanna krwi pomalowała twarze pobliskich mężczyzn na czerwono, jak również zgasła dwie pochodnie i resztki płomyków z rozbitej latarni.

Chwilę później wysuszone pozostałości niewolnika spadły na ziemię.

Cholik oczekiwał czegoś, ale nie nagłej fali euforii, która go wypełniła. Czuł w sobie również ból, słodkie cierpienie, gdy wampiryczne zaklęcie zaczęło go leczyć. Osłabienie, wypełniające go po wcześniejszym użyciu czarów, znikło. Nawet niektóre artretyczne bóle, zadomowione w stawach, osłabły. Część ukradzonej energii życiowej popłynęła do niego, i mógł ją

wykorzystać, jak tylko ze95 chciał, ale zaklęcie przekazało też część światu demonów. Zaklęcia wymyślone i dane przez demony zawsze przynosiły im korzyść.

Cholik wyprostował się, a otaczająca go aura zmieniła barwę z czerni na fiolet. Później piekielny blask wycofał się w głąb jego ciała. Stary kapłan, odświeżony, przyglądał się widowni. To, co zrobił, wywoła reakcję niewolników, najemników, piratów Raithena, a nawet kapłanów. Niektórych z nich rano już tu nie będzie.

Będą bać się jego i tego, co może zrobić.

Ta świadomość sprawiła, że Cholik poczuł się świetnie. Nawet kiedy był młodym kapłanem w kościele Zakarum i miał wysoką pozycję w Zachodniej Marchii, tylko prawdziwie skruszeni grzesznicy i ci, którzy nie mieli nadziei, a rozpaczliwie pragnęli w coś uwierzyć, słuchali uważnie jego słów. Ale mężczyźni w jaskini patrzyli na niego niczym kanarki na jastrzębia.

Odwracając się od martwego niewolnika, Cholik znów podszedł do drzwi. Poruszał się bez trudu, z pewnością siebie. Nawet jego własne strachy chowały się gdzieś w głębi umysłu.

– Altharin – zawołał Cholik.

– Tak, mistrzu – odpowiedział cicho Altharin.

– Każ niewolnikom powrócić do pracy.

– Tak, mistrzu. – Altharin wydał rozkazy.

Najemnicy, dobrze znający sztukę przeżycia, nie zwlekali z gonieniem niewolników do pracy. Niewolnicy zabezpieczyli leżące rusztowanie i wrócili do pracy. Kilofy uderzały w ścianę jaskini zakrywającą szarozielone drzwi. Młoty rozbijały wielkie kawały kamienia na mniejsze części, które można było już przenieść na czekające wózki. Jednostajne odgłosy

uderzających narzędzi i pękającego kamienia odbijały się echem od ścian jaskini.

Cholik opanował niecierpliwość i przyglądał się postępom niewolników. Gdy ci pracowali, od ściany odpadały wielkie kawały kamienia, rozbijając się o ziemię lub sterty gruzu. Najemnicy kręcili się wśród robotników, uderzając batami i pozostawiając ślady i rany na pokrytej potem skórze. Czasem nawet pomagali popychać wypełnione wózki.

Praca szła szybciej. Po kilku chwilach w polu widzenia pojawił się zawias, a zaraz potem drugi. Cholik przyjrzał się im, czując coraz większe podniecenie.

Zawiasy były wielkie i pokręcone, a zrobiono je z metalu i bursztynu, jak spodziewał się Cholik po lekturze. Był tam metal, ponieważ wykonali je ludzie, kowale, by powstrzymywały i ograniczały a bursztyn znalazł się w nich, gdyż w swych złocistych głębiach ukrywał kwintesencję przeszłości.

Gdy usunięto tyle gruzu, że powstała ścieżka do drzwi, Cholik zbliżył się. Energii, którą przejął od niewolnika, nie mógł zatrzymać zbyt długo, tak w każdym razie czytał. Kiedy zostanie jej pozbawiony, będzie czuł się jeszcze gorzej niż wcześniej, chyba że dotrze do swojej komnaty i trzymany w niej wzmacniających eliksirów.

Zbliżając się do drzwi, Cholik czuł ukrytą za nimi moc. Ta potężna obecność wypełniała jego umysł, jednocześnie przyciągając i odpychając. Sięgając do szaty, wyjął z niej rzeźbione puzderko wykonane z idealnie czarnej perły trzymał je w dłoniach, czując jego lodowaty chłód.

Odnalezienie tego przedmiotu wymagało lat pracy. Tajemne teksty dotyczące artefaktu i drzwi Kabraxisa zostały ukryte głęboko w bibliotece kościoła w Zachodniej Marchii. Utrzymanie puzderka w tajemnicy wymagało morderstw i oszustw. Nawet Altharin o nim nie wiedział.

– Mistrzu – odezwał się Altharin.

– Cofnij się – zażądał Cholik. – I zabierz ze sobą całą tę bandę.

– Tak, mistrzu. – Altharin cofnął się, szepcząc coś do ludzi. Wpatrując się w gładką powierzchnię czarnego puzderka.

Cholik miał świadomość masowej ucieczki od niego i bramy. Stary kapłan odetchnął głęboko. Przez te wszystkie lata, gdy puzderko było w jego posiadaniu, gdy szukał informacji i dowiadywał się, gdzie ukryto Ransim, gdy zbierał odwagę do podjęcia się takich działań i rozpacz na tyle silną, że był w stanie stawić czoła demonowi i dostać to, czego chciał, nigdy nie mógł otworzyć puzderka. Dopiero teraz się dowie, jaka jest jego zawartość.

Odetchnąwszy głęboko, Cholik skoncentrował się na puzderku i drzwiach, i wypowiedział pierwsze Słowo. Gardło zabolalo od niego, gdyż nie było przeznaczone dla ludzkich języków. Gdy Słowo opuściło jego wargi, jaskinię wypełnił ogłuszający grzmot i wicher, choć wśród kamiennych ścian nie powinno być wiatru.

Eliptyczny wzór na szaro-zielonej powierzchni stał się czarny. Brzęczący odgłos odbijał się echem w jaskini, głośniejszy nawet niż grzmot i wicher.

Zaciskając lewą dłoń na czarnym puzderku, Cholik zrobił krok do przodu, czując chłód metalu. Wypowiedział drugie Słowo, trudniejsze niż pierwsze.

Bursztynowe części zawiasów zapłonęły przeklętym żółtym światłem. Przypominało to blask pochodni odbijający się nocą od wilczych ślepi.

Wiatr wzmógł się jeszcze, unosząc drobniutkie cząsteczki kamienia, które boleśnie raniły skórę. Jaskinię wypełniły modlitwy, wszystkie do Światłości, nie do demonów. Cholik prawie się uśmiechnął, jednak część jego osoby była równie przerażona jak tamci.

Przy trzecim Słowie czarne puzderko otworzyło się. Uniosła się z niego przezroczysta sfera płonąca trzema odcieniami zieleni i zawisła przed

oczami Cholika. Wedle czytanych przez niego materiałów, jej dotknięcie zabijało.

A gdyby teraz się zawahał, sfera pochłonęłaby go, pozostawiając po sobie tylko czarny pył. Cholik wypowiedział czwarte Słowo.

Sfera zaczęła rosnać, jak węgorze, które niektórzy rybacy wyławiali z Wielkiego Oceanu. Uznawane za wyjątkowy przysmak mięso węgorzy wywoływało narkotyczną błogość, jeśli zostało przygotowane w należyty sposób, lecz czasem zabijało, nawet podane przez mistrza. Cholik nigdy nie jadł węgorzy, ale wiedział, jak musieli się czuć ludzie, którzy umierali.

Przez chwilę Cholik czuł, że sprowadził na siebie śmierć.

Wtedy płonąca sfera odpłynęła od niego i uderzyła w drzwi Kabraxisa. Wzmocniony do maksimum odgłos magii uderzającej w drzwi stał się niemal fizycznie namacalny. Zrzucił resztki kamienia z krawędzi drzwi i stalaktyty ze sklepienia jaskini.

Stalaktyty spadły na skulonych niewolników, najemników i upadłych kapłanów Zakarum. Cholik jakimś sposobem utrzymał się na nogach, podczas gdy wszyscy wokół niego przewracali się. Patrząc przez ramię, kapłan zobaczył trzech ludzi krzyczących z bólu, ale nic nie słyszał. Zdawało mu się, że jego głowę wypełnia bawełniana przędza. Jeden z najemników zatańczył szaleńczo ze stalaktytem, który go przebił, po czym upadł. Zadrżał, gdy opuszczało go życie.

W ciszy i bezruchu, które wypełniły jaskinię, Cholik wypowiedział piąte, ostatnie Słowo. Eliptyczny wzór zaczął płonąć na górze, poza pierścieniem. Z tego miejsca krwistoczerwony promień zaczął wędrować wzdłuż elips, przeskakując z jednej na drugą. Gdy zapłonęły już wszystkie, przeskoczył na linię, która je łączyła, poruszając się coraz szybciej.

Gdy dotarł do końca wzoru, płomień rozjarzył się szkarłatem.

Potężne szaro–zielone drzwi otworzyły się i w jednej chwili do jaskini powrócił dźwięk. Drzwi zepchnęły na bok pozostały jeszcze gruz.

Cholik patrzył z przerażeniem, jak z jakiegoś zapomnianego zakątka Piekiel przez otwartą bramę wypływa śmierć.

SZEŚĆ



Darrick popatrzył w dół na Port Tauruka, przeklinając zakryty chmurami księżyc, który jeszcze kilka chwil wcześniej błogosławił. Nawet teraz, gdy ukrywali się w niższych partiach Gór Orlego Dzioba, zakrywająca miasto ciemność utrudniała rozróżnianie szczegółów.

Rzeka Dyre płynęła ze wschodu na zachód kanionem wyrzeźbionym w górach. Ruiny Portu Tauruka leżały na jej północnym brzegu. Miasto szerszą częścią przylegało do brzegu, wykorzystując naturalną przystań.

– W swoim czasie Portowi Tauruka musiało się dobrze powodzić – powiedział cicho Mat. – Tak głęboka przystań nad rzeką biegnącą przez wiele mil i tak szeroką, że można płynąć w górę... ci ludzie musieli mieć dobre życie.

– No, a teraz ich tu nie ma – zwrócił uwagę Maldrin.

– Zastanawiałeś się, czemu? – zapytał Mat.

– Ktoś przyszedł i zawałił miasto nad ich cholernymi głowami – powiedział pierwszy oficer. – Choć taki spryciarz jak ty powinien się tego domyślić i tacy jak ja nie powinni ci tego tłumaczyć.

Mat nie obraził się.

– Zastanawiałeś się, kto to zrobił?

Darrick zignorował znajome sprzeczki dwóch mężczyzn, które czasem były męczące, a kiedy indziej zabawne, i wyjął lunetę z torby przy pasie. Była to jedna z niewielu rzeczy, które posiadał na własność. Luneta została wykonana przez rzemieślnika w Kuraście, ale Darrick nabył ją od kupca z Zachodniej Marchii. Mosiężna obudowa sprawiała, że luneta była niemal

niezniszczalna, a dzięki sprytnemu mechanizmowi się składała. Rozłożył lunetę i uważniej przyjrzał się miastu.

W porcie stały trzy statki. Wszystkie z nich oświetlały latarnie noszone przez piratów.

Darrick podążył wzrokiem za linią piratów i świateł na brzeg, koncentrując się na dużym budynku, który został tylko częściowo zniszczony. Budowla znajdowała się pod grubą skalną półką wyglądającą, jakby przeniósł ją ten, kto zniszczył miasto. – Mają niezłą kryjówkę – powiedział Maldrin. Darrick pokiwał głową.

– Pewnie wypełnili ją kobietami i winem – ciągnął pierwszy oficer. – Na Światłość, chłopcze, wiem, że jesteśmy tutaj po królewskiego bratanka i takie tam, ale nie podoba mi się, że zostawimy tu te kobiety. Pewnie zabrali je ze statków, które złupili i zatopili. Nie sposób policzyć, ilu zjadły rekiny.

Darrick zacisnął zęby, próbując nie myśleć o tym, co kobiety musiały znosić w łapach piratów.

– Wiem. Jeśli będzie to tylko możliwe, spróbujemy też uwolnić kobiety.

– Dobry chłopak – powiedział Maldrin. – Znam załogę, co to ją wybrałeś, Darrick. Każdego jednego. To dobrzy mężczyźni. Byliby gotowi umrzeć jako bohaterowie.

– Nie jesteśmy tu po to, by umrzeć – odrzekł Darrick. – Mamy zabijać piratów.

– I posłać ich do piekła, jeśli tylko się da. – Uśmiech Mata błyszczał w ciemnościach. – Nie wygląda na to, żeby poważnie traktowali pełnienie straży tam, w ruinach.

– Mają strażę wzdłuż rzeki – zgodził się Maldrin. – Gdybyśmy próbowali wprowadzić tu „Samotną Gwiazdę”, pewnie by nas złapali. Nie pomyśleli o małej grupie zdecydowanych na wszystko mężczyzn.

– Mała grupa to mała grupa – stwierdził Darrick. – Ale choć pozwala nam to poruszać się szybko i cicho, nie będziemy w stanie zbyt długo walczyć. Jest nas tuzin i zabicie nas nie zajmie im specjalnie dużo czasu, jeśli podejdziemy do tego w zły sposób i będziemy mieli pecha. – Przesu104 wając lunetę, zapisał sobie w głowie granice zrujnowanego miasta. Potem zwrócił uwagę w stronę doków.

Dwa małe doki unosiły się na powierzchni wody, utrzymywane przez puste, szczelne baryłki. Oceniając po ruinach na wschód od pływającego doku, Darrick uznał, że wcześniej istniały tu bardziej trwałe doki. Nierówne warstwy skał nad rzeką wskazywały, że w przeszłości odpadły od nich kawałki ziemi. Stałe doki prawdopodobnie znajdowały się w porcie na tyle głęboko, że nie przeszkadzały wpływającym statkom.

Z brzegu rzeki, jakieś trzydzieści stóp nad pokładami trzech kog, zwieszały się dwa bloczki, obok nich zaś znajdowały się całe sterty skrzyń i beczulek. Składu pilnowało kilku mężczyzn, ale zajęci byli grą w kości i pochylali się nisko, by dokładnie przyjrzeć się wynikom każdego rzutu. Raz na jakiś czas do uszu Darricka dochodziły okrzyki radości. Piraci mieli dwie latarnie, umieszczone na końcach pola gry.

– Jak myślisz, który z nich to „Barakuda”? – zapytał Maldrin.

– Pirat mówił, że na tym statku trzymają chłopaka, tak?

– Tak – odrzekł Darrick – i założę się, że „Barakuda” jest pośrodku.

– Tam, gdzie są wszyscy strażnicy – powiedział Mat.

– Tak. – Darrick złożył lunetę i wsunął ją do sakiewki, zamykając wcześniej oba jej końce. Szkło wyszlifowane tak dokładnie, jak w jego lunecie, poza Kurastem trafiało się rzadko.

– Masz jakiś plan, Darrick? – spytał Mat. – Jak zawsze – zgodził się Darrick. Mat wyglądał o wiele poważniej.

– To nie będzie taka zabawa, jak się spodziewaliśmy, prawda? – zapytał.

– Nie – zgodził się ponownie Darrick. – Ale nadal uważam, że może nam się udać. – Wy prostował się. – Najpierw ja i ty, Mat. Jak najszybciej i jak najciszej. Maldrin, potrafisz jeszcze chodzić cicho, czy już zrobiłeś się zbyt szeroki w kadłubie od ciastek kuka?

„Samotna Gwiazda” miała nowego piekarza, a zdolności młodzieńca stały się już legendą w marynarce Zachodniej Marchii. Kapitan Tollifer musiał wykorzystać wszystkie swoje znajomości, żeby załatwić przypisanie piekarza do ich statku. Każdy marynarz na pokładzie „Samotnej gwiazdy” polubił słodczyce, ale Maldrin jako pierwszy zauważył, że piekarz tak naprawdę chciał nauczyć się żeglować i wykorzystał to, pozwalając chłopakowi stawać za kołem sterowym w zamian za ciastka.

– Może i przybrałem z funt albo trzy w ostatnim miesiącu – przyznał Maldrin – ale nigdy nie będę tak stary czy gruby, żeby nie dotrzymać tempa wam, szczeniaki. Jeśli tak się stanie, to zawiążę sobie linę na szyi i wyskoczę za rufę.

– Więc chodź z nami – zaproponował mu Darrick. – Zobaczymy, czy uda nam się przejąć zapasy.

– A po co? – spytał ponuro Maldrin.

Darrick ruszył w dół zbocza, trzymając się brzegu rzeki. Błoczki i strażę znajdowały się prawie dwieście jardów od nich. Wzdłuż wysokiego brzegu rzeki rosły krzaki i niskie drzewa. Piraci Raithena nie mieli ochoty oczyszczać więcej terenu, niż było to konieczne.

– O ile dobrze myślę – powiedział Darrick – to w tych baryłkach jest tran i whisky.

– Lepiej by było, gdyby były w nich te czarodziejskie eliksiry, co to wybuchają – powiedział Maldrin.

– Popracujemy z tym, co mamy – stwierdził Darrick – i powinniśmy się z tego cieszyć. – Zawołał Tomasa.

– Tak? – powiedział Tomas, wychodząc z cienia.

– Kiedy już damy znak – rozkazał Darrick – szybko sprowadź pozostałych. Wejdziemy na pokład środkowego statku, żeby poszukać królewskiego bratanka. Kiedy go już znajdziemy, jak najszybciej zabiorę go z tego statku. Wykorzystamy te bloczki, rozumiesz?

– Tak – odpowiedział Tomas. – Podniesiemy go.

– Chcę, żeby był w jednym kawałku, Tomas – zagroził Darrick – albo sam będziesz wyjaśniał królowi, jak to się stało, że jego bratanek jest ranny czy martwy.

Tomas pokiwał głową. – Będziemy traktować chłopca jak niemowlaka. Własna matka lepiej by o niego nie zadbała. Darrick poklepał Tomasa po ramieniu i wyszczerzył się.

– Wiedziałem, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

– Bądźcie tylko ostrożni i nie róbcie się za odważni, póki do was nie zejdziemy.

Darrick pokiwał głową i zaczął schodzić w dół zbocza, w stronę brzegu. Mat i Maldrin podążyli za nim, cicho jak padające na ziemię płatki śniegu.

Raithen zszedł po stopniach wyciętych w zboczu nad statkami. Gdy stopnie te wycinano, z pewnością były równiutkie. Teraz jednak, po wszystkich zniszczeniach, jakich doznało miasto, przechyliły się na bok, przez co schodzenie nimi było dość niebezpieczne. Od czasu, kiedy załoga Raithena ukryła się w Porcie Tauruka, niejeden pijany pirat skończył w wodzie poniżej, a dwóch zostało porwanych przez prąd i pewnie utonęło, zanim dotarli do Zatoki Marchii Zachodniej.

Niósł latarnię, żeby oświetlić sobie drogę, a jej złocisty blask wydobywał z mroku różne warstwy na zboczu. W ciągu dnia kamień był niebieski i stalowy, a kolejne warstwy oznaczały się ciemniejszą barwą, aż w końcu kamień nabierał odcienia grafitowego, tuż przed zniknięciem w głębi rzeki.

Piraci pełniący straż na jego widok wyprostowali się i próbowali wyglądać na czujnych. Odnosili się do niego z grzecznością, którą w części z nich wykształcił biciem.

Nagły zgrzyt liny w bloczku uświadomił mu, że na górze coś się działo.

– Obudźcie się, bydlaki – zawołał w dół ochrypły głos. – Mam dla was pełno żarcia, słowo.

– Poślij na dół – zawołał mężczyzna z kogi na prawo od Raithena. – Czekałem na to całe wieki. Żołądek już mi chyba przyrósł do pleców.

Przyciskając się do zbocza, Raithen patrzył, jak puszczono w dół małą, szeroką baryłkę. Bloczek zwalniał opadanie baryłki, co znaczyło, że ładunek nie był zbyt ciężki. Raithen poczuł woń solonej wieprzowiny.

– Mam tam dla was i butelkę wina – zawołał mężczyzna.

– I prawie trafiłeś tym kapitana Raithena, niezgrabiaszu – zaryczał strażnik stojący zaledwie kilka stóp od kapitana. Zabrzmiało stłumione przekleństwo.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie – powiedział mężczyzna głosem pełnym skruchy. – Nie wiedziałem, że to wy.

Raithen uniósł latarnię, aby mężczyzna mógł zobaczyć rysy jego twarzy.

– Pospieszcie się.

– Tak jest, panie. Natychmiast, panie – pirat podniósł głos. – Kamraci, podnieście tę beczkę. Potrzebujemy następnej, tą zajmę się potem. Piraci na pokładzie pierwszej kogi zrzucili liny, które zaraz zostały wciągnięte na górę. Gdy tylko droga się zwolniła, Raithen przeszedł na pierwszy z małych doków, unoszących się na czarnej wodzie. Wspiął się po zwisającej z burty statku sieci i wszedł na pokład.

– Dobry wieczór, kapitanie – powitał go pirat o twarzy poznaczonej bliznami. Sześciu innych zrobiło to samo, nie przerywając wyciągania żywności z beczek.

Raithen kiwnął mu głową, czując ból w zranionym gardle. Kiedy statki stały w porcie dbał, by jego ludzie trzymali się z dala od ładowni. Wszystkie statki były przez cały czas w pełni naładowane na wypadek, gdyby musieli natychmiast wychodzić w morze. Inne statki znajdowały się o kilka dni drogi stąd przy północnym wybrzeżu, w zatoce, która była niebezpieczna dla okrętów z niepełną załogą.

Wszystkie statki łączyły przerzucone przez burty deski. Prąd rzeki był na tyle łagodny, że kogi nie szarpały się na uwięzi, stojąc na kotwicy. Na pokładzie stojącej między dwoma innymi statkami „Barakudy” kapitan dostrzegł Bulla siedzącego na dziobie i kurzącego fajkę.

– Kapitanie – powiedział Buli, wyciągając fajkę z ust. Był to kawał chłopca, jakby zbudowa nego z prętów. Owinięta wokół głowy szarfa zasłaniała zranione ucho, ale na szyi wciąż widać było zaschłe smugi krwi.

– Jak tam chłopak, Buli? – zapytał Raithen.

– Dobrze, kapitanie – odparł tamten. – Czemu miałby nie być?

– Słyszałem o twoim uchu.

– O tym? – Buli dotknął rany i uśmiechnął się. – To nic, czym należałoby się martwić, kapitanie.

– Nie przejmuję się tym – powiedział Raithen. – Uważam, że pirat, który dał się pokonać chłopcu, nie jest wart forsy, którą mu płacę.

Twarz Bulla pociemniała, ale Raithen wiedział, że to ze wstydu.

– To dlatego, że on tak niewinnie wygląda, kapitanie. Nie spodziewałem się, że będzie tak podstępny. A ta kantówka? Chciał mnie ogłuszyć z zaskoczenia. Jeśli król nie zapłaci okupu, z chęcią zatrzymam go dla siebie. Szczerze mówiąc, kapitanie, dobrze byśmy na tym wyszli, gdybyśmy wzięli go do załogi.

– Zapamiętam to – powiedział Raithen.

– Tak, panie. Mówię to tylko przez szacunek dla was i tego wrednego gnojka w ładowni.

– Chcę go zobaczyć.

– Przysięgam, kapitanie, nic mu nie zrobiłem.

– Wiem, Buli – odpowiedział Raithen. – Mam swoje powody.

– Tak jest, kapitanie – pirat wyciągnął z woreczka przy nadgarstku duży klucz i strzepnął zawartość fajki do rzeki. W ładowniach nie mogło palić się nic poza latarniami wachty, a i z nimi rzadko schodzono na dół.

Buli zszedł do małej ładowni. Raithen szedł za nim, wdychając znajomy zapach. Kiedy on służył w marynarce Zachodniej Marchii, było nie do pomyslenia, aby statki tak śmierdziały. Żeglarze cały czas je czyścili, polewając słoną wodą i octem, aby zabić grzyby czy pleśń, które mogłyby zalęgnać się między deskami.

Chłopiec trzymany był w małym areszcie na rufie kogi.

Otworzywszy drzwi, Buli wsadził swoją wielką głowę do środka i niemal równie szybko ją cofnął. Wyciągnął rękę, chwycił wycelowaną w swoją twarz deskę i mocno pociągnął.

Chłopiec wyleciał na pokład, lądując na brzuchu i twarzy. Próbował zerwać się na równe nogi, niczym wyciągnięta z wody ryba, ale Buli przycisnął go do pokładu swoim masywnym buciorem.

Co niezwykle, okazało się, że chłopiec zna ogromną liczbę wyzwisk.

– Jak powiedziałem, kapitanie – uśmiechnął się Buli – byłby z niego niezły pirat.

– Kapitanie? – zapiszczał chłopiec. Nawet przyciśnięty butem Bulla obracał głowę i próbował się rozejrzeć. – Jesteś kapitanem tego chlewu? Gdybym był tobą, ze wstydu założyłbym sobie torbę na głowę i zostawił tylko dziurę na oko.

Rozbawiony po raz pierwszy tej nocy, Raithen spojrział z góry na chłopca.

– On się nie boi, Buli?

– Boi? – zapiszczał znów chłopak. – Boję się, że umrę tu z nudów. Trzymacie mnie już od pięciu dni. Na tym statku siedzę od trzech. Kiedy wrócę do swojego taty, a on porozmawia ze swoim bratem, królem, to wrócę i osobiście pomogę cię stłuc – zacisnął pięści i zaczął walić nimi w deski. – Puść mnie i daj mi miecz. Będę z tobą walczył. Na Światłość, dam ci nauczkę na całe życie.

Raithen, zaskoczony zachowaniem chłopca, przyjrzał mu się uważniej. Dzieciak był chudy i muskularny, zaczynał już tracić dziecięcy tłuszcz. Raithen szacował jego wiek na jedenaście, dwanaście, a może nawet i trzynaście lat. Głowę wieńczyła szopa ciemnych włosów, a w świetle latarni jego oczy były szare lub zielone.

– Czy wiesz, gdzie się znajdujesz, chłopcze? – zapytał Raithen.

– Kiedy królewska marynarka zapłaci ci albo cię wyśledzi – odparł chłopak – będę wiedział, gdzie się znajdujesz. Nie myśl, że tak się nie stanie.

Pochyliwszy się, z latarnią blisko oczu chłopca, Raithen potrząsnął sztyltem znów wyjętym z pochwy. Wbił ostrze w pokład o centymetr od jego nosa.

– Ostatnia osoba, która dziś próbowała mnie zastraszyć – powiedział ochrypłym głosem – umarła kilka minut temu. Bez problemu zabiję następną.

Oczy chłopca skupiły się na broni. Z trudem przełknął ślinę, ale zachował milczenie.

– Masz jakieś imię? – zapytał Raithen.

– Lhex – wyszeptał chłopiec. – Nazywam się Lhex.

– Jesteś królewskim bratankiem?

Tak. Raithen obrócił ostrze tak, aby odbijało światło latami. – Ilu synów ma twój ojciec? – Pięciu. Włącznie ze mną. – Czy będzie mu brakować jednego z nich? Lhex znowu przełknął ślinę.

Tak.

– To dobrze – Raithen uniósł latarnię, aby chłopiec mógł zobaczyć uśmiech na jego twarzy. – To jeszcze może się dla ciebie dobrze skończyć, chłopcze. Ale muszę dowiedzieć się pewnej rzeczy po którą tu przyszedłem.

– Nic nie wiem. – Zobaczymy – Raithen wyprostował się. – Podnieś go, Buli. Porozmawiam z nim w areszcie. Cofnąwszy nogę i schyliwszy się, Buli chwycił chłopaka za koszulę swoim wielkim łapskiem i uniósł do góry. Bez wysiłku zaniósł go z powrotem do małego aresztu. Z przesadną delikatnością posadził go pod ścianą i stanął obok.

– Zostaw nas, Buli – powiedział Raithen.

– Kapitanie – zaprotestował pirat – chyba nie zauważyliście, do czego ten smark jest zdolny.

– Potrafię sobie poradzić z małym chłopcem – odpowiedział Raithen, zawieszając latarnię na haku. Wziął od Bulla klucz i wzrokiem nakazał mu wyjść. Zacisnąwszy rękę na kracie w drzwiach, Raithen zaniknął je. Szczęk uderzającego o siebie metalu rozniósł się po ładowni.

Lhex zaczął gramolić się na nogi.

– Nie wstawaj – ostrzegł go Raithen. – Jeśli będziesz próbował, to jedną rękę przygwożdżę ci sztyletem do ściany za plecami.

Zatrzymawszy się w pół kroku, Lhex popatrzył na Raithena. W spojrzeniu była cała dziecięca niewinność i wyzwanie, próba upewnienia się, czy pirat naprawdę zrobi to, co mówi.



Raithen przyglądał mu się zimno, wiedząc, że byłby w stanie zrobić to, co mówił.

Najwyraźniej Lhex doszedł do tego samego wniosku. Krzywiąc się, chłopiec usiadł, ale niechętnie, podciągając kolana i dla bezpieczeństwa opierając się plecami o ścianę.

– Myślisz, że jesteś kimś – warknął Lhex – zastraszając takiego dzieciaka jak ja. A co robisz z rana? Kopiesz szczeniaki?

– Właśnie – odparł Raithen – urwałem jednemu łepok i kazałem podać ci na śniadanie. Powiedzieli mi, że podadzą ci go też na obiad.

W oczach Lhexa pojawiła się groza. Milczał, przyglądając się Raithenowi.

– Gdzieś się tego nauczył, mały? – spytał kapitan.

– Moi rodzice obwiniają się nawzajem – odparł Lhex. – Sądzę, że przejąłem to od nich.

– Sądysz, że wyjdiesz z tego żywy?

– W każdym razie – powiedział chłopiec – nie zamierzam wyjść z tego przestraszony. Robi łem to już tak wiele razy, że aż rzygać mi się chce. Zresztą przez pierwsze trzy dni nic innego nie robiłem.

– Jesteś bardzo niezwykłym chłopcem – zauważył Raithen. – Szkoda, że nie poznałem cię wcześniej.

– Co, szukasz przyjaciela? – spytał Lhex. – Pytam, bo większość tych piratów boi się ciebie. Nie są tu dlatego, że cię lubią.

– Strach jest lepszym narzędziem dowódcy niż przyjaźń – odparł Raithen. – Strach pojawia się natychmiast i zmusza do posłuchu. – Wolałbym raczej, aby ludzie mnie lubili. Raithen uśmiechnął się.

– Śmiem twierdzić, że Buli cię nie lubi.

– Bez niektórych mogę się obejść. – Spryciarz – powiedział Raithen. Urwał, czując, że statek kołysze się lekko, szarpany prądem. Chłopiec

odruchowo poruszył się wraz ze statkiem, jak urodzony marynarz. – Od jak dawna jesteś na morzu, Lhex? – zapytał Raithen. Chłopak wzruszył ramionami.

– Od Lut Gholein.

– Byłeś tam?

– Statek wypłynął z Lut Gholein – powiedział Lhex, zwięzając oczy i z namysłem przyglądając się Raithenowi. – Jeśli o tym nie wiedziałeś, to jak go znalazłeś?

Raithen zignorował to pytanie. Informację dostał od szpiegów Buyarda Cholika, działających w Zachodniej Marchii. – Co robiłeś w Lut Gholein? Lhex nie odpowiedział.

– Nie baw się ze mną – ostrzegł go kapitan. – Nie jestem dziś w dobrym humorze. – Uczyłem się – odparł Lhex. Raithen uznał, że to brzmiało ciekawie.

– A czego się uczyłeś?

– Mój ojciec chciał, abym otrzymał solidne wykształcenie. Jako młodszy brat króla został wysłany za granicę i pobierał nauki od mędrców z Lut Gholein. Chciał, aby ze mną było podobnie.

– Jak długo tam przebywałeś?

– Cztery lata – odparł chłopiec. – Od kiedy miałem osiem lat.

– Czego się uczyłeś?

– Wszystkiego. Poezji. Literatury. Zasad handlu. Przepowiadania zysków, choć to babranie się we wnętrznościach kurczaków jest dość obrzydliwe i wcale nie lepsze od zwykłego zgadywania.

– A historia? – zapytał Raithen. – Uczyłeś się historii? – Oczywiście, że tak. Co by to było za wykształcenie bez znajomości historii? Raithen poszukał kartki, którą dał mu Pettit.

– Spójrz na to i powiedz mi, co to znaczy.

Kiedy chłopiec wziął papier, w jego oczach pojawiło się zainteresowanie.

– Trudno mi coś stąd zobaczyć.

Raithen zawahał się przez chwilę, po czym zdjął latarnię.

– Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, mały, każę cię okaleczyć. Jeśli twojemu ojcu uda się przekonać króla, aby zapłacił za ciebie okup, możesz jeszcze mieć nadzieję, że uzdrowiciele poskładają cię do kupy. Inaczej będziesz wyglądał jak dziwoląg z cyrku.

– Niczego nie będę próbował – przyrzekł Lhex. – Daj ten papier. Przez całe dni patrzyłem tylko na ściany.

Dopóki nie poluzowałaś deski podtrzymującej koję i nie zaatakowałaś Bulla, pomyślał Raithen. Zrobił krok do przodu, pomny szybkości i refleksu chłopca. Większość dzieci w jego wieku rozmazałaby się zupełnie. Tymczasem królewski bratanek obmyślał plan ucieczki, oszczędzał siły i jadł, aby zachować zdrowie.

Lhex wziął papier i szybko go obejrzał. Z wahaniem obrysował symbol palcem.

– Skąd to masz? – zapytał cicho.

Statek zakołysał się na fali, woda uderzyła o kadłub, aż echo poszło. Raithen podświadomie zamortyzował ruch pokładu.

– Nieważne. Czy wiesz, co to jest?

– Tak – stwierdził chłopiec. – To jakiś rodzaj pisma demonów. Ten znak należy do Kabraxisa, demona, który ponoć zbudował Czarną Drogę.

Raithen cofnął się i skrzywił.

– Demony nie istnieją, chłopcze.

– Moi nauczyciele wpajali mi, bym miał otwarty umysł. Może demonów teraz tu nie ma, ale to nie oznacza, że nigdy ich nie było.

Raithen spojrział na papier, próbując znaleźć w nim sens. – Czy możesz to przeczytać? Lhex prychnął niegrzecznie.

– A czy znasz kogoś, kto potrafi czytać pismo demonów?

– Nie – odparł kapitan. – Znałem jednak takich, którzy sprzedawali pergaminy będące ponoć mapami wskazującymi drogę do skarbów demonów. – Sam kiedyś kupił i sprzedał kilka takich map, gdy jego wiara w takie istoty wzrosła, a później osłabła.

– Nie wierzysz w demony? – spytał chłopiec.

– Nie – odpowiedział Raithen. – Dobre są tylko do opowiadania historyjek w tawernach czy przy ognisku, gdy nie ma nic innego do roboty. – Mimo to słowa chłopca zaintrygowały go. Kapłan poluje tu na demona? Nie mógł w to uwierzyć. – Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym wzorze?

Wzdłuż Dyre biegł szlak, przecinając zbocze. Darrick był pewien, że służył on ludziom Raithena do zmiany straży. Trzymał się od niego z dala, wybierając w zamian wolniejszą drogę przez krzaki.

Mat i Maldrin podążali za nim wybraną przez niego ścieżką.

Gdy zbliżyli się do brzegu wznoszącego się nad trzema pirackimi statkami, przez krzaki popłynęła srebrna mgiełka. Od tytoniowego dymu Darricka zaswędziało nos. Choć kapitan Tollifer nie zezwalał na palenie na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”, Darrick spotkał sporo palaczy w portach, które patrolowali i w których handlowali. Nigdy nie wyrobił w sobie tego zwyczaju i uważał go za obrzydliwy. Poza tym przypominało mu to fajkę ojca.

Krzaki i drzewa kończyły się jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, które piraci wykorzystywali do przeładowywania skradzionych towarów. Sterty skrzyń i beczek skrywał cień, stanowiąc całkiem niezłą osłonę.

Jeden z piratów opuścił grupę pięciu mężczyzn grających w kości.

– Piwo ma swoje wymagania. Zajmijcie mi miejsce, zaraz wracam.

– Jeśli tylko masz pieniądze – powiedział inny z piratów – zajmiemy ci miejsce w tej grze. To twoja pechowa noc, a nasza szczęśliwa.

– Cieszcie się tylko, że kapitan Raithen prowadzi nas do ciężkich sakiewek – stwierdził pirat. Podszedł do skrzyń od strony, z której Darrick ukrywał się w krzakach.

Darrick spodziewał się, że mężczyzna sobie ulży z brzegu rzeki i zdziwił się, widząc jak ten, znalazłszy się poza polem widzenia towarzyszy, sięga do sakiewki u boku. Blask księżyca oświetlił kości, które wypadły na jego nadstawioną dłoń.

Pirat wyszczerzył się i zacisnął pięść na kościach. Dopiero wtedy zdecydował się ulżyć sobie.

Poruszając się z kocią zręcznością, Darrick zakradł się za plecy pirata. Podniósł z ziemi kamień i stanął za mężczyzną, który właśnie kończył, nucąc szantę. Darrick rozpoznał melodię „Amergo i dziewczyna–delfin”, rubasznej piosenki lubianej przez wielu marynarzy.

Darrick zamachnął się kamieniem i poczuł, jak uderza on w ciało. Otoczył nieprzytomnego pirata ramieniem, powoli opuszczając go na ziemię. Pozostawił w miejscu niewidocznym dla pozostałych i zsunął się do krawędzi klifu. Tak jak się spodziewał, zobaczył trzy kogi stojące na kotwicach pod półką skalną.

Wycofał się, przycisnął plecy do skrzyń, wysunął kord i zamachał do Maldrina i Mata. Ci pochylili się i przeszli do niego.

– Hej, Timar – zawołał jeden z piratów – wracasz dzisiaj?

– Mówiłem ci, że za dużo wypił – powiedział inny. – Pewnie zaraz zaczniesz oszukiwać.

– Jeśli znowu zobaczę te jego oszukane kości – stwierdził kolejny pirat – przysięgam, że obetnę mu nochalą.

Darrick spojrział w górę, na grunt wznoszący się lekko w stronę Portu Tauruka. Nikt nie schodził szlakiem, który wił się wśród ruin.

– Zostało czterech – wyszeptał Darrick. – Jeśli choć jeden narobi hałasu, dowiedzą się o nas wszyscy.

Mat pokiwał głową.

Maldrin zmrzył oczy i przeciągnął kciukiem po trzymanym w rękę nożu.

– Więc lepiej, żeby nie mieli okazji narobić hałasu.

– Zgadza się – szepnął Darrick. – Maldrin, zajmij się stopniami. Przyjdą z dołu, jak tylko ogłosimy naszą obecność. A ogłosimy ją już wkrótce. Mat, ty i ja podpalimy statki na dole.

Mat uniósł brwi.

– Baryłki z tranem – stwierdził Darrick. – Zrzucenie ich z krawędzi klifu nie powinno być trudne. Spadną prosto na statki poniżej. Ty zrzuć je na pokład tego na lewo od „Barakudy”, a ja wyceluję w ten na prawo.

Mat skinął z uśmiechem głową.

– Będą bardzo zajęci ratowaniem statków.

– Tak – powiedział Darrick. – Wykorzystamy zamieszanie, żeby wejść na pokład „Barakudy” i zająć się królewskim bratankiem. – Będziecie mieli szczęście, jeśli od razu was nie zabiją – narzekał Maldrin. – A mnie z wami. Darrick uśmiechnął się, czując przyływ odwagi jak zawsze, gdy znajdował się w samym środku potencjalnie niebezpiecznej sytuacji.

– Jeśli przeżyjemy, postawisz mi piwo w Tawernie Rika w Zachodniej Marchii. – Postawię ci? – Maldrin wyglądał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– A gdzie ty mi je kupisz? Darrick wzruszył ramionami i stwierdził:

– Jeśli wszyscy zginiemy, postawię ci pierwsze zimne piwo w Piekło.

– Nie – zaprotestował Maldrin. – To niesprawiedliwe.

– Następnym razem odezwij się jako pierwszy i sam ustalaj warunki – stwierdził Darrick.

– Timar! – wrzasnął jeden z piratów.

– Pewnie się gdzieś przewrócił – powiedział inny. – Pójdę go poszukać.

Darrick wstał powoli i wyjrzał zza sterty skrzyń, podczas gdy jeden z piratów oderwał się od gry. Trzymał w ręku kord, każąc Matowi i Maldrinowi pochylić się. Jeśli uda im się wyeliminować jeszcze jednego, zanim wkroczą do akcji, tym lepiej.

Kiedy mężczyzna obszedł skrzynie, Darrick chwycił go, zacisnął mu rękę na ustach i poderżnął gardło. Trzymał mężczyznę, podczas gdy ten wykrwawiał się na śmierć. Na twarzy Mata pojawiło się przerażenie.

Darrick odwrócił wzrok od oskarżenia, które widział w oczach przyjaciela. Mat potrafił zabijać, żeby uratować przyjaciela czy towarzysza w bitwie, ale takie zabijanie było ponad jego siły Darrick nie czuł winy ani obrzydzenia. Piraci zasługiwali na śmierć, czy to z jego ręki, czy też na szubienicy w Zachodniej Marchii.

Gdy trup zadrżał po raz ostatni, Darrick puścił go i odsunął się. Lewe ramię pokrywała krew, ogrzewając w chłodzie. Świadom, że nie mają zbyt wiele czasu, Darrick chwycił krawędź jednej ze skrzyń i przeskoczył nad nimi. Uniósł kolana i wylądował pewnie na ziemi, od razu gnając w stronę trzech mężczyzn wciąż zajętych grą w kości.

Jeden z mężczyzn spojrział w górę, kiedy jego wzrok przyciągnął nagły ruch. Otworzył usta, żeby wykrzyknąć ostrzeżenie. IKfil

SIEDEM



– Kabraxis to demon, który stworzył Czarną Drogę – powiedział Lhex.

– Czym jest Czarna Droga? – spytał Raithen.

Chłopiec, skąpany w złocistym świetle trzymanej przez pirata latarni, wzruszył ramionami.

– To tylko legenda. Stare opowieści o demonach. Mówi się nawet, że Kabraxis to wymyślne kłamstwo.

– Ale powiedziałaś, że jeśli coś wiąże się z demonem – stwierdził Raithen – to kiedyś było prawdą.

– Powiedziałem, że opiera się na czymś, co może być prawdą – odrzekł Lhex. – Ale tak wiele historii opowiadano od czasów, gdy Yizjerei podobno zaczęli przyzywać demony z innych światów.

Niektóre z tych historii opierają się na wypadkach, które mogły ale nie musiały wiązać się z demonami, ale wiele to zupełne zmyślenia. Lub też historia została podzielona na kawałki, przerobiona i rozpowszechniona. Bajeczki. Harsus, demon o twarzy ropuchy z Kurastu... jeśli w ogóle istniał... w lokalnych opowieściach stał się czterema różnymi demonami. Człowiek, który uczył mnie historii, mówił mi, że obecnie działają mędrcy, którzy próbują połączyć różne opowieści, szukając wspólnych cech, i widzą jednego demona tam, gdzie kiedyś były dwa.

– A po co ktoś miałby się zajmować czymś takim?

– Ponieważ zgodnie z tymi wszystkimi prostackimi mitami, na świecie działają inne demony – powiedział Lhex. – Mój nauczyciel wierzył, że ludzie poświęcali tyle czasu próbom nazwania demonów, żeby łatwiej było

na nie polować, a nie czekać, aż one zaczną działać. Aby odnaleźć swo ją ofiarę, łowcy demonów musieli wiedzieć, ile demonów jest na świecie i gdzie je znaleźć. Mędrzy badają takie rzeczy. – Chłopiec prychnął. – Osobiście uważam, że te wszystkie demony zostały nazwane, aby mądry i pomarszczony mędrzec mógł zalecić zatrudnienie łowców demonów. Oczywiście, mędrzec otrzymywał część złota zapłaconego, żeby uwolnić okolicę, miasto czy królestwo od demona. To wszystko oszustwo. Doskonale obmyślona przerażająca historia do opowiadania za bobonnym ludzom, żeby pozbawić ich złota.

– Kabraxis – przypomniał Raithen, niecierpliwiąc się.

– W początkowych latach – powiedział Lhex – kiedy Vizjerei zaczęli eksperymentować z przyzywaniem demonów, ponoć Kabraxis był wzywany szczególnie często.

– Czemu?

– Ponieważ Kabraxis z wyjątkową łatwością posługiwał się mistycznymi mostami, które rozciągają się między światem demonów i naszym.

– Czarna Droga jest mostem prowadzącym do Piekieł? – spytał Raithen.

– Być może. Mówiłem ci, że to tylko historyjka. Nic więcej. – Lhex postukał w rysunek elips przeplatanych przez pojedynczą linię. – Ten rysunek przedstawia moc pozwalającą Kabraxisowi poruszać się między Pieklami a tym światem.

– Jeśli Czarna Droga nie jest mostem między tym światem a Pieklami – spytał Raithen – to czym innym może być?

– Niektórzy mówią, że to ścieżka do oświecenia. – Lhex potarł twarz, jakby czuł się znudzony i zdusił ziewnięcie.

– Jakiego oświecenia? – zapytał Raithen.

– Mocy – stwierdził Lhex. – Co innego mogą oferować legendy?

– Jakiego rodzaju mocy?

Lhex skrzywił się, udał ziewnięcie i oparł wygodniej o ścianę.

– Jestem zmęczony i nudzi mnie opowiadanie ci bajeczek na dobranoc.

– Jeśli chcesz – zaproponował Raithen – mogę zawołać Bulla, niech wróci i utuli cię do snu.

– Może tym razem dostanę jego drugie ucho – odpowiedział Lhex.

– Jesteś złym dzieckiem – stwierdził Raithen. – Domyślam się, dlaczego ojciec odesłał cię na nauki.

– Jestem uparty – poprawił go Lhex. – To pewna różnica.

– Zbyt mała – ostrzegł go Raithen. – Mam tyle złota, że przeżyję bez twojego okupu, chłop cze. Zmuszenie króla do zapłaty jest tylko zemstą za upokorzenia, których doznałem z jego rąk.

– Znasz króla? – Lhex uniósł brwi.

– Jaką moc może zaoferować Kabraxis? – pytał nadal kapitan piratów.

Prąd rzeki znów poruszył „Barakudę”. Podniosła się wysoko i powoli opadła, po czym znów ustabilizowała. Olinowanie uderzało o maszty i reje.

– Mówią, że Kabraxis proponuje nieśmiertelność i wpływy – odrzekł Lhex. – Do tego, dla tych wystarczająco odważnych, a według mnie nie ma ich zbyt wielu, wejście do Piekieł.

– Wpływ na co?

– Ludzi – powiedział Lhex. – Kiedy Kabraxis ostatni raz chodził po świecie... zgodnie z mitami, które czytałem na lekcjach filozofii, serio... wybrał sobie proroka, który miał go repre130 zentować. Człowiek imieniem Kregħn, który był mędrcom zajmującym się filozofią, napisał księgę o naukach Kabraxisa. I mówię ci, to bardzo głębokie dzieło. Wynudziłem się nad nim jak cholera.

– Nauki demona? I ta księga nie była zakazana?

– Oczywiście, że była – stwierdził Lhex. – Ale kiedy Kabraxis po raz pierwszy chodził wśród ludzi, nikt nie wiedział, że jest demonem. Taką

historię w każdym razie mi opowiedziano, i nie ma żadnych na to dowodów. Ale o Kabraxisie myślano lepiej niż o innych demonach z legend.

– Czemu?

– Ponieważ Kabraxis nie był tak żądny krwi jak niektóre inne demony. Czekał na właściwy czas, gromadząc coraz więcej zwolenników, którzy przyjęli zasady przekazane przez niego Kreghnowi. Uczył swoich zwolenników o Trzech Jaźniach. Słyszałeś coś o tej idei?

Raithen potrząsnął głową. Umysł pracował mu bez przerwy, próbując wyobrazić sobie, czemu Buyard Cholik szukał pozostałości takiej istoty.

– Trzy Jaźnie – powiedział Lhex – to Zewnętrzna Jaźń, czyli sposób, w który człowiek przed stawia się innym; Wewnętrzna Jaźń, czyli sposób, w który człowiek przedstawia się sobie samemu; i Ciemna Jaźń. Ciemna Jaźń to prawdziwa natura każdego człowieka, część, której najbardziej się obawia... mroczna część, którą każdy z całej siły próbuje ukryć. Kukulach uczy nas, że większość ludzi zbyt się boi samych siebie, żeby stawić czoło tej prawdzie.

– I ludzie w to wierzą?

– Istnienie Trzech Jaźni jest znane – stwierdził Lhex. – Nawet po tym, jak Kabraxis został rzekomo wygnany z tego świata, inni mędrcy i uczeni kontynuowali pracę zaczęta przez Kreghna.

– Jaką pracę?

– Badania nad Trzema Jaźniami. – Lhex skrzywił się, jakby nie podobała się mu umiejętność słuchania Raithena. – Legenda o Kabraxisie jako pierwsza rozwinęła tę teorię, ale później inni uczeni... na przykład Kukulach... sprawili, że zrozumieliśmy ją w całości. Po prostu brzmi to lepiej ukryte pod nazwami, które sprawiają, że przesądni wierzą, iż jest to jeden z okruchów wiedzy, które powinniśmy uratować przed demonami. A

wszystko to bajeczki i mechanizmy mające podtrzymać porządek społeczny.

– Nawet jeśli – powiedział Raithen – to i tak nie ma w tym mocy.

– Wyznawcy Kabraxisa radowali się ukazywaniem swoich Ciemnych Jaźni – stwierdził chło piec. – Cztery razy w roku, podczas przesileń i równonocy, wierni Kabraxisa spotykali się i bawili, upajając się tkwiącym w nich mrokiem. Podczas trzech dni święta każdy grzech znany ludzkości był dozwolony w imieniu Kabraxisa.

– A później? – spytał Raithen.

– Ich grzechy zostawały wybaczone, a oni sami obmyci w symbolicznej krwi Kabraxisa.

– Ta wiara brzmi głupio.

– Mówiłem ci. Dlatego to mit.

– Jak Kabraxis dostał się tutaj? – spytał Raithen.

– Podczas Wojen Klanów Magów. Są plotki, że ponoć jednemu z uczniów Kreghna udało się ponownie otworzyć portal dla Kabraxisa, ale nie zostały nigdy potwierdzone.

CzyCholik to potwierdził? – zastanawiał się Raithen. I czy szlak zaprowadził go tutaj, do potężnych drzwi umieszczonych pod ruinami Portu Tauruka?

– Jak Kabraxis został wygnany z tego świata? – zapytał Raithen.

– Wedle legendy przez wojowników Vizjerei i czarodziejów z Klanu Ducha – odrzekł Lhex – i tych, którzy stali przy nich. Zniszczyli świątynie Kabraxisa w Viz–jun i innych miejscach. Tam, gdzie kiedyś były świątynie demona, pozostały tylko ruiny i zniszczone ołtarze.

Raithen rozważył to.

– Gdyby ktoś mógł skontaktować się z Kabraxisem...

– I zaproponował demonowi powrót do tego świata? – spytał Lhex.

– Tak. Czego mógłby ktoś taki oczekiwać? – Czy obietnica nieśmiertelności nie wystarczy? To znaczy, gdybyś wierzył w takie bzdury. Raithen myślał o ciele Buyarda Cholika zgiętym ze starości i bliskim kalectwa.

– Ano, tak może być. – Gdzie to znalazłeś? – spytał Lhex. Zanim Raithen mógł odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Buli. – Kapitanie Raithen – powiedział wielki pirat, unosząc wysoko latarnię. Twarz miał zatroska– Zaatakowano nas.

– Darrick, znajdujący się zaledwie kilka stóp od zamierzającego krzyknąć pirata, wyskoczył w powietrze. Dwaj pozostali piraci sięgnęli po broń, gdy stopy Darricka wbiły się w głowę ich kamrata.

Zaskoczony i niemal zbyt pijany, by ustać na nogach, popchnięty przez cały ciężar Darricka, pirat przeleciał nad krawędzią klifu. Nawet nie krzyknął. Głośny łomot powiedział Darrickowi, że uderzył w drewniany pokład statku poniżej.

– Co to, do diaska, było? – zawołał jeden z piratów na dole.

Darrick wylądował na kamienistej ziemi, objając sobie biodro. Chwycił kord i najbliższego pirata ciął w nogi, tnąc oba jego uda. Krew poplamiała jasne spodnie mężczyzny.

– Ratunku! – zawołał ranny pirat. – Uwaga na statku! Cholera, ale głęboko mnie ciął. – Zatoczył się do tyłu, próbując wyrwać miecz zza szarfy, ale zapomniał wypuścić butelkę piwa, którą ścisnął w dłoni.

Darrick odepchnął się do ziemi i znów podniósł kord, po czym odepchnął pirata do tyłu, w stronę krawędzi. Zamachnął się mocno i wbił kord w jego szyję, przecinając gładko gardło. Ostrze oparło się o kręgosłup mężczyzny. Darrick uniósł nogę i wypchnął mężczyznę poza krawędź. Odwrócił się, słysząc plusk, gdy pirat chwilę później wpadł do rzeki. Zobaczył Mata, który walczył z ostatnim strażnikiem.

Kord Mata krzesał iskry, gdy naciskał zasłonę przeciwnika. Łatwo ją penetrował, ale wahał się przed zranieniem mężczyzny.



Przeklinając pod nosem, wiedząc, że mieli cholernie mało czasu na uratowanie chłopca i nie wiedzieli, co czeka ich na pokładzie statku poniżej, Darrick podszedł bliżej i chwyciwszy broń obiema rękami, ciosem z góry rozplątał czaszkę mężczyzny. Kord nie był wymyślną bronią – miał rąbać i ciąć, ponieważ walki na statkach pływających po morzach, były zwykle krwawe, a kierowały nimi rozpacz, siła i szczęście.

Krew martwego mężczyzny oblała Mata i Darricka.

Mat wyglądał na przerażonego, kiedy pirat upadł na ziemię. Darrick wiedział, że jego przyjaciel nie pochwalał ciosu zadanego z tyłu, kiedy pirat już walczył z jednym przeciwnikiem. Mat wierzył w uczciwą walkę, kiedy tylko się dało.

– Weź baryłki – popędzał Darrick, wyrywając ostrze z głowy trupa.

– Nawet nie widział, że się zbliżasz – sprzeciwił się Mat, patrząc na ciało.

– Baryłki – powtórzył Darrick.

– Był zbyt pijany, żeby walczyć – powiedział Mat. – Nie mógł się bronić.

– Nie jesteśmy tu po to, by walczyć – powiedział Darrick, chwytając Mata za okrwawioną koszulę. – Jesteśmy tutaj, by uratować dwunastoletniego chłopca. A teraz ruszaj się! – Popchnął Mata w stronę baryłek. – Na dole zostanie ci jeszcze sporo uczciwych pojedynków, jeśli tylko ich zechcesz.

Mat zatoczył się w stronę baryłek.

Wpychając kord za szarfę, Darrick słuchał krzyków i hałasów ze statków poniżej. Spojrzał na szczyt kamiennych schodów wyciętych w zboczu.

Maldrin zajął pozycję na szczycie schodów, trzymając w dłoni okuty żelazem trzonek młota. Do posługiwania się tą bronią potrzebne były obie ręce, ale kwadratowy obuch obiecywał zmiażdżone czaszki, połamane kości i zniszczoną broń.

– Uważaj na strzały, Maldrin – zawołał Darrick. Wargi oficera wykrzywił kwaśny uśmiech.

– Uważaj lepiej na swój tyłek, szefie. Nie ja będę na niego polował, chłopcze.

Darrick przechylił baryłkę na bok. Gęsty płyn w środku zbulgotał. Pracując w pośpiechu, rękami poturlał ją w stronę krawędzi. Opadające zbocze ułatwiało toczenie baryłki.

Kiedy już poruszył beczkę, wiedział, że łatwo by jej nie zatrzymał. Pchnął po raz ostatni i patrzył, jak wylatuje poza krawędź i znika. Zatrzymał się przy krawędzi, kołysząc się przez chwilę, i spojrzał w dół. Baryłka właśnie rozbiła się o pokład statku. Co prawda nad nim unosiły się smugi mgły, ale był w stanie zauważyć srebrzyste plamy tam, gdzie tran odbijał światła pirackich latarni.

Kolejne uderzenie zwróciło uwagę Darricka. Rzuciwszy okiem na bok dostrzegł, że Matowi udało się zrzucić beczkę z tranem na następny statek. Piraci, którzy wybiegli na pokład, ślizgali się po rozlanym tłuszczu.

– Tran! – krzyknął ktoś. – Wylali na nas beczkę tranu!

Skoczywszy z powrotem ku beczkom, Darrick przewrócił następne dwie i poturlał je w stronę brzegu rzeki. Wokół rozlegało się grzmiące dudnienie drewnianych klepek obijających się o kamienie. Złapał jedną z latarni, które nosili strażnicy.

Mat dołączył do niego, chwycił następną latarnię.

– Jeśli je teraz rzucimy, ludzie na dole nie będą mieli gdzie uciekać.

– Nie – zgodził się Darrick, spoglądając na zasmuconą twarz przyjaciela.

– My również nie będziemy mieli gdzie uciekać, kiedy już odnajdziemy chłopca. Nie chcę cały czas sprawdzać, czy te statki nas nie ścigają, Mat.

Kiwając ponuro głową, Mat odwrócił się i pobiegł w stronę brzegu.

Darrick czekał do chwili, kiedy zobaczył resztę załogi „Samotnej Gwiazdy”, zbiegającą ze zbocza góry.

– Nadchodzi pomoc, Maldrin! – krzyknął, biegnąc ku rzece.

– Poradzę sobie – odpowiedział Maldrin.

Na brzegu Darrick wybrał odpowiednie miejsce, ocenił szybkość podnoszenia się i opadania statku na fali i rzucił latarnię. Osłaniany przez szkło płomień palił się cały czas. Latarnia obracała się w powietrzu, aby wreszcie rozbić się w samym środku kałuży tranu.

Knot na chwilę przygasł i niemal utonął w płynie. Potem płomień powoli uniosły się do góry jak stary ogar, który podnosi się do ostatniego polowania. Błękitne i żółte smugi wirowały coraz mocniej, roznosząc się dzięki wiatrowi i tranowi.

– Pożar! – zawył pirat.

Na pokładzie zaroilo się od ludzi, piraci wybiegali spod pokładów. Tylko szkieletowa załoga pozostała na swoich stanowiskach. – Ocalcie te statki! – ryczał ktoś. – Kapitan Raithen zabije was, jeśli pójdą na dno! Darrick miał nadzieję, że statki spłoną doszczętnie. Gdyby tak się stało, kapitan Tollifer miał szansę powrócić „Samotną Gwiazdą” do Zachodniej Marchii, zebrać więcej ludzi i zdążyć pojmać Raithena i jego ludzi, gdy będą maszerować ku miejscu, gdzie pozostawili resztę okrętów.

Spoglądając na statek trafiony przez Mata, Darrick zauważył, że on również się pali. Najwyraźniej beczka rzucona przez jego przyjaciela uderzyła w sterówkę, dzięki czemu płomień zaczęły sięgać żagli. Ogień

lizał główny maszt, w szybkim tempie piał się po olinowaniu. – Mat – zawołał Darrick. Przyjaciel spojrzał na niego. – Jesteś gotów? Mat tylko przez chwilę wyglądał niepewnie. Skinął głową.

– Jak zawsze.

– Tam na dole będziemy tylko ty i ja – powiedział Darrick. – Chcę, abyś trzymał się blisko mnie. Ruszył w stronę środka rzeki, ku środkowemu okrętowi, coraz bardziej wydłużając krok.

– Będę za tobą – oznajmił Mat.

Darrick stanął na krawędzi nawisu i rzucił się w stronę olinowania kogi. Gdyby upadł na pokład, z pewnością coś by sobie złamał. Ucieczka byłaby niemożliwa.

Gdy Darrick wyciągał ręce w stronę lin, jak najszerzej rozcapierzając palce, skalny nawis nagle rozpadł się, zrzucając kawałki skał, które poleciały na wszystkie trzy statki.

– Ktoś nas atakuje? – zapytał Raithen, odwracając się ku drzwiom. Natychmiast zaczął iść w ich stronę. Był tak zaskoczony faktem, że ktoś ośmielił się ich zaatakować, iż nie usłyszał szelestu ubrania, póki nie było za późno. Odwrócił się, pewien, że to Lhex postanowił wykonać swój ruch. – Nie wiem – odpowiedział Buli. – Udało im się podpalić statki po naszych bokach. Ogień? pomyślał Raithen – na statku była to najbardziej przerażająca wieść. Gdyby w kadłubie pojawiła się dziura, załoga byłaby w stanie wypompowywać wodę z ładowni i utrzymywać okręt na powierzchni do momentu, gdy dopłyną do najbliższego portu, ale ogień szybko pożerał tę niewielką wysepkę z drewna i płótna, na której polegali ludzie morza.

Gdy tak stali blisko siebie, zaszokowani wiadomością, ich uwaga była skupiona na sobie, a nie na chłopcu. Lhex w mgnieniu oka znalazł się za Raithenem. Kiedy kapitan piratów odwrócił się, by go pochwycić, młody

więzień schylił się, wpadł na Raithena, który z kolei wpadł na Bulla, i wybiegł za drzwi.

– Cholera – zaklął Raithen widząc, jak chłopak pędzi przez mrok ładowni i wpada na schody prowadzące na pokład. – Łap go, Buli. Chcę go mieć żywego. – Tak jest, kapitanie. – Pirat ruszył, dzięki długim nogom szybko doganiając uciekiniera. Raithen poszedł za nim, zaciskając lewą dłoń na rękojeści miecza. Już widział blask pożaru, wpadający przez luk. Szare warkocze dymu, przemieszane z mgłą, ścieliły się na rzece.

Miał rację. Ktoś śledził ich przez całą Zatokę Marchii Zachodniej. Czy byli to inni piraci, czy też królewska marynarka? Czy było to zaledwie kilku ludzi, czy też mała armada, blokująca rzekę?

Kiedy Buli wspinał się na górę, drabina zatrzęsa się i zadrżała w rękach Raithena. Deptał wielkiemu piratowi po piętach i właśnie wychodził na pokład, gdy nawis nad jego głową pękł i rozpadł się na kawałki trzydzieści stóp nad nimi. Patrzył z niedowierzaniem, jak jego fragmenty spadają w dół niczym pociski z katapulty.

Duży kawał granitu uderzył w dziób „Barakudy”. Siła uderzenia zniszczyła drewno i porwała liny. Okręt zatrzęsł się, jak uderzony przez szkwał.

Piratowi, ściętemu z nóg siłą uderzenia, latarnia wypadła z ręki. Poturlawszy się po pokładzie, przekręciła się kilka razy, zanim wypadła za burtę.

Wydostawszy się na pokład i poruszając się na ugiętych nogach, by zrównoważyć dzikie podskoki zmagającej się z cumami „Barakudy”, Raithen obejrzał się na pozostałe statki. Oba były na najlepszej drodze do zamienienia się w zgliszcza. Płomienie już pożerały olinowanie statku po lewej, a ten po prawej był w niewiele lepszym stanie.

Kto to, do diabła, mógł zrobić?

Chłopiec już nie miał gdzie pójść. Stał odwrócony plecami do krawędzi kołyszącego się pokładu – wyglądało na to, że nie spieszo mu próbować szczęścia w wodzie.

Buli zbliżał się do niego, przeklinając i nakazując zostać na miejscu.

Raithen wołał na załogę, rozkazując im wziąć się do wiader i próbować ocalić oba statki. Jeśli ich kryjówka została odkryta, chciał dysponować wszystkimi statkami, aby odpłynąć tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Wokół „Barakudy” unosiły się beczułki i skrzynie, ale większość z nich szybko tonęła. Czując, jak statek coraz ciężiej utrzymuje się na powierzchni, Raithen wiedział, że nabierają wody. Kamień, który uderzył w dziób, musiał również uszkodzić okręt. Dobre kilka dziur znajdowało się poniżej linii wody.

Rozglądając się po popękanych klifach, Raithen uznał, że nie była to katastrofa naturalna. Coś musiało ją wywołać. Od razu pomyślał o Buyardzie Choliku. Ruiny, przez które przebijali się kapłani, znajdowały się pod ziemią. Kapitan piratów zastanawiał się przez chwilę, czy stary kapłan przetrwał swoją własną chciwość.

OSIEM



Darrick złapał równowagę na olinowaniu pirackiego statku i sięgał właśnie po linę do schodzenia, gdy obok niego wylądował Mat. Mimo nagłego wybuchu, który zrzucił zapasy zebrane na krawędzi klifu, udało mu się wylądować na statku. Ręce nadal bolały go od trzymania szorstkiej, konopnej liny.

– Udało ci się – powiedział Darrick, odcinając linę.

– Z trudem – stwierdził Mat. – I co z tym moim bajecznym szczęściem, o którym tyle gada łoś? Ta cholerna góra wybuchła.

– Ale nie z nami – sprzeciwił się Darrick. Krótkie spojrzenie na płonące kogi sprawiło, że poczuł się dumny ze swojej roboty. Sprawdził kamienne schody i zobaczył, że Maldrin właśnie się podnosi. Wybuch go najwyraźniej przewrócił.

– Tam jest chłopiec – powiedział Mat.

Darrick przyjrzał się pokładowi poniżej i ujrzał niewielką postać zapędzoną na połamany dziób przez potężnego mężczyznę. Nie wątpił, że był to królewski bratanek – na pirackich statkach raczej nie było wielu chłopców.

– Darrick! Darrick spojrzał w górę i ujrzał Tomasa stojącego na zboczu przed jedynym pozostałym bloczkiem. Drugi spadł na dół razem z fragmentem zbocza. Tomas pomachał do niego.

– Spuśćcie to na dół – nakazał Darrick. Chwycił linę i zeskoczył z żagli. Choć statek zanurzał się coraz głębiej – zapewne nabierał wody – minął

wielkiego mężczyznę, goniącego chłopca. Dotarł najdalej, jak mu pozwalała lina i zawrócił, celując w pirata.

– Buli! – krzyknął ostrzegawczo stojący za nim pirat. Potężny mężczyzna rozejrzał się dookoła, zamiast spojrzeć w górę, i nie zobaczył Darricka, aż było za późno.

Wojownik nieco podkurczył kolana, żeby złagodzić wstrząs, i uderzył obiema nogami w wielkiego pirata, trafiając go na wysokości ramion. Poczł ból w kolanach i przez chwilę myślał, że tamten nawet się nie zegnł, lecz rozbije się o niego jak fala na rafie.

Wielki mężczyzna w końcu oderwał się od pokładu i poleciał do przodu, nie mogąc się zatrzy Darrick, obolały po uderzeniu, wypuścił linę i opadł na pokład kilka stóp od chłopca. Natychmiast zerwał się na równe nogi i wyciągnął kord.

– Biercie go – nakazał mężczyzna w czarnej kolczudze.

Darrick zdążył się przygotować do ataku dwóch piratów, którzy pędzili na niego. Zbił ich ostrza na bok kordem, zrobił krok do przodu i uderzył jednego z nich łokciem w twarz. Nos mężczyzny złamał się z głośnym trzaskiem. Nie było to honorowe postępowanie, ale Darrick wiedział, że nie walczy z honorowymi przeciwnikami. Piraci wbiliby mu nóż w plecy tak samo chętnie jak on im.

Pirat ze złamanym nosem zatoczył się na bok, a jego twarz pokryła krew. Nie upadł jednak.

Nie zatrzymując się, Darrick wyjął sztylet z buta, obrócił się na pięcie i wbił go między żebra mężczyzny, trafiając prosto w serce. Ruszał się dalej, podniósł kord, sparował niezgrabny atak drugiego pirata i natychmiast odpowiedział ripostą.

Mat wylądował na pokładzie uderzenie serca później.

– Bierz chłopaka – nakazał Darrick. Potem uniósł głos. – Tomas!

– Tak, szefie – zawołał Tomas z góry. – Już w drodze. Darrick obronił się przed atakiem pirata, który próbował go rozciąć na dwa kawałki, uświadamiając sobie jednocześnie, że wielki jak góra mężczyzna zaczyna się podnosić. Kącikiem oka Darrick widział opuszczający się bloczek, z niewielką siecią na końcu.

– Lhex – powiedział Mat, wyciągając puste ręce, żeby nie przestraszyć dzieciaka. – Spokojnie, chłopcze. Jesteśmy przyjaciółmi, z marynarki królewskiej i przyszedliśmy, żeby zabrać cię bezpiecznie do domu. Jeśli nam pozwolisz.

Konopna siatka uderzyła o pokład.

– Tak – powiedział chłopak.

– Dobrze. – Mat uśmiechnął się do niego, sięgnął po siatkę i pociągnął ją w stronę chłopca. – W takim razie ruszajmy. – Podniósł głos. – Darrick!

– Za chwilę – odpowiedział Darrick, przygotowując się do walki. Odepchnął kordem miecz pirata, ciął nisko, pochylił się, uderzył mężczyznę ramieniem pod pachę i wypchnął go za burzę.

– Tutaj – nakazał innym piratom na pokładzie mężczyzna w czarnej kolczudze.

Darrick odwrócił się, by stawić czoła potężnemu mężczyźnie, zauważając bandaż zakrywający jego głowę. Sparował jego cios, sprawdzając siłę przeciwnika: jak przypuszczał, tamten był niezwykle silny.

Wielki mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

Uchyliwszy się przed ciosem, Darrick zrobił krok w bok i wbił stopę w kolano przeciwnika. Coś trzasnęło, ale mężczyzna jakimś sposobem utrzymał się na nogach i odpowiedział ciosem, który obciąłby głowę Darricka, gdyby trafił.

Poruszając się z szybkością atakującego węża, Darrick kopnął mężczyznę w krocze. Gdy przeciwnik zgiął się z bólu, Darrick kopnął go z

obrotu, trafiając w zranioną stronę głowy. Mężczyzna zawył z bólu i upadł.

Mężczyzna w czarnej kolczudze zrobił krok do przodu i uniósł ostrze w pozycji szermierczej. Zabrał się za to bez słowa, bardzo sprawnie machając mieczem.

– Jestem Raithen, kapitan tego statku. A ty właściwie jesteś martwy.

Niespodziewanie, walka stała się śmiertelnie poważna. Choć Darrick był świetnym szermierzem, z trudem utrzymywał ostrze kapitana z dala od swojego gardła, oczu czy krocza. Dla miecza mężczyzny nic nie było niedostępne. Najwyraźniej kapitan miał zamiar dostać Darricka w dowolny sposób – martwego, ślepego czy wykastrowanego.

Wciąż wyjąc z bólu, wielki mężczyzna podniósł się z pokładu i rzucił na Darricka. Materiał na głowie ściemniał od świeżej krwi. Darrick wiedział, że to nie on zadał tę ranę, jedynie pogorszył już istniejącą.

– Buli! – nakazał Raithen. – Nie! Cofnij się!

Wściekły i ranny potężny mężczyzna nie słyszał swojego kapitana albo zignorował go. Biegł w stronę Darricka, machając wielkim mieczem, przygotowany do zadania ciosu. Buli przeszkadzał kapitanowi w ataku, zmuszając Raithena do cofnięcia się, zanim zupełnie się odsłoni.

Cofając się przed potężnym mężczyzną, Darrick zauważył, że Mat już bezpiecznie umieścił chłopca w sieci.

– Tomas, podnieś ich.

– Darrick! – zawołał Mat.

Cały statek wypełniały gwałtownie poruszające się cienie, gdyż pobliskie latarnie przesuwały się wraz z podnoszącym się i opadającym statkiem. Załogi na pokładach pozostałych kog walczyły i przegrywały – ogień pochłonie ich w przeciągu minut. Darrick poczuł owiewające go gorąco, podczas gdy Tomas i jego załoga zaczęli ciągnąć liny, podnosząc siatkę.

– Darrick! – zawołał Mat zmartwionym głosem.

– Zostań z chłopcem – nakazał Darrick. – Chcę, żebyście go stąd zabrali.
– Rzucił się do tyłu, unikając ciosu wielkiego mężczyzny, przetoczył przez pokład i znów zerwał na równe nogi.

Mając świadomość, że siatka szybko się podnosi, a załoga drugiej kogi przełożyła między oboma statkami dębowe deski, Darrick podbiegł dwa kroki, zgadując, jaka odległość dzieli go od Bulla. Skoczył do przodu, wbijając brodę w pierś, i zrobił salto do przodu w chwili, gdy przeciwnik zaczynał swój cios.

Odwrócony do góry nogami, w połowie salta, Darrick widział, jak ostrze Bulla mija go zaledwie o cale. Cios pirata nieco pozbawił go równowagi, przez co musiał się trochę przechylić. Wylądował na ramionach i plecach Bulla, w jednej chwili odzyskał równowagę, wyprostował się i skoczył w górę.

Trzymając w jednej ręce kord i wyciągając ramię jak najdalej, Darrick skoncentrował się na podnoszącej się sieci. Próbował zacisnąć palce na siatce, ale zabrakło mu kilku cali.

Wtedy chwycił go Mat mocna dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku, nie pozwalając spaść.

– Mam cię, Darrick

Wisząc na jednej ręce, Darrick patrzył, jak Raithen potrząsa ręką. Coś błyszczącego metalicznie zabłysło w dłoni kapitana, który cofnął ramię i zamierzył się do rzutu. Gdy ręka pirata poleciała do przodu, Darrick zauważył pędzący wprost ku niemu smukły nóż do rzucania. Od ostrza odbijało się światło pochodni. Choć wiedział, że nie uda mu się uniknąć ciosu, Darrick poruszył się, nim jeszcze pomyślał i machnął kordem. Metal zadzwieczał o metal, kord odbił nóż. Darrick przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

– Cholera, Darrick – stwierdził Mat – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– To twoje szczęście – odrzekł Darrick, patrząc w dół na wściekłą twarz kapitana piratów, który nie był w stanie ich zatrzymać. Czując przypływ odwagi i cholerną radość, że jeszcze żyje, Darrick zasalutował Raithenowi ostrzem. – Następnym razem Raithen odwrócił się od niego, wykrzykując rozkazy do załogi i organizując ją.

Darrick, obracając się wraz z podnoszącą się siecią, zobaczył kamienne stopnie, na których Mal–drin walczył z piratem. Kilka machnięć młotem i pirat poleciał ze schodów w stronę przystani.

Później czyjeś ręce pochwyciły siatkę i wciągnęły ją na zbocze. Darrick chwycił jego krawędź i podniósł się, zaś Mat w tym czasie rozciął sieć. Wraz z królewskim bratankiem wypadli na kamienie. Chłopiec podniósł się. Krew spływała z cięć na czole, nosie i płątku jednego ucha. Uważnie przyglądał się wszystkim zniszczeniom na zboczu. Potem obrócił się w stronę Darricka. – Czy zrobili to wasi ludzie?

– Nie – powiedział Darrick, spoglądając na rury. Wszystko wyglądało na zmienione, poprze stawiane. Budynki, których wcześniej używali piraci, znikły pod stertą gruzu.

Chłopiec odepchnął Mata, który sprawdzał, czy Lhex nie odniósł poważniejszych obrażeń. Od strony Gór Orlego Dzioba wiał chłodny wiatr, mierzwiąc czuprynę chłopca.

– Co oni narobili? – spytał chłopiec suchym głosem – Kabraxis to tylko mit. Brama do Piekieł to tylko mit – Spojrzał na Darricka – Prawda?

Darrick nie umiał mu odpowiedzieć

Horda demonicznych, latających insektów wyleciała z otchłani za wrotami, prosto na Buyarda Cholika.

Unosząc ramiona i przekrzykując straszliwe buczenie tysięcy skrzydełek, starając się nie poddawać przerażeniu, które prawie go opanowało, stary kapłan wymówił słowa zaklęcia ochronnego. Nie miał pojęcia, czy czar odniesie pożądany skutek, ale wiedział, że w swoim obecnym stanie nie zdoła uciec.

Owady minęły Cholika. Strumień turkusowych i ciemnozielonych odwłoków oraz skrzydeł leciał przez nieruchome powietrze jaskini, migocząc w świetle pochodni i latarni. Dotarłszy do pierwszej linii niewolników, uderzyły w nich niczym strzały wbijając się głęboko w ciała, drąc odzież, aby dostać się do mięsa.

Niewolnicy wrzeszczeli, ale odgłosy ich konania były słabo słyszalne wśród buczenia owadzych skrzydeł.

Cholik, zaciekawiony, a jednocześnie przerażony, przyglądał się, jak niewolnicy wyskakują ze swoich kryjówek. Miał tylko nadzieję, że okażą się wystarczającą ofiarą dla demona. Owady wily się w ciałach niewolników, przypominając dziesiątki guzów i wrzodów. Niewolnicy, oszaleli z bólu i przerażenia, próbowali uciekać. Większości udało się zrobić tylko kilka kroków, zanim ich ciała rozpękły się i upadły na podłogę. Razem z nimi padały ich pochodnie, znacząc pojedynczymi płomieniami drogę do wyjścia.

W ciągu kilku chwil ponad połowa niewolników, najemników i kapłanów leżała martwa, a ich ciała zostały objedzone do czysta przez demoniczne owady, tak, że tylko szkielety błyszczały w świetle pochodni. Podczas gdy owady objadały trupy, w jaskini pojawiła się jakby krwawa mgiełka. Porzucając zwłoki, owady poleciały do góry i schowały się między stalaktytami. Ich bzyczenie nieco ucichło, gdy zmieniły się w widzów.



Buyard Cholik patrzył w głąb ziejącego przed nim czarnego otworu. W głębi duszy czuł strach, ale nie był to strach przed tym, co znajdowało się przed nim. Owszem, czuł pewien strach przed nieznanym, najbardziej jednak bał się, że moc, którą znajdzie po drugiej stronie wrót nie wystarczy, by odwrócić bieg czasu. Lub też moc po drugiej stronie drzwi nie uzna go za odpowiedniego albo nie zechce go.

Odrzucenie przez demona po porzuceniu kościoła Zakarum było przerażającą myślą.

– Mistrzu – wyszeptał Altharin. Jakimś cudem udało mu się przeżyć zniszczenia, które po chłonęły większość ludzi wokół Cholika. – Mistrzu, powinniśmy iść.

– To idź – stwierdził Cholik, nie patrząc na mężczyznę.

– To złe miejsce – powiedział Altharin.

– Oczywiście. – Cholik owinął się szatą, odetchnął głęboko i pomaszerował w stronę drzwi na spotkanie przeznaczenia.

Nawet stojąc w otwartych drzwiach, Cholik widział jedynie rozciągającą się przed nim nieskończoną ciemność. Zatrzymał się na chwilę na progu, czując pokusę, by krzyknąć. Czy demon odpowiedziałby, gdyby się odezwał? Nie wiedział. Przeczytane teksty, które doprowadziły go tak daleko, nie zawierały żadnych informacji na ten temat.

Jeśli teksty mówiły prawdę, to gdzieś tam Kabraxis czekał na człowieka, który go uwolni.

Stary kapłan poczuł chłodny wiatr wiejący z otworu przed nim. Może wtedy powinien się odwrócić, ale chłód przypomniał mu o zimnie czekającego nań grobu. Lepiej umrzeć nagle tego wieczora, niż żyć ze świadomością, że wszystkie nadzieje umarły, nim się narodziły.

Oczywiście, jeszcze lepiej byłoby żyć, ukoronowany sukcesem swe wysiłki.

Zrobił krok do przodu i wszedł do ciemnego pomieszczenia. Ciągłe buczenie owadów ukrytych w jaskini natychmiast ucichło. Wiedział, że nie stało się to dlatego, iż wszedł po prostu do kolejnej jaskini pod Ransim i Portem Tauruka. Hałas ucichł, ponieważ tym jednym krokiem bardzo oddalił się od jaskini.

Zimno paliło ciało Cholika, ale jego strach i pragnienie odpędzenia śmierci kazały mu iść dalej. Mając za plecami światła jaskini, widział po bokach ciasne ściany tunelu, ale nic z tego, co leżało przed nim.

Jesteś człowiekiem, zabrzmiał głęboki głos wewnątrz czaszki kapłana.

Zaskoczony Cholik niemal stracił głos.

– Tak – powiedział.

Tylko słabym człowiekiem. A jednak próbujesz stawić czoła demonowi?
– głos wydawał się rozbawiony.

– Ludzie zabijali demony – powiedział Cholik, idąc dalej tunelem.

Me zabijali ich, stwierdził stanowczo głęboki głos. Udało im się jedynie odegnąć demony z waszego świata. Na jakiś czas. Diabło powrócił. Inni nie zostali nigdy wygnani. Jeszcze inni pozostali w ukryciu i nikt o nich nie wiedział. – Ty zostałeś wygnany – stwierdził Cholik. Szydzisz ze mnie, człowieku?

– Nie – odpowiedział Cholik, zbierając całą odwagę. Starożytne teksty nie wspominały nic o tym, co miało wydarzyć się po drugiej stronie drzwi, ale z innych lektur wiedział, że demony pogardzają strachem. Było to narzędzie, zupełnie jak kowalski młot, służące do kształtowania ludzi, nad którymi mieli władzę. Spotkanie z demonem oznaczało trzymanie strachu pod kontrolą.

Me okłamuj mnie, człowieku. Boisz się mnie.

– Tak, jak bałbym się upadku z wysokiego klifu – zgodził się Cholik. – A jednak, żeby się nań wspiąć, trzeba stawić czoła strachowi przed upadkiem

i opanować go.

A czy ty opanowałeś swój strach?

Cholik oblizał wargi. Wszystkie bóle i dolegliwości związane ze starością ponownie wkraadały się w jego ciało, dając mu do zrozumienia, że zakłęcie, które wykorzystał do pozbawienia niewolnika energii życiowej już się rozwiewało.

– Bardziej niż nagłej śmierci boję się życia w coraz słabszym i zawodzącym mnie ciele.

Jestem demonem, Buyardzie Choliku. Nie wiesz, że ryzykujesz umieranie przez całe stulecia?

Cholik potknął się w ciemnościach. O tym nie pomyślał. Przez te wszystkie lata, gdy zbierał informacje o Kabraxisie i Czarnej Drodze, szukał tylko wiedzy. Potem, gdy już przekonał Raithena, by ten dostarczał mu niewolników i zapewniał transport, myślał jedynie o przekopaniu ruin Ransim i znalezieniu drzwi.

Cholik postarał się, by jego głos był pełen siły.

– Szukasz drogi wyjścia ze swego więzienia, panie Kabraxisie. Mogę być tą drogą.

Ty? Tak słaby, delikatny i bliski śmierci? – zaśmiał się demon, a ten pusty odgłos odbijający się od ścian tunelu brzmiał sarkastycznie i wibrował w całym ciele Cholika.

– Ty możesz uczynić mnie zdrowym i silnym – powiedział Cholik. – Możesz przywrócić mi młodość. Czytałem, że masz taką moc. Potrzebujesz młodego człowieka, by odzyskać władzę, którą kiedyś miałeś w naszym świecie. – Przerwał. – Możesz mnie uczynić takim człowiekiem.

Czy w to wierzysz?

– Tak. – I Buyard Cholik wierzył w moc demona tak samo, jak kiedyś wierzył we wszystko, co mówił kościół Zakarum. Jeżeli jedno było

falszywe, to i reszta też. Ale jeśli była to prawda...

W takim razie chodź, Buyardzie Choliku, niegdyś kapłanie Zakarum i wrogu demonów. Chodź, a zobaczymy, co można z ciebie zrobić.

Starego kapłana wypełniły strach i niecierpliwość. Poczł mdłości i przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Skoncentrował się na sobie, wykorzystując techniki, których nauczył się w kościele, zmuszając swoje zmęczone, obolałe ciało do ruchu.

W ciemnościach przed nim pojawiła się gwiazda, rozlewająca swe światło na wszystkie strony. Kamienne ściany po obu stronach rozpląnęły się, ukazując jedynie mrok nocy. Nie był zamknięty – stał na szlaku zawieszonym nad najgłębszą przepaścią, jaką kiedykolwiek widział. Jego wzrok sięgał pod ścieżkę, którą szedł i nagle uświadomił sobie, że nie stoi na kamieniach, lecz na kołyszącym się moście z ludzkich kości.

Most tworzyły piszczele, kości udowe i żebra, od czasu do czasu przetykane czaszką, całą lub zniszczoną. Cholik zwolnił, czując, jak most kołysze się pod nim. Ze swojego miejsca, gdzieś przed nim, wypadła jedna z czaszek, potoczyła się z hałasem po moście, po czym uderzyła w kość miednicy i spadła z mostu.

Cholik przyglądał się, jak czaszka spada. Jej złamana szczeka wisiała krzywo, przez co zdawała się krzyczeć. Spadała bardzo długo, kręcąc się w powietrzu, aż w końcu wypadła poza zasięg srebrzystego światła gwiazdy, która czekała na drugim końcu mostu. Dopiero wtedy Cholik uświadomił sobie, że kości nie są połączone zaprawą, a jedynie przeplecione, aby podtrzymać wędrowca.

Czy chciałbyś wrócić, Buyardzie Choliku?

Cholik nie zdążył się powstrzymać i spojrzł do tyłu. W pewnej odległości za nim, nie był w stanie powiedzieć, jak daleko, na jaskinię pod Ransim otwierały się prostokątne drzwi. Wewnątrz jaskini migotały

poходnie i latarnie, a na ziemi leżały obrane z ciała szkielety. Myśl o powrocie do względnego bezpieczeństwa jaskini pojawiła się w głowie Cholika.

Mostem wstrząsnął wybuch. Cholik patrzył z rozpaczą, jak fragment splecionych kości uniósł się wysoko nad most. Rozrzucone kości spadały przez ciemność, wirując jak liście.

Przerwa w moście była na tyle szeroka, że Cholik nie mógłby jej przeskoczyć. Stary kapłan uświadomił sobie, że został uwięziony na moście.

Niech to będzie twoja pierwsza lekcja, powiedział demon. Będę twoją siłą, gdy zabraknie ci własnych sił.

Wiedząc, że jest zgubiony, Cholik odwrócił się i spojrzał z powrotem na most. Srebrna gwiazda jaśniała jeszcze mocniej, ukazując większą część mostu. Most z kości wznosił się coraz wyżej, lecz robił to zakosami. W załamaniach wznosiło się coś, co przypominało drzewa.

Chodź, Buyardzie Choliku, szydził demon. Dokonałeś wyboru, kiedy przestąpiłeś próg. Możliwość zmiany zdania w drodze była jedynie iluzją.

Cholik czuł, jakby wielka dłoń ścisnęła jego pierś, pozbawiając go oddechu. Czy to jego serce? Czy w końcu go zawodziło? A może to kościół Zakarum mścił się za porzucenie przez niego wiary?

Oczywiście, powiedział Kabraxis, możesz rzucić się z mostu.

Cholik odczuwał taką pokusę, lecz tylko przez chwilę. Pochodziła ona nie ze strachu, ale z pragnienia buntu. Była to jednak jedynie iskra. Strach przed śmiercią płonął w nim jak ognisko. Uniósł nogę i ruszył dalej.

Gdy zbliżył się do pierwszego z drzew, okazało się, że rodzi ono owoce. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, odkrył, że owocami były małe ludzkie głowy. Ich twarzyczki wypełniał strach, a usta wypowiadały błagania, które dopiero wtedy stały się dla niego słyszalne. Choć nie rozumiał słów, Cholik

zrozumiał ich udrękę. Fala dźwięku, wypełniona bólem i rozpaczą, brzmiała przerażająco melodyjnie.

Udręczone głosy, powiedział Kabraxis. Czyż to nie najpiękniejszy dźwięk, który kiedykolwiek słyszałeś?

Cholik szedł dalej. Przy kolejnym zakręcie czekało nań kolejne drzewo i kolejny chór cierpienia i beznadziei. Oddech go palił i czuł, jakby pierś ścisnęły mu metalowe pasy.

Zadrżał.

Chodź, Buyardzie Choliku. To tylko kawałek. Wolałbyś umrzeć tutaj i stać się jednym z owoców na drzewie?

Ból sprawiał, że Cholik widział wszystko jak przez mgłę, ale za następnym zakrętem podniósł głowę i ujrzał, że od tego punktu most był prosty i prowadził do niedużej wyspy pośrodku ciemności. Srebrna gwiazda wisiała nad ramieniem potężnej humanoidalnej postaci, siedzącej na kamiennym tronie.

Cholik, dysząc ciężko i nie mając siły mocniej odetchnąć, pokonał ostatnią część drogi i zatrzymał się przed postacią na tronie. Nie mogąc ustać przed demonem, stary kapłan opadł na kolana, na szorstki czarny kamień, z którego zbudowana była wyspa. Słabo zakaszłał. Poczował w ustach miedziany posmak i zauważył czerwone pasma na kamieniu. Z otępiąłym przerażeniem patrzył, jak kamień pochłania krew, spijają, aż w końcu stał się zupełnie suchy.

Spójrz na mnie.

Cholik uniósł głowę. Wypełniał go ból i był niemal pewien, że zaraz umrze.

– Lepiej zrób swoje jak najszybciej, panie Kabraxisie.

Nawet siedząc, demon był wyższy niż stojący Cholik. Stary kapłan domyślał się, że Kabraxis był dwa razy wyższy od człowieka, mógł mieć

nawet piętnaście stóp. Potężne ciało demona było czarne, poprzecinane błękitnymi żyłami ognia, które płonęły i przepływały przez niego. Twarz była przerażająca, złożona z twardych płaszczyzn i prymitywnych rysów – dwoje oczu – odwróconych trójkątów, zamiast nosa dwa czarne otwory, usta bez warg przypominające ranę, wypełnione żółtymi kłami. Z głowy wyrastały jadowite węże, wszystkie w pięknych, jasnych kolorach tęczy.

Czy wiesz o Czarnej Drodze?– zapytał demon, pochylając się w jego stronę. W głosie nie było już szyderstwa.

– Tak – wykrztusił Cholik.

Czy jesteś gotów, by stawić czoła temu, co leży na Czarnej Drodze?

Tak.

Więc zrób to. Kabraxis pochylił się do przodu, biorąc głowę Cholika w swoje wielkie, trójpalczaste ręce. Szpony demona wbiły się w głowę kapłana, przebijając czaszkę.

Cholik stracił zmysły. Oczy mu łzawiły, gdy wpatrywał się w przerażającą twarz demona i posmakował jego ohydneho oddechu. Zaczął krzyczeć, nim uświadomił sobie, co robi.

Demon tylko się zaśmiał i dmuchnął na niego ogniem.

DZIEWIĘĆ



Spoglądając na przystań w Porcie Tauruka, Raithen wiedział, że dwie z trzech kog były stracone. Płomienie lizały maszty i zajęły się już olinowaniem, wiedział więc, że ugaszenie ich byłoby niemożliwe.

Z zimnym zdecydowaniem przeszedł po pokładzie „Barakudy”.

– Zejdźcie z tego statku! – wrzasnął do piratów, którzy bali się go bardziej niż ognia i walczyli, by uratować statek. Od krzyku rozboleło go gardło.

Piraci usłuchali natychmiast, nie czując żalu z powodu opuszczenia statku. Gdyby stracenie kilku okrętów oznaczało uratowanie statku, Raithen zrobiłby to, ale utrata jednostki i dodatkowych ludzi była niedopuszczalna.

Kapitan skoczył na deskę, która prowadziła na wąski pasek lądu pod klifem. Kamienie i głazy wypełniały wąski pas ziemi prowadzący do schodów wyciętych w zboczu. Na stopniach leżeli martwi piraci, ofiary drużyny ratunkowej marynarki Zachodniej Marchii, która zabrała mu chłopca. Stary mężczyzna z młotem, który pilnował schodów, był niczym wcielenie śmierci. Łucznicy z Zachodniej Marchii, którzy również znajdowali się w drużynie, wywołali taki chaos wśród piratów, że ci już nawet nie próbowali wspinać się na schody.

Raithen wiedział, że królewscy marynarze już odeszli, zabierając ze sobą chłopca. Kapitan piratów podszedł do płonącej kogi znajdującej się bliżej ujścia w stosunku do „Barakudy”, pochylił się nad cumami i przeciął je jednym mocarnym ciosem topora, który wziął z okrętu.

Po przecięciu grubej cumy, płonąca koga zsunęła się do rzeki i, pochwyciona przez prąd, odpłynęła. To już nie był statek, lecz pogrzebowy stos.

– Na pokład „Barakudy” – nakazał Raithen swoim ludziom. – Przygotujcie bosaki i trzymajcie tę cholerną płonącą balię z dala od niej. – Przeszedł do drugiej kogi, poczekał, aż wszyscy piraci staną przy relingu, i przeciął cumę.

Prąd naturalnie znosił płonącą kogę na „Barakudę”. Piraci próbowali utrzymać płonący statek z dala od tego, który Raithen chciał uratować. Kadłub „Barakudy” mógł być pęknięty lub tylko przeciekać, ale miał zamiar ją uratować. Bez kogi czekał ich długi spacer do miejsca, gdzie czekały pozostałe statki jego floty.

Raithen przeklął piratów, w końcu się poddał. Sam wrócił na pokład „Barakudy” i wziął do ręki bosak. Czuł gorąco na twarzy, ale wrzeszczał na swoich ludzi. Powoli, poruszany przez bosaki, płonący statek okrążał „Barakudę”, obijając się nieco o nią.

Piraci zaczęli się cieszyć.

Wściekły Raithen chwycił dwóch najbliższych piratów i przerzucił ich przez reling. Inni natychmiast się cofnęli, wiedząc, że gdyby zostali przy kapitanie, poczuliby na własnej skórze jego gniew. Buli cofnął się jako pierwszy, w pośpiechu przewracając trzech ludzi.

Raithen wyjął miecz. Spojrzał na swoich ludzi.

– Przekłete, głupie bydlaki. Właśnie straciliśmy dwa statki, ukryty port i ładunek, którego nie uda się nam stąd wywieźć... a wy się cieszyacie, jakbyście czegoś dokonali.

Twarz piratów brudziła sadza, wielu z nich w trakcie krótkiej walki z marynarzami Zachodniej Marchii poparzyło się lub odniosło obrażenia.

– Chcę, żeby załoga wypompuwała wodę z tego statku i zajęła się naprawami! – wrzasnął Raithen. – Wyruszamy o świcie. Ci przekłęci marynarze z Zachodniej Marchii nie dotrą do tego czasu do ujścia rzeki. Buli, zbierz resztę ludzi i idziemy.

– Dokąd, kapitanie? – spytał Buli.

– Musimy znaleźć tego przekłętego kapłana – powiedział Raithen. – Jeśli mnie przekona, może pozwolę mu żyć i też zabiorę go stąd. Nie za darmo. – Dotknął obolałego gardła. – Jeśli nie, dopilnuję, żeby zginął, nim jeszcze opuścimy ten port i ograbię go ze wszystkich skarbów, które udało mu się zebrać w zakopanym mieście.

– Ależ kapitanie Raithen – powiedział jeden z piratów – ten wybuch, który zniszczył nabrzeże i spłaszczyl ruiny, pochodził właśnie z dziur kapłanów. Pewnie wszyscy zostali zabici.

– W takim wypadku ograbimy zmarłych, jeśli tylko ich znajdziemy – stwierdził Raithen. – Wcale mi to nie przeszkadza. – Odwrócił się i ruszył w stronę stopni. Wchodząc na nie, spychał ze swej drogi kamienie i trupy. Miał zamiar zemścić się przynajmniej na Buyardzie Choliku... jeśli stary kapłan nie zginął w tajemniczym wybuchu.

– Nie pójdę! Nie pójdę, mówię wam!

Darrick Lang patrzył, jak chłopiec walczy z Matem i drugim marynarzem, którzy ciągnęli go w stronę Gór Orlego Dzioba, ucieczki i „Samotnej Gwiazdy”, stojącej w Zatoce Zachodniej Marchii.

– Proszę! – krzyczał chłopiec. – Proszę! Musicie mnie wysłuchać!

Darrick machnięciem ręki kazał im się zatrzymać. Byli już wystarczająco wysoko na zboczu, by dobrze widzieć przystań i ruiny miasta. Na rzece daleko pod nimi mijała ich druga płonąca koga. Wąski strumień piratów wciąż wydostawał się z ruin i ruszał w stronę przystani, ale linia latarni i

poходni wspinająca się na kamienne stopnie oznaczała, że nie byli jeszcze gotowi do porzucenia portu.

– Cóż takiego ważnego chcesz nam powiedzieć? – spytał Darrick.

– Demon – odparł chłopiec. Oddychał z trudem, ponieważ po wciągnięciu go na górę zmuszali go do dużego wysiłku. Był za duży, żeby po prostu nieść go i biec, więc Darrick chwycił dzieciaka za ubranie i to ciągnąc go, to popychając, podciągał na górę, aż ten nie był w stanie biec.

– Jaki demon? – spytał Mat, opadając na jedno kolano, żeby być na tym samym poziomie co chłopiec.

Darrick wiedział, że spędziwszy wiele lat z młodszym rodzeństwem w bogatym domostwie, Mat miał dużo cierpliwości do dzieci.

– Nie mam zamiaru słuchać więcej o jakiś przeklętych demonach – prychnął Maldrin. Starego oficera pokrywała krew, w większości cudza. Mimo bitwy na szczycie schodów, która trwała dość długo, aż łucznikom udało się zabić lub odgonić pragnących śmierci piratów, nadal był w pełni sił. Każdy majtek na „Samotnej Gwieździe” wierzył, że zgryźliwy stary oficer był w stanie zagonić na śmierć każdego innego marynarza, a potem zawiązać buty i przejść jeszcze milę albo dwie. – Mieliśmy szczęście, że dotychczas nie przytrafiło nam się nic złego i chciałbym, żeby tak pozostało.

– Kapitan piratów – powiedział Lhex – pokazał mi znak Kabraxisa.

– A ten Kabraxis – dopytywał się Mat – to pewnie demon, o którym mówisz, prawda?

– Tak – odpowiedział Lhex, odwracając się i spoglądając na ruiny Portu Tauruka. – Drzwi do Leża Kabraxisa muszą tam gdzieś być. Słyszałem, jak piraci rozmawiają o kapłanach, którzy tam kopali.

– Jaki znak? – pytał cierpliwie Mat.

– Kapitan Raithen pokazał mi znak Kabraxisa – powiedział Lhex. – A jakim sposobem – zapytał ostro Darrick – ty wiesz tak dużo o demonach? Lhex obrócił oczami z wyraźną dezaprobatą.

– Posłano mnie do Lut Gholein, bym został wyuczony na kapłana. Przez cztery lata byłem tam w szkole. Jedna z podstawowych ksiąg filozoficznych traktowała o epickiej walce między ludźmi i jego demonami. Nie uważa się ich za prawdziwe. A co, jeśli jednak są? A jeśli Kabraxis zaginął gdzieś wśród ruin tego miasta?

Ze szczytów Gór Orlego Dzioba powiał zimny wiatr, mroząc Darricka. Jego włosy zlepione potem, uniosły się, gdy spojrzął na ruiny. Piraci kłębili się na szczycie klifu, ich latarnie i pochodnie migwały we mgle i odbijały się, w rzece poniżej.

– Nie będziemy mieć nic do czynienia z demonami – powiedział Darrick.
– W myśl naszych rozkazów masz dotrzeć bezpiecznie do domu, a ja zamierzam je wykonać.

– Mówimy o demonie, który jest tutaj, kapitanie – nalegał Lhex.

– Nie jestem kapitanem – odparł Darrick.

– Ci ludzie idą za tobą.

– Tak, ale nie jestem kapitanem. Mój kapitan kazał mi ciebie sprowadzić i zamierzam to zrobić.

– A jeśli piraci znajdą demona? – zapytał Lhex.

– Jeśli o mnie chodzi, mogą spotkać się z każdym demonem – oznajmił Maldrin. – Porządny człowiek nie ma z demonami nic wspólnego.

– Nie – odparł poważnie chłopiec – ale demony zabierają dusze uczciwych ludzi. A Kabraxis, kiedy chodził po ziemi, był najgorszy ze wszystkich.

– Nie przekonacie mnie, abym uwierzył w demony – powiedział Tomas, z twarzą, na której malowała się podejrzliwość. – To wszystko tylko

opowieści i legendy. Wymyślane po to, aby człowiek roześmiał się, a raz czy dwa poczuł niepewność.

– Kabraxis – powiedział Lhex – zwany był też Złodziejem Nadziei. Ludzie umierali spętani jego łańcuchami, łańcuchami, które sami na siebie nakładali, ponieważ wierzyli, że on da im od puszczenie grzechów, bogactwo, zaszczyty i wszystko to, co śmiertelnicy zwykli uważać za ważne.

Darrick wskazał brodą w stronę ruin.

– Jeśli to dzieło Kabraxisa, to sądzę, iż jeśli piraci i kapłani go znajdą, wcale nie będzie się cieszył, że go przebudzili.

– Nie przebudzili – sprostował Lhex. – Sprowadzili z powrotem do świata. Mroczna Trójca pomagała go stąd usunąć, gdyż stał się zbyt potężny.

– Założę się, że nie stanowił dla nich zbyt wielkiego zagrożenia – oznajmił Maldrin. – Inaczej słyszałbym o nim, gdyż nie obesłoby się bez krwawej jatki.

Wiatr zmierzwił chłopcu włosy, a niebo przecięła błyskawica, przez co jego twarz przybrała trupa barwę.

– Diabło i jego bracia bali się Kabraxisa. To cierpliwy demon, taki, który działa po cichu i czeka na nadarzącą się okazję. Musimy wiedzieć, czy Kabraxis wrócił do tego świata. Musimy przygotować się na jego przybycie.

– Moim zadaniem jest odwieźć cię do Marchii Zachodniej, do króla – powiedział Darrick.

– Zatem będziesz musiał mnie zanieść – odparł Lhex – bo sam nie pójdę.

– Szefie – wtrącił się Maldrin – z całym szacunkiem, ale próba wspięcia się na te klify, niosąc wierzgającego bachora nie uczyni naszej wędrówki bezpieczną ani wygodną.

Darrick wiedział o tym. Wziął głęboki oddech, poczuł w wietrze zapach nadchodzącej burzy i zmienił ton. – Chyba powinienem zostawić cię tutaj i powiedzieć królowi, że nie zdążyłem. Ciemne oczy chłopca tylko przez chwilę spoglądały na Darricka.

– Nie zrobisz tego. Nie możesz.

Darrick wykrzywił się przerażająco, mając nadzieję przestraszyć chłopca.

– A jeśli zabierzesz mnie bez sprawdzania pogłosek o demonie – groził dalej Lhex – po wiem królowi, że mogłeś dowiedzieć się więcej, ale tego nie zrobiłeś. Po kłopotach w Tristram nie sądzę, aby mój stryj potraktował łagodnie marynarza, który nie dopełnił obowiązku uzyskania jak największej ilości informacji, nieprawdaż? – Chłopiec uniósł brew.



Darrick przez chwilę trzymał język za zębami, pragnąc, aby dzieciak cofnął swoje słowa. Nawet gdyby Lhex to zrobił, Darrick wiedział, że zawarta w nich prawda będzie go męczyć. Król chciałby wiedzieć. A pomimo napawającej go strachem możliwości ujrzenia demona, Darrick był ciekawy. – Nie – odpowiedział. – Nie sądzę, aby król potraktował łagodnie takiego marynarza. Uniósł głos.

– Maldrin?

– Tak, szefie.

– Czy ty, Mat i reszta moglibyście sami zabrać podrzutka do łodzi? – Darrick spojrzał na chłopca. – O ile zgodzi się współpracować?

– Mogę to zrobić – odparł niechętnie Maldrin. – Jeśli będzie trzeba, związę go i spuszczę na linie po zboczu góry.

Przez chwilę spoglądał na chłopca, po czym zwrócił się do Darricka.

– Nie jestem tylko pewien, czy wycieczka jest w tej chwili mądrym posunięciem.

– Nigdy nie podejrzewano mnie o mądrość – odpowiedział Darrick, ale była to tylko przechwałka, po której wcale nie poczuł się lepiej.

– Nie zostawię cię samego – powiedział Mat, potrząsając głową. – Nie. Jeśli demon rzeczywiście poluje w podziemiach, możesz na mnie liczyć, Darrick.

Darrick spojrział na swojego najstarszego i najlepszego przyjaciela na świecie. – Tak. I cieszę się z tego, druhu, ale pamiętaj, że tym razem to nie będzie dobra zabawa. Mat uśmiechnął się.

– To będzie przygoda, o której będziemy na starość opowiadać naszym wnukom, bujając je na kolanach.

– Powiniennem iść z tobą – wtrącił się Lhex. Darrick popatrzył na chłopca.

– Nie. Posunąłeś tę sprawę tak daleko, jak to tylko było możliwe. Resztę pozostaw nam. Król nie będzie zbyt szczęśliwy jeśli usłyszy że jego bratanek nie dał się uratować przez ludzi, którzy dla niego ryzykowali życie. Zrozumiano?

Chłopiec niechętnie pokiwał głową.

– Oczywiście, zachowałeś się bardzo dzielnie, samemu wrywając się ze statku piratów – powiedział Darrick. – Oczekuję takiego samego zachowania, gdy będziesz z ludźmi, którzy mają cię strzec, nawet za cenę własnego życia. Umowa stoi?

– Ale mogę rozpoznać demona... – powiedział chłopak.

– Chłopcze – stwierdził Darrick – sądzę, że rozpoznam demona, jeśli go zobaczę.

Nadchodząca burza jeszcze się wzmagala, gdy Darrick prowadził grupkę marynarzy z powrotem do ruin miasta. Księżyc co chwilę znikal za

ciemnymi, groźnymi, burzowymi chmurami, skrywając świat w mroku, po czym znów pojawiał się, rzucając długie, ostre cienie na posrebrzoną ziemię.

Alabastrowe kolumny miasta płonęły wewnętrznym ogniem za każdym razem, gdy dotykało ich światło księżyca.

Marynarze poruszali się w ciszy w przeciwieństwie do żołnierzy nieobciążeni zbrojami. Królewskie wojsko rzadko udawało się gdziekolwiek bez hałasu i brzęku kolczug czy zbroi płytowych, ale taki pancerz oznaczał śmierć dla kogoś walczącego na statku, jeśli przypadkiem wpadł do wody.

Znalezienie w ruinach wejścia do podziemi okazało się proste. Darrick zatrzymał swoich ludzi, po czym podążył za ostatnim z piratów Raithena ścieżką, prowadzącą w głąbiny pod ruinami Portu Tauruka.

W wypełnionych bzyzieniem jaskiniach nikt się nie odzywał. Wilgotna ziemia chroniła przed wiatrem, ale ciało Darricka przeszywał lodowaty chłód, sprawiający, że wszystko bolało go jeszcze bardziej. Długa wspinaczka na klif, jak również późniejsza walka, pozbawiły go energii, przez co poruszał się wyłącznie dzięki wypełniającej jego żyły adrenalinie. Marzył o swoim hamaku na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” i kilkudniowej podróży dzielącej ich od Zachodniej Marchii.

Jaskinię wypełniały mgła lub kurz. W świetle niesionych przez piratów latarni wydawała się złościście migotać.

Tunel, którym wędrował Darrick, stopniowo się rozszerzał, aż w końcu mężczyzna zobaczył potężne drzwi po drugiej stronie wielkiej jaskini. Tu kończył się korytarz.

Raithen i jego piraci zatrzymali się, nie wchodząc do jaskini, więc Darrick nie mógł zobaczyć, co jest dalej. Część piratów wyraźnie miała

ochotą odwrócić się i uciec, ale Raithen powstrzyma! ich ostrym głosem i groźbą użycia miecza.

Kuląc się za głazem, który obsunął się podczas wykopalisk, Darrick popatrzył w głąb jaskini. Dołączył do niego Mat, oddychając z trudem.

– Co się stało? – wyszeptał Darrick.

– To ten przeklęty kurz – odpowiedział również szeptem Mat. – Chyba pozostał jeszcze po wybuchu. Trochę mnie przydusił.

Darrick oderwał rękaw swojej i tak już podartej koszuli, i podał go Matowi. – Obwiąż nim twarz – powiedział przyjacielowi. – To zatrzyma kurz. Mat z wdzięcznością przyjął kawałek materiału i zakrył nim twarz.

Darrick oderwał drugi rękaw i obwiązał nim sobie głowę. Trochę żałował, bo bardzo lubił tę koszulę, choć oczywiście nie mogła się ona równać koszulom z jedwabiu z Kurastu, które trzymał w skrzyni na „Samotnej Gwieździe”. Mimo to, a może dlatego, że dorastał w biedzie, cenił rzeczy i zwykle dbał o to, co posiadał.

Powoli i ostrożnie Raithen wprowadził swoich ludzi do jaskini.

– Darrick, patrz! – Mat wskazał szkielety leżące w jaskini. Kilka było starych, ale większość wyglądała, jakby właśnie obrano jeź mięsa. Szkielety okrywały resztki ubrania, podarte, ale nie stare.

– Widzę je – powiedział Darrick i włosy stanęły mu dęba. Nie lubił magii, a to co widział, było pewnym dowodem na niedawne jej użycie. Nie powinno nas tutaj być, mówił do siebie. Gdybym miał choć trochę rozumu, wyniosłbym się stąd teraz, zanim przytrafi się nam coś złego. W rzeczy samej, miał właśnie wydać rozkaz, gdy przez potężne drzwi przeszedł mężczyzna odziany w szkarłatno–czarne szaty.

Musiał on mieć około czterdziestki. Jego czarne włosy już siwiały na skroniach, a twarz miał szczupłą i silną. Otaczała go migocząca aura.

– Kapitan Raithen – odezwał się na powitanie mężczyzna w szkarłacie i czerni głosem pozba wionym ciepła.

Bzyczenie przybrało na sile.

– Cholik – odpowiedział Raithen.

– Czemu nie jesteście na statkach? – spytał Cholik. Przeszedł przez jaskinię, nie zwracając uwagi na otaczające go trupy.

– Zostaliśmy zaatakowani – powiedział Raithen. – Marynarze z Zachodniej Marchii podpalili moje statki i ukradli chłopca, którego trzymałem dla okupu.

– A więc śledzono was? – Gniewny głos Cholika zagłuszył nawet buczenie. – Co to za człowiek? – wyszeptał Mat. Darrick potrząsnął głową.

– Nie wiem i nie widzę nigdzie demona. Wynośmy się. Temu Cholikowi nie zajmie długo domyślenie się, co tu robi Raithen i jego piraci. – Odwrócił się i gestem nakazał pozostałym przygotować się do wycofania.

– Może to nie mnie śledzono – sprzeciwił się Raithen. – Może to jeden z ludzi z Zachodniej Marchii, od których kupowałeś informacje, został złapany i cię sprzedał.

– Nie – powiedział Cholik. Wyszedł poza zasięg miecza Raithena. – Ludzie, z którymi prowadzę interesy, baliby się zrobić coś takiego. Jeśli twoje statki zostały zaatakowane, to tylko z powodu twojej własnej nieudolności.

– Może powinniśmy przestać szukać winnych? – zaproponował Raithen.

– A co wtedy zrobimy, kapitanie? – Cholik spojrział na pirata z pogardą i zimnym rozbawieniem. – Dojdziemy do punktu, w którym ty i twoja krwiożercza zgraja spróbujecie mnie zabić i zabrać mi to, co myślicie, że tu znalazłem.

Raithen wyszczerzył się bez radości. – Nie jest to zbyt ładne sformułowanie, ale owszem. Cholik majestatycznym gestem otoczył się

szatą. – Nie. Nie zrobisz tego tej nocy. Idąc do przodu, Raithen stwierdził:

– Nie wiem, co sobie zaplanowałeś na tę noc, Cholik, aleja mam zamiar zrobić to, po co tutaj przyszedłem. Moi ludzie i ja przelewaliśmy dla ciebie krew i, jak nam się wydaje, nie dostaliśmy w zamian zbyt wiele. – Twoja chciwość kiedyś cię zabije – zagroził Cholik. Raithen uniósł miecz.

– Najpierw zabije ciebie.

Przez drzwi przeszła potężna postać. Darrick uważnie przyjrzał się demonowi, zauważając wijące się węzowe włosy, barbarzyńskie rysy, potężne trójpalczaste ręce i czarną skórę poprzecinaną bladym błękitem.

DZIESIĘĆ



Gdy koszmar z Piekieł wstąpił do jaskini, Raithen i jego piraci cofnęli się, przepełnieni strachem. Ludzie krzyczeli z przerażenia i próbowali uciekać.

– Dobra – wyszeptał Mat ze strachem w oczach – możemy powiedzieć chłopakowi i jego królewskiemu wujowi, że demon istnieje. Wynośmy się stąd.

– Czekaj – powiedział Darrick, opanowując przerażenie, które wypełniło go na widok demona. Wyjrzał zza głazu, za którym się ukrywali.

– Na co? – Mat spojrzał na niego z niedowierzaniem. Zupełnie nieświadomie zrobił znak Światłości w powietrzu przed sobą, jak to robił jako dziecko, kiedy chodzili do kościoła w Hillsfar.

– Czy wiesz, ilu ludzi widziało demona? – spytał Darrick.

– I przeżyło, żeby o tym opowiedzieć? Cholernie mało. A chcesz wiedzieć dlaczego, Darrick? Bo zostali zabici przez demony, kiedy się gapili zamiast uciekać, co robi każdy rozsądny człowiek.

– Kapitanie Raithen – powiedział demon, a jego głos brzmiał jak grzmot. – Jestem Kabraxis, zwany Oświecającym. Nie ma powodów do konfliktu między tobą a Buyardem Cholikiem. Możecie nadal pracować razem.

– Dla ciebie? – spytał Raithen. W jego głosie było przerażenie i zadziwienie, ale nadal trzymał w dłoni miecz.

– Nie – odpowiedział demon. – Dzięki mnie możesz odnaleźć prawdziwą drogę ku przyszłości. Zrobił krok do przodu i stanął przed kapłanem.

– Mogę ci pomóc. Mogę dać ci pokój.

– Pokój to mogę znaleźć na dnie kufla z piwem – stwierdził Raithen – ale nie będę służył ohydnemu demonowi.

Darrick uznał, że ta odpowiedź brzmiałaby lepiej, gdyby głos kapitana piratów tak nie drżał, ale nie wątpił, że na jego miejscu sam miałby z tym problemy.

– W takim razie możesz umrzeć – powiedział Kabraxis, rysując w powietrzu skomplikowany wzór.

– Łucznicy! – wrzasnął Raithen. – Zabić tę piekielną bestię!

Piraci, przerażeni obecnością demona, reagowali bardzo powoli. Tylko kilku z nich udało się wypuścić strzały. Te kilkanaście, które trafiło demona, odbiło się od niego bez śladu.

– Darrick – błagał rozpaczliwie Mat – inni już odeszli. Spoglądając przez ramię, Darrick zobaczył, że była to prawda. Marynarze już uciekali.

Mat chwycił Darricka za ramię.

– Chodź. Nic tu nie poradzimy. Teraz musimy bezpiecznie wrócić do domu.

Darrick pokiwał głową i wstał zza kamienia w tej samej chwili, gdy z dłoni demona wystrzelił strumień migoczącej mocy.

Kabraxis wypowiedział słowa, których, jak wydawało się Darrickowi, nie byłby w stanie wypowiedzieć żaden ludzki język. Brzęczenie w jaskini przybrało na sile i spomiędzy stalaktytów opadły jak się wydawało na pierwszy rzut oka, świetliki. Migocząc w świetle latarni, opadły na ludzi Raithena, trzymając się jednak z daleka od samego kapitana.

Zamarłszy z przerażenia, Darrick patrzył, jak owady zmieniały piratów w stertę okrwawionych kości. Jak tylko szkielety uderzyły o ziemię, natychmiast podniosły broń i zaatakowały tych kilku piratów, którzy przeżyli pierwszy atak.

Jaskinię wypełniły jęki i przekleństwa umierających ludzi.

Kabraxis podszedł do tych, którzy przeżyli.

– Jeśli chcecie żyć, moje dzieci, chodźcie do mnie. Poddajcie mi się. Mogę was uleczyć. Mogę nauczyć was marzyć i być kimś więcej, niż kiedykolwiek myśleliście. Chodźcie do mnie.

Garstka piratów podbiegła do demona i ukorzyła się przed Kabraxisem. Demon delikatnie dotknął ich czoł, pozostawiając krwawe znaki. Ci zostali uratowani przed owadami i szkieletami.

Nawet Raithen podszedł do przodu.

Światło w jaskini przygasło, gdyż ludzie porzucali lub gubili swoje latarnie i pochodnie. Darrick starał się wszystko zobaczyć.

Raithen, idąc w stronę demona, trzymał w dłoni miecz. Z jaskini nie było wyjścia, gdyż szkielety jego ludzi zablokowały korytarz. A nawet gdyby poradził sobie z nimi, zostały jeszcze mięsożerne owady.

Ale Raithen nie miał zamiaru się poddać. Jak tylko zbliżył się na wystarczającą odległość, zjedną ręką wyciągniętą w geście poddania, uderzył mieczem i wbił go głęboko w brzuch demona. Na rękojeści i ostrzu migotały klejnoty i Darrick uświadomił sobie, że miecz miał w sobie jakąś magię. Pomyślał, że miał szczęście, iż na pokładzie „Barakudy” nie został zraniony przez tego człowieka. Jeśli ostrze było zatrute, nawet najmniejsza rana od zaczarowanej broni mogła okazać się śmiertelna.

Ostrze Raithena miało w sobie ogień. Kiedy tylko miecz wbił się w ciało demona, w ranie pojawił się płomień, paląc ciało.

Kabraxis zawył z bólu i zatoczył się do tyłu, ściskając ranę na brzuchu. Raithen podążył za stworem, przekręcając miecz, żeby jeszcze powiększyć ranę.

– Zginiesz, demonie! – warknął Raithen, ale Darrick słyszał panikę w jego głosie. Może kapitan piratów myślał, że nie ma innego wyboru, jak

tylko atakować, a kiedy już się zdecydował, mógł tylko ciągnąć wszystko dalej.

Darrick wiedział, że demony ginęły od ludzkich mieczy i zaklęć, wypowiedanych przez ludzkich magów, ale mogły się też odradzać, a zabicie ich było niezwykle trudne. W większości wypadków ludziom udało się wygnać demony ze swojego świata tylko na jakiś czas, lecz dla demonów nawet stulecia nie znaczyły nic. Zawsze powracały, by znów żerować na ludziach.

Raithen zaatakował ponownie, wbijając miecz głęboko w brzuch demona. Znowu pojawił się ogień, ale Kabraxis wydawał się odczuwać jedynie niewygodę, nie strach. Wyrzuciwszy rękę, demon owinał wszystkie trzy palce wokół głowy Raithena, zanim ten zdołał uciec.

Kabraxis odezwał się ponownie i w dłoni otaczającej głowę oraz ramiona Raithena pojawił się płomień. Kapitan piratów nie zdążył nawet krzyknąć, gdy jego ciało zeszytniało. Demon puścił go, a wtedy płomienie pochłonęły górną część ciała, pozostawiając poczerniałą i wypaloną skorupę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał potężny mężczyzna. W ciele Raithena nadal płonęły pomarańczowe węgielki i unosił się z niego dym. Usta kapitana otwarte były w niemym krzyku, którego już nikt nie usłyszy.

– Darrick – wyszeptał ochrypłym głosem Mat, ciągnąc go za ramię.

Darrick usłyszał za plecami odgłos kości, ocierającej się o kamień, i uświadomił sobie inne niebezpieczeństwa, kryjące się w ciemnościach. Gdy spojrzał, zobaczył za plecami Mata szkielet, który unosił właśnie miecz i celował w plecy mężczyzny.

Darrick jedną ręką chwycił koszulę Mata, a drugą wyciągnął kord. Odepchnąwszy przyjaciela na bok, sparował krótki miecz i kopnięciem roztrzaskał czaszkę szkieletu. Dolna szczeka nieumarłego oderwała się,

zęby poleciały we wszystkie strony. Szkielet zatoczył się do tyłu i próbował znów unieść broń.

Mat ciął go swoim mieczem. Ciężkie ostrze trafiło w szyję i odcięło mu czaszkę.

– Łapcie tych ludzi! – ryknął demon z jaskini.

– Biegnij! – wrzasnął Darrick, popychając Mata przed sobą. Biegli razem, unikając powolnych szkieletów, wskrzeszonych nieczystą magią demona. Darrick już wcześniej walczył ze szkieletami i zwykle udawało się przed nimi uciec, jeśli tylko wystarczająco się je wyprzedziło. Jeśli jednak grupa szkieletów otoczyła człowieka, zwykle pokonywała go samą swoją liczbą. Zniszczenie ich do tego stopnia, by już nie były w stanie walczyć, wymagało dużego wysiłku.

Monotonne bzyczenie owadów wypełniło jaskinię za nimi, a potem korytarz, do którego wbiegli. Gdy Darrick i Mat biegli przez tunele pod martwym miastem, powstawały kolejne szkielety. Niektóre pokrywała jeszcze wysychająca krew, ale inne nosiły na sobie resztki odzienia modnego przed setką lat. Port Tauruka był domem niezliczonych zmarłych, a wszyscy budzili się na wezwanie demona.

Darrick biegł, oddychając z trudem, ignorując ból i zmęczenie. Poganiał go pierwotny strach wypełniający całe ciało.

– Biegnij! – wołał do Mata. – Biegnij, do diabła, albo cię dopadną!

A jeśli tak się stanie, będzie to moja wina. Ta myśl prześladowała Darricka, odbijając się od jego czaszki częściej nawet niż jego stopy uderzały o kamienną posadzkę. Nie powinienem tutaj przychodzić. Nie powinienem dać się przekonać chłopcu. I powinienem trzymać Mata z dala od tego wszystkiego.

– Złapią nas – wydyszał Mat, patrząc do tyłu.

– Nie oglądaj się! – nakazał Darrick. – Patrz przed siebie. Jeśli się potkniesz, nie zdążysz wstać. – Mimo to sam zignorował swoją radę i rzucił okiem przez ramię.

Szkielety pędziły za nimi z uniesioną bronią, ich kościste stopy z łoskotem uderzały o ziemię. Darrick widział, jak kości palców odpadają od ich stóp i toczą się przez korytarz. Za nimi bzyczały owady, a buczenie wydawało się Darrickowi coraz głośniejsze.

Bez trudu unikali większości szkieletów, które wychodziły z ciemności przed nimi. Nieumarli byli powolni, a miejsca mieli pod dostatkiem, jednak z niektórymi musieli walczyć. Darrick używał miecza. Nie był w stanie wykorzystać wszystkich swoich umiejętności w pełnym biegu, ale udawało mu się odepchnąć na bok wycelowane w nich miecze i włócznie. Każdy taki kontakt kosztował ich jednak cenne cale, tak trudne potem do odzyskania.

Jak daleko jest do rzeki?– próbował sobie bezskutecznie przypomnieć Darrick. Nagle wydawało mu się, że dotarcie do celu zajmie im całą wieczność.

Bzyczenie stało się głośnie jak grzmot.

– Dopadną nas – powiedział Mat.

– Nie – odrzekł Darrick, zmuszając się do mówienia, choć wiedział, że traci na to cenny oddech. – Nie, do diabła. Nie przyprowadziłem cię tu, żebyś zginął, Mat. Biegnij!

Kiedy Darrick myślał, że już po nich, nagle, tuż za zakrętem, zobaczyli przed sobą wylot tunelu. Niebo przesywały rozgrzane do białości błyskawice, na chwilę rozświetlając noc. Nadzieja dodała im sił. Widział to na twarzy Mata i czuł w swoim sercu. Z cieni wychodziło coraz mniej szkieletów.

– Jeszcze tylko kawałek – powiedział Darrick.

– A potem długi bieg do rzeki. – Mat z trudem łapał oddech. Zawsze był lepszym biegaczem, zgrabniejszym i szybszym. Pasowało mu to niemal tak, jak Caronowi siedzenie na linach.

Darrick zastanawiał się, czyjego przyjaciel powstrzymuje się, nie biegnie tak szybko, jak potrafi. Ta myśl rozzłościła go. Mat powinien odejść z pozostałymi marynarzami, którzy już dawno wyszli z tuneli.

Jakimś cudem dotarli do ostatniego zbocza prowadzącego do wyjścia z korytarzy. Mięsożerne owady były tak blisko, że Darrick kątem oka widział ich bladozielone ciała.

Gdy wypadł z tunelu na wiatr i deszcz, pojedynczy kamień wysunął się spod stopy Mata. Z okrzykiem zaskoczenia mężczyzna zaczął zsuwać się po gruzie.

– Mat! – Darrick patrzył z przerażeniem, z trudem zatrzymując się w biegu. Deszcz niemal oślepił, ciął jego twarz i ramiona. Burza nie była normalna i zastanawiał się, jak bardzo przybycie demona wpłynęło na pogodę. Od spadłego deszczu ziemia pod ich stopami już stała się gąbczasta.

– Nie zatrzymuj się! – krzyknął Mat, rozpaczliwie próbując się podnieść. Wypluł trochę deszczówki, a podarowany przez Darricka dla ochrony przed pyłem rękaw wisiał mu na szyi. – Nawet nie próbuj zatrzymywać się ze względu na mnie, Darricku Langu! Nie chcę mieć na sumieniu twojej osoby.

– A ja nie pozwolę ci zginąć samotnie – odrzekł Darrick, zatrzymując się i chwytając kord w obie ręce. Deszcz spływał strugami po jego ciele, już był przemoczony. Zimna woda wypełniała jego usta, niosąc ze sobą nieprzyjemny smak, którego nigdy wcześniej nie czuł. A może to był jego własny strach?

Wtedy zaatakowały ich owady. Mat już wstał i zaraz zaczął biec, gdy zbliżyła się do nich cała chmura.

Darrick machnął w ich stronę mieczem, wiedząc, że nie ma to zbyt dużego sensu. Ostrze przecięło dwa tłuste owady. Na stali pozostały ślady zielonej krwi, natychmiast zresztą zmyte przez deszcz. W następnej chwili owady znikły, wybuchając zielonym płomieniem i pozostawiając za sobą siarkowy odór.

Darrick patrzył, jak reszta owadów przestaje istnieć w taki sam sposób. Wciąż leciały w jego stronę, a mgiełka zielonych płomieni była tak gęsta, że zaczęła przypominać mur.

– Te ohydne stwory nie potrafią przeżyć w tym świecie – powiedział zdumiony Mat.

Darrick nie wiedział. Z nich dwóch to Mat lepiej się znał na opowieściach o magach i innych legendach. Owady tymczasem nadal atakowały całymi stadami, ginąc zaledwie o cale od ofiar. Chmura przerzedziła się, a płomyki zgasły w jednej chwili.

Wtedy właśnie Darrick zobaczył pierwszy szkielet, wybiegający z tunelu z uniesionym toporem. Darrick uniknął ciosu i kopnął, podcinając go. Ten upadł i zaczął ześlizgiwać się po błocie, aż w końcu rozbił się o ścianę jednego z budynków.

– Ruszaj! – ryknął Darrick, chwytając Mata i popychając go. Znow biegli w stronę rzeki, a za nimi cała chmura szkieletów, cichych jak duchy, oprócz odgłosu stóp uderzających o moką ziemię.

Darrick stwierdził, że nie mają już powodu, aby się ukrywać, gdyż żaden z piratów, którzy mogli pozostać między nimi a rzeką, nie będzie miał ochoty zostać tam i ich zaatakować, więc pobiegł przez środek zniszczonego miasta. Błyskawice przecinające fioletowe niebo sprawiały, że teren był niepewny i niebezpieczny. W końcu jednak dopadło ich coś

bardziej ludzkiego – zmęczenie. Darrick i Mat zwolnili, ich serca, płuca i nogi odmawiały posłuszeństwa. Tymczasem strumień szkieletów nie wahał się, nie zwalniał.

Darrick obejrzał się przez ramię i widział tylko śmierć. Przed oczami miał mroczki, a każdy oddech wydawał się pusty, jakby wszystko było ruchem, a nic materią. Deszcz i wiatr uderzały w jego twarz, utrudniając oddychanie.

Mat zwolnił, byli tylko sto jardów albo i mniej od krawędzi klifu. Gdyby do niej dotarli, myślał Darrick, rzuciliby się do wody – i jakoś przeżywszy upadek bez rozbijania się o kamienne dno – może mieliby szansę. Rzeka była głęboka, a szkielety nie umiały pływać, bo bez ciała nie były w stanie unosić się, na wodzie.

Darrick biegł. Wyrzucił kord, dopiero teraz uświadamiając sobie, że jego ciężar go spowalniał. Przeżyć mogli nie dzięki walce, a tylko dzięki ucieczce. Przebiegł kolejne dziesięć jardów, później dwadzieścia, nadal podnosił kolana i uderzał nieczułymi stopami o ziemię, choć nawet nie wiedział, jak biegnie.

I nagle znaleźli się na krawędzi. Mat był obok niego, z twarzą bladą ze zmęczenia i bólu. Właśnie wtedy, gdy Darrick był pewien, że może rzucić się w powietrze, wylecieć poza krawędź i spaść do Dyre, coś chwyciło go za nogę. Upadł. Niemal stracił przytomność po uderzeniu brodą o ziemię.

– Wstawaj, Darrick! – krzyknął Mat, chwytając go za ramię. Darrick instynktownie, pod wpływem przerażenia, kopnął, uwalniając się od szkieletu, który skoczył i chwycił go za nogę. Oto zbliżała się już cała reszta, trzymając się razem jak stado szczurów.

Mat pociągnął Darricka na krawędź, ledwo unikając wyciągniętych rąk i palców szkieletów. Bez chwili wahania przerzucił Darricka i sam przygotował się do skoku.

Darrick widział to wszystko, gdy zaczął długi upadek do spienionej rzeki. Zauważył szkielet, który rzucił się i chwycił Mata, zanim ten zdążył skoczyć.

– Nie! – krzyknął Darrick, instynktownie wyciągając rękę w stronę przyjaciela, choć wiedział, że jest zbyt daleko, żeby cokolwiek zrobić.

Pęd szkieletu sprawił jednak, że Mat wyleciał poza krawędź klifu. Spadli, spleceni w śmiertelnym uścisku i odbili się od zbocza mniej niż dziesięć stóp nad powierzchnią rzeki.

Zabrzmiał trzask łamanych kości, a dźwięk ten doszedł Darricka chwilę przed tym, jak mężczyzna wpadł do lodowatej wody. Zaledwie kilka chwil od rozpoczęcia burzy prąd rzeki wzmógł się. Rzeka, która wcześniej statecznie płynęła w stronę Zatoki Zachodniej Marchii, teraz szalała. Machał rękami i nogami, choć były ciężkie jak z ołowiu, i był pewien, że nie zdąży wypłynąć na powierzchnię, zanim płuca wypełni mu woda.

Na wąskim pasku nieba między dwoma klifami zabłysła błyskawica. Od jej blasku niemal oślepl.

Mat! Darrick rozejrzał się pod wodą, rozpaczliwie próbując odnaleźć przyjaciela. Gdy płynął w stronę powierzchni, płuca paliły go żywym ogniem. W końcu ją przebił i pociągnął wielki haust powietrza. Przez chwilę nic nie widział.



Powierzchnię rzeki pokrywały spienione fale, które przetaczały się nad nim. Mgła jeszcze zgęstniała, przelewając się w całym kanionie. Darrick wytrząsnął wodę z oczu i zaczął gorączkowo szukać Mata. Szkielet spadł razem z Matem. Czy pociągnął go na dno?

Grom przebił noc. Chwilę później coś zaczęło spadać do rzeki. Kierując wzrok w stronę ruchu, Darrick ujrzał, jak szkielety rzucają się do wody z klifów. Uderzały w jej powierzchnię prawie trzydzieści stóp od niego i wtedy właśnie uświadomił sobie, jak daleko dotarł od momentu wypłynięcia na powierzchnię.

Przez chwilę przyglądał się wodzie, zastanawiając się, czy szkieletom nie dano umiejętności pływania. Nigdy o czymś takim nie słyszał, ale też nigdy wcześniej nie widział demona.

Mat!

Coś uderzyło o nogę Darricka. Instynktownie pragnął to odepchnąć i uciec jak najdalej. Wtedy na powierzchni pojawiło się jedno z ramion Mata.

– Mat! – krzyknął Darrick, chwytając ramię i wyciągając mężczyznę na powierzchnię. Niebo znów przecięła błyskawica, gdy oparł głowę Mata o swoją pierś i próbował utrzymać ich obu na powierzchni. Ciągłe oblewały go fale. Chwilę później z rzeki wynurzyła się głowa szkieletu, uświadamiając Darrickowi, że ten nadal trzyma nogę Mata.

Gdy prąd pochwycił ich mocniej, Darrick kopnął nieumarłego. Coraz szybciej mijali otaczające ich z obu stron klify i waga Mata w połączeniu z ciężarem szkieletu sprawiała, że Darrick przez większość czasu miał głowę pod wodą. Podnosił się spod pleców Mata tylko po to, by złapać krótki oddech i znów zanurzał, by utrzymać głowę przyjaciela nad wodą. Światłości, daj mi siły, bym tego dokonał!

Dwa razy gdy prąd się zmieniał, Mat niemal został wyrwany z uścisku Darricka. Woda była tak zimna, że pozbawiała czucia jego ręce, a wyczerpanie bardzo go osłabiło.

– Mat! – krzyknął przyjacielowi do ucha, po czym znów się zanurzył. Jeszcze dwa razy udało mu się zawołać przyjaciela, ale bez żadnej reakcji. Mat pozostawał tylko bezwładnym ciężarem w jego rękach.

Niebo ponownie rozjaśniła błyskawica i Darrickowi wydawało się, że w jej świetle widzi krew na łokciu. Nie była to jego krew, więc musiała należeć do Mata. Kiedy jednak uderzyła go następna fala i ponownie się wynurzył, krwi już nie było. Nie miał nawet pewności, czy rzeczywiście ją widział.

– Darrick! – w ciemności niespodziewanie rozległ się głos Maldrina.

Darrick próbował odwrócić głowę, ale wysiłek sprawił, że znów znalazł się pod powierzchnią. Gwałtownie kopał wodę, żeby utrzymać Mata. Gdy znów się wynurzył, zabrzmiał grzmot.

– ... rick! – wrzeszczał znów Maldrin swoim potężnym głosem, który sięgał szczytów olinowania, mógł też opróżnić tawernę pełną marynarzy z „Samotnej Gwiazdy”.

– Tutaj! – krzyknął Darrick, krztusząc się i wypluwając wodę. – Tutaj, Maldrin! – Opadł pod wodę i znów się podniósł. Za każdym razem było to coraz trudniejsze. Szkielet nadal trzymał Mata za nogę i Darrick dwa razy musiał uwalniać się od niego kopniakami. – Trzymaj się, Mat. Proszę, trzymaj się. Jeszcze tylko chwila, a Maldrin... – Prąd znów go pociągnął w dół, ale tym razem wydawało mu się, że widzi latarnię po lewej. – ... widzę ich! – ryknął Maldrin. – Trzymajcie tę cholerną łódkę, chłopcy!

Darrick znów znalazł się na powierzchni, zauważając cień wznoszący się za jego plecami. W tej właśnie chwili niebo przeszła kolejna błyskawica i odbiła się w ciemnej wodzie, na chwilę oświetlając znajome rysy Maldrina.

– Mam cię, szefie! – ryczał Maldrin, przekrzykując nawet burzę. – Mam cię! Teraz tylko chodź do starego Maldrina i pozwól mi zabrać trochę tego ciężaru.

Przez chwilę Darrick bał się, że oficer go nie złapie. Potem jednak poczuł, jak Maldrin chwyta go za włosy – a jest to najłatwiejsza część tonącego do uchwycenia – i krzyknąłby z bólu, gdyby się właśnie nie

krztusił. Wtedy Maldrin jakimś sposobem pociągnął go w stronę łodzi, którą przyłynęli.

– Pomóżcie mi! – krzyknął Maldrin.

Tomas pochylił się i wsunął ręce pod ramiona Mata, po czym zaczął wciągać go na łódź.

– Mam go, Darrick. Puszczaj.

Uwolniony od ciężaru Mata, Darrick luźno opuścił ręce. Gdyby Maldrin go nie trzymał, na pewno zostałby porwany przez prąd. Starał się pomóc Maldrinowi we wciągnięciu go na pokład. Kącikiem oka zobaczył chłopca, Lhexa, owiniętego w koc, który już był przemoczony.

– Czekaliśmy na ciebie, szefie – powiedział Maldrin. – Trzymaliśmy się kursu, bo wiedzieliśmy, że tu będziesz. Nawet nie pomyśleliśmy, że mogłoby ci się nie udać, choć wszystko wyglądało bardzo paskudnie. – Poklepał Darricka po ramieniu. – Jesteśmy z ciebie dumni. Po tym wszystkim będziemy mieli co opowiadać, przysięgam.

– Coś go trzyma – powiedział Tomas, usiłując wciągnąć Mata na pokład.

– Szkielet – powiedział Darrick. – Trzyma go za nogę. Nieumarły bez ostrzeżenia wystrzelił na powierzchnię i rzucił się z otwartymi ustami na Tomasa jak głodny wilk. Przerażony Tomas skoczył do tyłu, wciągając Mata do łodzi. Spokojnie, jakby sięgał po talerz w tawernie, Maldrin podniósł swój młot i zmiażdżył szkieletowi czaszkę. Nieumarły puścił Mata i znikł w spienionej wodzie. Darrick z trudem wciągał wielkie hausty powietrza.

– Rzeka jest pełna szkieletów. Poszły za nami. Nie mogą pływać, ale są w wodzie. Jeśli znajdą kotwicę...

Łódź zatrzęsała się nagle i zakołysała na boki. Już nie była skierowana zgodnie z prądem, żeby łatwiej unosić się na wzburzonej rzece. Teraz

podskakiwała jak dziki koń, rzucając marynarzami jak szmacianymi lalkami.

– Coś trzyma linę! – krzyknął jeden z marynarzy. Odpychając innych na bok, Maldrin wyjął nóż z cholewki i przeciął linę kotwiczną, podczas gdy ręce szkieletów chwyciły burty łodzi. Łódź podskoczyła jak szalona, przecinając fale.

– Bierzcie się za wiosła! – nakazał Maldrin, sam chwytając jedno. – Wyprostujcie to cholera–stwo, zanim pójdziemy wszyscy na dno.

Walcząc z wypełniającym go zmęczeniem, jak również z szalonymi podskokami łodzi, Darrick podniósł się i przeczołgał do Mata Hu–Ringa.

– Mat! – krzyknął.

Pojawiła się błyskawica, a zaraz po niej grzmot wypełnił kanion.

– Mat. – Darrick łagodnie przechylił głowę Mata, zauważając od razu, jak bezwładna jest jego szyja.

Twarz Mata ciągle się odwracała, aż w końcu znalazła się naprzeciwko twarzy Darricka. Wielkie ciemne oczy wpatrywały się ślepo w niebo, odbijając kolejną błyskawicę. Prawą stronę jego głowy pokrywała krew, a spod ciemnych włosów wystawały białe kawałki kości.

– Nie żyje – powiedział Tomas, unosząc wiosło. – Bardzo mi przykro, Darrick. Wiem, że byliście przyjaciółmi.

Nie! Darrick nie mógł w to uwierzyć, nie chciał w to uwierzyć. Mat nie mógł umrzeć. Nie przystojny, błyskotliwy i zabawny Mat. Nie Mat, który zawsze wiedział, co powiedzieć dziewczynom w odwiedzanych przez nich portowych miastach. Nie Mat, który opiekował się nim, gdy kary wymierzane przez ojca sprawiały, że wiele dni leżał na stryszku nad stodołą rzeźnika.

– Nie – powiedział Darrick, ale protest ten brzmiał słabo nawet w jego własnych uszach. Patrzył na trupa przyjaciela.

– Najpewniej zginął nagle – odezwał się cicho Maldrin zza pleców Darricka. – Musiał uderzyć głową w kamień. A może zrobił to ten szkielet, z którym walczył.

Darrick przypomniał sobie, jak Mat uderzył w zbocze, spadając z klifu.

– Wiedziałem, że jest martwy, jak tylko go dotknąłem – mówił dalej Maldrin. – Nie mogłeś mu pomóc, Darrick. Każdy, kto przyjął tę robotę od kapitana Tollifera, wiedział, jakie mamy szansę. To pech, nic więcej.

Darrick siedział na środku łodzi, czując, jak uderza w niego deszcz i słysząc grzmoty. Oczy go paliły, ale nie pozwolił sobie na łzy Ojciec nauczył go, że płacz tylko wszystko pogarsza.

– Czy widziałeś demona? – zapytał chłopiec, dotykając ramienia Darricka.

Darrick nie odpowiedział. Dowiedziawszy się o śmierci Mata, zupełnie zapomniał o Kabraxisie.

– Czy był tam demon? – powtórzył pytanie Lhex. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela, ale muszę wiedzieć.

– Ano – odpowiedział Darrick przez zaciśnięte gardło. – Ano, był tam demon, zgadza się. On to wszystko wywołał. To tak, jakby zabił Mata. On i ten kapłan.

Kilku marynarzy dotknęło amuletów, gdy tylko usłyszeli o demonie. Poruszali wiosłami w odpowiedzi na rozkazy Maldrina, ale ich zadaniem było tylko kierowanie łodzią. Wezbrana rzeka szybko ich niosła.

W górze rzeki latarnie paliły się na kodze, walczącej z cumami, kiedy uderzały w nią spienione fale. Darrick domyślał się, że czekała na niej załoga kapitana Raithena. Nie wiedzieli, że kapitan nie wróci.

Podając się przepelniającym go emocjom, Darrick wyciągnął się nad ciałem Mata, jakby chciał go ochronić przed wichrem i deszczem, jak robił to Mat, gdy paliła go gorączka po kolejnym laniu od ojca. Darrick czuł

zapach krwi przyjaciela i przypominało mu to zapach krwi zawsze obecny w sklepie ojca.

Darrick zapadł się w czekającą na niego ciemność, pragnąc nigdy z niej nie powrócić.

JEDENAŚCIE



Darrick leżał w hamaku na pokładzie „Samotnej Gwiazdy”. Ręce splótł za głowę i próbował nie myśleć o koszmarach, które męczyły go przez ostatnie dwie noce. W tych snach Mat nadal żył, ale Darrick wciąż mieszkał z rodzicami w sklepie rzeźnika w Hillsfar. Od swojego wyjazdu Darrick nigdy tam nie wrócił.

Przez te wszystkie lata od opuszczenia miasta Mat odwiedzał rodzinę tylko z wyjątkowych okazji. Dostawał urlop z marynarki Zachodniej Marchii i płynął statkiem kupieckim, zatrudniając się do pilnowania ładunku. Darrick zawsze podejrzewał, że jego przyjaciel nie odwiedzał domu i rodziny tak często, jak by tego chciał. Ale Mat wierzył, że ma dużo czasu. Taki właśnie był – nigdy się nie spieszył, wiedział, że wszystko ma swoje miejsce i czas.

A teraz Mat już nigdy nic wróci do domu.

Darrick pochwycił wypełniający go ból, zanim udało mu się wymknąć spod kontroli. To opanowanie było niezwykle silne. Kształcił je w sobie starannie, bicie po biciu, i słuchając okrutnych rzeczy, które mówił jego ojciec, aż w końcu było silne i pewne jak kowadło.

Pochylił głowę, czując w szyi, karku i ramionach ból po wspinacze przedostatniej nocy. Obróciwszy głowę, wyjrzał przez bulaj na połyskujące niebieskozielone wody zatoki Zachodniej Marchii. Po sposobie, w jaki światło padało na fale, Darrick ocenił, że jest południe – już czas.

Leżał w hamaku i powoli oddychał, uspokajał się, opanowując ból, który groził, że go przepełni, i czekał. Próbował liczyć uderzenia serca, słuchając

ich echa w głowie, ale czekanie było cięższe, gdy liczył czas. Lepiej popaść w odrętwienie i nie pozwolić, by cokolwiek go dotykało.

Wtedy na pokładzie zabrzmiał gwizdek bosmański. Jego dźwięk, ostry, a jednocześnie jakby słodki, unosił się nad odgłosem fal rozbijających o burty, wzywając całą załogę.

Darrick zamknął oczy i próbował nic sobie nie wyobrazić, niczego nie pamiętać. Ale jego nozdrza wypełnił kwaśny zapach pleśniejącego siana na stryszku nad zagrodami, gdzie jego ojciec trzymał zwierzęta czekające na rzeź. Zanim Darrick się zorientował, zobaczył Mata Hu-Ringa, dziewięciolatka w zbyt dużym ubraniu, który zeskoczył z dachu i wylądował na stryszku. Mat wspiął się po kominie wędzarni przylegającej do stodoły za sklepem rzeźnika i przeszedł po dachu, aż w końcu udało mu się wejść na stryszek.

Hej, powiedział Mat, sięgając do kieszeni luźnej koszuli i wyjmując ser i jabłka. Nie widziałem cię wczoraj. Pomyślałem, że tu cię znajdę.

Darrick, wstydząc się pokrytego siniakami ciała, próbował udawać wściekłego i zmusić Mata do odejścia. Nie było to jednak zbyt przekonujące, ponieważ musiał być cicho. Zachowywanie się tak głośno, żeby zwrócić uwagę ojca – i uświadomić mu, że ktoś jeszcze wie o karze – nie wchodziło w grę. Po tym jak Mat rozłożył jabłka i ser, dodając zwiedły kwiat, aby zmienić wszystko w ucztę, a może żart, Darrick nie potrafił już udawać, i nawet wstyd nie mógł zahamować jego głodu.

Darrick był przekonany, że gdyby ojciec kiedykolwiek dowiedział się o odwiedzinach Mata w takich chwilach, nigdy już nie zobaczyłby swojego przyjaciela.

Darrick otworzył oczy i wpatrzył się w gładki sufit. Teraz też już nigdy go nie zobaczy. Darrick szukał zimnego ośpienia, w którym chronił się,

gdy wszystko go przytłaczało. Wkładał je jak zbroję, której każda część idealnie pasowała do pozostałych. Nie pozostało w nim ani trochę słabości.

Znów zabrzmiały gwizdek.

Drzwi do kajuty oficerów otworzyły się bez ostrzeżenia.

Darrick nie podniósł wzroku. Ktokolwiek to był, mógł odejść i zrobić to, jeśli wie, co dla niego dobre.

– Panie Lang – zabrzmiał silny, rozkazujący głos. Odruchy pokonały nawet ból straty i wznie sione mury. Darrick szybko obrócił się w hamaku, zgrabnie się z niego wysunął i wylądował pewnie na nogach, choć statek właśnie w tej chwili opadł na fali.

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział szybko.

W wejściu stał kapitan Tollifer. Był to wysoki, mocno zbudowany mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o siwiejących wąsach nad boleśnie gładko wygoloną twarzą. Kapitan splótł włosy w regulaminowy warkoczyk i nosił najlepszy mundur marynarki Zachodniej Marchii, zielony ze złotymi lamówkami. W rękę miał trójgraniasty kapelusz, a jego buty świeciły jak świeżo wypolerowany heban.

– Panie Lang – powiedział kapitan – czy miał pan ostatnio okazję sprawdzić swój słuch?

– Minęło już trochę czasu – odpowiedział Darrick, stojąc sztywno na baczność.

– W takim razie, kiedy pojutrze dotrzemy do portu w Zachodniej Marchii, jeśli Światłość po zwoli, radzę udać się do lekarza zajmującego się takimi sprawami i sprawdzić to.

– Oczywiście, panie kapitanie – powiedział Darrick. – Zrobię tak, panie kapitanie.

– Wspominam o tym, panie Lang – stwierdził kapitan Tollifer – ponieważ wyraźnie słysza łem, jak gwizdek wzywa wszystkich na pokład.

– Tak, panie kapitanie. Ja również. Tollifer uniósł pytająco brew.

– Myślałem, że może zostanę z niego zwolniony, panie kapitanie – powiedział Darrick.

– To pogrzeb jednego z ludzi pod moją komendą– odrzekł Tollifer. – Człowieka, który zginął bohaterską śmiercią wypełniając swoje obowiązki. Nikt nie jest z tego zwolniony.

– Proszę o wybaczenie, panie kapitanie – powiedział Darrick – ale myślałem, że mogę zostać zwolniony, ponieważ Mat Hu–Ring był moim przyjacielem. – To przeze mnie zginął.

– Miejsce przyjaciela jest u boku przyjaciela.

Darrick starał się mówić chłodno i bez emocji, ciesząc się, że tak właśnie się czuje.

– Już nic dla niego nie mogę zrobić. Tamto ciało to nie Mat Hu–Ring.

– Może pan stanąć tam w jego imieniu, panie Lang – odpowiedział kapitan – przed jego towarzyszami i przyjaciółmi. Myślę, że pan Hu–Ring oczekiwałby tego od pana. Tak samo, jak oczekiwałby ode mnie, że z panem porozmawiam.

– Tak, panie kapitanie.

– W takim razie oczekuję, że odpowiednio się pan przygotuje – stwierdził kapitan Tollifer – i będzie gotów we względnie krótkim czasie.

– Tak, panie kapitanie. – Nawet z całym szacunkiem dla kapitana i strachem, jaki przed nim czuł, Darrick z trudem powstrzymał sprzeciw. Jego smutek należał do niego, nie był własnością marynarki Zachodniej Marchii.

Kapitan odwrócił się do wyjścia, po czym zatrzymał w drzwiach i odezwał poważnie.

– Ja też traciłem przyjaciół, panie Lang. To nigdy nie jest łatwe. Celebруем pogrzeby, by móc w odpowiedni sposób żegnać zmarłych. Nie

chodzi o to, by zapomnieć, ale by przypomnieć nam, że śmierć stanowi pewne zamknięcie, i zapewnić im wieczne miejsce w naszych sercach. Na tym świecie rodzą się dobrzy ludzie, którzy nigdy nie powinni zostać zapomniani. Pan Hu-Ring był jednym z nich i czuję się zaszczycony, że mogłem razem z nim służyć i go poznać. Nie powiem tego w przemówieniu, bo wie pan, że na moim statku jestem zwolennikiem porządku i zasad, ale chciałem, żeby pan o tym wiedział.

– Dziękuję, panie kapitanie – odpowiedział Darrick. Kapitan założył kapelusz.

– Dam panu rozsądną ilość czasu na przygotowania, panie Lang. Proszę się nie ociążać.

– Tak, panie kapitanie. – Darrick patrzył, jak kapitan wychodzi, czując wezbrany ból, zmieniający się w gniew, jak magnes przyciągający całą wściekłość, którą tak długo trzymał w zamknięciu. Zamknął oczy, drżąc, po czym wypuścił zebrane powietrze i zapieczętował emocje.

Gdy otworzył oczy, powiedział sobie, że nic nie czuje. Był maszyną. Skoro nic nie czuł, nie mógł zostać zraniony. Tego nauczył go ojciec.

Ignorując wszystkie bóle i dolegliwości, które męczyły go tamtej nocy, Darrick podszedł do stóp hamaka i otworzył skrzynię. Od tamtej nocy w Porcie Tauruka nie wrócił do czynnej służby. Nie zrobił tego nikt z załogi łodzi, oprócz Maldrina, od którego nikt nie mógł oczekiwać, że będzie leżeć do góry brzuchem, kiedy było tyle roboty.

Darrick wybrał czysty mundur, szybko ogolił się brzytwą, nawet nie zacinając się zbytnio, i ubrał się. Na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” było jeszcze trzech innych młodszych oficerów, pośród których on był najstarszy.

Wciągając białe rękawiczki, wymagane przy takich okazjach, Darrick wyszedł na pokład, mijając ludzi, którzy wpatrywali się w niego. Był

nieczuły, niedotykalny. Nie zobaczą na jego twarzy niczego, bo niczego na niej nie będzie. Sprawnie odpowiedział na ich saluty.

Południowe słońce wznosiło się wysoko nad pokładem „Samotnej Gwiazdy”. Jego promienie dotykały powierzchni morza, migocząc na szczytach spienionych fal jak klejnoty. Olinowanie i płócienne żagle skrzypiały i łopotały na wietrze, gdy statek pędził w stronę Zachodniej Marchii, niosąc wieści o śmierci przywódcy piratów oraz nieprawdopodobnym powrocie demona do świata ludzi. Od powrotu ratowniczej łodzi marynarze na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” nie mówili o niczym więcej i Darrick miał pewność, że wkrótce cała Zachodnia Marchia pełna będzie plotek na ten temat. Niemożliwe stało się prawdą.

Darrick zajął swoje miejsce obok trzech młodszych oficerów przed marynarzami. Wszyscy oficerowie byli od niego dużo młodszy, jeden nawet nie miał dwudziestki, a jednak dowodził, ponieważ ojciec kupił mu patent.

Gdy tak stali obok okrytego flagą ciała Mata, leżącego na desce opartej o reling sterburty, w sercu Darricka pojawiła się niechęć. Nikt z pozostałych oficerów nie zasługiwał na swoją pozycję, nie byli prawdziwymi marynarzami, jak Mat. Darrick wybrał karierę w marynarce i został oficerem, gdy mu to zaproponowano, ale jego przyjaciel nigdy się na to nie zdecydował. Kapitan Tollifer nie uznał za stosowne, by przyznać patent Matowi, choć Darrick nie rozumiał, dlaczego. Z zasady nie zdarzało się to zbyt często, a już bardzo rzadko na tym samym statku, ale przecież kapitan Tollifer właśnie coś takiego zrobił.

Oficerowie nigdy nie zaznali batów od bosmana za niewypełnienie rozkazów kapitana lub niewypełnienie ich do końca. Darrick to przeszedł i znosił te rany i wyzwiska z tym stoickim spokojem, który wykształcił w nim ojciec. Darrick nie obawiał się przejąć dowodzenia w ogniu walki, nawet jeśli miał rozkazy. Z początku takie zachowanie przynosiło mu tylko

ciężką chłostę od surowych kapitanów, którzy nie byli w stanie przyjąć jego interpretacji ich rozkazów. Dopiero pod rozkazami kapitana Tollifera wyszedł na swoje.

Mat nigdy nie chciał zostać oficerem, podobało mu się ciężkie życie marynarza.

Przez te wszystkie lata służby w marynarce Zachodniej Marchii, Darrick często myślał, że opiekuje się Matem, troszczy się o niego. Teraz jednak, patrząc na okryte flagą ciało, Darrick uświadomił sobie, że Mata morze wcale tak bardzo nie fascynowało.

Co byś zrobił? Gdzie byś się udał, gdybym ja cię tu nie ściągnął?^ pytania unosiły się w umyśle Darricka jak mewy na sprzyjającym wietrze. Odepchnął je. Nie pozwoli, by dotknął go ból czy niepewność.

Andregai, stojący obok kapitana na rufie, zagrał na kobzie. Wiatr łopotał wielkim wojskowym płaszczem kapitana. Chłopiec... Lhex, królewski bratanek... stał u boku kapitana. Gdy kobza przestała grać i umilkło echo ostatniego smutnego dźwięku, kapitan wygłosił mowę pogrzebową. Mówił cicho i z godnością o służbie Mata Hu-Ringa i jego oddaniu marynarce Zachodniej Marchii, oraz o tym, że oddał życie ratując królewskiego bratanka. Mimo tych wszystkich faktów mowa była formalna, niemal bezosobowa.

Darrick słuchał monotonnej mowy i krzyków mew lecących za „Samotną Gwiazdą” w nadziei na pozostawione w wodzie odpadki. Zginął ratując królewskiego bratanka. Nie tak to było. Mat został zabity podczas szaleńczej misji i troszcząc się o mnie. To ja doprowadziłem do jego śmierci.

Darrick przyjrzał się załodze wokół. Podczas akcji przed dwóch dni zginął tylko Mat. Może niektórzy wierzyli w to, co twierdził Maldrin, że to

wszystko pech, ale niektórzy z pewnością uważali, iż to on zabił Mata, za długo zostając w jaskini.

Gdy kapitan Tollifer umilkł, znów zabrzmiała kobza i żałobne dźwięki wypełniły pokład. Maldrin, odziany w biały marynarski strój, noszony tylko podczas inspekcji i podczas postoju na kotwicy w Zachodniej Marchii, stanął po drugiej stronie okrytej flagą deski z ciałem Mata. Dołączyło do niego pięciu innych marynarzy.

I znów kobza zagrała, tym razem pożegnalną melodię. Tą melodią ci, co zostawali, życzyli odpływającym szczęśliwego rejsu. Znano ją w każdej nadmorskiej prowincji, jaką odwiedził Darrick.

Gdy umilkła, Maldrin spojrzał na Darricka z pytaniem w szarych oczach. Darrick zebrał się w sobie i niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Dobrze, chłopcy – szepnął Maldrin. – Spokojnie i z całym szacunkiem.

Oficer chwycił deskę i uniósł ją nieco, przechylając, a pozostali mężczyźni – dwóch po jednej stronie razem z nim, a trzech po przeciwnej – zaczęli ją podnosić. Maldrin mocno trzymał flagę Zachodniej Marchii. Moz' e i przykrywano nimi ciała oddawane morzu, ale samych flag nie porzucano.

Jak jeden mąż, Darrick i wszyscy oficerowie odwrócili się w stronę sterburty, a zaraz za nimi podążyli marynarze, wszyscy stojąc sztywno na baczność.

– Niech każdy umierający za Zachodnią Marchię – odezwał się kapitan – wie, że Zachodnia Marchia żyje dla niego.

Inni oficerowie i załoga powtórzyli te znane na pamięć słowa.

Darrick nic nie powiedział. Przyglądał się w milczeniu, tłumiąc wszelkie uczucia. Nic go nie dotykało, gdy okryte całunem ciało Mata wysunęło się spod flagi i znikło wśród fal. Kamienie balastowe umieszczone w nogach całunu, aby obciążać ciało, ściągały je w dół. Przez jakiś czas widać jeszcze

było jego biel. Później i to znikło, zanim jeszcze statek odpłynął i zostawił je za sobą.

Zabrzmiał gwizdek i marynarze rozeszli się.

Darrick podszedł do relingu, z łatwością amortyzując wznoszenie i opadanie statku, co z początku wywoływało w nim chorobę morską. Wpatrywał się w ocean, ale nie widział go. Jego nozdrza wypełniał smród krwi i spleśniałego siana ze stryszku w stodole ojca, odciągając jego umysł od statku i morza. Serce bolało go od uderzeń rzemieniem, którym karał go ojciec, dopóki nie zaczęły go zadowalać jedynie ciosy zadawane Darrickowi pięściami.

Zmusił się, by nic nie czuć, nawet wiatru, który uderzał go w twarz i mierzwił włosy. Większość życia przeżył, nic nie czując. Porzucenie tego było pomyłką.

Tej nocy, ponieważ nic nie jadł w ciągu dnia, gdyż oznaczałoby to dzielenie mesy z innymi ludźmi i znoszenie wszystkich niewypowiedzianych pytań, Darrick zszedł do kambuza. Kuk na czas psiej wachty zostawiał zwykle na małym ogniu kociołek z zupą rybną.

Darrick nałożył sobie zupy, przy okazji zaskakując młodego pomywacza drzemiącego przy długim stole, przy którym załoga spożywała grupami posiłki. Darrick nałożył gęstą jak gulasz zupę na cynowy talerz. Pomywacz zdenerwował się trochę, po czym zabrał za wycieranie stołu, jakby to robił przez cały czas.

Bez słowa, ignorując zawstydzenie chłopaka i jego strach, że takie zaniedbanie obowiązków może zostać zgłoszone przełożonym, Darrick odkroił sobie gruby kawał ciemnego chleba z jednego z przygotowanych przez kuka bochenków i nalał kubek zielonej herbaty. Z herbatą w jednej ręce i chlebem nasiąkającym na talerzu w drugiej, Darrick wrócił na pokład.

Stał na środku pokładu, słuchając szelestu i trzasku żagli. Ponieważ nieśli ważne informacje i znajdowali się na bezpiecznych wodach, kapitan Tollifer kazał postawić wszystkie żagle, wykozystując korzystne wiatry. „Samotna Gwiazda” przecinała posrebrzone blaskiem księżyca fale. Od czasu do czasu mignęło w wodzie coś, co nie było tylko odbłaskiem latarni służących jako światła nawigacyjne.



Darrick stał pewnie na kołyszącym się pokładzie i jadł. Jedną ręką trzymał talerz i kubek – talerz na kubku – a drugą jadł. Namoczył czarny chleb w potrawie, żeby nieco zmiękł, bo inaczej musiał go żuć całą wieczność. Zupę–gulasz zrobiono z krewetek i sosu rybnego, z dodatkiem przypraw z krain wschodu i grubych kawałów ziemniaków. Palila język nawet po zanurzeniu chleba i ochłodzeniu przez nocne wiatry.

Darrick nie pozwalał sobie myśleć o nocach, gdy razem z Matem dzielili psie wachty, podczas których jego przyjaciel opowiadał zupełnie nieprawdopodobne historie, które gdzieś zasłyszał albo wymyślił na poczekaniu i przysięgał, że to najświętsza prawda. Dla Mata to zawsze była zabawa – coś, co nie pozwalało zasnąć podczas długich nocnych godzin i trzymało myśli Darricka z dala od wszystkiego, co wydarzyło się w Hillsfar.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela – powiedział ktoś cicho.

Darrick tak bardzo zdystansował się od swoich emocji, że nawet nie zdziwił się, słysząc za plecami głos Lhexa. Nadal patrzył na morze, przeżuwając ostatni kawał namoczonego w zupie chleba, który włożył do ust.

– Powiedziałem... – zaczął chłopiec trochę głośniej.

– Słyszałem cię – przerwał mu Darrick.

Przestrzeń między nimi wypełniała nieprzyjemna cisza. Darrick nie odwrócił się do chłopca.

– Chciałem porozmawiać z tobą o demonie – powiedział Lhex.

– Nie – odpowiedział Darrick.

– Jestem królewskim bratankiem. – Głos chłopca nieco stwardniał.

– Ale jeszcze nie jesteś królem, prawda?

– Rozumiem, jak się czujesz.

– Świetnie. W takim razie zrozumiesz, jeśli poproszę cię o zostawienie mnie w spokoju, gdy stoję na wachcie.

Chłopiec milczał tak długo, że Darrick uznał nawet, iż ten sobie poszedł. Pomyślał, że rano może mieć kłopoty z kapitanem z powodu swojej niegrzeczności, ale wcale go to nie obchodziło.

– Co to za światełka w wodzie? – spytał Lhex.

Darrick odwrócił się do chłopca. Był zirytowany, a nie chciał odczuwać nawet tego, gdyż z doświadczenia wiedział, że najmniejsze nawet emocje mogą zmienić się w uczucia, których nie potrafi już opanować.

– Co do licha robisz tu o tej porze, chłopcze?

– Nie mogłem spać. – Chłopiec stał na pokładzie z gołymi nogami i w koszuli nocnej, którą musiał pożyczyć od kapitana. – W takim razie znajdź sobie inną rozrywkę. Nie życzę sobie zabawy moim kosztem. Lhex splótł ramiona na piersi, najwyraźniej marznąc.

– Nie mogę. Ty jako jedyny widziałeś demona.

Jedyny żywy, pomyślał Darrick, ale powstrzymał się, zanim myśli doprowadziły go za daleko.

– W jaskini byli też inni.

– Żaden z nich nie został tak długo, by zobaczyć to, co ty.

– Nie wiesz, co widziałem.

– Byłem przy twojej rozmowie z kapitanem. Wszystko, co wiesz, jest ważne.

– A co cię to obchodzi? – spytał Darrick.

– Uczono mnie na kapłana kościoła Zakarum. Całe swoje życie poświęciłem Światłości. Za dwa lata przejdę próbę, by stać się kapłanem.

– Teraz jesteś tylko chłopcem – szydził Darrick – i wtedy też jeszcze będziesz chłopcem. Powinieneś martwić się chłopięcymi sprawami.

– Nie – powiedział Lhex. – Walka z demonami jest moim powołaniem, Darricku Lang. Czy ty nie masz powołania?

– Staram się, żeby zawsze mieć coś w brzuchu – odrzekł Darrick – żyć i spać w ciepłych miejscach.

– A jednak jesteś oficerem i przeszedłeś wszystkie szczeble kariery co jest jednocześnie godne podziwu i trudne. Człowiek bez powołania, bez pasji, nie dokonałby czegoś takiego.

Darrick skrzywił się. Najwyraźniej tożsamość Lhexa jako królewskiego bratanka dużo znaczyła w oczach kapitana Tollifera.

– Będę dobrym kapłanem – stwierdził chłopiec. – Ale żeby walczyć z demonami, muszę się czegoś o nich dowiedzieć.

– To nie ma żadnego związku ze mną – powiedział Darrick. – Kiedy kapitan Tollifer złoży mój raport w ręce króla, mój udział w tym się skończy.

Lhex patrzył mu prosto w oczy.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie wyglądasz mi na człowieka, który nie pomściłby śmierci przyjaciela.

– A kogo w takim razie mam winić za śmierć Mata? – spytał Darrick.

– Twój przyjaciel zginął z ręki Kabraxisa – odpowiedział Lhex.

– Ale dopiero wtedy, gdy zmusiłeś nas do pójścia tam, po tym jak powiedziałem ci, że chcę wracać – powiedział Darrick szorstkim tonem. – Dopiero wtedy, gdy zbyt późno opuściliśmy jaskinię i nie mogliśmy przegonić szkieletów, które za nami podążyły. – Potrząsnął głową. – Nie. Jeśli ktoś jest winien śmierci Mata, to ja i ty.

Twarz chłopca spoważniała.

– Jeśli chcesz mnie winić, Darricku Lang, to proszę bardzo. Darrick czuł, jak emocje przepełniają go i niemal wymykają się spod kontroli. Spojrzał na chłopca, zdziwiony, że ten potrafi mu stawić czoła w środku ciemnej nocy. – Winie cię – powiedział. Lhex odwrócił wzrok.

– Jeśli chcesz walczyć z demonami – kontynuował Darrick, poddając się okrucieństwu, które go wypełniało – będziesz żył krótko. Przynajmniej nie będziesz musiał dużo planować.

– Z demonami trzeba walczyć – szepnął chłopiec.

– Ale nie tacy ludzie jak my – odpowiedział Darrick. – Król z armią czy król z kilkoma armiami, to jest potrzebne. Nie marynarz.

– Widziałeś demona i przeżyłeś – stwierdził Lhex. – Musi być jakiś powód.

– Miałem szczęście – odrzekł Darrick. – Większość ludzi spotykających demony nie ma takiego szczęścia.

– Wojownicy i kapłani walczą z demonami – powiedział Lhex.

– Legendy mówią, że gdyby nie było bohaterów, Diabło i jego bracia wciąż chodziliby po tym świecie.

– Stałeś obok, gdy składałem raport kapitanowi Tolliferowi – stwierdził Darrick. Chłopiec bez wahania wykorzystał swój status, by przekonać kapitana i Tollifer niechętnie zgodził się, by Lhex przysłuchiwał się składaniu raportów poprzedniego ranka. – Wiesz wszystko, co ja wiem.

– Są mędrcy, którzy mogliby cię sprawdzić. Czasem, gdy wokół człowieka działa wielka magia, jej ślady w nim pozostają.

– Nie chcę być badany i sprawdzany – sprzeciwił się Darrick. Wskazał na plamy światła unoszące się w morzu. – Pytałeś, co to jest.

Lhex zwrócił uwagę na ocean, choć wyraz jego twarzy wskazywał, że wolałby dalej ciągnąć poprzedni wątek rozmowy.

– Niektóre z nich – powiedział Darrick – to ogniste rekiny, nazywane tak, bo w taki właśnie sposób błyszczą. Światło przyciąga nocne zwierzęta i sprowadza je w zasięg ataku rekina. Inne to księżycowe meduzy. Są w stanie sparaliżować pechowca, który wpłynie w zasięg ich kolczastych macek. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o morzu, mogę cię wiele nauczyć. Ale jeśli chcesz rozmawiać o demonach, nie życzę sobie tego. Nauczyłem się o nich więcej, niżbym chciał.

Wiatr nieco zmienił kierunek, przez co potężne żagle na chwilę załopotały i znów naprężyły się, gdy załoga zmieniła ich ustawienie.

Darrick spróbował zupy, ale odkrył, że zupełnie wystygła.

– Kabraxis jest odpowiedzialny za śmierć twojego przyjaciela – powiedział cicho Lhex. – Nie zapomnisz o tym. Wciąż jesteś tego częścią. Widziałem znaki.

Darrick zmusił się do wypuszczenia powietrza, czując jednocześnie złość, strach i niemożność ucieczki. Czuł się dokładnie tak samo, jak w sklepie ojca, gdy ten właśnie uznał, że znowu coś mu się nie podoba. Z trudem udało mu się zdystansować i znów opanować uczucia. Wówczas skierował się w stronę chłopca, z zamiarem wyładowania gniewu, nawet jeśli był on królewskim bratankiem.

Kiedy jednak Darrick obrócił się, pokład za nim był pusty. W blasku księżyca wydawał się srebrny, poprzecinany jedynie cieniami masztu i olinowania. Darrick z wściekłością wyrzucił talerz i kubek za burtę.

Księżycowa meduza chwyciła talerz w macki. Gdy próbowała wbić w nią kolce, na metalu pojawiła się błyskawica.

Darrick przeszedł na sterburtę i oparł się o nią ciężko. Oczami duszy widział szkielet chwytający Mata, zrzucający go z krawędzi, potem znów był świadkiem uderzenia o zbocze. Ciało Darric-ka pokrył zimny pot na wspomnienie tych wszystkich dni w sklepie ojca. Nie powróci tam... ani fizycznie, ani w głowie.

DWANAŚCIE



Darrick siedział przy jednym ze stołów w tawernie „U zezowatego Sala”, zaledwie kilka ulic od Ulicy Doków i Dzielnicy Kupców. Tawerna była tak naprawdę, spelunką, jednym z miejsc, do których trafiali ponurzy marynarze bez pieniędzy lub z pechem, zanim znów podpisali kontrakt i wrócili na morze. Było to miejsce, w którym wieczorami latarnie specjalnie przygaszano, bo dziewczki służebne lepiej wyglądały, jeśli ich nie było wyraźnie widać, i nie można się było uważnie przyjrzeć jedzeniu.

Pieniądze trafiały do Zachodniej Marchii przez porty, w postaci pękatek sakiewek kupców, sprzedających i kupujących różne towary, oraz skromnych sakiewek marynarzy i dokerów. Pieniądze płynęły najpierw do sklepów znajdujących się wzdłuż doków i przystani – większość z nich tam właśnie pozostawała. Niewiele tylko spływało do interesów tłoczących się na tyłach sklepów i zakładów, tawern porządných i niezupełnie porządných.

„U zezowatego Sala” ozdabiał szyld przedstawiający hożą rudowłosą dziewczę podaną na parującej muszli ostrygi, okrytą jedynie włosami. Tawerna znajdowała się w podupadłej części miasta, wśród starszych już budynków zajmujących przestrzeń wyżej na zboczu nad przystanią. Przez lata istnienia i rozrostu Zachodniej Marchii i portu, prawie wszystkie budowle nad morzem zostały zburzone i odbudowane.

Tylko kilka starszych budynków, wybudowanych przez doskonałych rzemieślników, stało nadal, służąc jako punkty orientacyjne. Za tymi interesami, które zbierały większość pieniędzy, znajdował się margines kupców i właścicieli tawern, którzy z trudem wyrabiali na comiesięczne

rachunki i podatki. Utrzymywali ich jedynie znajdujący się w rozpaczliwej sytuacji marynarze bez pracy i do-kerzy.

W tawernie „U zezowatego Sala” był wyjątkowy tłum, wypełniający ją niemal po brzegi. Marynarze trzymali się z dala od dokerów, gdyż obie grupy od niepamiętnych czasów pozostawały w konflikcie. Marynarze patrzyli z góry na dokerów, bo uważali, że ci nie mają odwagi wyruszyć w morze, a dokerzy nie uznawali marynarzy za prawdziwą część społeczności. Obie grupy trzymały się z dala od najemników, którzy zaczęli ostatnio pojawiać się w mieście.

„Samotna Gwiazda” powróciła do Zachodniej Marchii przed dziewięcioma dniami i nadal oczekiwała na rozkazy. Darrick pił samotnie przy stole. Podczas całej przepustki pozostawał sam. Większość z załogi „Samotnej Gwiazdy” kręciła się wokół niego ze względu na Mata. Obdarzony wspaniałym humorem i znający wiele historii, Mat nigdy nie narzekał na brak towarzystwa, przyjaciół czy pełnego kufła piwa przy każdym spotkaniu.

Nikt z załogi nie próbował spędzać więcej czasu z Darrickiem. Kapitan nie pochwalał bratania się oficerów z załogą, a poza tym Darrick nigdy nie był dobrym towarzystwem. Teraz, gdy Mat nie żył, wcale nie pragnął towarzystwa.

Przez ostatnie dziesięć dni Darrick sypiał raczej na pokładzie statku niż w ramionach chętnych kobiet i szlajał się od jednej speluny do drugiej, a żadna nie była lepsza od „Zezowatego Sala”.

Normalnie Mat zaciągnąłby go do kilku dobrych gospod, a może nawet załatwił im zaproszenia na imprezy organizowane przez mniej znaczących polityków z Zachodniej Marchii. Jakimś sposobem Matowi udało się zaznajomić z paroma żonami i metresami tych mężczyzn, przy okazji

zwiedzania muzeów, galerii sztuki i świątyń – tych zainteresowań Darrick nie podzielał. Nawet nudził się na przyjęciach.

Darrick znów ujrzał dno w kubku grzanego wina i poszukał wzrokiem dziewczki służebnej, która go obsługiwała. Ujrzał jątrzy stoły dalej, otoczoną ramieniem potężnego najemnika. Jej śmiech wydawał mu się obrzydliwy i przepełnił go gniew, którego nie zdążył powstrzymać.

– Dziewczyno – zawołał niecierpliwie, stukając cynowym kubkiem o nierówny blat.

Dziewka wydostała się z uchwytu najemnika, chichocząc i odpychając się od niego w sposób, który miał być skuteczny, ale jednocześnie kuszący. Przeszła przez zatłoczone pomieszczenie i wzięła kubek od Darricka.

Grupa najemników popatrzyła krzywo na Darricka i zaczęła rozmawiać między sobą przyciszonymi głosami.

Darrick zignorował ich i oparł się o ścianę za plecami. Był w takich knajpach niezliczoną ilość razy i widział setki ludzi podobnych do tych najemników. Normalnie przebywał wśród załogi, bo kapitan Tollifer nakazał, by nikt nie pił sam. Od kiedy jednak dopłynęli do tego portu, Darrick zawsze pił sam, wracając na statek każdego ranka przed świtem, chyba że miał wczesną wachtę.

Dziewka przyniosła Darrickowi pełny kubek. Zapłacił jej, dodając skromny napiwek, co nie zapewniło mu przychylnego spojrzenia dziewczyny. Normalnie Mat rozstałby się ze sporą sumką, zdobywając sympatię dziewczek służebnych. Tej nocy Darricka nic to nie obchodziło. Pragnął tylko pełnego kubka, aż w końcu sobie pójdzie.

Powrócił do zimnego jedzenia na stojącym przed nim talerzu. Posiłek składał się z żylastego mięsa i przypalonych ziemniaków, pokrytych zasmażką równie apetyczną, co psia ślina. Tawerna mogła dawać takie kiepskie posiłki, bo całe miasto kwitło dzięki najemnikom żyjącym z

królewskiego skarbcza. Darrick odgryzł kawałek mięsa i przeżuł je, patrząc jak potężny najemnik wstaje ze swojego miejsca, z dwoma kolegami po obu stronach.

Darrick przesunął pod stołem swój kord na kolana. Przyzwyczaił się do jedzenia lewą ręką, żeby prawą mieć zawsze wolną.

– Ty, marynarzyku – zaryczał wielki najemnik, siadając nieproszony na krześle po drugiej stronie stołu Darricka. Sposób, w jaki powiedział te słowa, wskazywał na to, że traktował je jak obelgę.

Choć dokerzy dokuczali marynarzom, bo uważali ich za ledwie za gości, a nie prawdziwych mieszkańców miasta, to najemnicy byli nimi w jeszcze mniejszym stopniu. Uważali się za dzielnych wojowników, nawykłych do boju, a kiedy jakiś żeglarz twierdził to samo, usiłowali zmniejszyć jego odwagę.

Darrick czekał, świadom, że spotkanie nie zakończy się dobrze i właściwie mając na to nadzieję. Nie był pewien, czy na sali znalazłby się choć jeden człowiek, który ująłby się za nim, ale nie obchodziło go to.

– Nie powinienes przeszkadzać dziewczynie, która zajmuje się swoimi sprawami, jak ta dziewczyna – powiedział najemnik. Był to młody, szczerbaty blondyn o szerokiej twarzy, który w większości wypadków radził sobie wyłącznie dzięki potężnej posturze. Blizny na twarzy i rękach opowiadały o minionych bójkach. Miał tani skórzany kaftan, a przy boku zwisał krótki miecz z owiniętą drutem rękojeścią.

Dwaj inni najemnicy byli w podobnym wieku, ale nie mieli aż tyle doświadczenia. Darrick sądził, że idą za swoim druhem. Wydawało się, że pomysł rozróby wcale im się nie podoba.

Darrick pociągnął z kufła. Nagłe ciepło wypełniło mu żołądek i wiedział już, że tylko część tego ciepła pochodziła z wina.

– To mój stół – odpowiedział – i nikogo tu nie zapraszałem.

– Wyglądałeś na samotnego – odparł wielkolud. – Sprawdź sobie wzrok – poradził Darrick. Tamten skrzywił się.

– Nie jesteś zbyt towarzyski.

– Nie jestem – zgodził się Darrick. – Teraz macie na to dowód. Najemnik pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole i kładąc kwadratową szcękę na złożonych palcach.

– Nie lubię cię.

Darrick chwycił pod stołem rękojeść kordu i oparł się o ścianę za plecami. Migocząca świeczka na sąsiednim stole rzucała cienie na twarz potężnego mężczyzny.

– Syrnon – powiedział jeden z jego towarzyszy. – Ten człowiek ma na kołnierzu oficerski wieniec.

Niebieskie oczy Syrnona zwęziły się, gdy przyglądał się szyi Darricka. Do jego kołnierza przypięty był wieniec z dębowych liści, z dwoma granatami oznaczającymi jego rangę. Zakładanie go stało się takim nawykiem, że nawet o nim zapomniał.

– Jesteś oficerem na królewskim statku? – spytał Syrnon.

– Tak. Czyżby przerażała cię myśl o możliwej zemście króla za atak na oficera jego marynarki? – zaszydził. – Syrnon – powiedział drugi mężczyzna. – Lepiej zostawmy tego człowieka. Mężczyzna może by odszedł. Nie był na tyle pijany, by zapomnieć o rozumie, a lochy Zachodniej Marchii nie słynęły z wygód.

– Idź – powiedział cicho Darrick, poddając się ponuremu nastrojowi, który go przepełniał – i nie zapomnij o podkuleniu ogona.

W przeszłości Mat zawsze wyczuwał, kiedy Darricka ogarnia taki nastrój i potrafił go z niego wyciągnąć albo prowadził w miejsca, gdzie pragnienie autodestrukcji nie mogło się w pełni ujawnić.

Tej nocy Mata tu nie było, podobnie jak przez ostatnie dziewięć długich nocy.

Rycząc z wściekłości, Syrnon wstał i sięgnął przez stół z zamiarem chwycenia Darricka za koszulę. Darrick pochylił się do przodu i głową uderzył najemnika w twarz, łamiąc mu nos. Z nozdrzy Syrnona poleciała krew, mężczyzna zatoczył się do tyłu.

Dwaj pozostali najemnicy próbowali wstać.

Darrick machnął kordem, trafiając jednego z nich płazem w skroń i pozbawiając go przytomności. Nim jeszcze mężczyzna zdążył upaść, Darrick zwrócił się ku drugiemu. Najemnik sięgał do pochwy z mieczem, zanim jednak zdołał ją wyjąć, Darrick kopnął go w pierś, posyłając na sąsiedni stół, który wywrócił się razem z nim. Od stołu wstało czterech wojowników, przeklinając i tego, który im przeszkodził, i Darricka.

Syrnon wyciągnął krótki miecz, sprawiając, że wszyscy wkoło pochylali się lub odsuwali. Zabrzmiały kolejne przekleństwa.

Darrick wyskoczył na stół, przeskoczył nad ciosem Syrnona, zrobił salto do przodu (czując zawroty głowy, gdyż sporo wypił) i wylądował za plecami wielkiego najemnika. Syrnon odwrócił się i splunął krwią, przeklinając Darricka. Całą jego twarz pokrywała krew ze złamanego nosa. Machnął mieczem w stronę głowy marynarza.

Darrick sparował ten atak kordem, stal uderzyła o stal. Blokując ostrze przeciwnika, Darrick zacisnął rękę w pięść i uderzył w głowę Syrnona. Policzek najemnika pękł. Darrick uderzył przeciwnika jeszcze dwa razy, co wywołało w nim dużą satysfakcję. Syrnon był większy od niego, tak jak kiedyś jego ojciec, na tyłach sklepu rzeźnika. Tyle tylko, że Darrick nie był już przerażonym chłopcem, zbyt małym i zbyt niedoświadczonym, by się bronić. Uderzył Syrnona jeszcze raz, popychając mężczyznę do tyłu.

Prawe oko zaczynało już Syrnonowi puchnąć, a do rozciętego policzka dołączyły rozcięta warga i ucho.

Ręka Darricka pulsowała od ciosów, ale prawie tego nie czuł. Uwolnił swoją ciemność, w sposób, jakiego jeszcze nie zaznał. Aż dygotał wewnątrz od coraz silniejszych emocji. Syrnon niespodziewanie machnął ręką, uderzając Darricka w twarz pięścią. Głowa marynarza poleciała do tyłu i przez chwilę miał zawroty głowy, gdy jego usta wypełnił miedziany posmak krwi, a nos smród zapleśniałego siana.

Nikt nie myśli, że jesteś podobny do mnie! Głos Orvana Langa wypełniał głowę Darricka. Jak myślisz, dlaczego chłopiec nie jest podobny do swojego ojca? Każdy tylko miele ozorem. A ja, przeklęty głupiec, kocham twoją matkę.

Parując kolejny rozpaczliwy atak najemnika, Darrick zrobił następny krok do przodu. Jego umiejętności szermiercze znane były w całej marynarce Zachodniej Marchii każdemu, kto stawiał mu czoła lub stał u jego boku, gdy walczył z piratami i przemytnikami.

Przez jakiś czas po opuszczeniu Hillsfar i dotarciu do Zachodniej Marchii, Darrick uczył się u mistrza szermierki, wymieniając pracę i gorliwość na ćwiczenia. Przez sześć lat Darrick naprawiał i posypywał piaskiem podłogi i ściany pokoju do ćwiczeń, a później sam zaczął uczyć innych, jednocześnie pragnąc zrobić karierę w marynarce Zachodniej Marchii.

Ćwiczenia utrzymywały Darricka w równowadze, aż do śmierci mistrza Córo w pojedynku z pewnym księciem o honor kobiety. Darrick wytropił dwóch zabójców, jak również samego księcia, i zabił ich wszystkich. Jednocześnie zwrócił na siebie uwagę komodora marynarki Zachodniej Marchii, który wiedział o pojedynku i zabójstwie. Mistrz Córo wyćwiczył

kilkunastu oficerów i kapitanów. W efekcie Darrick i Mat dostali koje na swoim pierwszym statku.

Po śmierci mistrza Córo statek, ze swoim surowym rygorem i wszystkimi zasadami, był odpowiednim środowiskiem dla Darricka, dawał mu spokój. Mat pomagał.

Teraz, podczas walki, Darrick czuł się świetnie. Utrata Mata i dziewięć dni oczekiwania na jakiś sensowny przydział działały mu na nerwy. „Samotna Gwiazda”, kiedyś dom i przystań, przypominała mu, że Mat odszedł. Poczucie winy wgrzyzło się głęboko w każdą deskę na jej pokładzie i Darrick pragnął działać.

Darrick bawił się z najemnikiem, a jego duszę wypełniała ciemność. Kilka razy przez te wszystkie lata od ucieczki z Hillsfar zastanawiał się nad powrotem i zobaczeniem z ojcem – szczególnie, kiedy Mat wracał, by odwiedzić rodzinę. Darrick nie tęsknił za matką – pozwalała na te wszystkie lania, które sprawiał mu ojciec, bo miała własne życie, a małżeństwo z wpływowym rzeźnikiem pasowało do jej stylu.

Darrick ukrywał swoją wewnętrzną ciemność, otoczył ją murami.

Teraz jednak nie mógł jej powstrzymać. Przebijał obronę wielkiego najemnika, coraz bardziej spychając go do tyłu. Syrnon wołał o pomoc, ale żaden z pozostałych najemników nie miał zbyt wielkiej ochoty wtrącić się do bójki.

Rozbrzmiał ostrzegawczy gwizd.

Część Darricka wiedziała, że gwizdek oznajmiał przybycie królewskich Strażników. Strażnicy byli twardymi mężczyznami i kobietami, oddanymi utrzymaniu królewskiego pokoju w murach miasta.

Najemnicy i marynarze od razu się rozstąpili. Każdy, kto nie poznał władzy Strażnika, spędzał noc w lochu.

Darrick nie zawahał się, wypełniony przez mroczne emocje. Nadal szedł do przodu, spychając najemnika do tyłu, aż ten nie miał już gdzie się cofnąć. Ostatnią ripostą pozbawił przeciwnika broni, wyrzucając ją w bok wprawnym ruchem nadgarstka.

Najemnik rozpląszczył się o ścianę. Stał na palcach, a na gardle miał kord Darricka.

– Proszę – wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

Darrick nadal trzymał mężczyznę. Wydawało mu się, że w pomieszczeniu jest za mało powietrza. Za sobą słyszał gwizdki, a jeden z nich się zbliżał.

– Odłóż miecz – powiedziała spokojnie kobieta. – Natychmiast. Darrick odwrócił się z kordem w rękę, by odepchnąć kobietę. Kiedy jednak spróbował sparować trzymaną przez nią laskę, ona ją obróciła i uderzyła go w pierś. Ciało Darricka przeszły prąd. Upadł.

Przez kraty zasłaniające małe okno w kamiennej ścianie nad łóżkiem wpadało poranne słońce. Darrick zamrugał i wpatrzył się w światło. Nie został zabrany do właściwego lochu. Był za to wdzięczny, choć zdziwiony.

Darrick usiadł, czując, że głowa mu zaraz wybuchnie. Łóżko zaskrzypiało i pociągnęło dwa łańcuchy na ścianie. Oparł stopy na podłodze i wyjrzał przez kraty, które stanowiły czwartą ścianę pudełkowatego pomieszczenia o wymiarach osiem stóp na osiem stóp i identycznej wysokości. Cienki materac, który niemal zakrywał łóżko, wypełniało zgniłe siano. Pokrycie siennika miało plamy w miejscach, gdzie jego poprzedni użytkownicy ulżyli sobie lub zwymiotowali.

Darrick poczuł, że jego żołądek zaczyna się buntować. Rzucił się w stronę wiadra na pomyje w rogu celi. Poczuł fale mdłości i zwymiotował gwałtownie. Czuł się tak słaby, że z ledwością trzymał się krat.

W cieniach wypełniających budynek zabrzmiał czyjś szczekliwy śmiech.

Darrick kucnął, nie mając pewności, czy mdłości już minęły, i spojrzał wściekle w stronę celi naprzeciwko.

Na łóżku w drugiej celi siedział po turecku kudłaty mężczyzna odziany w skóry. Mosiężne naramienniki, jak również tatuaże na twarzy i ramionach sugerowały, że był najemnikiem z jakichś mniej cywilizowanych okolic.

– Jak się dzisiaj czujesz? – spytał mężczyzna.

Darrick zignorował go.

Mężczyzna wstał z łóżka i zbliżył się do krat swojej celi. Chwyając je, powiedział:

– Co jest w tobie takiego, marynarzu, że wszyscy tutaj poszaleli? Darrick pochylił głowę nad śmierdzącym wiadrem, i znów zwymiotował.

– Przeprowadzili cię wczoraj w nocy – ciągnął dalej kudłaty wojownik – a ty walczyłeś z nimi wszystkimi. Szaleniectwo, tak myśleli niektórzy. A jedna ze Strażników znów potraktowała cię swoją laską wstrząsową.

Laska wstrząsowa, pomyślał Darrick, uświadamiając sobie, dlaczego wszystko go tak bolało i miał skurcze mięśni. Czuł się, jakby go przeciągnięto pod kilem, a potem wciągnięto na statek po pokrytym pąklami kadłubie. Niektórzy Strażnicy nosili na laskach mistyczne klejnoty, które wywoływały wstrząsy obezwładniające więźniów.

– Jeden ze strażników zaproponował, żeby dać ci w łeb i skończyć z tym – powiedział wojownik. – Ale inny powiedział, że jesteś bohaterem. Że widziałeś demona, o którym gadają wszyscy w całej Zachodniej Marchii.

Darrick trzymał się krat i oddychał płytko.

– Czy to prawda? – spytał wojownik. – Bo ostatniej nocy widziałem pijaka. Odgłos ciężkiego klucza przekręcanego w zamku wypełnił pomieszczenie, na co reakcją były przekleństwa mężczyzn i kobiet trzymanyh w innych celach. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Darrick oparł się o ścianę przy kratkach, żeby móc wyjrzeć na korytarz.

Pierwszy pojawił się strażnik więzienny w stroju Strażnika z dystynkcjami sierżanta. Za nim podążył kapitan Tollifer odziany w swój długi płaszcz.

Mimo mdłości Darrick podniósł się, jak kazały mu lata ćwiczeń. Zasalutował, mając tylko nadzieję, że żołądek nie wybierze akurat tej chwili, żeby się opróżnić.

– Kapitanie – wychrypiał Darrick.

Strażnik, przysadzisty mężczyzna z wąsami i łysinką, odwrócił się w stronę Darricka.

– A, tu jest, kapitanie. Wiedziałem, że jesteśmy blisko. Kapitan Tollifer spojrzał twardo na Darricka.

– Panie Lang, czuję się rozczarowany.

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział Darrick. – Czuję się źle z tego powodu, panie kapitanie.

– I powinien pan – stwierdził kapitan Tollifer. – I będzie się pan czuł jeszcze gorzej przez najbliższe kilka dni. Nie chciałbym nigdy widzieć oficera ze swojego statku w takiej sytuacji.

– Tak jest, panie kapitanie – zgodził się Darrick, choć właśnie uświadomił sobie ze zdziwieniem, że tak naprawdę niewiele go to obchodzi.

– Nie wiem, co sprawiło, że znalazł się pan w tak przykrym położeniu – ciągnął kapitan – ale wiem, że dużą w tym rolę odgrywa śmierć pana Huringa.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie – powiedział Darrick – ale śmierć Mata nie ma z tym nic wspólnego. – Nie zniósłby tego.

– W takim razie, panie Lang – kontynuował kapitan zimno – czy może pan przedstawić jakieś inne wyjaśnienie stanu, w jakim pana znajduję?

Darrick stał na drżących nogach, patrząc na kapitana.

– Nie, panie kapitanie.

– W takim razie pozwólmy, że na razie zapomnę o tak rażącym zachowaniu, którego zupełnie po panu nie oczekiwałem.

– Tak, panie kapitanie. – Darrick nie był w stanie powstrzymać się dłużej, więc odwrócił się i zwymiotował do wiadra.

– I proszę sobie zapamiętać jedną rzecz, panie Lang – powiedział kapitan. – Nie będę tolerował takiego zachowania.

– Tak jest, panie kapitanie – odpowiedział Darrick, tak słaby, że nie był w stanie podnieść się z kolan. – Strażniku – stwierdził kapitan – proszę go teraz wypuścić. Darrick znów zwymiotował.

– Może za kilka chwil – zaproponował strażnik. – Mam u siebie dzbanek herbaty, jeśli zechce się pan do mnie przyłączyć. Dajmy temu młodzieńcowi trochę czasu dla siebie, może wówczas będzie miłym towarzyszem.



Zawstydzony, że gniew prawie wyrywa mu się spod kontroli, Darrick słuchał, jak obaj mężczyźni odchodzą. Mat przynajmniej przyłączyłby się do niego w celi, śmiejąc się z niego, ale nie opuszczając go.

Darrick znów zwymiotował i znów ujrzał szkielet zrzucający Mata z klifu. Tyle tylko, że tym razem widział również demona stojącego nad nimi i śmiejącego się, gdy obaj lecieli w stronę rzeki.

– Nie możesz go jeszcze zabrać – sprzeciwił się uzdrowiciel. – Potrzebuję jeszcze co najmniej trzech szwów, żeby zszyć tę ranę nad okiem.

Darrick siedział spokojnie na stołeczku w gabinecie uzdrowiciela i patrzył jednym okiem na Maldrina stojącego w wąskich drzwiach. Na zewnątrz przechodzili inni ludzie, wszyscy ranni lub chorzy. Gdzieś w

korytarzu rozbrzmiewał krzyk rodzącej kobiety, która przysięgała, że rodzi demona.

Pierwszy oficer nie wyglądał na uszczęśliwionego. Przez chwilę patrzył w oczy Darrickowi, po czym odwrócił wzrok.

Darrick sądził, że Maldrin był zły ale wydawało mu się, że wyczuwa też trochę wstydu. Nie po raz pierwszy Maldrin musiał go szukać w ostatnim czasie.

Darrick rozejrzał się po gabinecie uzdrowiciela, przyglądając się półkom wypełnionym eliksirami i proszkami, słojami liści, suszonych jagód i kory, woreczkami z kamieniami o leczniczych właściwościach.

Uzdrowiciel urzędował kawałek od Ulicy Doków i był starszym mężczyzną, do którego często zwracali się o pomoc marynarze i dokerzy. Powietrze wypełniały ostre zapachy maści i medykamentów, które podawał odwiedzającym go ludziom.

Przewlekłszy kolejny kawałek cienkiej katgutowej nici przez trzymaną w rękę zakrzywioną igłę, uzdrowiciel pochylił się i przebił ciało nad prawym okiem Darricka. Mężczyzna nie ruszył się, nawet nie mrugnął.

– Na pewno nie chcesz nic przeciw bólowi? – spytał uzdrowiciel.

– Na pewno. – Darrick nie myślał o bólu, umieścił go w tej samej części umysłu, którą wybu dował wiele lat wcześniej, by poradzić sobie z piekłem, w którym umieścił go ojciec. To szczególne miejsce mogło znieść dużo więcej niż tylko niewygodę, jaką były działania uzdrowiciela. – Czy kapitan wie?

Maldrin westchnął.

– Że wdałeś się w kolejną bójkę i zdemolowałeś kolejną tawernę? Ano, wie, szefie. Caron tam poszedł, żeby dowiedzieć się o zniszczenia i ile masz zapłacić. Tyle teraz za to płacisz, że naprawdę nie wiem, skąd masz grosiwo na picie.

– Nie zacząłem tej bójkii – powiedział Darrick, ale nie zabrzmiał zbyt przekonywująco, ponieważ tej samej wymówki używał już od tygodni.

– Tak mówisz – zgodził się Maldrin. – Ale kapitan słyszał od tuzina ludzi, że nie wyszedłeś, kiedy miałeś okazję.

Głos Darricka stwardniał.

– Ja nie odchodzę, Maldrin. I bądź cholernie pewien, że nie uciekam przed kłopotami.

– A powinienes.

– Czy kiedykolwiek wycofałem się z walki? – Darrick wiedział, że w rzeczywistości sam chce zobaczyć wydarzenia tej nocy w odpowiedniej perspektywie. Coraz bardziej starał się znaleźć jakieś uzasadnienie dla aktów przemocy, w jakie ciągle wplątywał się na lądzie.

– Z walki? – powiedział Maldrin, zaplatając grube ramiona na szerokiej piersi. – Nie, nie wi działałem, żebyś wycofał się z działania, jak już się razem do tego zabraliśmy. Ale musisz się nauczyć, jak zmniejszać straty. Te bzdury, które ludzie mówią w tych spelunach, co to je odwiedzasz... o to nie ma się co bić. Wiesz równie dobrze, jak ja, że marynarz wybiera, kiedy walczy. Ale ty, szefie, na Światłość, walczysz, żeby walczyć.

Darrick zaniknął zdrowe oko. Drugie było zapuchnięte i zakrwawione. Tamten marynarz, z którym walczył w „Tłustym Węgorzu Gargana”, miał zaczarowaną broń i zaczął działać wcześniej, niż spodziewał się Darrick. – W ile bójek się wdałeś w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, szefie? – spytał cicho Maldrin. Darrick zawahał się.

– Nie wiem.

– Siedemnaście – odpowiedział Maldrin. – Siedemnaście bójek. Wszystkie częściowo albo w całości wywołane przez ciebie.

Darrick poczuł napięcie w najnowszym szwie, gdy uzdrowiciel skończył szycie.

– Światłość musi cię lubić, tyle ci powiem – stwierdził Maldrin – bo jeszcze nikt nie zginął. A i ty nadal żyjesz.

– Byłem ostrożny – stwierdził Darrick i od razu pożałował tego usprawiedliwienia.

– Ostrożny człowiek, szefie – sprzeciwił się Maldrin – nigdy by się nie wpakował w takie kłopoty. Niech to diabli, jak ktoś ma trochę oleju w tej cholernej makówce, to w ogóle nie zagląda do takich spelun. I na tym polega problem.

Darrick zgodził się w milczeniu. Ale zapowiedź kłopotów właśnie przyciągała go do takich miejsc. Kiedy walczył, nie myślał, a nie musiał milczeć zbyt długo ani zbyt często, gdy pił i czekał na kogoś, z kim można wdać się w bójkę.

Uzdrowiciel przygotował kolejny szew.

– Szefie – powiedział cicho Maldrin – kapitan Tollifer docenia wszystko, co zrobiłeś. I nie zapomni o tym. Ale jest dumnym człowiekiem i nie bardzo mu się podoba, że w tych trudnych czasach musi się jeszcze zajmować jednym ze swoich ludzi, który ciągle się bije. I chyba wcale nie muszę ci o tym mówić.

Darrick zgodził się.

– Potrzebujesz pomocy, szefie – powiedział Maldrin. – Kapitan to wie. Ja to wiem. Załoga to wie. Chyba tylko ty jesteś przekonany, że jej nie potrzebujesz.

Uzdrowiciel podniósł z kolan ręcznik, starł delikatnie krew z oka Darricka, polał ranę świeżą słoną wodą i zabrał się za ostami szew.

– Nie ty jeden straciłeś przyjaciela – wychrypiał Maldrin.

– Nigdy tak nie mówiłem.

– A ja – ciągnął Maldrin, jakby nie słyszał Darricka – zaraz stracę dwóch. Nie chcę, żebyś opuścił „Samotną Gwiazdę”, szefie. Nie, jeśli mogę pomóc.

– Nie ma sensu, żebyś przeze mnie nie spał, Maldrin – powiedział Darrick głosem bez emocji. Najbardziej przerażało go, że tak się czuł, ale wiedział, że były to tylko słowa ojca. One nigdy nie opuszczały jego głowy. Udawało mu się uciec przed pięściami ojca, ale nie przed jego ostrymi słowami. Tylko Mat sprawiał, że czuł się inaczej. Żadna z innych przyjaźni nie pomagała, ani wspomnienia kobiet, z którymi był przez te wszystkie lata. Nawet Maldrin nie mógł do niego dotrzeć.

Wiedział, dlaczego. Wszystko, czego dotknął, zmieniał się w gnój. Ojciec tak mu powiedział i okazało się to prawdą. Stracił Mata, a teraz tracił „Samotną Gwiazdę” i karierę w marynarce Zachodniej Marchii.

– Może i nie – powiedział Maldrin. – Może i nie.

Darrick biegł, a serce biło tak mocno, że zakażona, tygodniowa rana nad okiem pulsowała boleśnie. Z trudem łapał oddech, trzymając u boku kord i biegnąc przez uliczki w Dzielnicy Kupców.

Dobiegł do Ulicy Doków, skręcił w stronę Ulicy Floty głównej alei przechodzącej przez Dzielnicę Wojskową, w której znajdowała się przy stań marynarki Zachodniej Marchii.

W pewnej odległości widział fregaty, wbijające wysokie maszty w mgłę otaczającą port. Kilka statków już wypłynęło i opuściło Zachodnią Marchię, korzystając ze sprzyjającego wiatru.

Jak dotąd piraci Raithena nie stanowili prawdziwego zagrożenia dla miasta i może nawet rozproszyli się, ale zebrali się inni piraci. Korzystali z ożywienia w handlu morskim, gdyż Zachodnia Marchia sprowadzała coraz więcej towarów, by utrzymać marynarkę, armię i najemników. Ponieważ minęło dwa i pół miesiąca, a Kabraxisa nadal nikt nie widział, król zaczął wątpić w wieści przyniesione przez „Samotną Gwiazdę”. Teraz największymi problemami Zachodniej Marchii byli zniecierpliwieni najemnicy, którym brakowało prawdziwego celu i zajęcia, oraz

zmniejszające się zapasy żywności, których miastu nie udało się uzupełnić od czasu ataku na Tristram.

Darrick przeklinał mgłę pokrywającą miasto szarą warstwą. Obudził się w bocznej uliczce, nie wiedząc, czy tam usnął, czy też został wyrzucony zjedną z pobliskich tawern. Obudził się dopiero po pianiu koguta, a „Samotna Gwiazda” miała tego dnia wypływać.

Przeklinał swoją głupotę, wiedząc, że powinien zostać na statku. Ale nie mógł. Nikt na pokładzie, włączając w to kapitana i Maldrina, już z nim nie rozmawiał. Stał się kłopotliwy, co zawsze powtarzał mu ojciec.

Zdyszany, przebiegł przez Most Spinakera, jeden z ostatnich posterunków, gdzie ludzie spoza marynarki zostawali zawracani przed wejściem do Dzielnicy Wojskowej. Zaczął szukać papierów w swojej poplamionej bluzie.

Czterech strażników zastąpiło mu drogę. Byli mężczyznami o surowych twarzach z bardzo zadbaną bronią. Jeden z nich uniósł rękę.

Darrick zatrzymał się. Oddychał z trudem, a rana nad okiem pulsowała boleśnie.

– Oficer marynarki drugiej klasy Lang – wydyszał.

Dowódca spojrzał podejrzliwie na Darricka, ale przyjął jego papiery. Przejrzał je, szczególną uwagę zwracając na pieczęć kapitana.

– Tu pisze, że pływasz na „Samotnej Gwieździe” – powiedział strażnik, oddając mu papiery.

– Tak – powiedział Darrick, spoglądając zdrowym okiem na morze. Nie rozpoznawał żadnego ze statków płynących po zatoce. Może miał szczęście. – „Samotna Gwiazda” wypłynęła wiele godzin temu – powiedział strażnik. Darrick poczuł, że serce ma w żołądku.

– Nie – wyszeptał.

– Zgodnie z prawem za takie spóźnienie się na statek – stwierdził strażnik – powinienem cię przymknąć i pozwolić komodorowi zdecydować o twoim losie. Ale patrząc na ciebie stwierdzam, że zostanie pobitym i obrabowanym jest dobrym usprawiedliwieniem. Wpiszę to do dziennika. Przyda ci się, jeśli zostaniesz wezwany przed sąd morski.

Nie robisz mi przysługi, pomyślał Darrick. Każdy człowiek, który nie zdążył na swój statek bez dobrego powodu był wieszany za zaniedbanie obowiązków. Odwrócił się i popatrzył na morze, obserwując mewy nurkujące za resztkami niesionymi przez prąd. Krzyki ptaków brzmiały żałobnie i pusto, zwłaszcza w połączeniu z odgłosem fal uderzających o brzeg.

Jeśli kapitan Tollifer odpłynął bez niego, to Darrick wiedział, że na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” nie było już dla niego koi. Jego kariera w marynarce Zachodniej Marchii skończyła się i nie miał pojęcia, co go czeka.

Najbardziej pragnął umrzeć, ale nie mógł tego zrobić – nie zrobi tego – bo to oznaczałoby, że jego ojciec po tych wszystkich latach zwyciężył. Odgrodził się od bólu i poczucia straty i odwrócił od morza. Wszedł z powrotem do miasta. Nie miał pieniędzy. Nie przeszkadzało mu, że nie będzie miał co jeść, ale wiedział, że tej nocy będzie znów chciał się napić. Na Światłość, już teraz chciał się napić.

TRZYNAŚCIE



– Panie.

Buyard Cholik spojrział w górę. Siedział na wygodnej sofie zajmującej długi bok powozu, w którym podróżował. Ciągnięty przez szóstkę koni i osadzony na trzech osiach, zapewniał wszelkie domowe wygody. Na wbudowanych półkach przechowywał wszelkie przedmioty potrzebne kapłanowi, ubrania i rzeczy osobiste. Lampy przykręcone do ściany i wyposażone w wylot dymu prowadzący na zewnątrz, zapewniały mu światło potrzebne do lektury. Od czasu opuszczenia ruin Portu Tauruka i Ransim przed trzema miesiącami, większość czasu spędzał czytając tajemne księgi dostarczone mu przez Kabraxisa i ćwicząc magię, której uczył go demon.

– O co chodzi? – spytał Cholik.

Mężczyzna, który się do niego odezwał, stał na platformie przymocowanej do dna powozu. Cholik nawet nie pomyślał o odsunięciu okiennic, by go zobaczyć. Od czasu, gdy Kabraxis zmienił go, odmieniając jego umysł i ciało – a jednocześnie zabierając dziesiątki lat – Cholik nie czuł się związany z żadnym z ludzi, którzy przeżyli przybycie demona i atak piratów Raithena. Kilkunastu z nich było nowych, zebranych z małych miasteczek, które karawana mijała w drodze do celu.

– Zbliżamy się do Bramwell, panie – powiedział mężczyzna. – Myślałem, że chcielibyście wiedzieć.

– Tak – odpowiedział Cholik. Oceniając po równej jeździe powozu, był w stanie stwierdzić, że zakończył się już drugi, trwający wiele godzin

podjazd pod górę wijącą się drogą.

Cholik zaznaczył miejsce w czytanej książce zakładką plecioną z wyschniętych przez lata ludzkich języków. Czasem, po wykorzystaniu odpowiedniego zaklęcia, języki czytały na głos bluźniercze fragmenty. Księga została napisana krwią na papierze z ludzkiej skóry i oprawiona w dziecięce zęby. Większość z pozostałych ksiąg, dostarczonych mu przez Kabraxisa, została zrobiona z rzeczy, które w swoim poprzednim życiu kapłana kościoła Zakarum uznałby za jeszcze nawet straszniejsze.

Zakładka z ludzkich języków zaprotestowała syczącym głosem przeciwko odkładaniu, wywołując w Choliku niejakie poczucie winy, gdyż miał pewność, że to Kabraxis kazał im to robić. Całe dni spędzał na czytaniu, ale im zawsze wydawało się za mało.

Poruszając się z gracją człowieka zaledwie wchodzącego w wiek średni, Cholik otworzył drzwi powozu, zszedł na platformę i wspiął się po ręcznie rzeźbionej drabinie, która prowadziła na spiczasty słomiany dach. Wąska półka przypominała raczej „taras wdów”, charakterystyczny dla co zamożniejszych domów w Zachodniej Marchii, na który wychodziły żony kapitanów statków handlowych, by sprawdzić, czy ich mężowie wrócili bezpiecznie z morza.

Powóz był jedną z pierwszych rzeczy, jakie Cholik kupił za złoto i klejnoty, które on i jego nawróceni kapłani wynieśli z jaskiń za zgodą Kabraxisa. Wcześniej należał do księcia kupców, który specjalizował się w handlu lądowym. Zaledwie dwa dni przed zakupem powozu przez Cholika ów książę kupców poniósł ogromne straty i zachorował na dziwną chorobę, która zabiła go w przeciągu kilku godzin. Stojąc przed perspektywą bankructwa, wykonawca testamentu sprzedał powóz wysłannikom Cholika.

Stojąc na tarasie i mając świadomość otaczającego go potężnego boru, Cholik spojrzął na pół tuzina wozów poprzedzających jego pojazd. Drugie

pół tuzina wozów, wszystkich wypełnionych rzeczami, które Kabraxis uratował z Portu Tauruka, ciągnęło za nim.

Serce lasu przecinała kręta droga. W tej chwili Cholik nie pamiętał nazwy boru, ale też nigdy wcześniej go nie widział. Zachodnią Marchię zawsze opuszczał statkiem i nigdy nie był w Bramwell w tak młodym wieku.

Na końcu krętej drogi leżało Bramwell, nieduże miasto na północ-północny zachód od Zachodniej Marchii. Setki lat wcześniej, mimo położenia na wzgórzach, miasto miało pozycję niemal równą Zachodniej Marchii. Nadal zaś znajdowało się na tyle daleko, że miało własną ekonomię. W miasteczku mieszkali rolnicy i rybacy, potomkowie rodzin, które żyły w nim od wieków. Pływali tymi samymi statkami i orali tę samą ziemię, co ich przodkowie. W dawnych czasach marynarze z Bramwell polowali na wieloryby i sprzedawali tran. Teraz z floty wielorybniczej pozostało kilka rodzin, które żyły biednie, bardziej z powodu dumy i niechęci do zmian, niż z konieczności.

Miasto było bardzo stare, a składały się nań piętrowe lub dwupiętrowe budynki zbudowane z kamienia wydobytego i zwiezionego z gór. Spiczaste dachy okryte strzechą pomalowaną na wiele odcieni zieleni wtapiały się w las otaczający Bramwell z trzech stron. Czwartą stronę stanowiła Zatoka Zachodniej Marchii, gdzie z górskiego kamienia wybudowano falochron, chroniący miasto przed gniewem morza.

Ze szczytu powozu i szczytu gór Cholik przyglądał się miastu, które będzie jego domem podczas pierwszych podbojów Kabraxisa. Tu zacznie się budowa imperium, powiedział do siebie Cholik, spoglądając na niczego nie podejrzewające miasto. Jechał na platformie, kołyszącej się do przodu i do tyłu, gdy sprężyny amortyzowały nierówności drogi. Patrzył, jak zbliża się miasto.

Kilka godzin później Cholik stał nad Słodką Rzeką, z której czerpało wodę Bramwell. Głęboka rzeka płynęła między szerokimi, kamienistymi brzegami. Stanowiła też dodatkową przystań dla mniejszych statków, które prowadziły handel w głębi lądu, oraz zapewniała studnie i irygację dla farm, znajdujących się już poza właściwym miastem.

We wschodniej części miasta, gdzie osiedlali się drwale i rzemieślnicy, i gdzie wiele lat wcześniej wyrosły sklepy i rynki, Cholik zatrzymał karawanę na jednym z pól dostępnych dla wszystkich, którzy chcieli handlować z mieszkańcami Bramwell.

Wokół powozu i wozów natychmiast zebrały się dzieci, z nadzieją na jakiś pokaz. Cholik nie zawiódł ich, proponując im trupę wędrownych artystów, których wynajął, gdy karawana podróżowała na północ z Portu Tauruka. Wybrali szlak lądowy, o wiele droższy i bardziej męczący niż droga morska, pozwalający za to uniknąć marynarki Zachodniej Marchii. Cholik wątpił, żeby ktokolwiek, kto go kiedyś znał, rozpoznał go po przywróceniu młodości, ale nie chciał ryzykować, a Kabraxis był cierpliwy.

Artyści tańczyli, skakali i wygłupiali się, robiąc rzeczy zdawałoby się niemożliwe oraz wymyślali dowcipne poematy i dialogi, które sprawiały, że widownia pękała ze śmiechu. Żonglerzy i akrobaci występujący przy wtórze fletów i bębenków wywoływali zadziwienie całych rodzin.

Cholik został w powozie i wyglądał przez przysłonięte okno. Taka radosna atmosfera nie pasowała do tego, jak nauczono go myśleć o religii. Nowych wiernych kościoła Zakarum nie zabawiano i nie kuszone w taki sposób, choć niektóre mniejsze kościoły postępowały podobnie.

– Nadal ci się to nie podoba, prawda?

Rozpoznając głos Kabraxisa, Cholik wstał i odwrócił się. Wiedział, że demon nie wszedł do powozu w zwyczajny sposób, ale nie wiedział, gdzie Kabraxis podróżował, zanim do niego wszedł.

– Stare przyzwyczajenia trudno zmienić – powiedział Cholik.

– Jak zmiana religii? – spytał Kabraxis.

Nie.

Kabraxis stał przed Cholikiem, będąc w ciele martwego człowieka. Zdecydowawszy się pójść między ludzi i wybrać miasto na przyczółek swojej kampanii, Kabraxis zabił kupca, poświęcając jego duszę bezlitosnej ciemności. Kiedy doczesne szczątki mężczyzny były już tylko pustą skorupą, Kabraxis pracował trzy dni i trzy noce z najczarniejszymi tajemnymi zaklęciami, aż w końcu udało mu się wejść w trupa.

Choć Cholik nie był nigdy świadkiem czegoś takiego, Kabraxis zapewnił go, że czasem to robiono, choć było to niebezpieczne. Przed miesiącem przejęte ciało było młode, należało do mężczyzny który nie osiągnął jeszcze trzydziestki. Teraz ten sam mężczyzna wyglądał na starszego od Choli249 ka, na człowieka już u kresu żywota. Ciało obwisło, przecinały je zmarszczki i cieniutkie jak włos blizny, które szpeciły jego rysy. Czarne włosy posiwiały, a oczy z piwnych stały się jasnoszare.

– Wszystko w porządku?

Stary mężczyzna uśmiechnął się, ale był to grymas należący do Kabraxisa.

– Postawiłem temu ciału dużo ciężkich zadań. Ale konieczność jego używania już się kończy. – Minął Cholika i wyjrzał przez okno.

– Co tu robisz? – spytał Cholik.

– Przyszedłem, żeby popatrzeć, jak przyglądasz się zabawie ludzi, którzy przybyli cię zobaczyć – odpowiedział Kabraxis. – Wiem, że obecność tak wielu ludzi wokół ciebie, w większości szczęśliwych i spragnionych rozrywki, może odebrać ci odwagę. Życie jest o wiele prostsze, jeśli potrafisz je trzeźwo kontrolować.

– Ci ludzie uznają nas za źródło rozrywki – powiedział Cholik – nie za drogę do nowej religii, która zmieni ich życie na lepsze.

– Owszem – stwierdził Kabraxis – zmieni ich życie na lepsze. W rzeczy samej, chciałem porozmawiać z tobą o wieczornym spotkaniu.

Cholik uczył przyływ podniecenia. Po dwóch miesiącach w drodze, planowaniu wybudowania kościoła i stworzenia bazy która w końcu spróbuje odciągnąć wiernych od kościoła Zakarum, cieszyła go myśl, że właśnie zaczynają.

– Więc Bramwell jest tym miejscem?

– Tak – odpowiedział Kabraxis. – W tym mieście jest pradawna moc. Moc, którą mogę wy korzystać, żeby ukształtować twoją przyszłość i moje podboje. Dziś wieczorem wmurujesz kamień węgielny pod kościół, o którym rozmawialiśmy przez ostatni miesiąc. Ale nie będzie to kamień i zaprawa, o jakich myślisz. To będą wierni.

Te uwagi nie poruszyły Cholika. Pragnął świątyni, budowli, która przyćmi nawet kościół Zakarum w Zachodniej Marchii.

– Potrzebujemy kościoła.

– Będziemy mieli kościół – odrzekł Kabraxis. – Ale posiadanie kościoła zakotwicz cię w jednym miejscu. Choć próbowałem cię tego nauczyć, nadal nie rozumiesz. Wiara zaś... Buyardzie Choliku, Pierwszy Wybrany Czarnej Drogi... wiara przenika wszystkie fizyczne granice i po zostawia swój znak na wieki. Tego właśnie pragniemy.

Cholik nic nie powiedział, ale w jego myślach nadal tańczyły obrazy wspaniałej budowli.

– Dałem ci przedłużone życie – powiedział Kabraxis. – Niewielu ludzi dożyje wieku, którego ty już dożyłeś, bez pomocy mojego daru. Wolisz spędzić wszystkie nadchodzące lata w jednym miejscu, patrząc tylko na zwycięstwa, które już osiągnąłeś?

– To ty mówiłeś o potrzebie cierpliwości.

– Wciąż mówię o cierpliwości – upierał się Kabraxis – ale ty nie będziesz drzewem mojej religii, Buyardzie Choliku. Nie potrzebuję drzewa. Potrzebuję pszczoły. Pszczoły, która lata z jedne go miejsca do drugiego, by zbierać wiernych. – Uśmiechnął się i poklepał Cholika po ramieniu. – Ale chodź. Zaczniemy tu, w Bramwell, z tymi ludźmi.

– Co chcesz, żebym zrobił? – spytał Cholik.

– Dziś wieczorem – powiedział Kabraxis – pokażemy tym ludziom potęgę Czarnej Drogi. Pokażemy im, że może się zdarzyć wszystko, co tylko sobie wyobrażą.

Cholik wysiadł z powozu i podszedł do zgromadzenia. Miał na sobie swoją najlepszą szatę, ale była ona wystarczająco skromna, aby nie zniechęcać biedaków.

Miejsce, gdzie zatrzymała się karawana, otoczyło kręgiem około trzystu osób. Kolejny krąg wokół Cholika tworzyły wozy, niektóre wypełnione sianem, jabłkami i inwentarzem. Jeszcze inne wozy, puste, zatrzymały się pod drzewami, zapewniając miejsca do siedzenia.

– Oho – wyszeptał ktoś – wychodzi mówca. Założę się, że zaraz skończy się zabawa.

– Jeśli zacznie mnie pouczać, jak mam żyć i ile powinienem płacić dziesięciny kościołowi, dla którego kwestuje – szepnął inny – wychodzę. Spędziłem dwie godziny oglądając kuglarzy, nie mam czasu do stracenia i nie wrócę.

– Muszę zająć się swoim polem.

– Krowy trzeba będzie rano wydoić...

Świadom, że traci część audytorium zjednanego mu przez trefnisiów, i wiedząc, że nie może wspomnieć ani słowem o odpowiedzialności i datkach, Cholik wyszedł na środek koła, niosąc metalowe wiadro z pyłem,

który przygotował i dał mu Kabraxis. Wypowiedziawszy słowo mocy, którego tamci nie mogli usłyszeć, wyrzucił popiół w powietrze.

Pył z wiadra wyleciał gęstą, czarną chmurą i zawisł w powietrzu. Płynął, gnany lekkim wietrzykiem, wijąc się niczym wąż na drodze w upalny dzień. Niespodziewanie chmura jeszcze bardziej zgęstniała i wystrzeliła do przodu, tworząc zawirowania i pętle, które opadły na ziemię. Niekiedy linie pyłu krzyżowały się z innymi, ale sienie dotykały. Leżały one jakieś dziesięć stóp od siebie w takiej odległości, aby mógł między nimi przejść dorosły mężczyzna.

Widok wiszącego w powietrzu pyłu zwrócił uwagę widowni. Być może coś takiego mógłby uczynić mag, lecz nie zwykły kapłan. Ludzie chcieli wiedzieć, co dalej zrobi Cholik.

Kiedy linia skończyła się układać, rozbłysła ciemnofioletowym blaskiem, przez chwilę stając się jaśniejsza od zmroku, gęstniejącego na wschodnim krańcu nieba, i żarzących się węgielków słońca, zachodzącego nad Zatoką Zachodniej Marchii.

Cholik stanął twarzą do zgromadzonych, ich spojrzenia spotkały się.

– Ofiarowuję wam moc – powiedział. – Ścieżkę, która zaprowadzi was ku marzeniom, które zawsze mieliście, ale nie udało wam się ich zrealizować z powodu pecha i przestarzałych dogmatów.

W tłumie rozległ się szmer rozmów. Kilka głosów podniosło się w gniewie. Mieszkańcy Bram-well byli przywiązani do wiary w Zakarum.

– Do Światłości wiedzie inna droga – rzekł Cholik. – Prowadzi Drogą Marzeń. Dien-Ap-Sten, Prorok Światłości, stworzył tę ścieżkę dla swoich dzieci, aby mogły spełnić swoje marzenia.

– Nigdy nie słyszałem o tym proroku – krzyknął zaszuszony stary rybak. – Nikt z nas nie przyszedł tu, aby słuchać, jak ktoś rzuca oszczerstwa na Światłość.

– Nie rzucam oszczerstw – odpowiedział Cholik. – Przybyłem tu, aby pokazać wam prostszą drogę wiodącą do nagrody Światłości.

– Kościół Zakarum już to czyni – powiedział posiwiasty starszy mężczyzna w podniszczonej szacie kapłana. – Nie trzeba nam tu oszusta, który dobierze się do naszych oszczędności. – Nie przybyłem szukać waszego złota – odrzekł Cholik. – Nie przybyłem tu po nie. Był świadom, że Kabraxis przygląda mu się z wnętrza wozu.

– W rzeczy samej, nie pozwolę na zebranie ani miedziaka ani tej nocy, ani żadnej innej, jeśli będziemy u was obozować.

– Jeśli spróbujesz się tu zatrzymać, chętnie porozmawia z tobą księżę Bramwell – powiedział stary farmer. – Księżę nie cacka się z oszustami i złodziejami.

Cholik zdusił swoją urażoną dumę. Było to tym trudniejsze, że wiedział, iż jest w stanie wyciągnąć z tego człowieka życie jednym z nauczonych od Kabraxisa zaklęć. Od kiedy stał się kapłanem Zakarum, a nawet nosił szatę nowicjusza, nikt nie ośmielił się wyzwać go w ten sposób.

Cholik podszedł do licznej rodziny z chłopcem tak wycieńczonym i zniszczonym przez chorobę, iż wyglądał jak zataczający się trup. Jego ojciec wyszedł naprzeciw Cholika, jak gdyby chcąc osłonić dziecko. Dłoń zaciskał na rękojeści umocowanego do pasa noża.

– Dobry człowieku – powiedział Cholik – widzę, że twój syn jest ciężko chory.

Rolnik rozejrzył się dookoła.

– To gorączka, która przeszła przez Bramwell osiem lat temu. Mój chłopak nie jest jedynym, który przez nią ucierpiał.

– Od tamtego czasu nie wyzdrowiał. Rolnik nerwowo potrząsnął głową.

– Nikt z chorych nie wyzdrowiał do końca. Większość zmarła w tydzień od zachorowania.

– Co byście dali, aby mieć jeszcze jednego zdrowego syna do pomocy w gospodarstwie? – spytał Cholik.

– Nie zamierzam zranić mojego syna ani wystawiać go na pośmiewisko – ostrzegł mężczyzna.

– Ja też nie – obiecał Cholik. – Zaufaj mi.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zmieszanie. Spoglądał na siedzącą na ich wozie niską, przysadziłą kobietę, matkę dziesięciorga dzieci.

– Chłopcze – Cholik zwrócił się do dziecka – czy chcesz nadal być ciężarem dla swojej rodziny?

– Zaraz – zaprotestował rolnik. – Nie jest nam ciężarem i stanę do walki z każdym, który będzie twierdził co innego.

Cholik odczekał chwilę. Jako wyświęcony kapłan kościoła Zakarum mógłby kazać ukarać tego mężczyznę za odezwanie się doń w taki sposób.

Poczekaj, powiedział Kabraxis w głowie Cholika.

Cholik czekał, świadom, że uwaga wszystkich spoczywa na nim. Teraz okaże się, powiedział sobie, czy publiczność zostanie, czy odejdzie.

W oczach chłopaka coś błysnęło. Jego głowa, która w porównaniu z chudymi ramionami i wąską klatką piersiową wyglądała jak dynia, obróciła się ku ojcu. Wyciągnąwszy wykrzywioną rękę o palcach, które musiały go boleć i utrudniały nawet samodzielne odżywianie się, chłopiec położył ją na ramieniu ojca. – Ojciec – powiedział – pozwól mi pójść z kapłanem. Rolnik zaczął potrząsać głową.

– Effirn, nie wiem, czy to będzie dla ciebie dobre. Nie chcę zniszczyć twoich nadziei. Nie mogli uleczyć cię uzdrowiciele Kościoła Zakarum.

– Wiem – odparł chłopiec. – Ale wierzę w tego człowieka. Pozwól mi spróbować.

Rolnik popatrzył na swoją żonę. Skinęła głową, a z jej oczu płynęły perliste łzy. Spojrzawszy na Cholika, mężczyzna powiedział:

Czynię cię odpowiedzialnym za to, co stanie się z moim synem, kapłanie.

– Możesz tak uczynić powiedział łagodnie Cholik – ale zapewniam cię, że zdrowie, którym wkrótce będzie się cieszył młody Effirn, będzie darem Dien–Ap–Stena. Ja nie posiadam wystarczających umiejętności, aby spełnić życzenie tego chłopca, by stał się zdrowy.

Popatrzył na dziecko i wyciągnął rękę.

Chłopiec usiłował wstać, ale cienkie nogi nie były w stanie utrzymać jego ciężaru. Położył swoje powykręcane i zgięte palce w dłoni Cholika.

Kapłan dziwił się jego słabości. Z trudem przypominał sobie, że kiedyś sam był tak słaby, a było to przecież kilka miesięcy wcześniej. Pomógł chłopcu wstać. Wokół było cicho jak makiem zasiał.

– Chodź, chłopcze – powiedział Cholik – Wierz we mnie.

– Wierzę – odparł chłopiec.

Razem przeszli przez polanę. Tuż przy najbliższym końcu długiej drogi z czarnego pyłu nogi chłopca poddały się. Cholik złapał Effirna, nim ten upadł, pokonując obrzydzenie do tego schorowanego dzieciaka.



Cholik wiedział, że zwrócone są na nich oczy wszystkich osób zgromadzonych na polanie. Gdy popatrzył na wysokie drzewa, otaczające polanę, poczuł dotknięcie wątpliwości. Jeśli chłopiec umrze na Czarnej Drodze, być może uda mu się powstrzymać tłum i uciec. A jeśli nie ucieknie, będzie dyndał na sznurze na jednej z tych gałęzi. Słyszał o sprawiedliwości, jaką ludzie z Bramwell wymierzali bandytom i mordercom.

A Cholik zamierzał pomoc im wyhodować żmiję na własnej piersi.

Na początku ścieżki pomógł chłopcu stanąć na własnych nogach.

– Co mam zrobić? – wyszeptał Effirn.

– Idź – powiedział Cholik – Idź tak, jak wiedzie cię ścieżka i nie myśl o niczym innym, jak tylko o uzdrowieniu.

Chłopiec wziął głęboki, drżący oddech, najwyraźniej zastanawiając się, czy wejść na ścieżkę, tak mocno nasyoną magią. Potem powoli puścił dłoń Cholika. Pierwsze kroki były tak chwiejne, że Cholikowi oddech zamierał w gardle.

Chłopiec szedł boleśnie powoli. Potem poruszał się już nieco pewniej, ale nadal chwiał się, co groziło zejściem ze ścieżki.

Kiedy kalekie dziecko szło po wijącej się ścieżce popiołu, na polanie nie rozległ się najmniejszy dźwięk. Każdy krok wzbudzał z czarnego pyłu fioletowe iskierki. Wkrótce ruchy chłopca stały się pewniejsze, a następnie szybsze. Jego ramiona wyprostowały się, później plecy. Chude nogi, ręce, a następnie pierś zdawały się nabierać mięśni. Jego głowa nie chwiała się już jak dynia na chudym szkielecie.

A kiedy czarny pył uniósł się w powietrze, aby przejść nad innym fragmentem, chłopiec wszedł za nim w powietrze. Wcześniej, pomijając już niemożliwość podążenia po tak cienkiej linii w powietrzu, chłopiec nie byłby w stanie się wspinać.

Wokół Cholika narastał szmer głosów. Kapłan upajał się wywołanym widowiskiem zaskoczeniem publiczności. Kiedy służył kościołowi Zakarum, nigdy nie dozwolono by mu wziąć na siebie chwały za takie zakłęcie. Odwrócił się do ludzi.

– Oto potęga Drogi Snów – ogłosił Cholik – oraz hojnego i dobrego proroka, któremu służę. Niech wychwalane będzie imię Dien–Ap–Stena i jego dzieła. Bracia i siostry, przyłączcie się do mnie i razem chwalmy jego imię.

Uniósł ramiona.

– Chwała Dien–Ap–Stenowi!

Z początku okrzyk podchwyciło zaledwie kilka osób, ale wkrótce dołączyli pozostali. Przez chwilę nad polaną niósł się nieskładny krzyk, który zagłuszył nawet odgłosy miasta w dole rzeki.

Buyardzie Choliku!

Bezgłośnie wezwanie wybuchło w głowie Cholika z taką gwałtownością, że na chwilę oślepnął z bólu i zemdliło go.

Strzeż się, powiedział Kabraxis. Zakłęcie się rozwiewa.

Zbierając się do kupy, Cholik spojrział na labirynt stworzony przez linię pyłu i zauważył, że jej początek nagle wybuchł fioletowym ogniem. Płomyk pędził wzdłuż linii popiołu, pochłaniając go. Po przejściu ognia nie pozostawało nic.

Płomień pędził w stronę chłopca.

Jeśli ogień go dosięgnie, ostrzegł Kabraxis, zniszczy go.

Cholik stanął na drugim końcu linii z popiołu, patrząc, jak ogień zbliża się do chłopca. Myślał rozpaczliwie, wiedząc, że nie może okazać strachu radującej się widowni.

– Effirn – zawołał Cholik.

Chłopiec spojrział na niego, na chwilę odrywając wzrok od ścieżki. Jego kroki były pewne.

– Patrzcie na mnie! – krzyczał radośnie. – Patrzcie na mnie. Ja chodzę.

– Tak, Effirnie – powiedział Cholik – i wszyscy jesteśmy dumni z ciebie i wdzięczni Dien–Ap–Stenowi, jak powinniśmy. Muszę jednak czegoś się dowiedzieć. – Spojrzawszy na nieubłagany fioletowy płomień zauważył, że jest on tylko dwa zakręty od Effirna, a od końca ścieżki dzieliło chłopca trzydzieści stóp.

– Co? – spytał Effirn.

– Czy możesz biec?

Twarz chłopca skrzywiła się ze zmieszania.

– Nie wiem. Nie próbowałem. Fioletowy ogień zyskał kolejne dziesięć stóp.

– Spróbuj – zaproponował Cholik. Wyciągnął rękę. – Biegnij do mnie, Effirnie. Szybko, chłopcze. Najszybciej, jak potrafisz.

Effirn zaczął biec, z początku ostrożnie, próbując nowe mięśnie i umiejętności. Biegł, a płonący za nim fioletowy ogień wciąż go gonił, ale teraz zyskiwał cale, nie stopy.

– Dalej, Effirnie – zachęcał go Cholik. – Pokaż swojemu tacie, jaki jesteś szybki teraz, gdy Dien–Ap–Sten okazał ci swoją łaskę.

Effirn biegł, śmiejąc się przez całą drogę. Gwar na widowni przybrał na sile. Chłopiec dotarł do końca szlaku, zbiegł po ostatnim zakręcie na ziemię i znalazł się w ramionach Cholika w chwili, gdy fioletowy płomień dotarł do końca drogi i znikł, pozostawiając po sobie chmurkę sinych iskier.

Czując, że znów uniknął śmierci, Cholik jeszcze przez chwilę trzymał chłopca w ramionach, zdziwiony tym, jak duży był teraz Effirn. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję – wydyszał chłopiec, obejmując go silnymi ramionami. Cholik odpowiedział uściskiem, zawstydzony, a jednocześnie przepełniony radością. Zdrowie Effirna oznaczało dla niego sukces w Bramwell, ale nadal nie wiedział, jak demon to zrobił.

Leczenie jest proste, odpowiedział Kabraxis w głowie Cholika. Sprawianie bólu, ranienie to coś innego, i jest o wiele trudniejsze, jeśli ma potrwać dłużej. Aby nauczyć się, jak kogoś zranić, najpierw trzeba poznać leczenie, tak już działa magia.

Cholika tego nigdy nie uczono.

Me nauczono cię wielu rzeczy, powiedział Kabraxis. Ale zostało ci dużo czasu. Odwróć się, Buyardzie Choliku, i przywitaj nowych wiernych.

Wysuwając się z uścisku chłopca, Cholik odwrócił się do jego rodziców. Nikt nie miał zamiaru go pytać, dlaczego czarny szlak się wypalił.

Chłopiec, pragnąc pochwalić się swoją nową siłą, popędził przez polanę. Bracia i siostry wołali do niego radośnie, a ojciec chwycił go i uściskał mocno, po czym przekazał matce. Tak przytuliła do siebie syna, nie wstydząc się wcale łez spływających po policzkach.

Cholik przyglądał się matce i synowi, dziwiąc się, że scena ta tak bardzo go wzrusza.

Zaskoczyło cię, że tak bardzo podoba ci się, iż miałeś udział w uleczeniu chłopca? – spytał Kabraxis.

– Tak – wyszeptał Cholik, wiedząc, że nikt wokół go nie usłyszy, jedynie demon.

Nie powinno. Aby poznać Ciemność, trzeba poznać również Światłość. W Zachodniej Marchii żyłeś w izolacji. Spotykałeś jedynie ludzi, którzy pragnęli zająć twoją pozycję.

Albo tych na pozycjach, o których ja marzyłem, uświadomił sobie Cholik. A kościół Zakarum nigdy nie zezwalał, by traktować wydzielane przezeń leczenie osobiście powiedział demon.

Nie.

Światłość obawia się dać wielu ludziom moce takie, jak ja ci dałem, powiedział Kabraxis. Ludzie o takich mocach zostają natychmiast zauważeni przez zwykłych ludzi. W krótkim czasie zostają bohaterami i ludźmi, o których się mówi. Wkrótce później opowieści o nich sprawiają, że zdobywają wielki autorytet. Słudzy Światłości są o to zazdrośni.

– A demony nie? – spytał Cholik.

Kabraxis zaśmiał się, a ten huczący odgłos odbijający się echem w głowie Cholika był niemal bolesny. Demony nie są tak zazdrosne, jak twierdzą słudzy Światłości. Ani nie próbują tak wszystkiego pilnować, jak

słudzy Światłości. Pytam cię, kto zawsze ma najwięcej zasad? Najwięcej ograniczeń?

Cholik nie odpowiedział.

Jak myślisz, dlaczego słudzy Światłości zawsze dają tyle reguł? spytał Kabraxis. Żeby układ sił był zawsze korzystny dla nich, oczywiście. Ale my, demony, wierzymy, że wszyscy, którzy wspierają Ciemność, powinni otrzymać moc. Jedni mają więcej mocy niż pozostali. Ale zasłużyli na to. Tak jak ty zasłużyłeś na to, co dałem ci tego dnia, gdy stawiałeś czoła swojemu strachowi przed śmiercią i odnalazłeś ukrytą bramę prowadzącą do mnie.

– Nie miałem wyboru – powiedział Cholik.

Ludzie zawsze mają wybór. Tak właśnie słudzy Światłości wywołują w was zmieszanie. Macie wybór, ale nie możecie wybrać wielu możliwości, bo słudzy Światłości stwierdzili, że są one złe. Jako oświecony uczeń Światłości powinienesz wiedzieć, że te możliwości są złe. I w jakiej cię to stawia sytuacji? Ile możliwości naprawdę ci zostaje?

Cholik zgodził się w milczeniu.

Idź do tych ludzi, Buyardzie Choliku. Znajdziesz wśród nich nawróconych. Kiedy odkryją, że masz moc, by dokonywać zmian, które pozwolą im osiągnąć cele i spełnić marzenia, będą się tłoczyć do ciebie. Później musimy zacząć tworzyć kościoły i znaleźć wśród tych ludzi uczniów, którzy pomogą ci szerzyć wiarę. Na razie podaruj zdrowie chorym znajdującym się wśród zebranych. Będą mówić. Rano nie będzie wmieście nikogo, kto by o tobie nie słyszał.

Upajając się nowoodkrytym szacunkiem i prestiżem, który zdobył dzięki uleczeniu chłopca, Cholik podszedł do ludzi. Jego ciało śpiewało mocą Kabraxisa, którą ten mu przekazał. Ta moc przyciągała go do chorych i kalekich wśród tłumu.

Nakładając dłonie na ludzi, do których podchodził, Cholik leczył gorączki i infekcje, usuwał brodawki i artretyzm, wyprostował nogę, która skrzywiła się po złamaniu i nastawieniu, a nawet przywrócił rozum pewnej starowinie, która według opiekującego się nią syna od lat cierpiała na pomieszanie zmysłów.

– Chciałbym osiedlić się w Bramwell – powiedział Cholik, gdy słońce zaszło za Zatoką Za chodniej Marchii i otoczył ich zmrok.

Tłum uradował się.

– Ale muszę wybudować kościół – ciągnął Cholik. – Gdy już zostanie wybudowana stała świątynia, cuda Dien–Ap–Stena będą coraz potężniejsze. Chodźcie do mnie, bym mógł pokazać wam proroka, któremu służę. Tej nocy Buyard Cholik był bliżej wiecznej sławy niż kiedykolwiek w życiu. Było to odurzające uczucie i obiecywał sobie, że bliżej się z nim zaznajomi. Nic go nie powstrzyma.

CZTERNAŚCIE



– Jesteś marynarzem? – spytała niebrzydka dziewczka służebna.

Darrick spojrział na nią, podnosząc wzrok znad talerza z gęstym gulaszem z ziemniakami. Nie pozwolił, żeby dotknęło go poczucie straty, które wywołały jej słowa.

– Nie – odpowiedział, ponieważ nie był marynarzem od miesiący.

Dziewczyna była kruczowłosą pięknoscią w wieku może dwudziestu lat, a może młodszą. Krótka czarna spódnica odsłaniała dużą część jej pięknych, długich nóg. Włosy nosiła związane na karku.

– Czemu pytasz? – Darrick patrzył jej przez chwilę w oczy, aż odwróciła wzrok.

– Bo jak wchodziłeś, to twój kołyszący krok przypominał marynarza – powiedziała dziewczka. – Mój ojciec był marynarzem. Urodzony dla morza, na morzu zginął, jak to bywa z marynarzami.

– Jak masz na imię? – spytał Darrick.

– Dahni – powiedziała z uśmiechem.

– Miło było cię poznać, Dahni.

Przez chwilę dziewczka rozglądała się po stole, próbując znaleźć sobie coś do zrobienia. Ale już napełniła jego kubek, a miskę nadal miał w połowie pełną.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował – zaproponowała – zawołaj mnie.

– Na pewno.

Darrick nadal się uśmiechał. Przez te kilka miesięcy od utraty miejsca na „Samotnej Gwieździe” nauczył się, że grzeczny uśmiech i odpowiadanie na

pytania, a jednocześnie nie zadawanie żadnych ze swej strony, szybko kończyło rozmowę. Jeśli ludzie uważali, że jest przyjaźnie nastawiony, nie uznawali jego niechęci do pogawędki za niebezpieczną czy wyzywającą. Myśleli po prostu, że nie umie rozmawiać albo jest nieśmiały i zostawiali go w spokoju. Taki podstęp uratował go ostatnio przed wieloma bójkami, a brak bójek ratował go przed pobytem w więzieniu i karami, po których znów lądował bez grosza na ulicy.

Przechylając głowę, spojrzął przelotnie na czterech mężczyzn grających w kości przy sąsiednim stole. Trzech z nich było rybakami, rozpoznał to po ubraniu, ale czwarty nosił się odrobinę lepiej, jak ktoś, kto nałożył swój najlepszy strój i miał nadzieję zrobić dobre wrażenie. W rzeczywistości wyglądał na zdesperowanego pechowca. Darrick wiedział, że ten wygląd był iluzją.

Jadł żarłocznie, próbując nie pokazywać po sobie, że od wczoraj nie miał nic w ustach. A może od przedwczoraj? Nie był pewien upływu czasu. Choć jadł niewiele, zawsze udawało mu się zarobić tyle, by się napić. Jedynie picie pozwalało mu uciec przed strachami i koszmarami, które go nawiedzały. Każdej niemal nocy śnił o klifie w Porcie Tauruka, śnił, że prawie uratował Mata z objęć szkieletu i straszliwego uderzenia o zbocze, które rozbiło mu czaszkę.

Tawerna była spelunką, kolejną z długiego ciągu. Wszystkie wyglądały dla niego podobnie. Kiedy skończył pracę, gdziekolwiek był, zjadał posiłek i pił, aż z trudem szedł, a potem wynajmował pokój albo kładł się spać w stajni, jeżeli pieniędzy było za mało, by zapewnić mu alkohol i łóżko.

Klientami byli w większości rybacy, mężczyźni o surowych twarzach, z rękami pokrytymi odciskami i bliznami od sieci, haków, ryb, pogody i lat rozczarowania, które przeżarło ich aż do kości. Rozmawiali o jutrze, które brzmiało o wiele lepiej niż to, co przyniesie ranek, i co by zrobili, gdyby

któregoś dnia udało im się uciec przed koniecznością wchodzenia co rano na łódkę i proszenia Światłości o hojność.

Wśród rybaków siedzieli kupcy i inni mieszkańcy miasta, rozmawiając o ładunkach statków, pieniądzech i braku ochrony na Wielkim Oceanie, ponieważ Zachodnia Marchia nadal trzymała ma269 rynarkę w pobliżu. Wciąż nie było śladu demona, którego marynarze z Zachodniej Marchii widzieli w Porcie Tauruka i wielu kupców oraz marynarzy wierzyło, że to piraci wymyślili tę historyjkę, by skłonić króla do wycofania marynarki.

Wśród północnych portów i miast rosła niechęć, gdyż polegały one na ochronie Zachodniej Marchii. Gdy marynarka królewska wycofała się, ludzie, kiedy nie mogli w żaden inny sposób wyżyć z morza, decydowali się na piractwo. Choć piraci ze sobą nie współpracowali, ich ataki źle wpłynęły na gospodarkę kilku niezależnych portów, a nawet miast w głębi lądu. Dyplomacja Zachodniej Marchii, której kiedyś obawiano się i ceniono ją, stała się słaba i nieskuteczna. Pomocne miasta już tak bardzo nie starały się o jej przychyłność.

Darrick zanurzył suchar w gulaszu i włożył go do ust. Gulasz był gęsty i tłusty, doprawiony smalcem i przyprawami, które sprawiały, że był ostry i zapychający. Taki posiłek kończył dzień ciężko pracującego mężczyzny. Przez ostatnie miesiące stracił nawadze, ale nadal świetnie walczył. Przez większość czasu trzymał się z dala od doków, gdyż obawiał się, że ktoś może go rozpoznać. Choć marynarka Zachodniej Marchii i strażnicy nie starali się zbyt usilnie odnaleźć jego czy innych marynarzy, którym zdarzało się uciec ze statków, nadal obawiał się aresztowania. Czasem śmierć wydawała mu się lepsza od życia, ale nie zdecydował się na ten krok. Nie zginął dorastając pod ciężką ręką ojca, i teraz też nie miał zamiaru zginąć z własnej woli.

Ale życie też było trudne.

Spojrzał na drugi koniec pomieszczenia, gdzie Dahni rozmawiała i flirtowała z młodym mężczyzną. Część jego duszy pragnęła kontaktu z kobietami, ale tylko mała część. Kobiety gadały i wygrzebywały rzeczy, które dręczyły mężczyznę. Większość z nich chciała tylko pomóc, ale Darrick nie miał na to ochoty.

Potężny mężczyzna, siedzący przy przeciwnym końcu baru, podszedł do Darricka. Był wysoki i szeroki w barach, nos miał spłaszczony od wielu bójek. Blizny, niektóre jeszcze różowe i pokryte strupami, pokrywały kostki jego dłoni. Na gardle miał starą bliznę od noża.

Bez zaproszenia usiadł naprzeciwko Darricka, z pałką na kolanach.

– Pracujesz – stwierdził mężczyzna.

Darrick trzymał prawą rękę na kolanach, na rękojeści kordą. Spojrzał na mężczyznę.

– Jestem tu z przyjacielem.

Po prawej szuler, który wynajął Darricka do ochrony przez cały wieczór po tym, jak spotkali się w kupieckiej karawanie, wychwalał Światłość za kolejne zwycięstwo. Był starszym mężczyzną, chudym i siwowłosym. Podczas napaści bandytów, która wydarzyła się zaledwie dzień wcześniej, Darrick dowiedział się, że mężczyzna sam nieźle sobie radzi i nosi przy sobie noże ukryte w różnych miejscach.

– Twój przyjaciel ma dzisiaj duże szczęście – powiedział potężny mężczyzna. – Należy mu się – powiedział spokojnie Darrick. Mężczyzna patrzył na Darricka. – Pilnuję porządku w tawernie, to moja robota. Darrick pokiwał głową.

– Jeśli złapię twojego przyjaciela na oszukiwaniu, wyrzucę was obu.

Darrick ponownie pokiwał głową. Miał nadzieję, że szuler nie oszukuje albo jest w tym dobry. Mężczyzna grał też z innymi w karawanie

wracającej z Aranoch, gdzie handlowali w portowym mieście zaopatrującym Wyspę Amazonek.

– I lepiej uważaj, kiedy stąd dziś wyjdziecie – ostrzegł wykidajło, wskazując głową na szulera. – Na zewnątrz jest paskudna mgła, która nie podniesie się do jutra rana. Miasto nie jest zbyt dobrze oświetlone, a niektórzy ludzie, z którymi gra twój przyjaciel, mogą niezbyt dobrze przyjąć przegraną.

– Dziękuję – powiedział Darrick.

– Nie musisz – stwierdził wykidajło. – Nie chcę, żeby któryś z was zginął tu albo gdzieś w pobliżu. – Wstał i znów zajął swoją pozycję przy barze. Dziewka służebna wróciła z dzbanem wina i pełnym nadziei uśmiechem. Darrick nakrył kubek dłonią.

– Starczy ci? – spytała.

– Na razie – odpowiedział. – Ale zabiorę ze sobą butelkę, gdy będziemy wychodzić, jeśli ją dla mnie przygotujesz.

Pokiwała głową, zawahała się, uśmiechnęła lekko i odwróciła, chcąc odejść. Bransoletka na jej nadgarstku przyciągnęła uwagę Darricka.

– Zaczekaj – powiedział Darrick, nagle ochryłym głosem. – Tak? – spytała z nadzieją. Darrick wskazał na jej nadgarstek.

– Co to za bransoletka, którą nosisz? – Amulet – odpowiedziała Dahni. – Symbolizuje Dien–Ap–Stena, Proroka Drogi Marzeń. Bransoletka składała się z przeplecionych owali rozdzielonych przez kute żelazo i bursztyn tak, że żaden z owali nie dotykał drugiego. Jej wygląd obudził w Darricku wspomnienia.

– Skąd go masz?

– Dostałam od kupca, któremu się spodobałam – odpowiedziała Dahni. W ten prymitywny sposób chciała wzbudzić w nim zazdrość.

– Kim jest Dien–Ap–Sten? – To imię z niczym mu się nie kojarzyło.

– Prorokiem szczęścia i przeznaczenia – odpowiedziała Dahni. – W Bramwell budują jego kościół. Mężczyzna, który mi to dał, mówił, że każdy, kto ma odwagę i powód, by pójść Drogą Marzeń, dostanie to, czego najbardziej pragnie. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie sądzisz, że to trochę naciągane?

– Ano – zgodził się Darrick, ale cała historia go zaniepokoiła. Bramwell nie znajdowało się daleko od Zachodniej Marchii i było miejscem, do którego nie miał zamiaru się udawać.

– Byłeś tam kiedyś? – spytała Dahni.

– Tak, ale dawno temu.

– A myślałeś, żeby tam wrócić?

Nie.

Dziewka wydeła wargi.

– Szkoda. – Potrząsnęła nadgarstkiem, a wtedy bransoletka odbiła światło lampy. – Chcia łąbym się tam kiedyś wybrać i obejrzeć sobie ten kościół. Mówią, że kiedy budowa się skończy będzie dziełem sztuki, najpiękniejszą budowlą, jaka kiedykolwiek powstała. – W takim razie pewnie warto go zobaczyć – zgodził się Darrick. Dahni pochyliła się nad stołem, odsłaniając górę piersi.

– Dużo rzeczy warto zobaczyć. Ale wiem, że ich nie zobaczę, póki siedzę w tym mieście. Może powinieneś zastanowić się nad powrotem do Bramwell.

– Może – odpowiedział Darrick, starając się nie zrazić dziewczyny swoim tonem.

Jeden z rybaków zawołał Dahni, niecierpliwie podnosząc głos. Dziewczyna długo patrzyła na Darricka, po czym zakręciła krótką spódnicą i poszła.

Przy sąsiednim stoliku szuler znów miał szczęście. Chwalił Światłość, podczas gdy pozostali narzekali.

Odsuwając myśli od dziwnej bransoletki, Darrick powrócił do posiłku. Rezygnacja z wina aż szuler skończy siedzenie przy stoliku oznaczała, że koszmary będą na niego czekać, gdy powróci do swojego wynajętego pokoju. Ale karawana pozostanie w mieście przez jeszcze jeden dzień, gdyż kupcy musieli skończyć handel. Mógł pić, aż będzie pewien, że nie będzie już mógł śnić.

Gdy dwie godziny później Darrick wyszedł za szulerem z tawerny, ulice wypełniała mgła sprawiająca, że nocne cienie były jeszcze głębsze i ciemniejsze. Próbował przypomnieć sobie imię mężczyzny, ale nie mógł, co wcale go nie zdziwiło. Życie było o wiele prostsze, kiedy nie próbował pamiętać wszystkiego i wszystkich. W różnych karawanach, w których się zatrudniał do ochrony, ktoś dowodził i wskazywał, gdzie chciał się udać. Darrick szedł z nim.

– Dziś miałem szczęście w grze – przyznał się szuler, gdy szli ulicą. – Jak tylko wrócimy do mojego pokoju, zapłacę ci tyle, na ile byliśmy umówieni.

– Zgoda – powiedział Darrick, choć zupełnie nie pamiętał, na ile się umówili. Zwykle był to procent plus niewielka zaliczka, bo prawdziwy szuler nigdy nie mógł być pewien, ile wygra, a ci, którzy to wiedzieli, byli oszustami, co gwarantowało bójkę.

Darrick rozglądał się po ulicy. Jak mówił wykidajło, miasto było źle oświetlone. Drogę rozjaśniały tylko rzadko i przypadkowo rozrzucone lampy, umieszczone głównie przy co lepiej prosperujących tawernach i gospodach oraz niewielkich dokach. Ciężka mgła pokrywała bruk wilgocią. Poszukał wzrokiem jakiegoś znaku, aby dowiedzieć się, gdzie wylądował i wcale nie zdziwił się, że nie wie, gdzie się znalazł i wcale go to nie

obchodzi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odwiedził tyle miast, że już zlewały mu się w jedno.

Odgłos wciąganego przez szulera oddechu ostrzegł Darricka, że coś jest nie tak. Gwałtownie odwrócił głowę w stronę właśnie mijanej bocznej uliczki. Wskoczyli z niej trzej mężczyźni i rzucili się na nich. Ich ostrza błyszczały nawet we mgle.

Darrick wyciągnął kord, opuszczając trzymany pod pachą dzban z winem. Zanim ten rozbił się o nierówny bruk, już miał w ręku kord, którym sparował cios wycelowany w jego głowę. Był zmęczony i przepływało w nim wino, więc z trudem tylko udało mu się utrzymać przy życiu. Potknął się na nierównej ulicy i nawet nie zobaczył czwartego mężczyzny który pojawił się za jego plecami.

Czwarty mężczyzna machnął obciążoną metalem pałką, trafił Darricka za lewym uchem i rzucił go na kolana. Prawie nieprzytomny, padł twarzą na bruk, ostry ból przeszył mu plecy. Zmusił się, aby wstać na kolana. Jak już się podniesie, to na pewno uda mu się wstać. Potem być może nawet będzie w stanie walczyć. Albo przynajmniej zapracuje na pieniądze, które dostał za ochronę tego szulera.

– Zaraza! – wrzasnął jeden ze złodziei. – Chlasnął mnie!

– Uważaj – powiedział ktoś inny.

– Już dobrze, mam go. Mam go. Już nikogo nie uszkodzi.

Ciepły płyn pociekł po szyi Darricka. Wzrok mu się zamglił, ale dostrzegł jeszcze dwóch mężczyzn łapiących sakiewkę szulera.

– Stójcie! – rozkazał Darrick, chwyciwszy leżący na bruku kord i podnosząc go. Rzucił się w ich stronę, unosząc ostrze i opuszczając na jednego z mężczyzn. Zanim jednak sięgnął celu, drugi mężczyzna odwrócił się i trafił podkutym butem w szczękę Darricka. Upadł, a ból znów go oślepił.

Walcząc z czekającą na niego ciemnością, Darrick chwiejnie dźwignął się na nogi, daremnie usiłując znaleźć jakieś oparcie. Bezradnie patrzył, jak mężczyźni znikają w cieniu alejki.

Podpierając się kordem, Darrick podszedł do szulera. Ocierając załzawione oczy i słysząc pulsujący w głowie ból, popatrzył na niego.

Z piersi szulera sterczał nóż o kościanej rękojeści. Czerwony kwiat rozrastał się wokół wbitego aż po rękojeść ostrza.

Na twarzy mężczyzny malował się strach.

– Pomóż mi, Darricku. Proszę. Na Światłość, nie mogę powstrzymać krwawienia.

Jak on pamięta moje imię, skoro ja nie pamiętam jego?– zdziwił się Darrick. Wtedy zobaczył krew lejącą się przez jego dłonie i przeciekającą między palcami.

– Już dobrze – powiedział, klękając obok niego. Wiedział, że nic nie będzie dobrze. Słując na pokładzie „Samotnej Gwiazdy” widział dość śmiertelnych ran, aby wiedzieć, że ta również się do nich zalicza.

– Umieram – powiedział szuler.

– Nie – wychrypiał Darrick, ściskając swoje ręce na jego, aby powstrzymać upływ krwi. Ob róciwszy głowę, krzyknął przez ramię – Pomocy! Potrzebuję pomocy! Tu jest ranny!

– Miałeś tutaj być – powiedział szuler oskarżycielskim tonem. – Miałeś pilnować, aby mnie coś takiego nie spotkało. Za to ci płaciłem.

Kaszlnął, z ust pociekła mu krew.

Darrick zgadł, że ostrze przebiło też jedno z płuc. Przycisnął dłonie do piersi szulera, pragnąc, aby krew przestała płynąć.

Ale ona nie chciała.

Darrick usłyszał kroki na bruku w chwili, kiedy jego zleceniodawca zadrżał po raz ostatni. Oddech szulera ustał, a oczy ślepo wpatrywały się

niebo.

– Nie – zacharczał z niedowierzaniem Darrick. Ten człowiek nie może umrzeć; został wynajęty, aby go ochraniać, w żołądku wciąż miał posiłek, który ten kupił mu w ramach zaliczki.

Poczuł na ramieniu silny uchwyt. Próbował go strząsnąć, po czym spojrzawszy w oczy wykidajły z tawerny.

– Na Światłość łaskawą – zaklął wykidajło. – Widziałeś, kto to zrobił?

Darrick potrząsnął głową. Nawet gdyby zobaczył tych, którzy zabili szulera, wątpił, czy zdołałby ich zidentyfikować.

– Niezły ochroniarz – powiedział kobiecie głos gdzieś za Darrickiem.

Spojrząwszy na martwego szulera, Darrick musiał się zgodzić. Niezły ochroniarz. Jego zmysły poddały się, przez co głowa rozbolała go zbyt mocno, aby utrzymać się prosto. Upadł i nawet nie poczuł, kiedy uderzył o kamienie.



Srebrzysty głos dzwonów wiszących na trzech wieżach wezwał mieszkańców Bramwell na modły do świątyni Dien–Ap–Stena. Większość już znajdowała się w budynkach, które wzniesiono przez rok, który upłynął od przybycia karawany. Położono już fundamenty pod kolejne budynki, które po ukończeniu miały dołączyć do głównego budynku katedry. Jej dach wieńczyły wspaniałe posągi, wykonane przez najlepszych rzeźbiarzy w Bramwell, jak również innych artystów z Zachodniej Marchii, Lut Gholein, Kurastu i zza Morza Światła.

Buyard Cholik, zwany teraz Mistrzem Sayesem, stał na jednym ze zdobiących kościoł, ogrodów na dachu. Spoglądał na plac przed świątynią, gdzie zajeżdżały wozy z rodzinami i przyjaciółmi. Pamiętał, jak na

początku w kościele tym modliły się tylko biedniejsze rodziny. Przychodzili po uzdrowienie i z nadzieją na spełnienie trwającego nieraz całe życie snu o bogactwie i wygodach.

Pragnęli zostać wybrani do przejścia Drogą Marzeń. Na razie pozwolono na to niewielu osobom, zwykle chorym fizycznie lub umysłowo. Chorych na artretyzm oraz tych, którzy mieli źle zrosnięte złamane kończyny, dopuszczano niemal od razu. Takich cudów Kabraxis dokonywał bez trudu. Co jakiś czas demon obdarzał kogoś bogactwem, ale zawsze wiązała się z tym ukryta cena, o której nie wiedział żaden z mieszkańców. W miarę, jak kościół Dien–Ap–Stena rozrastał się, podobnie wzrastały tajemnice.

Kościół został zbudowany na górującym nad miastem wzgórzu. Wzniesiono go z najlepszego wapienia w okolicy, zwykle ściąganego z innych miast, podczas gdy do budowy domów używano zwykłych kamieni z pól. Dlatego też w świetle poranka świątynia błyszczała niczym kość, starannie obrobiona nożem. Nikt w mieście nie mógł popatrzeć na południowy wschód, w stronę Zachodniej Marchii, i nie zobaczyć najpierw kościoła.

Po obu stronach świątyni wycięto las, aby pomieścić wozy, które zjeżdżały tutaj na odbywające się dwa razy w tygodniu modły. Wszyscy wyznawcy w Bramwell przybywali na oba z nadzieją, że dostaną dopuszczeni do Drogi Marzeń, gdzie dzieją się cuda.

Do pali przed kościołem przywiązano specjalne, ozdobne łodzie. Piloci w służbie świątyni przywozili tu marynarzy i kapitanów z okrętów, które stały na kotwicy w porcie. Nauki kościoła Dien–Ap–Stena zaczęły rozchodzić się po Zachodniej Marchii i przyciągały zarówno ciekawskich, jak i szukających zbawienia.

Na wysokich wieżach trzy dzwony zabrzmiały ponownie. Nim rozpocznie się uroczystość, zadzwonią jeszcze tylko jeden raz. Cholik

rzucił okiem na dół i zauważył, że jak zwykle, spóźni się tylko kilka rodzin.

Kapłan przeszedł przez ogród. Drzewa owocowe i kwitnące rośliny, krzaki i pnącza zajmowały cały dach, pozostawiając tylko wijącą się ścieżkę. Przystanąwszy na chwilę przy truskawkach, Cholik zerwał dwa dojrzałe owoce i wsunął je do ust. Smakowały świeżością. Niezależnie od tego, ile z nich zerwał, zawsze pozostawało więcej.

– Czy kiedykolwiek podejrzewałeś, że to się aż tak rozrośnie? – spytał Kabraxis.

Wciąż czując na wargach słodki smak truskawek, Cholik obrócił się i stanął twarzą w twarz z demonem.

Kabraxis stał koło pergoli obrośniętej pnącymi pomidorami. Owoce były czerwone niczym wiśnie, a mnóstwo drobnych, żółtych kwiatków obiecywało jeszcze większe zbiory. Iluzja, umocniona związaniem z kamieniami budowli, zapewniała dobrą ochronę przed oczyma niepowołanych na dole. Zakłęcie przygotowano tak precyzyjnie, że niepowołani nie widzieli nawet cienia.

– Taką miałem nadzieję – odpowiedział dyplomatycznie Cholik.

Kabraxis uśmiechnął się, co na jego demonicznej twarzy wyglądało obrzydliwie.

– Jesteś chciwy. To mi się podoba.

Cholik nie uznał tego za obrazę. W kontaktach z demonem podobało mu się, że nie musiał przeproszać za to, co czuje. W Kościele Zakarum jego temperament ciągle stawiał go na bakier z obowiązującą doktryną.

– Wkrótce to miasto będzie dla nas za małe – powiedział Cholik.

– Zastanawiasz się nad wyjazdem? – w głosie Kabraxisa brzmiało niedowierzenie.

– Być może. Taka myśl pojawiła się w mojej głowie. – Ty? – zaszydził Kabraxis. – Ty, który marzyłeś tylko o wybudowaniu tej świątyni? Cholik

wzruszył ramionami.

- Możemy wybudować inne kościoły.
- Ale ten jest taki wielki i wspaniały.
- A następny będzie jeszcze większy i wspanialszy.
- Gdzie chciałbyś wybudować następny kościół?

Cholik zawahał się, ale przebywanie z demonem oznaczało mówienie zawsze tego, co myślał.

– Zachodnia Marchia. – Chciałbyś rzucić wyzwanie kościołowi Zakarum? Cholik odpowiedział z ogniem w głosie.

– Tak. Są tam kapłani, których chciałbym widzieć upokorzonych i wygnanych z miasta. Albo złożonych w ofierze. Jeśli tak się stanie, a ten kościół będzie wyglądał, jakby był w stanie uratować całą Zachodnią Marchię przez wielkim złem, nawrócimy cały kraj.

– Chciałbyś zabić tamtych ludzi?

– Tylko kilku. Tylu, żeby reszta się przestraszyła. Niedobitki będą służyć kościołowi. Trupy nie mogą się nas bać i dobrze nam służyć.

Kabraxis zaśmiał się.

– Naprawdę, jesteś pojętnym uczniem, Buyardzie Choliku. Taka żądza krwi w człowieku jest naprawdę rzadka. Zwykle jesteście wszyscy ograniczeni przez swoje osobiste pożądania i motywacje. Chcecie się zemścić na kimś, kto zrobił wam krzywdę albo na osobie, która ma więcej od was. Drobiazgi.

Cholik poczuł dziwną dumę. Podczas trwającej ponad rok znajomości zmienił się. Nie został skuszony przez Ciemność, jak obawiało się wielu znanych mu kapłanów. Raczej sięgnął po nią do wnętrza i wypuścił na zewnątrz.

Kościół Zakarum też uczył, że człowiek ma dwie natury i ciągle odbywa się w nim walka między Światłością a Ciemnością.

– Ale czy mój plan wyruszenia do Zachodniej Marchii jest dobry? – spytał Cholik. Wiedział, że prosi demona o poradę, ale Kabraxis lubił je dawać.

– Tak – odpowiedział demon – lecz jeszcze nie nadszedł czas. Ten kościół już zyskał wrogość kościoła Zakarum. Uzyskanie zgody króla na wybudowanie świątyni w mieście będzie trudne. Więzy między królem a kościołem są zbyt silne. I nie zapominaj, że Zachodnia Marchia wciąż szuka demona, którego widziano z piratami. Jeśli zrobimy to zbyt szybko, zaczną coś podejrzewać.

– Minął ponad rok – sprzeciwił się Cholik.

– Król i jego ludzie nie zapomnieli – powiedział Kabraxis. – Diabło i jego podstęp w Tristram pozostawiły swój ślad w ich umysłach. Najpierw musimy zdobyć ich zaufanie, by potem ich zdradzić.

– Jak?

– Mam plan.

Cholik czekał. Nauczył się, że Kabraxis nie lubił zbyt dociekliwego wypytywania.

– W swoim czasie – stwierdził Kabraxis. – Musimy wcześniej stworzyć armię wiernych, wojowników, którzy wyruszą stąd i wymordują wszystkich przeszkadzających im w niesieniu światu prawdy.

– Armie, która przeciwstawi się Zachodniej Marchii?

– Armie, która przeciwstawi się kościołowi Zakarum – odpowiedział Kabraxis.

– W całym Bramwell nie ma tylu ludzi. – Ta wizja zaskoczyła Cholika. W jego umyśle po jawiły się obrazy pól bitewnych spływających ludzką krwią. Wiedział, że prawdziwe bitwy byłyby jeszcze bardziej przerażające. – Zbierzemy armię wewnątrz Zachodniej Marchii – powiedział Kabraxis. – Jak?

– Zwrócimy króla przeciwko kościołowi Zakarum – odrzekł demon. – A kiedy już ukażemy mu, jak nieczysty stał się kościół, on stworzy armię.

– I kościół Zakarum zostanie zrównany z ziemią. – Cholik bawił się przez chwilę tą myślą i poczuł przepelniające go ciepło.

Tak. – Jak zamierzasz to zrobić? – spytał kapłan. Kabraxis wskazał rękaw stronę kościoła.

– W swoim czasie, Buyardzie Choliku. W swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Diabło po wrócił do tego świata całkiem niedawno, niszcząc kamień duszy, który go więził. Uwolnił swoją moc w Tristram, zabierając syna króla Leorica, księcia Albrechta. Jak zapewne pamiętasz – ponieważ w owym czasie byłeś wtajemniczony we wszystkie machinacje kościoła Zakarum – między Tri286 stram i Zachodnią Marchią niemal doszło wtedy do wojny. Poszukiwacze przygód, którzy walczyli z Diabło, sądzili, że go zabili, ale on wykorzystał jednego ze swoich przeciwników i w jego skórze chodzi teraz po świecie. Podobnie, jak my planujemy podbój, to samo robi Diabło. Ale demony muszą być sprytnie i przebiegłe, tak jak my jesteśmy. Jeśli zbyt szybko urośniemy w siłę, ściągniemy na siebie uwagę Mrocznej Trójcy, a na razie nie chcę mieć z nimi do czynienia. Teraz jednak musisz poprowadzić modły Obiecuję ci cud, który przyciągnie jeszcze więcej wiernych. Cholik pokiwał głową, uciszając pytania, które wypełniały jego umysł.

– Oczywiście. Za pozwoleniem.

– Idź z błogosławieństwem Dien–Ap–Stena – pożegnał go Kabraxis słowami, które uczynili sławne w całym Bramwell i poza nim. – Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi cię tam, gdzie pra gniesz.

PIĘTNAŚCIE



Modły przebiegały płynnie.

Stojąc na zacienionym balkonie nad parafianami, Bouyard Cholik przyglądał się, jak ludzie kręcą się nerwowo i czekają podczas wszystkich śpiewów i mów wygłaszanych przez młodych kapłanów. Opowiadali oni, że Dien–Ap–Sten pragnie, by każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na świecie mogli odnieść sukces i zdobyć to, czego pragną. Młodzi kapłani stali na małej scenie pod balkonem Choli–ka. Przede wszystkim jednak przemowy kapłanów koncentrowały się na cnocie służenia Prorokowi Światłości i dzielenia się swoimi zyskami z kościołem, by mógł on zrobić jeszcze więcej dobrego.

Wszyscy czekali na Wezwanie na Drogę Marzeń.

Kiedy kapłani wreszcie zakończyli przemowy i wybrzmiały ostatnie pieśni, napisane przez samego Kabraxisa, wykonywane przy wtórze przypominających bicie serca uderzeń bębna i brzmiących jak szum krwi w uszach melodyjnych piszczałek, tuzin akolitów wyszedł z pochodniami w dłoniach z otworu przed sceną.

Bębny zagrzmiały w dziwnym crescendo, które odbijało się echem między belkami wysokiego sklepienia. Zabrzmiały piszczałki i cymbały.

Tłum zaczynał się gorączkować. W świątyni, jak zauważył Cholik, wciąż było za mało miejsc siedzących. Dopiero przed trzema tygodniami otworzyli górny kościół i oto znów był on przepełniony. Wielu wiernych przyjechało z przybrzeżnych miast, a niektórzy nawet z Zachodniej Marchii, z karawanami lub na pokładach statków.

Niektórzy kapitanowie i przewodnicy karawan zarobili niezłą sumkę na organizacji dwa razy w tygodniu wypraw do Bramwell. Wielu ludzi było gotowych zapłacić za przejazd w nadziei na przejście Drogą Marzeń, z powodów zdrowotnych lub aby spełnić najskrytsze pragnienia.

Gdy tylko Cholik dowiedział się o tym zyskownym interesie, poinformował kapitanów i przewodników karawan, że oczekuje, iż z każdej podróży przywiozą ofiary w postaci materiałów budowlanych. Wystarczyło, by dwa statki utonęły, a jedna karawana została zniszczona przez horde zombie i szkieletów, a wszyscy zaczęli regularnie płacić trybut. Kolejne karawany ruszały z Lut Gholein i innych krain na wschodzie.

Tłum skandował:

– Droga Marzeń! Droga Marzeń!

Takie zachowanie nie było dopuszczalne w kościele Zakarum i w rzeczy samej graniczyło już z zamieszkami.

Wzdłuż ścian świątyni i na niewysokich wieżyczkach wśród wiernych stali strażnicy, wybrani przez Cholika spośród wojowników wierzących w Dien–Ap–Stena. Większość z nich nosiła pałki ozdobione eliptycznymi pierścieniami, znakiem Kabraxisa zręcznie wtopionym w owinięte drutem rękojeści. Inni mieli kusze, zaczarowane dzięki mistycznym klejnotom. Wszyscy nosili czarne kolczugi ze stylizowanym symbolem srebrnych elips na piersiach. Byli twardymi mężczyznami, wojownikami, którzy przeszli Czarną Drogę (jak wtajemniczeni nazywali Drogę Marzeń), dzięki czemu stali się silniejsi i szybsi od zwykłych ludzi.

Tuzin akolitów dotknął pochodniami różnych miejsc na ścianie, do której przylegała scena i balkon Cholika. Kapłan przyglądał się, jak płomienie biegną wypełnionymi tranem kanałami prosto w jego stronę.

Płomienie, wspomagane przez zaklęcie nałożone na ścianę, obiegły Cholika, oświetlając balkon i znak na ścianie – ognistą głowę kobry,

mozaikę z czarnych kamieni przemieszanych z białymi. Płomienie tańczyły wokół czarnych kamieni i zapłonęły w oczach węża.

Widownia ucichła, czekając z niecierpliwością na to, co miało się wydarzyć. Cholik wyczuwał jednak atmosferę przemocy, która w każdej chwili mogła wybuchnąć. Strażnicy poruszyli się na swoich pozycjach, przypominając wszystkim o swojej obecności.

– Jestem Mistrz Sayes – powiedział Cholik w ciszy, która nagle wypełniła katedrę. – Jestem Wskazującym Drogę, jak nakazał mi Dien–Ap–Sten, Prorok Światłości.

Odpowiedzią na te słowa były grzeczne oklaski, których się spodziewał, ale w budynku nadal czuło się atmosferę oczekiwania. Choć wszyscy byli wiernymi, czekali jak szakale podczas uczty które wiedzą, że kiedy większe drapieżniki już się nasycą, dla nich pozostaną resztki.

Cholik rozrzucił wokół siebie prosek, który wybuchł wielkimi zielonymi, czerwonymi, fioletowymi i niebieskimi płomieniami. Zatrzymały się one tuż przed widownią. Katedrę wypełniła woń kwiatów wiciokrzewu, cynamonu i lawendy. Odezwał się, uwalniając zaklęcie, które mocowało bramę na ścianie.

W odpowiedzi na zaklęcie płonąca głowa kobry wypadła ze ściany i zawisała nad tłumem, otwierając pysk. Cholik stał na balkonie nad oczami węża. Pysk kobry był wejściem na Czarną Drogę, prowadzącym do bramy, za którą czarny marmurowy szlak wił się i przeplatał, prowadząc podróżnika z powrotem do pyska węża z darami, które Kabraxis uznał dlań za stosowne.

– Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi was tam, gdzie pragniecie – powiedział Cholik. – Niechaj Droga Marzeń zaprowadzi was tam, gdzie pragniecie – żaryczai tłum w odpowiedzi. Cholik uśmiechnął się pod

kapturem, który zakrywał jego twarz. Posiadanie takiej mocy, takiej władzy, było upajające.

– A teraz – powiedział, mając świadomość, że ludzie wsłuchują się w każde jego słowo – kto z was jest tego wart?

Było to wyzwanie i Cholik wiedział o tym, cieszył się tą świadomością.

Tłum zaczął szaleć, rycząc i wrzeszcząc, wykrzykując potrzeby, chęci i pragnienia. Stał się żywą, dziką istotą, która niemal rzuciła się na siebie. Już wcześniej, podczas ostatniego roku, ludzie ginęli w świątyni, padając ofiarą przyjaciół, rodzin i nieznajomych. Wapienna posadzka spijała ich krew, wypuszczając w ziemię kryształowe korzenie, które Kabraxis pokazał pewnego dnia Cholikowi. Korzenie wyglądały jak stożki z krwistych rubinów, które nigdy nie były całkiem zestalone i z każdą kroplą przelanej krwi wydawały się wgryzać coraz głębiej w ziemię.

Kołysząca się ognista głowa węża wypłynęła nad tłum, zabierając za sobą Cholika. Przepłynęła nad pierwszym rzędem ludzi, potem nad drugim. Ludzie trzymali nad głowami chore i kalekie dzieci, wołając do Dien–Ap–Stena, by pobłogosławił je i wyleczył. Bogatsi wynajmowali wojowników, aby ci trzymali ich na ramionach, dzięki czemu byli bliżej wejścia na Czarną Drogę.

Język węża – wstęga przezroczystego, płynnego obsydianu – wysunął się i oto dokonał się wybór.

Cholik spojrział na dziecko trzymane przez ojca i ujrzał, że nie jest to jedno dziecko, ale dwoje, jakimś sposobem zrosnięte razem. Dzieci miały tylko dwie ręce i dwie nogi, ale też dwie głowy i półtora ciała. Nie wyglądały na starsze niż trzy latka.

– Plugastwo! – krzyknął ktoś z widowni.

– Takiemu nie powinno pozwolić się żyć – dodał inny. – Pomiot demona – stwierdził kolejny Tuzin akolitów, eskortowany przez strażników,

podbiegł do wybranego.

To chyba jakaś pomyłka, pomyślał Cholik, wpatrując się w zrosnięte dzieci. Miał wrażenie, że Kabraxis go zdradził, choć nie wiedział, dlaczego demon miałby to zrobić.

Dzieci tak strasznie zdeformowane zwykle umierały podczas porodu, podobnie jak ich matki. Ojcowie sami zabijali te, które przeżyły, lub robili to kapłani. Cholik sam dokonywał egzekucji takich dzieci, a potem grzebał je w poświęconej ziemi kościoła Zakarum. Ciało innych zdeformowanych dzieci sprzedawano magom, mędrcom i handlarzom kupującym wszystkim, co związane z demonami.

Akolici otoczyli ojca i połączone dzieci, wypełniając okolicę światłem. Odziani w kolczugi strażnicy odepchnęli tłum od ojca.

Cholik spojrział na mężczyznę i zmusił się do odezwania. – Czy twoi synowie podążą Czarną Drogą? Łzy spływały po twarzy ojca.

– Moi synowie nie potrafią chodzić, Wskazujący Drogę.

– Muszą – powiedział Cholik, myśląc, że może w ten sposób załatwi sprawę. Czasem ci, którzy chcieli podążać Czarną Drogą w ostatniej chwili poddawali się strachowi i nie szli. Nikt nie dostawał drugiej szansy.

Obsydianowy język kobry sam wysunął się i owinał wokół bliźniaków. Wąż bez trudu wciągnął chłopców do pyska. Krzyczeli, gdy zbliżyli się do kurtyny ognia, która otaczała wielką głowę.

Cholik, stojąc na platformie nad oczami węża i spoglądając przez ogień, widział tylko, jak chłopcy znikają pod nim. Czekał, nie mając pewności, co się wydarzy i obawiając się, że może wszystko stracić.

Meridor stała u boku matki, patrząc, jak potężny węzowy język wciąga jej braciszków do wielkiego, otwartego pyska. Mikel i Dannis przeszli tak blisko płomieni, które otaczały twarz węża – choć wiedziała, że one nie

mają twarży, ponieważ powiedział jej o tym ojciec, a starsi bracia śmiali się z niej, gdy im o tym wspomniała – że bała się, iż się upieką.

Wujek Ramais zawsze opowiadał historie o dzieciach porywanych i zjadanych przez demony. A czasem dzieci te zapiekano w pasztetach. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wygląda pasztet z dziecka, ale zawsze kiedy pytała o to matkę, ta mówiła jej, żeby trzymała się z dala od wujka i jego strasznych opowieści. Ale wujek Ramais był marynarzem w marynarce Zachodniej Marchii i zawsze opowiadał najlepsze historie. Była na tyle duża, że nie wierzyła w nie wszystkie, ale wciąż bawiło ją udawanie, że w nie wierzy.

Meridor nie chciała, żeby jej braciszczkowie zostali ugotowani, uduszeni czy upieczeni w jakikolwiek sposób. Ponieważ miała dziewięć lat i była najmłodszą dziewczynką w rodzinie z ósemką dzieci, to ona najczęściej pilnowała i myła Mikela i Dannisa. Czasem ją to męczyło, bo zawsze byli niegrzeczni i uciążliwi. Tata mówił, że to dlatego, że każdemu z braci było niewygodnie żyć w jednym ciele. Czasem Meridor zastanawiała się, czy drugie ręce i nogi Mikela i Dannisa nie były jakimś sposobem schowane w dzielonym przez nich ciele.

Choć byli męczący i nieznośni, jednak nie chciała, by zostali pożarci.

Patrzyła, jak kamienny wąż połyka jej braci. Ponieważ nikt jej nie słuchał, modliła się tak, jak ją uczono w małym kościółku Zakarum. Czuła się winna, bo tato powiedział jej, że ten nowy prorok jest jedyną szansą na wyleczenie jej braci. Z każdym dniem byli coraz bardziej chorzy i coraz bardziej uświadamiali sobie, że nie są tacy jak inni, nigdy nie będą też mogli chodzić i poruszać się tak, jak by chcieli. Myślała, że to musi być straszne. Nie mogli być szczęśliwi ze sobą, ani z nikim innym.

– Droga Marzeń! Droga Marzeń! – ryczeli ludzie wokół niej, potrząsając pięściami.

Meridor zawsze męczyły te wrzaski. Ludzie wokół niej wydawali się tacy źli i przerażeni. Tata zawsze powtarzał, że wcale tacy nie są, tylko wszyscy mieli nadzieję. Meridor nie mogła zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby wejść do brzucha węża. Ale tam była Droga Marzeń, a na Drodze Marzeń... tak twierdził tato... mogły się zdarzyć cuda. Widziała kilka z nich w ciągu ostatniego roku, ale nie znaczyły zbyt wiele. Nikt, kogo widziała, nie został wybrany przez Dien–Ap–Stena.

Czasem, kiedy rodzina zbierała się wieczorem przy skromnym posiłku, wszyscy rozmawiali o tym, czego by sobie zażyczyli, gdyby mieli szansę przejść po Drodze Marzeń. Meridor nie mówiła wtedy zbyt wiele, ponieważ nie wiedziała, kim chciałaby być, kiedy dorośnie.

Bracia Meridor, leżący na języku węża, jęczeli i krzyczeli. Widziała ich twarzyczki pokryte łzami, wyglądającymi jak diamenty.

Meridor spojrzała na matkę.

– Mamo.

– Cii – odpowiedziała jej matka, chowając zaciśnięte pięści w fałdach fantazyjnej sukienki, którą uszyła sobie na wyjścia do kościoła Proroka Światłości. Nigdy nie nosiła czegoś takiego do świątyni Zakarum i zawsze powtarzała, że w oczach kościoła ubóstwo nie jest niczym złym. Ale tata i mama pilnowali, żeby wszyscy wykapali się i założyli czyste rzeczy w te dwa wieczory w tygodniu, gdy chodzili do nowego kościoła.

Meridor, przestraszona i zdenerwowana, ucichła i nic nie mówiła. Patrzyła, jak Mikel i Dannis zsuwają się w pysku węża w stronę jego gardła, gdzie była Droga Marzeń. Przez te miesiące, gdy odwiedzali kościół, widziała, jak ludzie wchodzą do gardła węża i z niego wychodzą, uleczeni. Ale jak Dien–Ap–Sten mógłby uzdrowić jej braci?

Pysk węża zamknął się. Nad nim, na platformie nad płonącymi oczami węża, Mistrz Sayes prowadził modły. Krzyki chłopców odbijały się echem

od ścian świątyni. Meridor zacisnęła pięści i przycisnęła je do brody, słuchając przerażających wrzasków, po czym zrobiła krok do tyłu. Wpadła na stojącego obok mężczyznę.

Od razu odwróciła się, by go przeprosić, bo wielu dorosłych w kościele nie miało cierpliwości do dzieci. Dien–Ap–Sten często wybierał dzieci do leczenia i cudów, a większość dorosłych wierzyła, że na to nie zasługują.

– Przepraszam – powiedziała Meridor, podnosząc wzrok. Zamarła, gdy zobaczyła nad sobą przerażającą twarz.

Mężczyzna był wysoki i potężny, choć częściowo maskował to prosty, wełniany płaszcz podróżny. Ubranie miał stare i połatane, zużyte i pokryte pyłem. Obszarpana chustka na szyi została zawiązana węzłem żeglarskim, który kiedyś pokazał jej wujek Ramais. Na tle tłumu mężczyzna wyglądał jak cień.

Najstraszliwsza była jednak jego twarz, szerniała po spaleniu i zgrubiała w miejscach, gdzie ściągnęła się od gorąca. W spalonych miejscach pokazały się wąziutkie szczeliny, z których jak pot spływała krew. Większość zniszczeń ogień poczynił na lewej części jego twarzy, przez co wyglądała jak zaćmiony księżyc. Takie zaćmienie było w nocy, gdy narodzili się Mikel i Dannis.

– Nic się nie stało, dziecko – powiedział ochrypłym szeptem.

– Czy boli? – zapytała Meridor i natychmiast zakryła usta rękami. Przypomniała sobie, że dorośli nie lubili, kiedy zadaje im się pytania, szczególnie o rzeczy, o których pewnie nie chcieli mówić.

Na spękanych i pokrytych pęcherzami ustach mężczyzny pojawił się słaby uśmiech. Jego wypalony policzek pokrył się nową krwią, a w oczach zapłonął ból.

– Cały czas – odpowiedział.

– Przybyłeś tu, by zostać uleczonym? – spytała Meridor, gdyż pytania zdawały mu się nie przeszkadzać.

– Nie – Mężczyzna potrząsnął głową, a ruch ten poruszył nieco kapturem jego płaszcza, odkrywając fragment jego głowy i spalone włosy wyrastające spod poczerniałej skóry.

– Więc po co tu przyszedłeś?

– Chciałem zobaczyć tę słynną Drogę Marzeń, o której tak wiele słyszałem.

– Jest tutaj już od dawna. Czy byłeś tu wcześniej?

Nie.

– Czemu nie?

Poparzony mężczyzna spojrział na nią z góry.

– Jesteś ciekawskim dzieckiem.

– Tak. Przepraszam. To nie moja sprawa.

– Zgadza się. – Mężczyzna patrzył na kamiennego węża. W tle grzmiały bębny, rozbrzmiewały cymbały, a piszczałki nadal wygrywały skomplikowane melodie. – To byli twoi bracia?

– Tak. Mikel i Dannis. Są zrośnięci. – Meridor trochę się zawahała przy ostatnim słowie. Nie brzmiało zbyt dobrze. Mimo iż przez wiele już lat mówiła różnym ludziom o swoich braciach, nadal nie zawsze wypowiadała je poprawnie.

– Wierzysz, że są plugastwem?

– Nie. – Meridor westchnęła. – Są tylko nieszczęśliwi i cierpią.

Krzyk chłopców znów zabrzmiał w katedrze. Stojący nad kamiennym wężem Mistrz Sayes najwyraźniej nie miał zamiaru przerywać rytuału.

– Brzmi, jakby teraz też cierpieli.

– Tak. – Meridor martwiła się o braci jak zawsze, gdy ich nie widziała. Spędziła tyle czasu troszcząc się o nich, że nie mogła się nie martwić.

– Widziałaś innych uzdrowionych? – spytał poparzony mężczyzna.

– Tak, mnóstwo. – Meridor patrzyła na wijącego się węża. Czy Mikel i Dannis szli teraz Drogą Marzeń? A może zostali schwytani w pułapkę w środku węża i działy się z nimi straszliwe rzeczy?

– Co widziałaś? – zapytał mężczyzna.

– Widziałam, jak kalecy zaczęli chodzić, ślepi widzieć, a różne choroby się wyleczyły. – Słyszałem, że Dien–Ap–Sten zwykle wybiera dzieci do uzdrowienia. Meridor pokiwała głową.

– Wielu dorosłym się to nie podoba – powiedział poparzony mężczyzna. – Słyszałem, jak o tym mówią w mieście i na statku, którym przy płynąłem.

Meridor znów pokiwała głową. Widziała, jak ludzie w Bramwell zaczęli się bić z takich powodów. Zdecydowała się nie kłócić ani nie używać argumentu, że w mieście było dużo chorych dzieci.

– Jak myślisz, dlaczego Dien–Ap–Sten zwykle wybiera dzieci? – spytał poparzony mężczyzna.

– Nie wiem.



Poparzony mężczyzna wyszczerzył się, patrząc na kamiennego węża. Krew spłynęła z jego górnej wargi na białe zęby i pokryte pęcherzami różowe wargi.

– Ponieważ łatwo na nich wyrzucić wrażenie i potrafią uwierzyć mocniej niż dorośli, dzieci ko. Pokaż cud dorosłemu, a znajdzie jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło. Ale serce dziecka... na Światłość, można zdobyć je na zawsze.

Meridor nie do końca rozumiała, o czym mówi, ale nie przejmowała się tym. Już odkryła, że niektórych rzeczy dotyczących dorosłych nie

rozumiała, niektórych miała nie rozumieć, a niektóre rozumiała, ale nie powinna pokazywać po sobie, że je rozumie.

Mistrz Sayes nagle nakazał wszystkim zamilknąć. Instrumenty muzyczne natychmiast ucichły, podobnie jak ochryple krzyki tłumu.

Meridor pamiętała, że jednego razu grupa hałaśliwych ludzi nie uspokoiła się, kiedy Mistrz Sayes nakazał ciszę. Byli pijani i kłótniwi, mówili też brzydkie rzeczy o kościele. Wojownicy Mistrza Sayesa przebili się przez tłum, znaleźli ich i zabili. Niektórzy twierdzili, że przy okazji zabili też dwóch niewinnych, ale takie plotki ucichły przed następnym spotkaniem.

Całą ogromną katedrę wypełniała cisza, która sprawiała, że Meridor czuła się jeszcze mniejsza niż zwykle. Zacisnęła ręce i martwiła się o Mikela i Dannisa. Czy Droga Marzeń oderwie jedną z głów, zabijając jednego, żeby z drugiego uczynić pełnego człowieka? Była to naprawdę przerażająca myśl i Meridor chciała o niej zapomnieć. Ale byłoby jeszcze gorzej, myślała, gdyby Dien–Ap–Sten kazał tacie i mamie wybierać, które dziecko ma żyć, a które umrzeć.

I wtedy katedrę wypełniła moc.

Meridor rozpoznała ją, gdyż czuła ją już wcześniej. Przez jej ciało przepływały wibracje sprawiające, że nawet zęby jej drżały. Czuła się zmieszana, a jednocześnie podniecona.

Poparzony mężczyzna uniósł rękę, tę, która była zupełnie szczerniała od tego, co go tak popaliło. Gdy poruszył palcami, na ugotowanym mięsie pojawiły się szkarłatne pasma. Na jednej kostce ciało pękło, ukazując różowe mięso i białą kość.

Kiedy jednak Meridor to obserwowała, ręka zaczęła się goić. Na pęknięciach uformowały się strupy, które zaraz odpadły, odsłaniając całe

ciało. Nadal jednak było ono spalone, czarne. Uniosła wzrok w górę i zobaczyła, że nawet pęknięcia na twarzy trochę się wyleczyły.

Mężczyzna opuścił dłoń i spojrzał na nią zdziwiony.

– Na Światłość – wyszeptał.

– Dien–Ap–Sten może cię uzdrowić – powiedziała Meridor. Czowała się dobrze, dając mężczyź nie nadzieję. Tata zawsze powtarzał, że nadzieja jest najlepszą rzeczą, której można pragnąć, kiedy się walczy z przeznaczeniem i pechem. – Powinieneś zacząć chodzić do kościoła. Może któregoś dnia wąż wybierze ciebie.

Poparzony mężczyzna uśmiechnął się i potrząsnął ukrytą pod kapturem głową.

– Nie pozwolono by mi szukać tu uzdrowienia, dziecko. – Po jego popękanej twarzy znów spływała krew. – Właściwie dziwię się, że nie zostałem zabity, gdy próbowałem wejść do tego budynku.

To brzmiało dziwnie. Meridor nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak mówił.

Z westchnieniem brzmiącym jak odgłos miechów, który kiedyś słyszała u kowala, potężna dolna szczeka węża opadła. Wyleciały z niego dym i węgielki.

Meridor stała na czubkach palców i czekała z niecierpliwością. Gdy Mikel i Dannis weszli do węża, wiedziała, że może ich już nigdy nie ujrzeć. A nawet, że może nigdy nie ujrzeć jednego z nich.

Z pyska smoka, na dwóch zdrowych nogach wyszedł chłopiec. Z przerażeniem wpatrywał się w tłum, bezskutecznie próbując się ukryć.

Dannis! Serce Meridor wypełniła radość, ale zaraz uświadomiła sobie, że Mikel, mały Mikel, który tak lubił jej pokazy pacynek zrobionych ze skarpetek, odszedł. Zanim pierwsze łzy opuściły jej oczy, zobaczyła drugiego braciszka wychodzącego za Dannisem. Mikel! Obaj żyją! I obaj są cali!

Tata podskoczył z radości, a mama krzyknęła, chwając Dien–Ap–Stena tak, by wszyscy słyszeli. Cały tłum wypełniła radość i podniecenie, ale Meridor nie mogła przestać myśleć, że to dlatego, iż Mikel i Dannis wrócili, więc ktoś inny zostanie zaraz wybrany do przejścia Drogą Marzeń.

Tata rzucił się do przodu i wyciągnął jej braci z ognistej paszczy kamiennego węża. Gdy wziął ich w objęcia, a zaraz przyłączyła się do niego mama, ruch z boku zwrócił uwagę Meridor na poparzonego mężczyznę.

Patrzyła, a wszystko wydawało się zwalniać, słyszała też walenie swojego serca. Poparzony mężczyzna odrzucił płaszcz, ukazując ukrytą w nim kuszę ręczną. Zakrzywiony łuk opierał się na ramie nie dłuższej niż przedramię Meridor. Zdrową ręką uniósł broń, naciągnął ją i pociągnął spust. Z kuszy wyskoczył bełt i popędził przez katedrę.

Wodząc oczami za bełtem, Meridor zobaczyła, jak pocisk trafia Mistrza Sayesa w pierś, a ten przewraca się do tyłu. Wskazujący Drogę spadł z szyi węża i zniknął. Katedrę wypełniły krzyki, a Meridor znów zaczęła widzieć wszystko normalnie.

– Ktoś zabił Mistrza Sayesa! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Znajdźcie go! – ryknął inny. – Znajdźcie przeklętego zabójcę!

– Przyleciała stamtąd! – krzyknął ktoś inny.

Meridor stała bez ruchu i patrzyła z niedowierzaniem, jak strażnicy i akolici rzucają się w tłum z bronią i pochodniami w rękach. Odwróciła się w stronę poparzonego mężczyzny, ale on zniknął. Uciekł w trakcie zamieszania, prawdopodobnie odpychając ludzi, którzy dopiero teraz uświadamiali sobie, co zrobił.

Choć strażnicy katedralni działali szybko, w środku było zbyt wielu ludzi, by zorganizować pościg. Ale jeden człowiek uciekający między

ludźmi i zdecydowany umknąć strażnikom poruszał się szybko. Nawet nie widziała, jak ucieka.

Jeden z akolitów zatrzymał się przy Meridor. Uniósł wysoko pochodnię i odsunął ludzi, ukazując leżącą na podłodze upuszczoną kuszę. – Tutaj! – krzyknął akolita. – Broń jest tutaj. Natychmiast podbiegli strażnicy.

– Ktoś go widział? – spytał przysadzisty strażnik.

– To był mężczyzna – powiedziała kobieta z tłumu. – Obcy. Rozmawiał z tą dziewczynką. – Wskazała na Meridor.

Strażnik spojrzał ostro na Meridor. – Znasz człowieka, który to zrobił, dziecko? Meridor chciała się odezwać, ale nie potrafiła.

Podszedł do nich tata. Wiedziała, że chciał ją ochronić, ale jeden ze strażników wbił rękojeść miecza w brzuch taty, rzucając go na kolana. Strażnik chwycił tatę za włosy i odciągnął jego głowę do tyłu, odsłaniając gardło.

– Mów, dziecko – powiedział.

Meridor wiedziała, że ludzie byli przestraszeni i źli. Może Dien–Ap–Sten zemści się na nich za to, że pozwolili, by coś strasznego przytrafiło się Mistrzowi Sayesowi. – Znasz człowieka, który to zrobił? – powtórzył strażnik. Meridor potrząsnęła głową.

– Nie. Tylko z nim rozmawiałam.

– Ale dobrze się mu przyjrzałaś?

– Tak. Miał spaloną twarz. Bał się tu przychodzić. Mówił, że Dien–Ap–Sten może go pamiętać, ale i tak przyszedł.

– Czemu?

– Nie wiem.

Inny strażnik podbiegł do przysadzistego.

– Mistrz Sayes żyje – powiedział.

– Dzięki Dien–Ap–Stenowi – odpowiedział przysadzisty strażnik. – Nie chciałbym się udać tam, gdzie zabrałaby mnie Czarna Droga, gdyby Mistrz Sayes zginął. – Podał opis zabójcy, do dając, że mężczyzna ze spaloną twarzą powinien być łatwy do odnalezienia. Potem odwrócił się do Meridor, nadal trzymając ją boleśnie mocno za ramię. – Chodź, dziecko. Pójdiesz ze mną. Musimy porozmawiać z Mistrzem Sayesem.

Meridor próbowała uciec. Naprawdę nie chciała rozmawiać z Mistrzem Sayesem. Nie mogła się jednak wyrwać z mocnego chwytu strażnika, ciągnącego ją przez tłum.

SZESNAŚCIE



– Mówię ci, widziałem to na własne oczy – powiedział stary Sahyir, wyglądając na obrażonego. Był szczupły i żyłasty, miał białą jak śnieg brodę i związane w kucyk długie włosy. Z pewnością przekroczył już sześćdziesiątkę. Z uszu zwisały mu kolczyki z muszelkami, a twarz, ramiona i ręce pokrywały blizny. Nosił zniszczone szerokie spodnie i koszulę, które chroniły go przed kropelkami morskiej wody pryskającymi przez prymitywną przystań.

Darrick siedział na skrzyni, będącej częścią ładunku, który przeładowywał ze stojącej na redzie karaweli do składu na Przylądku Poszukiwacza. Była to pierwsza dobrze płatna praca od trzech dni i zaczynał już myśleć, że powinien zaciągnąć się na statek, aby mieć dach nad głową i łyżkę stawy ale nie miał na to szczególnie wielkiej ochoty. Z morzem wiązało się zbyt wiele wspomnień. Sięgnął do zniszczonej, skórzanej torby przy pasie i wyciągnął kawał sera oraz dwa jabłka.

– Trudno mu uwierzyć w te opowieści o kamiennym wężu pożerającym ludzi – przyznał Darrick. Małym nożykiem odciął trójkąty z półkola sera i podzielił jabłka na ćwiartki, sprawnie usuwając gniazda. Dał Sahyrowi jeden trójkąt i jedno z jabłek. Wyrzucone za burtę gniazda z jabłek przyciągnęły natychmiast małe okonie, które żyły w okolicach portu i żywiły się odpadkami ze statków, magazynów i ścieków. Głodne pyski muskały powierzchnię wody.

– Widziałem to, Darrick – powtórzył z uporem starszy mężczyzna. – Widziałem, jak człowiek, który nie mógł chodzić, wczołgał się w paszczę

węza, a potem wyszedł stamtąd o własnych siłach. Był zdrow jak koń, mówię ci. To był niezły widok.

Darrick potrząsnął głową, żując kawał sera.

– Uzdrowiciele potrafią robić takie rzeczy. Na to są eliksiry. Widziałem nawet zaczarowaną broń, która pomagała właścicielowi szybciej leczyć rany. W uzdrawianiu nie ma nic niezwykłego. Kościół Zakarum robi to od czasu do czasu.

– Ale za pieniądze – przekonywał go Sahyir. – Uzdrowiciele, eliksiry, zaczarowana broń, cóż, służą tym, którzy mają pieniądze lub dość sił, aby je zdobyć. A kościoły? Nie rozśmieszaj mnie. Kościoły dbają o tych, którzy przekazują im dość grosza albo mają poparcie króla. Powiedziałbym, że troszczą się o ręce, które je karmią. Ale pytam, co z takimi ludźmi jak ty czyja? Kto zaopiekuje się nami?

Rozejrzawszy się po morzu, czując wiatr rozwiewający mu włosy, uderzający po twarzy i oziębiający ciało pomimo nasmołowanego ubrania, Darrick popatrzył na małą wioskę przytuloną niepewnie do skały nad zatoczką.

– Sami się sobą opiekujemy – odpowiedział. – Tak jak zawsze. – On i starszy mężczyzna od miesięcy byli przyjaciółmi, łatwo znajdując wspólny język.

Przylądek Poszukiwacza był niewielkim miastem położonym na południe od ziem zamieszkałych przez barbarzyńskie plemiona. W przeszłości miejscowość była punktem zaopatrzeniowym dla handlarzy, wielorybników i łowców fok, którzy podróżowali przez mroźne, północne krainy. Jakies sto lat temu gildia kupiecka wysłała armię, która miała odstraszyć barbarzyńskich piratów, plądrujących te tereny, nie obawiając się marynarki Zachodniej Marchii. Za ich głowy wyznaczono wysoką cenę i wkrótce została zebrana armia najemników.

Potem kilka barbarzyńskich plemion zjednoczyło się i zorganizowało oblężenie wsi. Faktoria nie była w stanie odpowiednio zaopatrzyć najemników albo odesłać ich za morze. Podczas jednej zimy najemnicy i mieszkańcy wsi zostali wybici do nogi. Dopiero po jakichś czterdziestu latach kilku handlarzy futrami ponownie zaczęło tutaj handlować, i to tylko dlatego, że handlowali głównie z barbarzyńcami i dostarczali im towary, których oni sami nie mogli w żaden sposób zdobyć.

Domy i inne budynki stały na stromych górach otaczających zatoczkę. Pomiędzy nimi nadal leżała nie uprawiana ziemia i dumnie rósł las. Wieś powoli wycinała te kawałki ziemi, zbierając drewno na opał i do budowli, ale kilka uderzeń motyką odsłaniało spękaną, kamienną glebę. Tutaj nic nie można było zbudować.

– Czemu nie pozostałeś w Bramwell? – zapytał Darrick. Wgryzł się w jabłko, poczuł jego słodki i cierpki smak w ustach.

Sahyir odrzucił taką myśl.

– Bo nawet, zanim przybyli tamci i ich religia odniosła sukces, Bramwell nie było miejscem dla mnie i mi podobnych.

– Dlaczego?

– Bo tam jest zbyt ciasno, ot co – prychnął Sahyir. – Człowiek biega po ulicach tak zajęty własnymi sprawami... zwykle cały w nerwach... że może wpaść na siebie samego.

Pomimo wciąż trzymającej go melancholii, Darrick uśmiechnął się. Bramwell było znacznie większe od Przylądka Poszukiwacza, ale błędło w porównaniu z Zachodnią Marchią.

– Nigdy nie byłeś w Zachodniej Marchii, prawda?

– Raz – odpowiedział Sahyir – tylko raz. Popełniłem błąd i zaciągnąłem się na frachtowiec, którzy potrzebowali rąk do pracy. Byłem takim samym szczeniakiem jak ty ale nie bałem się ni czego, więc się zaciągnąłem.

Dopłynęliśmy do portu w Zachodniej Marchii i mogłem przyjrzeć się temu miejscu z piekła rodem. Przez sześć dni staliśmy tam na kotwicy. Przez ten czas ani razu nie zszedłem ze statku.

– Nie? Dlaczego?

– Bo myślałem, że nigdy nie znajdę nań drogi powrotnej. Darrick roześmiał się, a Sahyir skrzywił, wyglądając na obrażonego.

– To wcale nie było śmieszne, ty szczurze pokładowy. Byli ludzie, którzy zeszli tam na ląd i nie wrócili.

– Nie chciałem cię obrazić – powiedział Darrick. – To dlatego, że po podróży przez Zachodnią Marchię przy złej pogodzie, jaka tam zwykle panuje, nie mogę wyobrazić sobie kogoś, komu nie chce się schodzić ze statku, jeśli ma ku temu okazję.

– Tylko tak daleko, aby od czasu do czasu kupić w pobliskiej tawernie bukłak wina i coś świeżego do jedzenia – powiedział Sahyir. – A wspomniałem dziś o Bramwell tylko dlatego, że zeszłej nocy rozmawiałem z pewnym człowiekiem i pomyślałem, że możesz być zainteresowany tym, co powiedział.

Darrick przyglądał się innym barkom wpływającym do portu. Dziś w Przylądku Poszukiwacza panował duży ruch. Tutejsi dokerzy zwykle wykonywali jeszcze jakiś inny zawód, gdyż towaru do rozładowania było za mało, aby z tego utrzymać rodzinę. Nawet ludzie, którzy nie zajmowali się rzemiosłem, polowali czy łowili ryby, jeśli w kabzie zaczynało przeświecać dno. Czasem wyjeżdżali na jakiś czas do innego miasta, położonego na wybrzeżu dalej na południe, jak Bramwell.

– Zainteresowany czym? – zapytał Darrick.

– Tymi symbolami, które tak ciągle rysujesz – Sahyir wyciągnął butelkę z wodą i podał ją Darrickowi.

Darrick pociągnął łyk, czując metaliczny posmak wody. W okolicy działało kilka kopalń, ale żadna z nich nie przynosiła zysków wystarczająco dużych, aby przyciągnąć jakiegoś kupca, skłonnego zainwestować w ich rozwój i ryzykować stratę całości na rzecz barbarzyńców.

– Wiem, że nie lubisz o nich rozmawiać – rzekł Sahyir. – Wybacz, że wspominam o tym, chociaż to nie moja sprawa. Ale widzę, że dręczą cię one i martwią.

Przez cały czas ich znajomości Darrick nigdy nie wspominał, gdzie zobaczył ten eliptyczny wzór z przecinającą go linią. Usiłował zepchnąć go w niepamięć. Rok temu, kiedy zmarł szuler, którego miał ochraniać, Darrick zatracił się w pracy i piciu, z trudem wiążąc koniec z końcem. Zżerało go poczucie winy za śmierć Mata i zleceniodawcy. Widmo ojca w stodole w Hillsfar pojawiało się codziennie.

Darrick nawet nie pamiętał, jak zjawił się w Przylądku Poszukiwacza, gdyż był tak pijany, że kapitan wyrzucił go na ląd i nie chciał przyjąć z powrotem. Sahyir znalazł Darricka na brzegu, chorego i gorączkującego. Starszy człowiek zawołał na pomoc kilku przyjaciół i wspólnie zanieśli Darricka do szałasów na położonych nad wsią wzgórzach. Przez cały miesiąc opiekował się marynarzem, pomagając mu wrócić do zdrowia. Mówił, iż zdarzały się chwile, kiedy był pewien, że choroba albo poczucie winy w końcu go zmoże.

Nawet teraz Darrick nie był pewien, jak wiele ze swojej historii opowiedział Sahyrowi, ale ten mówił, że przez cały czas rysował ten symbol. Darrick nie pamiętał tego, ale Sahyir pokazał mu kawałki papieru z nabazgranymi rysunkami i mężczyzna musiał przyznać, że wyszły spod jego ręki.

Sahyir wydawał się zakłopotany.

– Już dobrze – powiedział Darrick. – Te symbole nic nie znaczą.

– Człowiek, z którym rozmawiałem zeszłej nocy, twierdził coś innego – odparł Sahyir, drapiąc się po brodzie pokrytą odciskami dłonią.

– A co mówił? – spytał Darrick. Barka prawie przybiła do brzegu, zaś mężczyźni pociągający za wiosła coraz więcej odpoczywali, pozwalając zbliżającemu się przypluwowi zanieść ich do celu, podczas gdy oni tylko nią kierowali, omijając inne barki i statki, stojące w zapchanym porcie.

– Ten symbol bardzo go zaciekał – powiedział starszy człowiek. – Dlatego dziś rano wspomniałem ci o Kościele Proroka Światłości.

Darrick zadumał się na chwilę.

– Nie rozumiem.

– Martwiłem się, jak przyjmiesz to, że rozpytuję się w nie swoich sprawach – wyjaśnił Sahyir. – Jesteśmy przyjaciółmi, ale wiem, że nie powiedziałaś mi wszystkiego o tym symbolu i twoich z nim związkach.

Darrick poczuł ukłucie winy. – To coś, o czym starałem się zapomnieć, Sahyir. Nie dlatego, że chciałem coś przed tobą ukryć. Starszy mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

– Wszyscy coś skrywamy, młodziaku. Tak to jest między mężczyznami, kobietami i ludźmi w ogóle. Wszyscy mamy jakieś słabe punkty i nie chcemy, aby ktoś przy nich grzebał.

Pozwoliłem, aby zginął mój najlepszy przyjaciel, pomyślał Darrick. Czy byłbyś dalej moim przyjacielem, gdybym ci o tym powiedział? Nie wierzył, aby tak się stało, i ta prawda go bolała. Starszy mężczyzna był solą tej ziemi – dbał o swoich przyjaciół i zadbał także o obcego, który nawet nie potrafił zadbać o siebie.

– Cokolwiek znaczą te symbole – powiedział Sahyir – to twoja sprawa. Chciałem ci tylko powiedzieć o tym człowieku, gdyż za kilka dni wyjedzie z miasta.

– Nie mieszka tu?

– Gdyby tu mieszkał – odpowiedział Sahyir ze złośliwym uśmiechem – nie sądzisz, że porozmawiałbym z nim wcześniej?

Darrick uśmiechnął się. Wydawało się, że w Przylądku Poszukiwacza wszyscy znają Sahyira.

– Być może – odpowiedział. – Co to za człowiek?

– Sądząc ze słów – odparł Sahyir – to mędrzec.

– Wierzysz mu?

– Tak. Gdybym mu nie wierzył, i nie przypuszczał, że może ci jakoś pomóc, nie rozmawialibyśmy teraz, nieprawdaż?

Darrick pokiwał głową.

– Powiedział – ciągnął Sahyir – że dziś wieczór będzie w „Pod Błękitną Latarnią”.

– Czy wie coś o mnie?

– Nic – Sahyir wzruszył ramionami. – Ode mnie, młodziaku? Zapomniałem o większej liczbie tajemnic, niż mi ich powierzono.

– Ten człowiek wie, co znaczy ten symbol?

– Wie coś niecoś. Wydawał się bardziej zainteresowany tym, co ja o nim wiem. Oczywiście nic mu nie powiedziałem, bo sam nic nie wiem. Ale pomyślałem, że może się czegoś od siebie dowiedzieć.

Darrick rozmyślał o tym, gdy barka zbliżała się do brzegu.

– Czemu opowiadałeś mi o Kościele Proroka Światłości?

– Z powodu symbolu, o którym tyle rozmyślasz? Ten mędrzec uważa, że jest on w jakiś sposób związany z tym, co dzieje się w Bramwell. Z Kościołem Proroka Światłości również. Uważa, że to może coś złego.

Słowa starego człowieka sprawiły, że Darrick poczuł chłód w żołądku. Nie miał wątpliwości, że ten symbol oznaczał coś złego, ale nie wiedział już, czy chciał się w to mieszać. Z drugiej strony nie chciał, aby śmierć Mata pozostała nie pomszczona.

– Jeśli ten mędrzec jest tak zainteresowany tym, co się dzieje w Bramwell, to dlaczego przybył tu? – spytał Darrick.

– Dzienniki Shonny. Przybył tu, aby czytać Dzienniki Shonny Buyard Cholik leżał wyciągnięty na łóżku w bocznej komnacie Kościoła Proroka Światłości i wiedział, że umiera. Oddychał z trudem, a płuca miał wypełnione własną krwią. Choć bardzo się starał, nie widział twarzy mężczyzny... a może kobiety... który tak ciężko go zranił.

Z początku czuł się, jakby ktoś przebił mu pierś rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Kiedy trochę się uspokoił, błędnie uznał, że to dlatego, iż nie został tak poważnie ranny, jak się spodziewał. Potem uświadomił sobie, że wcale mu się nie polepszało. Ból złagodniał, bo umierał. Zbliżająca się śmierć pozbawiała go czucia.

W milczeniu przeklinał kościół Zakarum i Światłość, którą jako dziecko nauczył się kochać i bać. Miał pewność, że gdziekolwiek się teraz znajdowali, musieli się z niego śmiać. Oto leżał tutaj, odmłodzony i zabity bełtem nieznanego zabójcy. Przeklinał Światłość za pozostawienie go na pastwę starości, skoro mogła go zabić w młodości, zanim pojawił się strach przed kalectwem i demencją, przeklinał ją za to, że stał się tak słaby, by zdecydować się na układ z Kabraxisem. Światłość wepchnęła go w ramiona demonów, a tam został znów zdradzony.

Me zostałeś zdradzony, Buyardzie Choliku, powiedział mu spokojnie Kabraxis. Myślisz, że pozwoliłbym ci umrzeć?

Cholik wierzył, że demon pozwoli mu umrzeć. W końcu pozostanie wielu innych kapłanów, a nawet akolitów, którzy mogli wypełnić pustkę po nim.

Me umrzesz, powiedział Kabraxis. Wciąż mamy dużo do zrobienia, ty i ja. Opróżnij komnatę, żebym mógł wejść. Nie mam wystarczająco dużo mocy żeby utrzymać iluzję, a jednocześnie ciebie wyleczyć.

Cholik odetchnął ciężko. Przepęłnił go strach, twardy i szorstki jak język jaszczurki. Z każdym oddechem oddychało mu się coraz trudniej. Płuca miał wypełnione krwią, ale nie czuł bólu.

Pospiesz się. Jeśli chcesz żyć, Buyardzie Choliku, pospiesz się.

Kaszłąc i dysząc ciężko, Cholik zmusił się do podniesienia ciężkich powiek. Krawędzie jego pola widzenia wypełniała ciemność, rozplywająca się coraz bardziej i wiedział, że jeśli jej nic nie zatrzyma, w końcu go pochłonie.

Zrób to teraz!

Cholika otaczali kapłani, nakładający opatrunki na ranę na piersi. Wystawał z niej bełt z pie-rzyskiem pokrytym krwią. Z tyłu stali akolici, a drzwi strzegli najemnicy. Komnatę ozdabiały najdroższe jedwabie i ręcznie rzeźbione meble. Pośrodku kamiennej podłogi leżał haftowany dywan kupiony na rynku w Kuraście.

Cholik otworzył usta, by coś powiedzieć, ale udało mu się tylko zaskrzeczeć. Pluł drobnymi czerwonymi kropelkami.

– O co chodzi, Mistrzu Sayesie? – spytał siedzący obok łoża kapłan.

– Wyjdźcie – wydyszał Cholik. – Wyjdźcie! Zaraz! – Wysiłek pozbawił go wszystkich sił.

– Ależ mistrzu – próbował sprzeciwić się kapłan. – Wasze rany...

– Wyjdźcie, powiedziałem. – Cholik próbował się podnieść i zdziwił się, że jakimś sposobem znalazł na to siły.

Jestem z tobą, powiedział Kabraxis i Cholik poczuł się odrobinę lepiej.

Kapłani i akolici wycofali się, jakby widząc trupa powracającego do życia. Na twarzach najemników pokazało się zdziwienie i może trochę ulgi. Martwy pracodawca mógł oznaczać, że ktoś ich za to obwini, a z pewnością już nie zapłaci.

– Idźcie! – wykrztusił Cholik. – Teraz! Natychmiast, niech was piekło pochłonie, albo upewnię się, że zginiecie w jednej z piekielnych otchłani, które otaczają Czarną Drogę.



Kapłani odwrócili się i nakazali akolitom oraz najemnikom wyjść. Zamknęli potężne dębowe wrota, które odcięły go od korytarza.

Cholik stanął przy łożu i chwycił za niewielki stolik, na którym znajdował się mistrzowskiej roboty delikatny szklany wazon. W jego ściankach zatopione były kwiaty i motyle, chronione niewielkim zaklęciem, które nie pozwoliło im na spłócenie podczas formowania i ochładzania stopionego szkła.

Tajemne drzwi ukryte z tyłu pomieszczenia otworzyły się. Część ściany obróciła się na zawiasach, odkrywając wejście do korytarza. Świątynię przecinała gęsta sieć takich korytarzy, dzięki czemu demon mógł łatwiej poruszać się w jej wnętrzu. Choć sklepienie było wysokie, rogi demona niemal o nie zaczepiały.

– Pospiesz się – wydyszał Cholik. Komnata robiła się coraz bardziej zamglona i nagle zaczęła się wokół niego kręcić. Tylko przez chwilę miał zawroty głowy, ale ku swemu zdziwieniu zauważył, że dywan zbliża się do niego i wiedział, że przewraca się, choć wcale tego nie czuł.

Zanim Cholik dotknął podłogi, Kabraxis chwycił go wielkimi, trójpalczastymi łapami.

– Nie umrzesz – powiedział demon, ale jego słowa bardziej przypominały rozkaz. – Nie skończyliśmy jeszcze, ty i ja.

Choć demon zbliżył do niego swoją twarz, Cholik ledwo go słyszał. Zaczynał tracić słuch. Serce uderzało coraz wolniej, nie potrafiąc walczyć z

wypełnionymi krwią płucami. Próbował odetchnąć, ale na powietrze zabrakło miejsca. Uczuł panikę, ale było to tylko odległe uderzenie w skroniach, które wcale go nie dotykało.

– Nie – stwierdził Kabraxis, chwytając Cholika za ramiona. Cholik poczuł, jak przesywa go ognista strzała. Zapłonęła u podstawy kręgosłupa, popłynęła do podstawy strzały i wybuchła za oczami. Na chwilę oślepl, ale jego wzrok wypełniała nie czern, lecz biel. Uczuł ból, gdy Kabraxis wyrwał bełt z jego piersi. Straszliwe cierpienie niemal pozbawiło go przytomności.

– Oddychaj – powiedział Kabraxis.

Cholik nie mógł. Pomyślał, że może zapomniał, jak to się robi albo brakowało mu sił. Tak czy inaczej, żadne powietrze nie wchodziło do płuc. Świat poza jego ciałem nic nie znaczył, był zamglony i odległy.

Wtedy odnowiony ból przebił jego pierś, podążając ścieżką bełta i wbijając się w płuca. Pochwycony przez ból, Cholik instynktownie wciągnął oddech. Powietrze wypełniło jego płuca, teraz wolne od krwi. Z każdym ciężkim oddechem żelazne kleszcze bólu rozluźniały swój chwyt.

Kabraxis poprowadził go do krawędzi łoża. Cholik dopiero wtedy uświadomił sobie, że krew zabrudziła pościel. Odetchnął ciężko, pijąc powietrze, a pokój wokół niego powoli przestawał wirować. Wypełnił go gniew. Spojrzał w górę na demona.

– Czy wiedziałeś o zabójcy? – spytał Cholik. Wyobraził sobie, że Kabraxis pozwolił zabójcy na postrzelenie go, by uświadomić kapłanowi, jak bardzo jest potrzebny.

– Nie. – Kabraxis splótł ramiona na potężnej piersi. Mięśnie falowały na ramionach i przedramionach.

– Jak mogłeś nie wiedzieć? Wybudowaliśmy to miejsce. Wszędzie masz zaklęcia ochronne.

– W czasie ataku sprawiałem twój cud – przypomniał Kabraxis. – Zrobiłem dwóch całych chłopców z połączonych bliźniaków, a to nie jest proste. Ludzie będą o tym mówić przez lata. Kiedy nad tym pracowałem, zabójca zaatakował.

– Nie mogłeś mnie uchronić przed tą strzałą? – Ocena możliwości i mocy demona była poza zasięgiem Cholika. Czy Czarna Droga pochłaniała Kabraxisa tak bardzo, że pozostawiła go słabym? Ta wiedza mogła się okazać ważna. Ale z drugiej strony przerażało go, że demon mógł być ograniczony i popełniać błędy, po tym jak związał z nim swoje przeznaczenie.

– Ufałem, że najemnicy wynajęci za złoto, które ci dałem, uchronią cię przed czymś podobnym – odrzekł Kabraxis.

– Nie popełnij więcej tego błędu – warknął Cholik.

Kabraxis zdecydowanie skrzył okrwawiony bełt w dłoniach. Rysy jego surowej twarzy pogłębiły się.

– Nigdy nie popełniaj błędu zakładania, że jesteście równi, Buyardzie Choliku. Poufałość rodzi pogardę, ale też przybliża cię do nagłej śmierci.

Przyglądając się demonowi, Cholik uświadomił sobie, że Kabraxis równie dobrze mógł wbić mu bełt w pierś, ale tym razem prosto w serce. Przełknął ślinę, co wymagało od niego dużego wysiłku. – Oczywiście. Wybacz mi. Zapomniałem się w tak trudnej chwili. Kabraxis pokiwał głową, opuszczając rogi, które niemal zadrapały sklepienie.

– Czy strażnicy schwytali zabójcę? – spytał Cholik.

– Nie.

– Nawet to im się nie udało? Nie mogli mnie ochronić i nawet nie zemścili się na tym, który prawie mnie zabił?

Znudzony demon upuścił bełt na ziemię.

– Ukarz strażników jak uznasz za stosowne, ale musisz też wiedzieć, że wyszło z tego coś jeszcze.

Co?

Kabraxis spojrział na Cholika.

– Setki ludzi widziały, jak dziś zginąłeś. Są tego pewni. Wszyscy bardzo jęczeli i płakali z tego powodu.

Myśl o tłumie lamentującym z powodu jego rzekomej śmierci bardzo pochlebila Cholikowi. Podobało mu się, jak mieszkańcy Bramwell próbują sobie zaskarbić jego łaskę, kiedy chodził po ulicach miasta, i widział w ich oczach zazdrość o jego miejsce w hierarchii nowej religii. Każdy na swój sposób potwierdzał jego moc.

– Ci ludzie myśleli, że w związku z zamordowaniem ciebie nie będą już mieli dostępu do Drogi Marzeń – powiedział Kabraxis. – Teraz jednak uwierzą, że jesteś kimś więcej niż człowiekiem, skoro Dien–Ap–Sten cię ożywił. Te wieści opuszczą Bramwell, a widziane tu cuda w miarę opowiadania będą się stawać coraz wspanialsze i większe.

Cholik rozważył to. Choć sam nie zdecydowałby się na takie działanie, wiedział, że demon mówi prawdę. Dzięki tej próbie morderstwa jego sława i sława Dien–Ap–Stena wzrosną. Statki i karawany poniosą historię o zrośniętych dzieciach i zabójstwie przez lądy i morza. Opowieści, jak to bywa, przechodząc z ust do ust, zaczną stawać się coraz bardziej niesamowite.

– Przybędą tu kolejni ludzie, Buyardzie Choliku – stwierdził Kabraxis. – I będą pragnąć, by ich przekonać. Musimy być na to przygotowani.

Cholik podszedł do okna i spojrział na Bramwell. Dzięki popularności kościoła miasto już pękało w szwach. Port wypełniały statki, a w okolicznych lasach powstały obozowiska namiotów.

– Za murami tego kościoła czeka armia wyznawców, która pragnie wejść do środka – powie dział Kabraxis. – Ta świątynia jest za mała, by ich pomieścić.

– Miasto – stwierdził Cholik ze zrozumieniem. – Miasto będzie za małe, by ich po tym wszystkim pomieścić.

– Wkrótce – zgodził się Kabraxis – stanie się to prawdą. Cholik odwrócił się i spojrzał na demona. – Nie myślałeś, że stanie się to tak szybko. Kabraxis popatrzył na niego. – Wiedziałem. Przygotowywałem się. Teraz ty musisz się przygotować. – Jak? – Musisz przyprowadzić do mnie innego, którego zmienię tak, jak zmieniłem ciebie. Cholik uczył przyływu zazdrości. Dzielenie się mocą i prestiżem było niedopuszczalne.

– Nie będziesz się dzielił – powiedział Kabraxis. – Wręcz przeciwnie, zyskasz większą moc sprowadzając tę osobę i naginając ją do naszych życzeń.

– Kogo?

– Lorda Darkulana.

Cholik rozważył to. Lord Darkulan rządził Bramwell i pozostawał w bliskich związkach z królem Zachodniej Marchii. Podczas kłopotu z Tristram lord Darkulan pozostawał jednym z najbardziej zaufanych doradców króla.

– Lord Darkulan okazywał swoim ludziom, że nasz kościół wzbudza jego podejrzliwość – sprzeciwił się Cholik. – Przecież była nawet mowa o wyjęciu kościoła spod prawa. Zrobiłby to, gdyby jego lud nie sprzeciwił się temu stanowczo i gdyby nie pojawiła się możliwość opodatkowania karawan i statku przywożących tu ludzi z innych krain.

– Troska lorda Darkulana jest zrozumiała. Bał się, że to my zdobędziemy wierność jego poddanych. – Kabraxis uśmiechnął się. – Zdobyliśmy ją. A po dzisiejszym dniu to już sprawa zamknięta.

- Czemu jesteś tak pewien?
- Ponieważ lord Darkulan był dziś na widowni.

SIEDMNAŚCIE



Gdy Cholik usłyszał o obecności lorda Darkulana w kościele, zrobiło mu się zimno. Ten człowiek nigdy wcześniej się w nim nie pojawił.

– Lord Darkulan wszedł do kościoła w przebraniu – kontynuował Kabraxis. – Nikt nie wiedział o jego obecności prócz jego strażników i mnie. A teraz także ciebie.

– To on mógł wynająć zabójcę – powiedział Cholik czując, jak przepełnia go gniew. Spojrzał w dół na swoją pokrytą szkarłatem szatę i dziurę, gdzie przeszedł bełt. Teraz widział pod nią tylko nienaruszone ciało.

Nie.

Czemu jesteś taki pewny?

– Bo zabójca był sam – odpowiedział Kabraxis. – Gdyby to lord Darkulan chciał cię zabić, wprowadziłby do kościoła trzech albo czterech kuszników. Byłbyś martwy nim jeszcze dotknąłbyś podłogi.

Cholikowi zaschło w ustach. W jego umyśle pojawiła się myśl, której nie chciał zanadto drażnić, ale która przyciągała go jak świeczka przyciąga ćmę.

– Gdyby mnie zabili, czy byłbyś w stanie przywrócić mnie do życia?

– Gdybym musiał to zrobić, Buyardzie Choliku, nie zaznałbyś prawdziwego chłodu śmierci. Ale od tej chwili nie znałbyś też ognistej pasji życia.

Nieumarfy, pomyślał Cholik. Niemal zrobiło mu się niedobrze. W jego głowie pojawiły się wizje zombie i wyszczerzonych szkieletów. Jako kapłana Zakarum wzywano go do oczyszczania cmentarzy i budynków z nieumarłych istot, które kiedyś były ludźmi i zwierzętami. A on ledwie

uniknął powrotu jako jeden z nich. Żołądek mu się ścisnął i poczuł w gardle posmak żółci.

– Nie zostałbyś jedynie ożywiony, jak tamte stwory – powiedział Kabraxis. – Podarowałbym ci prawdziwe niezycie. Twoje myśli nadal byłyby twoimi myślami.

– A moje pragnienia?

– Twoje pragnienia i moje w tej chwili ściśle się wiążą. Niewiele by ci brakowało.

Cholik nie mógł w to uwierzyć. Demony żyły inaczej niż ludzie, miały inne marzenia i namiętności. Nie mógł przestać się zastanawiać, czy byłby kimś mniej... a może kimś więcej.

– Być może – stwierdził Kabraxis – kiedy będziesz bardziej na to gotowy, dowiesz się. Na razie nauczyłeś się, by trzymać się tego życia, które masz. – Więc czemu lord Darkulan się tu pojawił? – spytał Cholik. Demon uśmiechnął się, obnażając zęby.

– Lord Darkulan ma kochankę, która umiera od powoli działającej trucizny, podanej jej wczoraj przez lady Darkulan.

– Czemu?

– Czemu? Żeby ją zabić, to oczywiste. Wygląda na to, że lady Darkulan jest zazdrosną kobietą, a dopiero trzy dni temu dowiedziała się, że jej mąż spotyka się z inną.

– Żony już wcześniej zabijały kochanki swoich mężów – stwierdził Cholik. Nawet na dworach królewskich w Zachodniej Marchii zdarzały się takie historie.

– Tak – odpowiedział Kabraxis – ale wygląda na to, że kobieta będąca od trzech miesięcy kochanką lorda Darkulana jest też córką przywódcy gildii kupców w Bramwell. Jeśli córka umrze, kupiec zerwie wszystkie umowy handlowe Bramwell i wykorzysta swoje wpływy na dworach królewskich w

Zachodniej Marchii, by doprowadzić morderczynię córki przed oblicze sprawiedliwości.

– Hodgewell chce oskarżyć lady Darkulan? – Cholik nie mógł w to uwierzyć. Znał kupca, o którym mówił Kabraxis. Ammin Hodgewell był złośliwym i mściwym człowiekiem, który sprzeciwiał się kościołowi Proroka Światłości od momentu jego powstania.

– Hodgewell chce, żeby ją powieszono na Szubienicy Sprawiedliwości. Właśnie stara się wnieść oskarżenie.

– Lord Darkulan wie o tym?

Tak.

– Czemu nie poprosił o pomoc aptekarza?

– Poprosił – odpowiedział Kabraxis. – Nawet kilku, od kiedy wczoraj odkrył, że jego kochanka jest skazana na długie cierpienia. Żaden z aptekarzy ani uzdrowicieli nie jest w stanie jej pomóc. Pozostał dla niej tylko jeden ratunek.

– Droga Marzeń – wydyszał Cholik. Implikacje tego morderstwa wypełniały jego umysł, wyganiając wszystkie myśli o śmierci, której ledwie uniknął.

– Tak – stwierdził Kabraxis. – Zrozumiałeś.

Cholik spojrział na demona, nie odważając się mieć nadziei.

– Jeśli lord Darkulan przyjdzie do nas po pomoc, a my uratujemy jego kochankę przed trucizną i żonę przed powieszeniem, utrzymując jednocześnie spokój w Bramwell...

– Zdobędziemy go na Czarnej Drodze – powiedział demon. – Wtedy lord Darkulan będzie nasz na zawsze. Będzie naszą trampoliną do Zachodniej Marchii i czekającego nas przeznaczenia.

Cholik potrząsnął głową.

– Lord Darkulan nie jest młodzieniaszkiem, żeby poddawać się namiętności z kobietą z warstwy kupca Hodgewella.

– Nie miał wyboru – powiedział Kabraxis. – Uczucie młodej damy do niego było wszechogarniające, a i lord Darkulan uczuł przyływ pożądania.

Cholik poczuł przyływ zrozumienia i w zadziwieniu spojrzął na demona.

– Ty. Ty to zrobiłeś.

– Oczywiście.

– A ta trucizna, której użyła lady Darkulan? Nie wierzę, że wszyscy uzdrowiciele i aptekarze lorda Darkulana nie mogli znaleźć antidotum.

– Ja dałem ją lady Darkulan – przyznał Kabraxis – pocieszając ją jednocześnie. Kiedy już dostała truciznę do ręki, wykorzystła ją natychmiast.

– Jak dużo czasu pozostało córce Hodgewella, zanim trucizna ją zabije? – spytał Cholik.

– Do jutra wieczór.

– A lord Darkulan wie o tym?

Tak.

– Czyli dzisiaj...

– Myślę, że chciał wystąpić po modłach – stwierdził Kabraxis. – Próba zabójstwa sprawiła, że strażnicy wyrzucili go z kościoła. Niektórzy ze strażników świątyni... podobnie jak obrońców lorda... zginęło w trakcie, co pomogło w ucieczce prawdziwemu zabójcy.

– Lord Darkulan i tak przyjdzie – powiedział Cholik.

– Musi – zgodził się Kabraxis. – Nie ma wyboru, o ile nie chce ujrzeć kochanki martwej jutro o zachodzie słońca, a żony powieszanej wkrótce potem. – Lord Darkulan może zabrać żonę i spróbować uciec. Kabraxis wyszczerzył się.

– I pozostawić tu bogactwa i władzę? Dla miłości kobiety, którą zdradził? Kobiety, która już nie będzie w stanie kochać go tak, jak wcześniej? Nie. Lord Darkulan raczej pozwoliłby im obu zginąć, a nie opuściłby Bramwell. Ale nawet to go nie uratuje. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw i obie kobiety zginą...

– Szczególnie, jeśli ludzie uwierzą, że mógł je obie uratować, zwracając się do kościoła Proroka Światłości, jak oni robili we wszystkich swoich troskach – podchwycił myśl Cholik, na wpół ogłuszony zabójczą prostotą planu Kabraxisa – Lord Darkulan straci popularność wśród poddanych.

– Zrozumiałeś – powiedział Kabraxis. Cholik spojrzał na demona.

– Czemu nie powiedziałeś mi o tym wszystkim?

– Powiedziałem – wyjaśnił Kabraxis. – Kiedy musiałeś się o tym dowiedzieć.

Cholik przypomniał sobie to, czego uczono go w kościele Zakarum. Demony mogą wpływać na ludzi, ale tylko wtedy kiedy ci ludzie chcą ich wysłuchać. Wielopoziomowy plan Kabraxisa w każdym punkcie mógł spalić na panewce. Kochanka mogła nie zakochać się w lordzie. Lord mógł nie zdradzić swojej żony albo zerwać związek i wyznać swe winy. A żona mogła raczej wziąć sobie z zemsty kochanka niż zdecydować się na otrucie kobiety która odebrała jej męża.

Gdyby plan nie zadziałał, Cholik nigdy by się o nim nie dowiedział i nic nie zaszkodziłoby dumie demona.

– Upokorzyłem ich wszystkich – powiedział Kabraxis – i sprawiłem, że kraina znalazła się pod naszą kontrolą. Najpotężniejsi ludzie staną się naszymi sojusznikami. Lord Darkulan będzie wdzięczny za uratowanie kochanki, a kupiec Hodgewell za uratowanie córki.

Cholik rozważył plan. Był odważny, przebiegły i dwuznaczny – dokładnie czegoś takiego spodziewał się po demonie.

– Mamy już wszystko – powiedział, patrząc na Kabraxisa.

– Tak – potwierdził demon. – i będziemy mieli więcej. Ktoś zapukał do drzwi komnaty.

– Co? – spytał Cholik ze złością.

– Mistrzu Sayesie – zawołał kapłan z drugiej strony – chciałem się tylko dowiedzieć, czy z wami wszystko w porządku.

– Idź do nich – powiedział Kabraxis. – Porozmawiamy później. – Wyszedł z komnaty przez tajemne drzwi.

Cholik podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem. Kapłani, akolici i najemnicy cofnęli się o krok. Jeden z najemników trzymał przed sobą małą dziewczynkę, zaciskając jedną rękę na jej ustach, gdy ta próbowała się uwolnić.

– Mistrzu – powiedział kapłan. – Błagam was o wybaczenie. Tylko troska skłoniła mnie do tego, by wam przeszkodzić.

– Wszystko w porządku – powiedział Cholik wiedząc, że kapłan ze strachu nadal będzie próbował się usprawiedliwiać.

– Ale bełt wszedł tak głęboko – powiedział kapłan. – Sam to widziałem.

– Zostałem uleczony dzięki łasce Dien–Ap–Stena. – Cholik rozsunął szatę, ukazując zdrowe ciało pod okrwawionym materiałem. – Wielka jest moc Proroka Światłości.

– Wielka jest moc Proroka Światłości – powtórzyli natychmiast kapłani.

– Niech łaska Dien–Ap–Stena będzie wieczna.

Cholik znów owinął się szatą. Spojrzał na wrywającą się dziewczynkę trzymaną przez najemnika.

– Co tu robi to dziecko?

– To siostra chłopców, których uleczył dziś Dien–Ap–Sten – powiedział najemnik. – Widziała też zabójcę.

– To dziecko widziało, a ty i twoi ludzie nie? – Głos Cholika ciął powietrze jak stalowe ostrze.

– Ona stała obok niego, gdy wypuścił bełt, Mistrzu Sayesie – odrzekł najemnik. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Cholik podszedł do mężczyzny. Kapłani i inni najemnicy cofnęli się, jakby oczekiwali, że piorun zmieni dowódcę najemników w kupkę popiołu. Cholik musiał przyznać, że ta myśl była kusząca. Odwrócił spojrzenie od drżącego najemnika i przeniósł je na dziewczynkę. Podobieństwo między nią a zrosniętymi bliźniakami było uderzające.

Z oczu dziewczynki płynęły łzy, drżała i płakała. Ze strachu zupełnie zbladła.

– Puść ją – powiedział Cholik.

Najemnik niechętnie zdjął wielką, pokrytą odciskami dłoń z ust dziewczynki. Ta wciągnęła drżący oddech. Łzy nadal spływały po jej twarzy, gdy rozejrzała się dookoła szukając drogi ucieczki.

– Wszystko w porządku, dziecko? – spytał łagodnym tonem Cholik.

– Chcę do taty – powiedziała dziewczynka. – Chcę do mamy. Nic nie zrobiłam.

– Czy widziałas tego, który do mnie strzelał? – spytał Cholik.

– Tak – Uniosła wypełnione łzami oczy do Cholika. – Proszę, Mistrzu Sayesie. Nic nie zrobiłam. Krzyknęłabym, ale był za szybki. Strzelił, zanim mogłam pomyśleć. Nie myślałam, że to zrobi. Nie skrzywdziłabym was. Uratowaliście moich braci, Mikela i Dannisa. Uratowaliście ich. Nie skrzywdziłabym was.

Cholik położył uspokajająco dłoń na ramieniu dziewczynki. Czuł jak drży i kuli się pod jego dotknięciem.

– Już dobrze, dziecko. Muszę tylko dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie, który próbował mnie zabić. Ja też cię nie skrzywdzę.

Spojrzała na niego.

– Obiecujecie?

Niewinność dziewczynki wzruszyła Cholika. Dzieciom łatwo dawać obietnice, gdyż chcą w nie wierzyć.

– Obiecuję – powiedział Cholik.

Dziewczynka rozejrzała się wokół, jakby chciała się upewnić, że najemnicy o surowych twarzach też słyszeli słowa Mistrza Sayesa. – Oni też cię nie dotkną – powiedział Cholik. – Opisz mężczyznę, który do mnie strzelał. Spojrzała na niego zadziwiona.

– Myślałam, że was zabił.

– Nie mógł – odpowiedział Cholik. – Jestem wybranym Dien–Ap–Stena. Żaden śmiertelnik nie może mnie zabić, póki pozostaję w łasce proroka.

Dziewczynka znów odetchnęła, teraz już niemal zupełnie spokojnie. – Był popalony. Prawie cała jego twarz była popalona. Ręce i ramiona miał popalone. Ten opis nic Cholikowi nie mówił.

– Czy zauważyłaś coś jeszcze?

– Nie. – Dziewczynka zawahała się.

– O co chodzi? – spytał Cholik.

– On chyba się bał, że go rozpoznacie, kiedy go zobaczycie – powiedziała dziewczynka. – Mówił, że zdziwił się, że wpuszczono go do budynku.

– Nie widziałem jeszcze tak bardzo poparzonego człowieka, jak to opisałaś, który by to przeżył.

– Może on nie żył – powiedziała dziewczynka.

– Czemu tak mówisz? – Nie wiem. Po prostu nie wiem, jak ktoś mógłby przeżyć takie poparzenia. Chce mnie zabić martwy człowiek? Cholik rozważał przez chwilę tę myśl.

Spokojnie, powiedział Kabraxis w jego umyśle. Mamy dużo do zrobienia. Zabójca uciekł.

Cholik sięgnął do kieszeni szaty i wyjął z niej kilka srebrnych monet. Suma ta wystarczyłaby na wyżywienie rodziny przez kilka miesięcy. Kiedyś może pieniądze coś dla niego znaczyły, lecz teraz był to tylko środek przetargowy. Położył srebro na dłoni dziewczynki i zacisnął wokół niego jej palce.

– Weź to, dziecko – powiedział Cholik – jako znak mojego uznania. – Spojrzał na najbliższego najemnika. – Upewnij się, że bezpiecznie wróci do swojej rodziny.

Najemnik pokiwał głową i odprowadził dziewczynkę. Ta nie odwróciła się ani razu.

Mimo iż ponad rok minął od odnalezienia przez Cholika bramy Kabraxisa, jego myśli powróciły do labiryntu i komnaty, w której uwolnił demona. Tej nocy jednemu człowiekowi udało się uciec – marynarzowi z Zachodniej Marchii, który uniknął ożywionych przez Kabraxisa demonów i zombie, mających za zadanie zabicie wszystkich obecnych.

Cholik czuł, że nikt w Bramwell nie odważyłby się zaatakować go w kościele. A jeśli mężczyzna był tak bardzo poparzony jak mówiła dziewczynka, ktoś by go zidentyfikował z nadzieją na nagrodę od Dien–Ap–Stena lub samego Cholika.

Musiał to więc być ktoś z zewnątrz. Ktoś, o kim nie wiedzieli nawet mieszkańcy miasta. A jednak ktoś, kto znał Cholika z dawnych czasów.

Gdzie udał się człowiek, który uciekł z Portu Tauruka? Jeśli to był on, a nie mógł to być przecież nikt inny, czemu czekał tak długo, zanim wystąpił przeciw niemu? I czemu w ogóle się na to zdecydował, właśnie teraz?

Było to niepokojące. Szczególnie, kiedy Cholik pomyślał, jak blisko serca wbił się bełt. Z mętlikiem w głowie Cholik powrócił do prywatnej

komnaty, by planować i spiskować z demonem, którego uwolnił. Zabójca stracił jedyną szansę. Cholik już nigdy nie będzie nieprzygotowany na atak. Pocięszył się tą myślą.

Darrick wszedł do tawerny „Pod Błękitną Latarnią”. Od dźwigania różnych ciężarów przez cały dzień, piekły go plecy i ramiona. Dym z fajek i nadchodząca noc sprawiały, że było tu ciemno, a ludzie wymieniający się historiami i opowiadający kłamstwa napełniali miejsce hałasem. Na zachód, niedaleko miejsca, gdzie Zatoka Zachodniej Marchii uchodziła do Zamarzniętego Morza, zachodzące słońce tonęło w wodzie, wyglądając jak dogasające czerwone węgielki z rozrzuconego ogniska.

Zimny pomocny wiatr towarzyszył Darrickowi do tawerny. W ciągu ostatniej godziny pogoda zmieniła się tak, jak spodziewali się kapitanowie i oficerowie statków. Sahyir mówił Darrickowi, że rano port może nawet pokrywać cienka warstwa lodu. Nie będzie na tyle gruba, by zamknąć statki w swoich okowach, ale ten czas już się zbliżał.

Gdy Darrick wszedł, mężczyźni podnieśli na niego wzrok. Niektórzy go znali, a inni byli ze statków w porcie. Wszyscy patrzyli podejrzliwie. Przylądek Poszukiwacza nie był dużą wsią, ale liczba obecnych zwiększała się, gdy w porcie stały statki. A jeśli ktoś szukał kłopotów, to „Pod Błękitną Latarnią” było odpowiednim miejscem.

W tawernie nie było wolnych stołów. Trzej mężczyźni, których Darrick słabo znał, zaproponowali mu miejsca ze swoimi przyjaciółmi. Darrick podziękował, ale zrezygnował, mijając kolejne stoły, aż zauważył mężczyznę, o którym mówił mu tego dnia Sahyir.

Mężczyzna był w średnim wieku, na jego równo przyciętej brodzie pojawiły się już ślady siwizny. Miał szerokie ramiona i lekką nadwagę, wyglądał na człowieka, który prowadził aktywne życie. Ubranie miał podniszczone, ale wyglądające na wygodne i wystarczająco ciepłe, by

chronić przed zimnymi wiatrami północy. Nosił okulary o okrągłych szklach, co zdarzało się rzadko. Darrick mógł policzyć na palcach, ile razy widział ten wynalazek.

Po lewej stronie mędrca stał talerz z mięsem i chlebem. Mężczyzna pisał prawą ręką, od czasu do czasu przerywając, żeby zanurzyć pióro w kałamarzu stojącym obok książki, nad którą pracował. Lampka na tran zapewniała mu więcej światła.

Darrick zatrzymał się niedaleko od stołu, gdyż nie wiedział, co ma powiedzieć.

Mędrzec nagle uniósł wzrok i spojrzał znad okularów.

– Darrick?

Darrick, zaskoczony, nic nie powiedział.

– Twój przyjaciel Sahyir powiedział mi, jak się nazywasz – stwierdził mędrzec. – Kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, powiedział mi, że możesz tu zajrzeć.

– Ano – powiedział Darrick. – Choć muszę wyznać, że tak naprawdę nie wiem, co tu robię.

– Jeśli widziałeś ten symbol, a Sahyir chyba wierzy, że go widziałeś – powiedział mędrzec – pewnie cię naznaczył.

Wskazał na księgę przed sobą.

– Światłość wie, że zostałem naznaczony przez poszukiwanie wiedzy na jego temat. Z wielką szkodą dla mnie, jak twierdzą niektórzy moi nauczyciele i towarzysze.

– Widziałeś demona? – spytał Darrick.

W głębokich zielonych oczach mędrca pojawiło się zainteresowanie.

– Aty?

Darrick nie odezwał się, czując, że powiedział więcej niż powinien.

Na twarzy mędrca pojawił się wyraz irytacji.

– Niech cię, synu. Jeśli chcesz rozmawiać, to usiądź. Pracowałem ciężko przez wiele dni, a wcześniej przez tygodnie i miesiące w innych miejscach. Patrzenie w górę jest dla mnie piekielnie męczące. – Piórem wskazał na krzesło naprzeciwko siebie, po czym zamknął książkę i odłożył ją na bok.

Nadal odczuwając niepewność, Darrick odsunął krzesło i usiadł. Z przyzwyczajenia położył ukryty w pochwie kord na udach.

– Jadłeś coś?

– Nie – Wyładowywanie importowanych towarów ze statku i ładowanie towarów eksportowanych zajęło cały dzień. Darrick zjadł tylko to, co miał w torbie najedzenie, a ona była pusta od wielu godzin.

– Chciałbyś coś zjeść?

– Ano.

Mędrzec wezwał gestem jedną z dziewczek służebnych. Młoda kobieta przyjęła zamówienie i poszła je przynieść.

– Sahyir mówił mi, że byłeś marynarzem – powiedział mędrzec.

Ano. – Powiedz mi, gdzie widziałeś demona – zaproponował mędrzec. Darrick panował nad sobą. – Nigdy czegoś takiego nie mówiłem, prawda? Zmarszczki wokół oczu mężczyzny pogłębiły się. – Zawsze jesteś taki gburowaty? – Panie – stwierdził spokojnie Darrick – nawet nie znam twojego imienia. – Taramis – odrzekł mędrzec. – Taramis Volken. – A czym się zajmujesz, Taramisie Volkenie? – spytał Darrick. – Zbieram mądrość – odrzekł mężczyzna. – Szczególnie tę odnoszącą się do demonów. – Czemu? – Ponieważ ich nie lubię, a rzeczy, których się dowiaduję, zwykle można przeciw nim wykorzystać.

Dziewka służebna powróciła z talerzem koźliny, krewetek, ryb, chlebem i kawałkami melona, który dotarł tego dnia na jednym ze statków. Zaproponowała grzane wino.

Darrick tylko przez chwilę czuł pokusę. Przez ostatni rok próbował zatopić swoje życie i ból w alkoholu. Nie zadziałało i dopiero stary Sahyir uratował go przed samym sobą. Ale jak mówił stary mężczyzna, ratowanie się było codzienną pracą i mógł to zrobić tylko jeden człowiek.

– Herbata – powiedział Darrick. – Proszę.

Dziewka skinęła głową i wróciła z pełnym kubkiem niesłodzonej herbaty.

– Jeśli chodzi – powiedział Taramis – o twojego demona...

– Nie mojego demona – przerwał Darrick.

Na wargach mędrca pojawił się przelotny uśmiezek.

– Jak sobie życzysz. Gdzie widziałeś demona?

Darrick zignorował pytanie. Zanurzył palec w sosie i narysował na stole elipsy z przeplecioną liną. Narysował go tak dokładnie, że linia w odpowiednich miejscach przechodziła nad, a w odpowiednich pod elipsami.

Mędrzec przyjrzał się narysowanemu sosem symbolowi.

– Czy wiesz, co to jest?

Nie.

– A do kogo należy? Darrick potrząsnął głową.

– Gdzie to widziałeś? – spytał mędrzec.

– Nie – odpowiedział Darrick. – Nie dostaniesz nic ode mnie, dopóki się nie przekonam, że dostanę coś od ciebie.

Mędrzec zanurzył rękę w podniszczonej torbie podróżnej ze skóry jaszczurki, która leżała na krześle obok niego. W zamyśleniu wyjął fajkę i kapciuch. Napełnił fajkę tytoniem i podpałił ją od lampki. Palił w milczeniu, a jego głowę otaczała mgiełka. Nie mrugając wpatrywał się w Darricka.

Darrick nie widział równie wymagającego spojrzenia od poranka, kiedy to się golił i spoglądał w lustro. Nawet oficerowie marynarki Zachodniej Marchii bledli w porównaniu z tym człowiekiem. Ale jadł, smakując gorące

jedzenie. Jak na standardy, do których przyzwyczał się w Przylądku Poszukiwacza, ten posiłek był ekstrawagancki. Pieniądze, które dostał dziś za przenoszenie ładunków, mogły wystarczyć mu na wyżywienie się przez dwa tygodnie, gdyż wolał uniknąć polowania na chudą zwierzynę w lasach, kiedy już czuł na karku oddech nadchodzącej zimy.

Taramis znów sięgnął do torby podróźnej i wyjął z niej inną księgę. Przerzucił kartki, zatrzymał się na jednej, położył tom na stole, obrócił i popchnął w stronę Darricka. Mędrzec przesunął lampkę, żeby świeciła bezpośrednio na kartki.

– Ten demon, którego widziałeś – powiedział Taramis. – Czy wyglądał podobnie do tego? Darrick spojrział na stronę. Ilustracja została wykonana ręcznie i była szczegółowa.

Rysunek przedstawiał demona, którego widział w Porcie Tauruka, tego, który wezwał nieumarłe stwory odpowiedzialne za śmierć Mata Hu-Ringa.

Me do końca odpowiedzialny, powiedział sobie Darrick, czując, że traci apetyt. Większość odpowiedzialności ponosił on. Nadal jadł mechanicznie, gdyż wiedział, że miną dni lub tygodnie, zanim będzie miał okazję tak dobrze zjeść.

– Co wiesz o tym symbolu? – spytał Darrick, nie odpowiadając na pytanie mędrca.

– Nie sprzedasz się tanio, co, chłopcze? – spytał Taramis. Darrick odłamał kawałek chleba i posmarował go miodowym masłem. Zaczął jeść, podczas gdy Taramis próbował go przeczekać.

W końcu mędrzec poddał się i odpowiedział:

– Ten symbol wiąże się od wieków z demonem zwanym Kabraxisem. Ma on być strażnikiem Spaczonej Drogi Marzeń i Cieni.

– Droga Marzeń? – spytał Darrick, przypominając sobie historię o Bramwell, którą tego ranka opowiedział mu Sahyir.

– Interesujące, prawda? – spytał mędrzec.

– Sahyir opowiadał mi, jak poszedł do świątyni w Bramwell – powiedział Darrick. – Jest tam nowy kościół, nazywany kościołem Proroka Światłości. Tam też mówili o Drodze Marzeń.

Taramis pokiwał głową.

– Oddają tam cześć prorokowi imieniem Dien–Ap–Sten.

– Nie Kabraxis?

– Demon zachowywałby się dość głupio, gdyby chodził po świecie i kazał nazywać się ludziom swoim prawdziwym imieniem, nieprawdaż? – Taramis wyszczerzył się. – To znaczy, gdyby zrobił coś takiego, byłby to koniec anonimowości. Większość ludzi nie oddawałaby świadomie czci demonowi, choć są i tacy.

Darrick wskazał ręką na talerz.

– Doceniam ten wspaniały posiłek, który mi kupiłeś, naprawdę. Ale muszę ci powiedzieć, że jeśli ta historyjka nie nabierze tempa, zanim skończę, wynoszę się stąd.

– Cierpliwość nie jest jedną z twoich cnót, prawda?

– Nie. – Darrick nie wstydział się do tego przyznać.

– Kabraxis jest starym i potężnym demonem – powiedział Taramis. – Od początków pisanej historii był na świecie, w takiej czy innej postaci. Znany jest pod dziesiątkami, być może setkami imion.

Darrick wskazał na symbol na stole.

– A to jest jego symbol?

Taramis pykał fajkę. Węgielki płonęły na pomarańczowo.

– Sądzę, że to podstawowy symbol tego demona. Czy widziałeś go w Bramwell?

– Nie byłem w Bramwell od lat – odpowiedział Darrick. Było zbyt blisko Zachodniej Marchii.

- To gdzie widziałeś demona? – Zainteresowanie mędrca było ogromne.
- Nie mówiłem, że go widziałem – przypomniał Darrick.
- Twój przyjaciel powiedział mi...
- Powiedział ci, że znam ten symbol.
- Tylko to mu powiedziałaś?

Darrick popijał herbatę i zignorował pytanie. Powrócił do jedzenia. Talerz powoli, ale ciągle się opróżniał.

- Czy znasz znaczenie tego symbolu? – spytał Taramis.

Nie.

Ponoć przedstawia warstwy człowieka. Aspekty ludzkiej natury, którymi może żywić się demon.

Nie rozumiem – stwierdził Darrick.

Mędrzec wydawał się zdziwiony. – Nie masz kapłańskiego wykształcenia?

Nie. – A jednak bez niego znasz najpotężniejszy symbol Kabraxisa? Darrick nic nie mówił. Nabił na swój nóż kawał ziemniaka. Taramis westchnął.

– W porządku. Intrygujesz mnie i tylko dlatego będę mówił dalej, bo poza tym nie lubię trakto wania mnie w tak bezpośredni sposób. – Wskazał na elipsy. – To są warstwy człowieka, objawione przez Kabraxisa, Pogromcę Światłości.

- Dlaczego nazywa się go Pogromcą Światłości? – spytał Darrick.



Rozejrzał się wokół, upewniając się, że żaden z marynarzy i dokerów niezbyt interesuje się ich rozmową. W niektórych społecznościach sama rozmowa o demonach wystarczała, żeby zostać powieszonym, a

przynajmniej przebadanym przy pomocy przytapienia lub rozpalonego do czerwoności pręta.

– Ponieważ podstawowym celem Kabraxisa na tym świecie jest zaćmienie Zakarum i zajęcie jego miejsca. W czasie Wojny Grzechu Kabraxis starał się nie dopuścić, by archanioł Yaerius zbudował podstawy Zakarum z pomocą swojego ucznia Akarata.

– A co z archaniołem Inariusem? – spytał Darrick, przypominając sobie stare historie o Wojnie Grzechu. – To Inarius jako pierwszy wzniósł w tym świecie katedrę Światłości.

– Inarius stał się zbyt pewny siebie i zburzył świątynię Mefista. Został pojmany i wraz z Serafinem powrócił do Piekieł, by przez wieczność znosić tortury. Kabraxis przyspieszył upadek Inarius, przeciągając ich na stronę demona.

– Nie pamiętałem tego – przyznał Darrick.

– Wojnę prowadzili między sobą Mefisto i Inarius – powiedział Taramis.
– Tylko mędrcy lub ludzie z wykształceniem kapłana wiedzą o udziale Kabraxisa w Wojnie Grzechu. Pogromca Światłości to przebiegły demon. Działa w cieniach, rozciągając ich granice, aż zakryją one Światłość. Większość ludzi, która przez te wszystkie lata oddawała mu cześć, nawet nie znała jego imienia.

– A ty wierzysz, że jest teraz w Bramwell? – spytał Darrick.

– W kościele Proroka Światłości. – Mędrzec pokiwał głową. – Tak. I jest tam znany pod imieniem Dien–Ap–Sten.

Darrick wskazał na symbol.

– A to?

– Jak już mówiłem – powiedział Taramis – te elipsy oznaczają warstwy ludzkiej natury jak postrzega je Kabraxis. Przez te warstwy jest w stanie

dotrzeć do duszy człowieka, wypaczyć ją, nagiąć i w końcu osiąść. Nie jest z natury demonem lubiącym walkę, jak Diabło, Mefisto i Baal.

Darrick potrząsnął głową.

– Nie możesz tak po prostu rzucać imionami tych wszystkich demonów. One nie istnieją. Nie wszystkie mogą istnieć.

– Mroczna Trójca istnieje.

Darrick poczuł, jak przeszywa go chłód, ale nawet po tym wszystkim, co widział... nawet po tym, jak stracił wszystko ujrzawszy demona w Porcie Tauruka... z trudem mógł uwierzyć, że świat demonów, Piekła, jest prawdziwy, nie wymyślony.

– Widziałeś kościół Proroka Światłości?

Nie.

– Jest ogromny – powiedział Taramis. – W mniej niż rok kościół Proroka Światłości stał się jedną z największych budowli w Bramwell.

– Bramwell to małe miasto – powiedział Darrick. – Mieszkają w nim głównie rybacy i rolnicy. Zachodnia Marchia utrzymuje w nim niewielki garnizon, a i to głównie na pokaz, bo żadna armia nie zdecyduje się zaatakować Zachodniej Marchii z tej strony. Drogi są zbyt niewygodne i niepewne.

– Kabraxis buduje swoją potęgę przez pokolenia – powiedział Taramis. – Dlatego zaczęła się go obawiać nawet plugawa trójca braci. Tam, gdzie oni wypowiadali wojnę i wystawiali przeciwko ludziom swoje demoniczne armie, Kabraxis zjednywał sobie zwolenników.

– Przez warstwy człowieka.

– Tak. – Mędrzec dotknął zewnętrznej elipsy. – Pierwsza to strach ludzkości przed demonami. Ludzie, którzy obawiają się Kabraxisa, uznają jego władzę, ale uciekną przy pierwszej nadarzącej się okazji. – Wskazał kolejną elipsę. – Następna jest chciwość. Poprzez kościół Proroka Świa

łości, Kabraxis i najwyższy kapłan zwany Mistrzem Sayesem lub Wskazującym Drogę, ofiarowują swoim wyznawcom różne dary. Szczęście w interesach, pieniądze i niespodziewane spadki. Później jeszcze bardziej zbliża się do serca. – Dotknął kolejnej elipsy. – Pożądliwość. Czy w tajemnicy pożadasz żony sąsiada? Jego ziemi? Wielb Kabraxisa, a w swoim czasie staną się twoje.

– Tylko jeśli człowiek, do którego one należą, nie jest również wyznawcą Kabraxisa.

– Nieprawda. – Taramis przerwał, by ponownie napełnić fajkę. – Kabraxis waży i ocenia tych, którzy mu służą. Jeśli jeden... więcej znaczący w społeczności niż drugi... lepiej posłuży celom Kabraxisa, Pogromca Światła nagrodzi ważniejszego. – A co z wyznawcą, który straci to, czego pragnął drugi? Mędrzec tylko machnął ręką.

– To proste. Kabraxis mówi wszystkim, że człowiek, który stracił ziemię, żonę czy rodzinę, nie był zbyt silny w wierze. Że tylko udawał wiarę w Kabraxisa... a w tym wypadku Dien–Ap–Stena... i zasługiwał na to, co mu się przytrafiło. Darrick poczuł posmak żółci w ustach. Każde słowo mędrca brzmiało prawdziwie. Taramis przeszedł do kolejnej elipsy.

– Od tego momentu Kabraxis wyszukuje ludzi, którzy mają większe obawy i problemy. Choro ba w rodzinie? Przyjdź do kościoła, a zostanie uleczona. Twój ojciec zaczyna cierpieć na demencję? Przyjdź do kościoła, a znów zaczniesz myśleć jasno.

– Kabraxis może coś takiego zrobić?

– Tak – stwierdził Taramis. – A nawet więcej. Demony mają różne moce. Na swój sposób może ofiarować zbawienie tym, którzy mu służą. Słyszałeś o darach, które w przeszłości Diabło, Baal i Mefisto ofiarowali swoim wybrańcom. Zaczarowane zbroje, mistyczna broń, wielka moc, by

wskrzeszać całe armie nieumarłych. Mroczna Trójca sprawuje władzę poprzez strach i zniszczenia, zawsze pragnąc podporządkowania.

– Kabraxisa to nie interesuje?

– Oczywiście, że go interesują – sprzeciwił się Taramis. – W końcu jest demonem. Nawet archaniołowie pragną, by ci, którzy oddają im cześć, trochę się ich bali. Inaczej dlaczego mieliby ukazywać się w tak przerażających postaciach?

Darrick rozważył pytanie i uznał, że w tych słowach tkwi prawda. Mimo to wszystkie sprawy demonów były mu obce i nawet nie chciał się tym zbytnio zajmować. Czuł jednak, że nie ma wyboru.

– Archaniołowie Światłości grożą ludziom mękami przez resztę wiecznego życia i obiecują straszliwą zemstę tym, którzy oddają cześć i pomagają demonom. – Taramis potrząsnął głową. – Archaniołowie to wojownicy, podobnie jak demony.

– Ale przynajmniej mają inne, bardziej łaskawe spojrzenie na to, jakie jest miejsce ludzi w tym – To – powiedział mędrzec – zależy od twojej wiary, prawda? Darrick siedział w milczeniu.

– Niektórzy wierzą, że ten świat powinien zostać oczyszczony z demonów i archaniołów, że nie powinno być Światłości i Ciemności, a ludzie powinni sami odnajdywać swoją drogę, w życiu.

– A ty w co wierzysz?

– Wierzę w Światłość – odrzekł Taramis. – Dlatego poluję na demony i pokazuję, czym są naprawdę. Przez ostatnie dwadzieścia lat zabiłem osiem pomniejszych demonów. Nie wszystkie przypominają Mroczną Trójcę.

Darrick wiedział o tym, ale widział dotychczas tylko jednego demona i była to przerażająca istota.

– Co masz zamiar zrobić z Kabraxisem?

– Zabić go, jeśli mi się to uda – stwierdził mędrzec. – Jeśli nie, mam zamiar upewnić się, że zostanie zdemaskowany, kapłani zginą, a kościół zostanie zrównany z ziemią.

Słowa mężczyzny poruszyły Darricka i sprawiły, że poczuł się lepiej. Taramis mówił tak, że nawet coś tak nieprawdopodobnego wydawało się możliwe. – Straciłeś kogoś przez demona – wyszeptał Taramis. Darrick cofnął się.

– Nie próbuj zaprzeczać – stwierdził mędrzec. – Widzę prawdę w twoich oczach. Nosisz swój ból jak odznakę, którą może zobaczyć każdy, kto przeszedł to samo. – Przerwał, na chwilę odwracając spojrzenie od Darricka. – Przez demona zginęła moja rodzina. Dwadzieścia trzy lata temu. Byłem kapłanem. Taka rzecz nie miała prawa mi się przydarzyć. Ale ręka demona odebrała mi żonę i trójkę dzieci.

Lampa na stole zamigotała.

– Byłem wtedy młody, pełen nauk Vizjerei. Uczyłem w jednej z małych szkół w mojej ojczyźnie. Do naszych drzwi zapukał obcy. Mieszkaliśmy na tyłach szkoły tylko moja rodzina i ja. Mężczyzna powiedział nam, że nie ma gdzie spać i nic nie jadł od dwóch dni. Byłem głupcem, dumnym ze swojej pozycji, więc go wpuściłem. Tej nocy zabił moją rodzinę. Tylko ja przeżyłem, choć większość sądziła, że mi się to nie uda. – Podwinął rękaw, ukazując przecinające jego ciało długie, paskudne blizny. – Mam tego więcej. – Odrzucił do tyłu głowę, ukazując grubą bliznę otaczającą pół jego szyi i gardło. – Kapłani, którzy mnie uratowali, musieli mnie poskładać. Wszyscy uzdrowiciele mówili mi potem, że powinienem był umrzeć. Światłość jedna wie, że chciałem.

– Ale przeżyłeś – wyszeptał Darrick, wciągnięty przez przerażającą opowieść.

– Tak. – Taramis wysypał popiół z fajki i odłożył ją. – Przez jakiś czas nienawidziłem życia. Potem uświadomiłem sobie, że teraz ma ono jeden cel. Demon, który wymordował moją rodzinę, będzie mordował inne rodziny. Postanowiłem wyzdrowieć, psychicznie i fizycznie. I tak zrobiłem. Zajęło mi to trzy lata nim w pełni wyzdrowiałem i kolejnych dziewięć nim wytropiłem demona, który odebrał mi rodzinę. Do tego czasu zabiłem już dwa demony, a zdemaskowałem cztery inne.

– A teraz polujesz na Kabraxisa?

– Tak. Gdy tylko pojawił się kościół Proroka Światłości, nabrałem podejrzeń. Zacząłem więc prowadzić badania i odkryłem wystarczająco dużo podobieństw między uzdrawianiem i zmianami następującymi w wiernych, które poprowadziły mnie w stronę Kabraxisa.

– Więc czemu przybyłeś tutaj?

– Ponieważ – powiedział mędrzec – Kabraxis był tu kiedyś. Przez jakiś czas barbarzyńskie plemiona oddawały mu cześć, gdy walczyły przeciwko ludom z południa. W tych czasach znany był jako Lodowy Pazur Bezlitosny. Udało mu się zjednoczyć kilka potężnych plemion, tworząc wielką horde, która wylądowała między Bliźniaczymi Morzami, Wielkim Oceanem i Zamarzniętym Morzem.

Darrick zastanowił się nad logicznymi konsekwencjami tych słów. Historie o barbarzyńskiej hordzie odnosiły się do tak odległej przeszłości, że uznawano je za bajeczki do straszenia dzieci. Barbarzyńcy zostali opisani jako kanibale, którzy piłowali zęby i napełniali żołądki ciałami kobiet i dzieci.

– Aż pojawił się Hauklin ze swoim wielkim mieczem, Gniewem Burzy, i zabił Lodowego Pa zura w bitwie, która trwała sześć dni.

Taramis wyszczerzył się.

– Słyszałeś te historie.

– Ano – odpowiedział Darrick. – Ale to nie odpowiada na pytanie, dlaczego tu jesteś.

– Ponieważ Gniew Burzy wciąż tu jest – odpowiedział mędrzec. – Przybyłem po miecz, ponieważ wierzę, że tylko on może zabić Kabraxisa.

– Nie zabił go za pierwszym razem – przypomniał Darrick.

– Teksty, które czytałem, twierdziły, że Kabraxis uciekł przed niszczycielską mocą Gniewu Burzy. Tylko w ludzkich opowieściach zginął. Wierzę jednak, że miecz ma moc zabicia Kabraxisa. Jeśli podążysz z nim na samo dno Piekieł. – Skoro wiesz to wszystko, czemu w ogóle ze mną rozmawiasz? Oczy mędrca przeszywały Darricka.

– Ponieważ jestem sam, Darricku Langu, i już nie jestem taki młody jak kiedyś.

– Znasz moje imię?

– Oczywiście. – Taramis wskazał na książkę przed sobą. – Jestem wykształconym człowiekiem. Już przed rokiem, gdy byłem w Zachodniej Marchii, słyszałem opowieści i odkryciu demona w Porcie Tauruka. I słyszałem o młodym oficerze marynarki, który utracił przyjaciela, wykonując królewskie rozkazy.

– Więc po co te wszystkie podstępny?

– Bym mógł cię przekonać do mojej sprawy – powiedział cicho Taramis – i może o twoim przeznaczeniu.

– Jakim przeznaczeniu? – Darrick natychmiast poczuł się w pułapce.

– Jakoś wiążesz się z tą sprawą – powiedział mędrzec. – Utraciłeś kogoś z winy demona, może o to chodzi. A może z demonem wiąże cię coś jeszcze.

– Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym demonem – powiedział Darrick. Już jednak wypowiadając te słowa poczuł niepewność i falę strachu.

– Naprawdę? To dlaczego tu wylądowałeś? Tu, gdzie leży broń, która zraniła Kabraxisa?

– Przez ostatni rok byłem przeważnie pijany – powiedział Darrick. – Straciłem posadę w marynarce Zachodniej Marchii. Będąc przez większość czasu pijany i bez grosza, dryfowałem od miasta do miasta, znajdując tyle pracy, by utrzymać się przy życiu, z dala od Zachodniej Marchii. Nie wiedziałem, że tu jestem, póki nie obudziłem się, zamarzając na śmierć. Nie wiedziałem nic o mieczu, póki mi o tym nie powiedziałaś. Nie podążałem śladami demona.

– Nie? – Taramis spojrzał na eliptyczny symbol narysowany na stole. – To co tu robisz? Chyba że liczyłeś tylko na darmowy posiłek?

– Nie wiem – przyznał Darrick.

– Zanim jeszcze ze mną porozmawiałeś, wiedziałeś, do kogo należy ten symbol – stwierdził Taramis. – Teraz, kiedy wiesz, że demon jest w Bramwell, ukrywając się za mistycznymi zaklęciami mi kościoła Proroka Światłości, czy możesz to zostawić?

W umyśle Darricka znów pojawił się obraz Mata spadającego z klifu. Ból, przez ostatni rok stłumiony przez alkohol, znów go wypełnił, jakby był zupełnie nowy i świeży. Wypełnił go gniew, który jednak jakimś sposobem udało mu się opanować.

– Sprowadziła cię tu Światłość, Darricku – powiedział cicho mędrzec. – Sprowadziła cię w to miejsce, w tym czasie i sprawiła, że się spotkaliśmy, bo ty też masz w tym udział. Ja pytam się tylko, czy jesteś gotów wziąć udział w bitwie, która cię czeka.

Darrick zawahał się, wiedząc, że każda odpowiedź... a może nawet brak odpowiedzi... zdecyduje o jego losie.

– Wierzysz, że ten miecz może zabić Kabraxisa? – spytał Darrick ochrypłym szeptem.

– Tak – odpowiedział Taramis. – Ale dopiero tutaj, w ostatniej warstwie.
– Znow dotknął symbolu. – Pozostają jeszcze dwie warstwy, o których nie mówiliśmy. Ta bardziej zewnętrzna to miejsce, gdzie Kabraxis zabiera wybrańców, by ich przekuć w coś więcej niż ludzi. Tam muszą stawić czoła strachom świata demonów, przejść Spaczoną Drogą Marzeń i Cieni. Czarną Drogą.

– Czarną Drogą? – spytał Darrick.

– Tak nazywają Kabraxis. W trakcie swoich działań w świecie ludzi miał dla niej wiele nazw, ale prawdziwa i odpowiednia nazwa to Spaczona Droga Marzeń i Cieni. W świecie demonów wybrańcy Kabraxisa muszą mu się poddać umysłem, ciałem i duszą, na teraz i na zawsze. Wielu się to nie udaje i zostają wrzuceni do Piekieł, gdzie umierają raz za razem przez całą wieczność.

– Jak się zmieniają?

– Stają się szybsi i silniejsi niż normalni ludzie – odrzekł mędrzec. – Trudniejsi do zabicia. A niektórzy z nich zaczynają rozumieć demoniczną magię.

– Z twoich słów wynika, że dostanie się do Kabraxisa jest niemożliwe.

– Nie z Gniewem Burzy – powiedział Taramis. – A ja sam nie jestem pozbawiony magii.

– Co, jeśli nie zdecyduję się pójść z tobą?

– Wtedy pójdę sam. – Mędrzec uśmiechnął się. – Ale nie możesz temu zaprzeczać, co, Darricku? To stało się częścią ciebie. Może rok temu mógłbyś odwrócić się do mnie plecami i odejść, ale nie teraz. Próbowaleś żyć ze świadomością tego, co przytrafiło się twojemu przyjacielowi i patrz, co się z tobą stało. Niemal cię to zniszczyło. – Przerwał. – Teraz musisz znaleźć siły, by to przeżyć.

Darrick spojrział na eliptyczny rysunek. – Co leży w ostatniej warstwie? Taramis zawahał się i potrząsnął głową.

– Nie wiem. Teksty o Kabraxisie, które czytałem, nie odpowiadają na to pytanie. Wspominano o niej jako o warstwie największego strachu, ale nie mam pojęcia, co to jest.

– Dobrze byłoby wiedzieć, co tam jest.

– Może dowiemy się tego razem – zaproponował mędrzec.

Darrick spojrział mężczyźni prosto w oczy, żałując, że nie ma w sobie siły, by powiedzieć nie, nie pójdzie. Ale nie mógł tego zrobić, gdyż był zbyt zmęczony próbami połowicznego życia i ucieczki przed poczuciem winy. Powinien był zginąć z Matem. Być może jedynym wyjściem było zginąć teraz.

Ano – wyszeptał Darrick. – Pójdę z tobą.

OSIEMNAŚCIE



Buyard Cholik stał na platformie nad głową węża i czekał na przybycie gościa. Gdy tak przyglądał się pustym ławkom, wypełniało go podniecenie. Tego ranka widok wielkiego pomieszczenia wypełnionego ludźmi wzbudził w nim entuzjazm. Każdego dnia na modły przybywało więcej ludzi niż dnia poprzedniego, a dla obecnych już brakowało miejsc siedzących. Choć budowali bardzo szybko, murarze nie nadążali za przyrostem liczby wiernych.

Tego wieczoru jednak przybyła tylko jedna osoba, co jeszcze bardziej uradowało Cholika. Milczał, gdy lord Darkulan zatrzymał się w wielkim głównym wejściu.

Lorda otaczało dwudziestu wojowników z latarniami i odsłoniętą bronią. Światło lamp odbijało się od karacen i ostrej stali. Cholik słyszał szepty, wyczuwając w nich strach i wrogość.

Lord Darkulan był mężczyzną w wieku trzydziestu lat. Nosił się po królewsku, pokazując całym sobą, że stara się pozostać w formie jako wojownik i przywódca. Jego szczupłą twarz o orlich rysach otaczał odkryty hełm z wygiętymi rogami. Skrzywione wargi ozdabiał wąsik. Miał na sobie ciemnozielony płaszcz pasujący do czarnych spodni i tuniki nałożonej na ciemnozieloną koszulę. Choć tego nie widział, Cholik był pewien, że mężczyzna miał na sobie magiczną kolczugę.

Lord Darkulan niecierpliwie machnął rękaw stroną jednego z wojowników.

Mężczyzna skinął głową i wszedł do środka katedry. Okute metalem buty stukały głośno na kamiennej posadzce.

Cholik podniósł głos, wiedząc że pomieszczenie zbudowano tak, by był bez trudu słyszany.

– Lordzie Darkulanie, to spotkanie jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Nikt inny nie może wejść do tej części świątyni.

Wojownicy skierowali latarnie w stronę Cholika. Niektóre miały soczewki skupiające i bezpośrednio oświetliły mężczyznę. Cholik zamrugał, ale nie uniósł rąk, by zasłonić oczy.

– To moja osobista straż – odrzekł Lord Darkulan. – Nie chcą cię skrzywdzić. W rzeczy samej, myślałem, że po dzisiejszym incydencie docenisz ich obecność.

– Nie – stwierdził Cholik. – Poprosiłeś o to spotkanie, a ja się zgodziłem. I tak pozostanie.

– A gdybym nalegał? – spytał lord Darkulan.

Cholik wypowiedział słowa mocy i wyprostował ręce. Z jego palców wypłynęły płomienie, podpalając wypełnione tłuszczem kanały wokół głowy węża. Głowa kobry ożywiła się i wyskoczyła ze ściany w stronę strażnika.

Przerażony strażnik rzucił się do tyłu. Jego podkute buty drapały o podłogę, gdy pędził w stronę innych strażników. Wojownicy tłoczyli się wokół lorda Darkulana, próbując zaciągnąć go w bezpieczne miejsce. Latarnie migotały w wejściu niczym chmura światełek.

– Wolałbyś, żeby twoja kochanka umarła? – spytał Cholik, unosząc się nad głową węża. – Wolałbyś, żeby twoja żona została powieszona? Wolałbyś, żeby twoje dobre imię zostało wytarżane w gnoju? Szczególnie, jeśli mogę to zmienić.

Lord Darkulan przeklinał swoich ludzi i odpychał ich. Wojownicy niechętnie cofnęli się. Ich dowódcy rozmawiali z lordem, próbując skłonić go do wysłuchania głosu rozsądku.

Lord zatrzymał się przy wejściu i patrzył na Cholika stojącego na głowie węża. Pysk gada otaczały płomienie i Cholik wiedział, że w ciemnej świątyni musi być to przerażający widok. – Słyszałem, że dziś rano zostałeś zabity – powiedział lord Darkulan. Cholik rozłożył szeroko ręce, bawiąc się odgrywaniem roli.

– Czy wyglądam jak trup, lordzie Darkulanie?

– Pewnie jest zombie – mruknął jeden ze strażników.

– Nie jestem zombie – powiedział Cholik. – Podejdź bliżej, lordzie Darkulanie, a usłyszysz bicie mojego serca. Może, skoro mi nie wierzysz, pozwolę ci mnie zranić. Zombie i nieumarłe potwory nie krwawią tak, jak ludzie.

– Czemu moi ludzie nie mogą mi towarzyszyć? – spytał lord Darkulan.

– Ponieważ, jeśli mam uratować tych ludzi, których chcesz, żebym uratował... jeśli mam uratować ciebie, lordzie Darkulanie... musisz mi zaufać. – Cholik czekał, próbując nie pokazać po sobie, jak bardzo ważna jest dla niego decyzja lorda. Zastanawiał się, czy Kabraxis się temu przygląda, ale od razu uświadomił sobie, że nie jest to właściwe pytanie. Właściwe pytanie brzmiało, skąd demon się przygląda.

Lord Darkulan wziął latarnię od jednego ze swoich ludzi, przez chwilę zbierał odwagę, po czym wszedł do katedry.

– Skąd wiesz tyle o moich sprawach i sprawach stanu? – spytał ostro.

– Jestem Wskazującym Drogę – stwierdził Cholik. – Wybrany przez samego Dien–Ap–Stena. Jak mógłbym nie wiedzieć?

– Kilku z moich doradców sugeruje, że ty i ten kościół w jakiś sposób stoicie za kłopotami, które mnie dręczą.

– Czy im wierzysz, lordzie Darkulanie?

Lord zawahał się.

– Nie wiem.

– Tego ranka widziałeś mnie martwego, zabitego bełtem wystrzelonym przez podstępного za bójcę. A jednak stoję tutaj. Jestem cały, żywy i gotowy, by ci pomóc w godzinie próby, mój panie. A może powinienem odwrócić się od ciebie, jak ty odwróciłeś się od Dien–Ap–Stena i tego kościoła, gdy tu przybyliśmy. – Cholik przerwał. – Mógłbym to zrobić. Kilku moich doradców twierdzi, że ten zabójca, który próbował mnie dziś zabić, został wynajęty przez ciebie i że zazdrościsz mi mojej pozycji wśród ludzi.

– To kłamstwa – odparł lord Darkulan. – Nigdy nie byłem zwolennikiem podstępów. – A czy lady Darkulan nadal uważa tę ocenę za słuszną? – zapytał cicho Cholik. Dłoń lorda opadła na rękojeść szabli. Jego głos stał się szorstki i twardy.

– Nie nadużywaj swojego szczęścia, klecho.

– Dziś stanąłem oko w oko ze śmiercią, lordzie Darkulanie. Twoje pogrożki mnie nie przerażają. Wiem, że krocę ramię w ramię z Dien–Ap–Stenem.

– Mogę wygnać cię z tego kościoła – powiedział z wściekłością Darkulan.

– Jest tu więcej osób, które by do tego nie dopuściły, niż ty zdołałbyś zebrać wojska i marynarki, aby tego dokonać.

– Nie wiesz...

– Nie – przerwał Cholik, sprawiając, że kamienny wąż przybliżył łeb do lorda. – To ty nie wiesz, z kim zadzierasza.

Wąż otworzył paszczę pełną kłów i splunął ogniem na kamienną posadzkę tuż przy strażnikach, którzy pospiesznie się cofnęli.

– Potrzebujesz mnie – powiedział Cholik do lorda Darkulana. – I potrzebujesz zbawienia, które może ofiarować ci Dien–Ap–Sten. Jeśli ocalisz swoją kochankę, ocaleje też twoja żona. A jeśli ocalisz obie kobiety, ocalisz swoją władzę.

– Zezwolenie ci na pozostanie tutaj było błędem – powiedział lord Darkulan. – Powinienem kazać cię wygnać z miasta.

– Po pierwszej, pełnej cudów nocy – odpowiedział Cholik – nie byłbyś w stanie tego uczynić. Dien–Ap–Sten i Droga Marzeń dają ludziom moc. Bogactwo i zaszczyty. Do wzięcia. Zdrowie dla chorych, kalek i konających – po cichu rozkazał węzowej głowie ułożyć się na ziemi.

Lord Darkulan zrobił krok do tyłu, ale w miejscu, gdzie ogień upadł na podłogę, nadal podskakiwały płomienie. Był oddzielony od swoich ludzi, lecz Cholik miał ponurą świadomość, że niektórzy z gwardzistów mieli kusze, zresztą z tej odległości mogli nawet rzucać nożami.

– Przychodząc dziś w nocy, zrobiłeś jedyną rzecz, jaką mogłeś zrobić – powiedział. Schodził powoli z postumentu okalającego kark kamiennego węża.

Gad leżał cichy i nieruchomy, ale wściekle płonące oczy poruszały się i obserwowały. Jego język, tłąc się i dymiąc, co chwila wystrzelał z pyska, aby posmakować powietrza. Ciemnopomarańczowe węgielki wirowały w nieruchomym powietrzu wewnątrz ciemnej katedry, zamieniając się w popiół, nim dotarły do sufitu. Węża otaczały fale ciepła.

Cholik stanął przed nim, świadom, że ożywiony stwór jest znacznie większy od niego – teraz kapłan wyglądał jak cień stojący przed przerażającą bestią.

– Być może, lordzie Darkulanie, sądzisz, że przychodząc tu, przypieczętowałeś swoją zgubę – powiedział cicho Cholik.

Szlachcic nic nie odpowiedział. Mimo światła, padającego z trzymanej przezeń latarni i od węża, strach wyrzeźbił na jego twarzy głębokie cienie.

– Zapewniam cię – rzekł Cholik – że prawda jest całkiem inna: właśnie zapewniłeś sobie przyszłość. – Wskazał na węża i poczuł nagłe uderzenie ciepła, gdy stwór otworzył paszczę. – Chodź ze mną, lordzie Darkulanie. Oddaj swoje zmartwienia i obawy Dien–Ap–Stenowi, który je zabierze.

Lord Darkulan nie ruszył się z miejsca.

– Byłeś tu dziś – mówił Cholik. – Widziałeś, jakich cudów Dien–Ap–Sten dokonał na Czarnej Drodze, rozdzielając dwóch chłopców, zamkniętych nawzajem w swoich ciałach. Czy widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Nie – odparł lord trzęsącym się głosem.

– Czy słyszałeś o czymś takim?

– Nigdy

– Z Dien–Ap–Stenem przy boku – obiecywał Cholik – człowiek idący Drogą Marzeń może zrobić wszystko.

Wyciągnął rękę. – Chodź ze mną, abym mógł pokazać ci jeszcze większe cuda. Na twarzy lorda pojawiło się wahanie.

– Rano – powiedział Cholik – będzie już za późno. Trucizna zabierze życie twojej kochance. Jej ojciec zażąda w zamian życia twojej żony.

– Jak zdołam je ocalić, idąc z tobą?

– Na Drodze Marzeń – odpowiedział Cholik – wszystko jest możliwe. Chodź.

Starając się nie okazywać strachu Lord Darkulan podszedł i pozwolił Cholikowi poprowadzić się za ramię.

– Bądź dzielny, lordzie – powiedział kapłan. – Ujrysz rzeczy, które ludzkie oczy rzadko widzą. Wstąp w paszczę węża, a jeśli będziesz wierzył, wszystkie strachy zostaną ci odebrane.

Lord Darkulan szedł o pół kroku za Cholikiem. Przeszli między ostrymi kłami węża i wzdłuż czarnego, dymiącego języka aż do gardła, gdzie długim korytarzem zaczynała się więc Czarna Droga.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał lord.

– Na Drodze Marzeń – odparł Cholik. – Musimy odnaleźć twoje przeznaczenie. Aby sprostać naukom Dien–Ap–Stena trzeba być silnym człowiekiem. Staniesz się jeszcze silniejszy.

Korytarz rozszerzał się i zmieniał kilka razy, ale Czarna Droga pod nogami Cholika nie zmieniała się. Rozmawiał z kilkoma wyznawcami, którzy przeszli tędy w nadziei na uleczenie czy otrzymanie błogosławieństwa, i każdy z nich opisywał ją inaczej. Jedni mówili, że szli przez podobne korytarze, podczas gdy inni zostali podobno zabrani w inne miejsca, których nigdy nie widzieli i mieli nadzieję już nigdy więcej nie ujrzeć.

W korytarzu przed nimi weszło zielone słońce, a oni nagle zorientowali się, że nie stoją już w korytarzu. Czarna Droga wspinała się teraz na zbocze klifu. Ścieżka, którą szli, wznosiła się tak wysoko, że chmury zasłaniały widok poniżej. A jednak nad nimi wciąż wznosił się stromy, górski szczyt. Jego wierzchołek pokrywał lód.

Lord Darkulan zatrzymał się.

– Chcę zawrócić.

– Nie możesz – odpowiedział Cholik. – Spójrz. Odwrócił się i wskazał na drogę, którą już przeszli.

Po Czarnej Drodze pięły się płomienie, migocząc i wybuchając na wysokość trzy razy przewyższającą człowieka.

– Pozostaje ci tylko iść do przodu – powiedział Cholik.

– Popełniłem błąd – stwierdził lord Darkulan.

– To nie był pierwszy – odparł Cholik.

Obróciwszy się gwałtownie, Darkulan uniósł swój miecz, zatrzymując go zaledwie o cale od odsłoniętego gardła Cholika.

– Wyprowadzisz mnie stąd natychmiast, albo zdejmę ci głowę z karku!

Świadom tego, że Kabraxis wciąż mu się przygląda, Cholik chwycił za miecz. Ostrze przecięło skórę na dłoni. Krew pociekła po broni i skapnęła na Czarną Drogę – przy zetknięciu z nią wybuchały ogniste kule wielkości pięści.

– Nie – powiedział Cholik – nie zrobisz tego. – Przez jego ciało przepływała moc, natychmiast rozgrzewając miecz do czerwoności.

Lord Darkulan, krzycząc z bólu, wypuścił broń i zatoczył się do tyłu. Z niedowierzaniem patrzył na swoją poparzoną rękę.

Cholik ignorował piekący ból w dłoni, zignorował smród spalonego ciała i unoszący się dym. Jemu samemu podczas podróży Czarną Drogą, na które zabierał go Kabraxis, przytrafiały się o wiele gorsze rzeczy. Czasami wciąż czuł pazury demona wbijające się w jego mózg, drapiące wewnątrz czaszki.

Cholik wyrzucił miecz władcy za krawędź klifu. Wyciągnął poparzoną, krwawiącą rękę.

– Jesteś szalony – powiedział z niedowierzaniem lord Darkulan.

– Nie – stwierdził spokojnie Cholik. – Wierzę w Dien–Ap–Stena i moc Drogi Marzeń. – Podniósł wysoko dłoń. W miarę jak się przyglądał, brzegi rany zeszyły się, a poparzenia zagoiły i znikły. W jednej chwili jego ręka zagoiła się. – Ty też możesz uwierzyć. Wyciągnij rękę i uwierz w to, co ci mówię.

Drżąc z przerażenia i bólu, lord Darkulan wyciągnął dłoń.

– Uwierz – powiedział Cholik łagodnie. – Uwierz, a otrzymasz moc, aby się uleczyć i zakończyć swe cierpienia.

Lord Darkulan skoncentrował się. Na jego czole pojawił się pot.

– Nie mogę – wyszeptał szorstkim głosem. – Proszę, błagam cię. Zabierz ból.

– Nie mogę – odrzekł Cholik. – Ty masz to zrobić. Wystarczy, że z własnej woli przyjdiesz do Dien–Ap–Stena. Potrzebujesz tylko trochę wiary Zaufaj.

Wtedy dłoń lorda Darkulana zaczęła się leczyć. Poparzenia pokryły się strupami, które po chwili odpadły, ukazując zdrowe ciało w miejscu przerażających oparzeń.

– Zrobiłem to. – Lord Darkulan z niedowierzaniem patrzył na swoją dłoń. Palce wciąż mu drżały.

– Tak – stwierdził Cholik. – Ale najgorsze dopiero przed tobą. Półka bez ostrzeżenia odła–mała się i obaj zaczęli spadać do otchłani nad chmurami.

Lord Darkulan zaczął krzyczeć.

Cholik panował nad swoim strachem. Był na Czarnej Drodze. Wojownicy i kapłani przyjęci do wewnętrznego kręgu doświadczali gorszych rzeczy. Wszyscy mężczyźni, którzy dotarli do tego punktu musieli przeżyć koszmar, który był ich największą tajemnicą.

Długi upadek przez wełniste chmury nie zakończył się połamaniem kości na wystających kamieniach, czego spodziewał się Cholik. Miast tego wylądował lekko jak piórko pośrodku skąpanego w blasku księżyca bagna, pod czystym nocnym niebem.

Lord Darkulan wpadł gwałtownie do bagna, wyrzucając we wszystkie strony czarne błoto.

Cholik martwił się, że tym razem coś poszło nie tak. Ludzie ginęli na Czarnej Drodze, ale zwykle Kabraxis starannie wybierał, kto zostanie wprowadzony do wewnętrznego kręgu.

– Wszystko w porządku – powiedział demon. – Daj mu jeszcze chwilę. Znalazłem to miejsce i wydarzenie w zakątku duszy, który rzadko teraz

odwiedza. Przyglądaj się.

Cholik czekał, zadziwiony, że może utrzymać się na powierzchni bagniska.

Lord Darkulan wypchnął jedną rękę na powierzchnię i zacisnął ją na wpół zanurzonej pniu drzewa, które przewróciło się przed wielu laty. Błoto pokrywało jego głowę i twarz, odbierając mu wszelkie pozory władczego majestatu, pozostawiając tylko przerażonego mężczyznę.

Lord Darkulan wyciągnął rękę do Cholika.

– Pomóż mi! Szybko!

– Czego się boi? – spytał Cholik Kabraxisa. Żaden z nich nie ruszył się, by pomóc lordowi. – Bagno nie jest tak głębokie, żeby się w nim utopił.

– Boi się przeszłości – powiedział demon. – I powinien.



Lord Darkulan z przerażeniem obejrzał się przez ramię na bagnisko. Z błota wystawały nagie, martwe drzewa, a brzegi porastały martwe krzaki o szarych, poskręcanych liściach. W bagnie i na jego brzegach leżały szkielety małych zwierząt, niektóre na tyle świeże, że wciąż jeszcze pozostało na nich trochę ciała. Martwe ptaki zwisały do góry nogami z nagich gałęzi drzew. Na powierzchni bagna unosiły się ścierwa żab.

Lord Darkulan krzyknął, po czym został wciągnięty pod powierzchnię przez coś silnego i gwałtownego. Na powierzchni pojawiły się bąbelki.

– Umrze tutaj? – spytał Cholik.

– Owszem – odpowiedział Kabraxis – jeśli go nie uratuję. Nie pokona tego koszmaru. Jest dla niego zbyt silny.

Ręka mężczyzny wystrzeliła znowu z bagna i natrafiła na pień drzewa – dzięki temu udało mu się wydostać z błota. Kiedy się ukazał na

powierzchni, do jego pleców uczepiony był szkielet.

Lata zanurzenia w bagnie sprawiły, że skóra kobiety wyglądała jak wygarbowana. Cholik wiedział, że kiedyś mogła być ładna, ale teraz nic na to nie wskazywało. Miękka błękitna sukienka mogła kiedyś opinać kobiece kształty, lecz teraz lepiła się do wychudzonego ciała potwora, który czepiał się pleców lorda Darkulana. Martwa kobieta przysunęła się do niego, przez zniszczone ciało ukazywały się zęby. Wysunęła martwy, skórzasty język, który dotknął jego ucha, po czym wycofała go pomiędzy połamane zęby. Gdy ugryzła go, zgniatając płatek ucha jak winogrono, pojawiła się plama czerwieni.

Lord Darkulan krzyczał z bólu i młócił rękami, rozpaczliwie próbując zrzucić z siebie martwą kobietę i wspiąć się na pień.

– Pomóż mi! – zawołał.

– Kim jest ta kobieta? – spytał Cholik.

– Kiedyś – odpowiedział Kabraxis – byłą jego kochanką. On był wtedy młodzieńcem, jeszcze się nie ożenił. Ona miała na imię Azyka i pochodziła z pospólstwa – była córką sklepikarza. Kiedy lord Darkulan miał się już żenić, powiedziała mu, że nosi jego dziecko. Wiedząc, że nie może sobie na to pozwolić, Darkulan zabił ją i wrzucił ciało do bagna w okolicach Bramwell.

– Dziewczyny nigdy nie odnaleziono? – spytał Cholik.

Nie.

Cholik przyglądał się, jak przerażony lord próbuje utrzymać uchwyt na porośniętym mchem pniu drzewa. Waga trupa ściągała go coraz niżej. Cholika nie zdziwiła historia opowiedziana przez Kabraxisa. Jako kapłan kościoła Zakarum, dobrze znał specjalne przywileje rządzących. W historii Zachodniej Marchii zapomniano o kilkunastu morderstwach, a kilkunastu morderców zostało rozgrzeszonych specjalną dyspensą kościoła.

– Pomóż mi! – wrzasnął lord Darkulan.

Kabraxis podszedł do niego. Jego wielkie stopy pozostawiały tylko słabe zmarszczki na powierzchni bagniska i nawet się nie zamoczyły.

– Lordzie Darkulanie – zawołał demon.

Lord podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył demona. Zamarł na chwilę, ale martwa kobieta w gryzającą się w jego ucho znów przyciągnęła jego uwagę. Walcząc z nią, stracił uchwyt na pniu i wpadł w bagno po brodę. Włosy kobiety unosiły się na powierzchni bagniska.

– Lordzie Darkulanie – powiedział demon. – Jestem Dien–Ap–Sten. Jestem twoim zbawie niem.

– Nie jesteś zbawieniem! – krzyknął lord Darkulan. – Jesteś demonem!

– A ty toniesz – stwierdził Kabraxis. – Przyjmij mnie albo giń.

– Nie zostanę oszukany przez jedną z twoich iluzji...

Martwa kobieta wyciągnęła ręce z za pleców lorda Darkulana i wplotła kościste palce w jego włosy. Gdy pociągnęła, lord Darkulan zniknął pod powierzchnią ciemnego błočka. Kabraxis stał i czekał cierpliwie.

Przez chwilę Cholik myślał, że już po wszystkim i lord zginął w bagnie razem z duchem dziewczyny, którą zamordował przed wielu laty. Chłód bagna przeszył Cholika, który zaplótł ramiona na piersi. Choć już wiele razy trafiał na Czarną Drogę, nadal nie mógł się do tego przyzwyczaić. Za każdym razem było inaczej, każdy strach był wyjątkowy.

Ręka lorda Darkulana przebiła powierzchnię, a dłoń Kabraxisa była na miejscu, by ją chwycić. Demon bez trudu wyciągnął lorda z błočka, razem z wciąż trzymającą się go kobietą. – Żyj albo umieraj – stwierdził Kabraxis spokojnym tonem. – Wybór należy do ciebie. Lord Darkulan zawahał się tylko przez chwilę.

– Życ. Niech mi Światłość wybaczy, chcę żyć.

Na straszliwej twarzy demona pojawił się okrutny uśmieszek.

– Ja ci wybaczam – zaszydził i dalej wyciągał zabłoconego, okrwawionego lorda z bagna. Martwa kobieta wciąż się go trzymała, szarpiąc jego ucho i drapiąc pazurami twarz.

Kabraxis jednym ciosem zrzucił martwą kobietę z pleców lorda Darkulana. Kiedy w końcu wyciągnął mężczyznę, okazało się, że wszyscy stoją na równej, stabilnej powierzchni Czarnej Drogi, wijącej się przez wysokie góry. Bagna nie było nigdzie widać.

Lord Darkulan poddał się przerażeniu. Drżał, obawiając się gniewu demona.

– Nie zabijaj mnie – błagał.

– Nie zabiję cię – powiedział Kabraxis, rzucając mężczyznę na kolana, upokarzając go. – Oddam ci twoje życie.

Drżąc, lord Darkulan klęczał przed demonem.

– Jesteś słaby – mówił Kabraxis głębokim głosem. – Ja będę twoją siłą. – Demon otoczył głowę lorda jedną ze swoich wielkich dłoni. – Nie wiesz, gdzie zmierzasz. Ja będę twoim celem. – Palce zmieniły się w szpikulce. – Zniszczyła cię twoja własna ręka i dziecinne cielesne pragnienia. Ja zrobię z ciebie mężczyznę, przywódcę ludzi. – Obracając gwałtownie dłoń, demon wbił ostre palce w czaszkę lorda Darkulana. Po twarzy mężczyzny spływała krew, mieszając się z błotem. – Umysł, ciało i dusza należą do mnie.

Ciemne niebo nad nimi przecięła błyskawica, po której natychmiast nastąpił odgłos grzmotu, zagłuszający wszystkie inne dźwięki. Czarna Droga drżała pod stopami Cholika, który przez krótką, przerażającą chwilę obawiał się, że zawali się pod nimi cały górski grzbiet.

Wtedy błyskawica i grzmot znikły, a Kabraxis wyciągnął zakończone szpikulcami palce z głowy lorda Darkulana.

– Powstań – nakazał demon – i zacznij nowe życie, które ci dałem.

Lord Darkulan powstał, a gdy to robił, znikło z niego błoto, krew i zmęczenie. Stał prosto, był spokojny.

– Słucham i jestem posłuszny

– Pozostaje jeszcze tylko jedno – powiedział Kabraxis. – Musisz nosić mój znak, bym mógł cię pilnować.

Lord Darkulan bez wahania zdjął tunikę, kolczugę i koszulę, by odsłonić pierś.

– Tutaj – zaproponował. – Nad sercem, byś był blisko mnie.

Kabraxis położył dłoń na piersi lorda Darkulana. Kiedy ją zdjął, mężczyźnie znaczył tatuaż będący znakiem demona.

– Jesteś w mej służbie – powiedział demon.

– Aż do końca mych dni – dokończył lord Darkulan.

– Idź, lordzie Darkulanie, i wiedz, że masz moc uleczyć kochankę i uratować żonę przed po wieszeniu. Upuść sobie trochę krwi, wymieszaj ją z winem i daj jej do wypicia. To ją uzdrowi.

Lord Darkulan zgodził się i jeszcze raz potwierdził nieustanną lojalność demonowi, po czym podążył Czarną Drogą do wyjścia w pysku węża. Cholik raz jeszcze widział na jej drugim końcu wnętrze katedry.

– Teraz go masz – powiedział Cholik, patrząc, jak lord Darkulan dołącza do strażników.

– Mamy go – zgodził się Kabraxis.

Cholik spojrział na niego, zdziwiony, że demon nie wydawał się zbyt zadowolony.

– Coś się stało?

– Dowiedziałem się o pewnym człowieku. – powiedział demon. – Taramis Volken. Jest łowcą demonów i znalazł mój ślad.

– Jak?

– Nieważne. Po dzisiejszym wieczorze już nie będzie dla mnie kłopotem. Ale po tym, jak ten poparzony człowiek próbował cię dziś zabić, czego nie przewidziałem, chyba powinieneś wzmocnić ochronę kościoła. – Kabraxis przerwał. – Lord Darkulan powinien być bardziej niż chętny do pomocy.

– W kościele nie da się zapewnić zupełnego bezpieczeństwa – sprzeciwił się Cholik. – Wpuszczamy zbyt wielu ludzi, nie możemy ich wszystkich zidentyfikować i sprawdzić.

– Lepiej to zrób – stwierdził krótko Kabraxis.

– Oczywiście – powiedział Cholik, pochylając głowę i patrząc, jak demon znika z pola widzenia. Kim był ten łowca demonów, którego obawiał się Kabraxis? Podczas wspólnie spędzonego roku Cholik nigdy nie widział, by demon się czymś przejmował. Ta sprawa była zadziwiająca i nieco denerwująca, mimo iż Kabraxis zapewniał go, że się tym zajął.

A jak Kabraxis zajął się człowiekiem, który na niego polował?

DZIEWIĘTNAŚCIE



Choć Darrickowi zdarzało się jeździć konno parę razy, gdy zatrudniał się przy karawanach, nigdy nie przyzwyczyił się do ich kroku. Nawet pokład statku w czasie burzy wydawał mu się stabilniejszy niż zwierzę pod nim, wybierające sobie drogę przez porastający wzgórze las.

Całe szczęście, że zwierzę podążało po wąskiej ścieżce śladem konia Taramisa Volkena i zupełnie nie wymagało od niego kierowania. Żałował tylko, że nie potrafi spać w siodle, jak niektórzy towarzyszący im ludzie.

Poprzedniej nocy w „Pod Błękitną Latarnią” Darrick nie domyśliłby się, że Taramis dowodzi sporą grupą ludzi, którzy rozbili obóz pod Przylądkiem Poszukiwacza. Kiedy jednak zobaczył ich profesjonalizm i oddanie misji, zrozumiał, jakim sposobem pozostali niezauważeni.

Wszyscy wojownicy jechali szlakiem gęsiego. Dwa konie bez jeźdźców oznaczały, że piesi zwiadowcy sprawdzali drogę przed całą drużyną. Mężczyźni jechali w niemal zupełniej ciszy gdyż ich wyposażenie zostało starannie owinięte szmatami, by nic nie dzwoniło czy brzęczało. Twardoocy mężczyźni przypominali walczące w stadzie wilki.

Darrick wyprostował się w siodle, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Od czasu opuszczenia poprzedniego wieczoru „Błękitnej Latarni” jechał przez całą noc. Kilka razy zdrzemnął się w siodle, gdy zmęczenie w końcu zwyciężyło strach przed upadkiem. Budził się jednak chwilę później, czując, że zsuwa się z końskiego grzbietu.

W ciszy lasu zabrzmiał gwizd ptaka.

Darrick bez trudu wyłowił odgłos, a rozpoznał, że jest on fałszywy tylko dzięki temu, iż wcześniej słyszał identyczny. Gwizd ten pochodził od jednego z dwóch zwiadowców. Nocą do porozumiewania się używali pohukiwania sowy, ale tego ranka udawali niewielkiego strzyżyka o rudym gardziołku, którego marynarze czasem trzymali na statkach.

Zwiadowca wyszedł z lasu i znalazł się obok Taramisa Volkena, z łatwością dotrzymując tempa jego koniowi. Rozmawiali przez chwilę, po czym żołnierz ponownie zniknął.

Taramis nie wyglądał na zmartwionego, więc Darrick spróbował się rozluźnić. Mięśnie miał zeszywniałe i obolałe od przenoszenia ładunków poprzedniego dnia i całonocnej jazdy. Bardziej

niż czegokolwiek pragnął zejść z konia i żałował, że nie pozostał w Przylądku Poszukiwacza. Nie pasował do tych mężczyzn. Wszyscy byli zaprawionymi wojownikami, a z tego, co podsłuchał z ich rozmów, wywnioskował, że mówili o wcześniejszych bitwach z demonami, choć żaden z nich nie był tak potężny jak Kabraxis.

Darrick wypuścił oddech, patrząc, jak w chłodnym powietrzu poranka pojawia się mgiełka. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego Taramis poprosił go o towarzyszenie mu, choć miał już tylu wojowników.

Kawałek dalej szlak doprowadził ich na niewielką polankę. Pomiędzy pieńkami wyciętych drzew stał mały dom z pokrytym strzechą dachem. Ziemia na południe od domu została oczyszczona i przeznaczona na pole. Obecnie rosły na nim cebula i marchew, ale pozostały też ślady hodowanej latem winorośli. Na tyłach ogrodu znajdowały się małe drzwi wprawione w zbocze niewielkiego pagórka, które zdaniem Darricka musiały prowadzić do piwnicy. Miejsce między ogrodem a niedużą stodołą zajmowała studnia.

Ze stodoły wyszedł stary mężczyzna i młody chłopak. Byli na tyle do siebie podobni, że Darrick uznał ich za rodzinę, pewnie dziadka i wnuka.

Stary mężczyzna niósł w ręku widły i wiadro na mleko. Wręczył wiadro chłopcu i machnięciem ręki kazał mu wrócić do stodoły. Starzec był łysy, ale miał długą siwą brodę. Nosił ubrania ze skóry jelenia, lecz spod kurty wystawała fioletowa koszula.

– Niech was Światłość błogosławi – powiedział mężczyzna, nie wypuszczając z rąk wideł. W oczach miał trochę strachu, ale pewność, z jaką trzymał narzędzie, mówiła Darrickowi, że mężczyzna jest przygotowany na kłopoty.

– I niech ciebie Światłość błogosławi – odrzekł Taramis, ściągając wodze konia w pełnej szacunku odległości od starca. – Nazywam się Taramis Volken i jeśli dobrze zrozumiałem wskazówki, ty jesteś Ellig Barrows.

– Ano – odpowiedział mężczyzna, nie zmieniając pozycji. Spoglądał jasnyniebieskimi oczami na wojowników i Darricka. – A jeśli ty jesteś tym, kim twierdzisz, że jesteś, słyszałem o tobie.

– Jestem – powiedział Taramis, zsuwając się zręcznie z konia. – Mam dokumenty, które to potwierdzają. – Sięgnął pod koszulę. – Noszą pieczęć króla. Stary mężczyzna uniósł dłoń. Taramisa otoczył jasnyniebieski blask. Przez chwilę mędrca otaczała rubinowa aura, nie dopuszczająca do niego błękitu. Po chwili czerwień przygasła i zupełnie znikła.

Przepraszam – powiedział Taramis. – Wooten powiedział mi, że jesteś ostrożny.

– Nie jesteś demonem – stwierdził Ellig Barrows.

– Nie – zgodził się Taramis. – Niech Światłość je oślepi, zwiąże i skaże na wieczne płomienie. – Splunął.

– Witam was w naszym domu – powiedział Ellig. – Jeśli ty i twoi ludzie jeszcze nie jedliście, przygotuję dla was szybko śniadanie, jeśli tylko zechcecie.

– Nie chcielibyśmy się narzucać – stwierdził Taramis.

– To nie narzucanie się – zapewnił go starzec. – Jak możesz sam stwierdzić po szlaku, który was tu doprowadził, rzadko nas ktoś odwiedza.

– Musisz wiedzieć coś jeszcze – powiedział Taramis. Ellig przyjrzał mu się.

– Przybyłeś po miecz. Już to odczytałem. Wejź do środka, porozmawiamy. Potem zastanowi my się, czy go dostaniesz.

Taramis gestem nakazał swoim ludziom zsiąść z koni, a Darrick zrobił to z nimi. W drzewach nad ich głowami gwizdał wiatr.

Cholik znalazł Kabraxisa w jednym z ogrodów na dachu. Demon zaplótł ramiona na potężnej piersi i patrzył na północ. Rzucone na ogród zaklęcie iluzji nie pozwalało, by zobaczył go ktoś z dołu.

Cholik zatrzymał się i wyjrzał przez krawędź dachu. Ujrzał nieprzerwany strumień wiernych wpływający do budynku.

– Posłałeś po mnie? – spytał Cholik, zatrzymując się przy demonie. Kabraxis oczywiście tak zrobił, bo inaczej Cholik nie usłyszałby w głowie jego głosu, kiedy przygotowywał się do modłów.

– Tak – odrzekł Kabraxis. – Zajmując się człowiekiem, o którym się dowiedziałem, odkryłem jeszcze coś interesującego.

– Taramis Volken? – spytał Cholik. Pamiętał imię łowcy demonów z rozmowy poprzedniego wieczora.

– Tak. Ale w drużynie Taramisa Volkena jest jeszcze jeden człowiek, którego rozpoznaję. Chciałem, żebyś ty też na niego spojrział.

– Oczywiście.

Kabraxis odwrócił się i przeszedł po dachu do jednej z sadzawek. Przesunął nad nią ręką i cofnął

– Patrz.

Cholik podszedł bliżej, ukląkł i spojrział na powierzchnię sadzawki. Pokrywały ją zmarszczki. Zaraz jednak powierzchnia wygładziła się, a Cholik zobaczył odbicie błękitnego nieba.

Wówczas utworzył się obraz, przedstawiający mały domek ukryty pod wysokimi jodłami, klonami i dębami. Na zewnątrz domu siedzieli wojownicy, wszyscy twardzi i zmęczeni długą podróżą. Cholik od razu zrozumiał, że było ich zbyt wielu, by mieszkali w domku. Byli zatem gośćmi, ale nadal nie rozpoznawał domu.

– Czy go widzisz? – spytał Kabraxis.

– Widzę wielu ludzi – odrzekł Cholik.

– Tutaj. – Kabraxis zrobił niecierpliwy gest.

Sadzawka na chwilę zmarszczyła się i zamglila, a potem znów wygładziła. Tym razem obraz skoncentrował się na bladym młodzieńcu z rudawymi włosami splecionymi w warkoczyk. Oparłszy się o potężny dąb, z kordem na kolanach, mężczyzna wydawał się spać. Jedną z jego brwi przecinała poszarpana blizna.

– Rozpoznasz go? – spytał Kabraxis.

– Tak – odrzekł Cholik, gdyż teraz rzeczywiście go rozpoznawał. – Był w Porcie Tauruka.

– A teraz jest z Taramisem Yolkenem – zastanawiał się Kabraxis.

– Znają się?

– Nic o tym nie wiedziałem. O ile wiem, Taramis Volken i ten człowiek, Darrick Lang, spotkali się wczoraj w Przylądku Poszukiwacza.

– Twoi szpiedzy obserwują łowcę demonów? – spytał Cholik.

– Oczywiście, kiedy sam go nie obserwuję. Taramis Volken jest niebezpiecznym człowiekiem, a jego misja dotyczy nas. Jeśli dostanie to, czego szuka w domu tego rolnika, jego kolejnym ruchem będzie przybycie tutaj.

– Czego szuka?

– Gniewu Burzy.

– Tego magicznego miecza, który odpędził hordę barbarzyńców setki lat temu? – spytał Cholik. Jego lotny umysł szukał powodów, dla których Kabraxis miałby się zainteresować mieczem i dlaczego sądził, że łowca demonów zainteresuje się nimi.

– Ten sam. – Ohydną twarz demona wykrzywił grymas.

Cholik pomyślał sobie, że demon obawiał się miecza i tego, czego mógł on dokonać, ale wiedział też, że nie odważy się o tym wspomnieć. Rozpaczliwie próbował usunąć tę myśl z umysłu, nim demon ją wyczuje.

– Miecz może być problemem – powiedział Kabraxis – ale mam sługi, które nawet teraz zbliżają się do Taramisa Volkena i jego bandy. Nie uciekną, a jeśli miecz tam będzie, moi słudzy go odbiorą.

Cholik myślał. Starannie dobierał słowa.

– Dlaczego miecz stanowi zagrożenie?

– To potężna broń – powiedział Kabraxis. – Został wykuty setki lat temu przez kowala na pełnionego mocą Światłości i zwrócony przeciw barbarzyńskiej hordzie oraz ciemnej mocy, której oddawali cześć.

Cholik poczuł przypływ zrozumienia.

– Oddawali cześć tobie. To ty byłeś Lodowym Pazurem.

– Tak. A ludzie wykorzystali miecz, by wygnać mnie z tego świata.

– Czy może znów zostać wykorzystany przeciwko tobie? – spytał Cholik.

– Teraz jestem potężniejszy niż byłem wtedy – powiedział Kabraxis. – Mimo to upewnię się, że tym razem miecz zostanie zniszczony na zawsze. – Demon przerwał. – Martwi mnie jednak obecność tego drugiego mężczyzny.

– Czemu?

– Wróżyłem, by ocenić znaczenie tego, co zrobiliśmy z lordem Darkulanem – powiedział Kabraxis. – Ten człowiek ciągle pojawiał się we wróżbach.

– Czy widziałeś go od czasu Portu Tauruka? – spytał Cholik.

– Nie, dopiero teraz – stwierdził Kabraxis. – Gdy wezwałem lezanti i kazałem im polować na Taramisa Volkena i jego ludzi. Żeby dać trop lezanti, musiałem obejrzeć drużynę.

Cholik zadrżał, myśląc o lezanti. Zawsze wierzył, że te stwory istnieją tylko w mitach i legendach.

Wedle słyszanych przez niego opowieści, lezanti powstawały z połączenia trupa kobiety, świeżo zabitego wilka i jaszczura, czego efektem była szybka i krwiożercza chimera posiadająca spryt większy niż zwierzę, częściowo wyprostowaną sylwetkę, ogromną wytrzymałość i zdolność regeneracji odciętych kończyn.

– Jeśli dopiero teraz zobaczyłeś tego mężczyznę – powiedział Cholik – to skąd możesz wie dzieć, że jego właśnie widziałeś w swoich wróżbach?

– Czyżbyś wąpił w moje możliwości, Buyardzie Choliku? – spytał ostro demon.

– Nie – odpowiedział szybko Cholik, woląc żeby Kabraxis nie znalazł ujścia dla wypełniającej go zimnej furii. – Zastanawiam się po prostu, jak byłeś w stanie odróżnić go od Taramisa Volkena i innych wojowników.

– Ponieważ to potrafię – odrzekł demon. – Tak samo, jak odebrałem czasowi twoje lata i przywróciłem ci młodość.

Cholik wpatrywał się w sadzawkę, patrząc na rozluźnioną twarz młodego mężczyzny. Zastanawiał się, jak tam dotarł, ponad rok od wydarzeń w Porcie Tauruka.

– Martwię się z powodu magii użytej do otwarcia bramy – powiedział Kabraxis. – Kiedy demony przychodzą z Piekieł, razem z nimi przychodzą nasiona ich potencjalnego upadku. Między Światłością i Ciemnością musi być równowaga. Ale z tego samego powodu wybrańcy Światłości nie mogą pojawić się bez jakiejś słabości, którą można wykorzystać. To wybraniec

decyduje, która cecha... siła czy słabość... zwycięży. A demon decyduje, czy stawić czoła mocy, która może znów wygnać go z tego świata.

– Myślisz, że taka moc została dana temu człowiekowi, ponieważ był tam tej nocy, gdy wróciłeś przez bramę do naszego świata? – spytał Cholik.

– Nie. Ten człowiek nie ma takiej mocy. I w jego duszy jest sporo ciemności. – Demon uśmiechnął się. – W rzeczy samej, gdybyśmy go tu ściągnęli i odpowiednio przekonali, myślę, że mógłby mi służyć. Ma w sobie słabość i siłę. Czuję, że wykorzystanie tej słabości nie byłoby trudne.

Więc skąd ta troska?

– Zestawienie wszystkich zmiennych – powiedział Kabraxis. – Odkrycie przez Taramisa Volkena Gniewu Burzy samo w sobie jest już złe, a jeszcze ten człowiek pojawia się wkrótce po tym, jak poparzony mężczyzna próbował cię zabić... muszę rozważyć, jak bardzo groźna może stać się cała sytuacja. Równowaga między Światłością i Ciemnością musi zostać zachowana, a gdzieś tam jest groźba, którą muszę rozpoznać.

Obraz w sadzawce zmienił się. Cholik przyglądał się, jak smukłe postacie lezanti skupiają się na grzbiecie wokół domku. Lezanti stały przygarbione na dwóch pazurzastych łapach. Ich nogi zginały się do tyłu, jak tylne nogi konia. Skóra jaszczurki otaczała ciało i zmieniała kolory szybko jak kameleon, pozwalając im z zadziwiającą łatwością wtopić się w otoczenie. Kępki futra rozciągały się na ramionach, porastały ich głowy oraz niewielkie trójkątne uszy i pokrywały plecy, zaś łysy jaszczurczy ogon wiał się i skręcał. Pyski wypełniały wielkie kły.

Zabrzmiały kościelne dzwony, oznaczające rozpoczęcie modłów.

Cholik stał, czekając na rozkaz odejścia i powrotu do świątyni.

– Sytuacja jest pod twoją kontrolą – powiedział. – Lezanti nie pozostawią nikogo przy życiu.

– Może – odrzekł Kabraxis. Wskazał ręką na sadzawkę.

Na zaklętym w wodzie obrazie lezanti zaczęły skradać się w stronę wojowników i domku w lesie. Cholik patrzył zahipnotyzowany, świadom do jakich aktów przemocy były ponoć zdolne stwory zaś katedra pod nimi nadal zapełniała się ludźmi.

Darrick siedział pod wielkim dębem kawałek od domu i trzymał w ręku głęboki drewniany talerz. Żałował, że budynek nie jest większy albo, że nie ma mniej ludzi. Dym z komina mówił mu, że w środku pali się ogień. Tak naprawdę nie marzył, ale z chęcią skorzystałby z możliwości spędzenia kilku chwil przy ogniu.



Szczodrość, jaką Ellig Barrows okazał swoim niespodziewanym gościom była zadziwiająca. To, że mężczyzna miał ochotę zadbać o tak dużą grupę, to jedno, ale bardziej jeszcze zadziwiało to, co był w stanie zrobić. Śniadanie było proste: jajka, żylaste kawałki wołowiny, puree ziemniaczane, gęsty brązowy sos i grube kawały chleba. Było jednak gorące i jak najbardziej potrzebne.

Jak się okazało, zwiadowcy Taramisa zabili w lesie jelenie i opracili je, żeby zastąpić mięso, które zjedli ze spiżarni starca. Nie mieli jednak jak zastąpić chleba i Darrick domyślał się, że żona mężczyzny przez kilka dni będzie zajęta pieczeniem, żeby wyrównać to, co zjedli tego ranka.

Darrick wytarł resztę sosu i jajek pozostałym kawałkiem chleba i popił z bułką. Na chwilę odstawił talerz na bok i rozkoszował się odczuciem sytości i siedzenia nie na koniu. Wyjął koc z juków i owinał się nim.

Zbliżała się zima, schodząc z surowej północy. Wkrótce ranki wypełniać będzie przymrozek i chłód, który wgryza się w kości. Darrick trzymał się na uboczu, patrząc jak inni wojownicy rozdzielają się na małe grupki i

rozmawiają między sobą. Jedząc, wymienili też straże w lesie, upewniając się, że każdy został nakarmiony i miał szansę odpocząć.

Ellig Barrows i Taramis Volken rozmawiali na zakrytym ganku przed domem. Każdy najwyraźniej chciał ocenić drugiego. Taramis nosił pomarańczowe szaty ze srebrnymi ozdobami. Podczas swoich podróży Darrick słyszał opisy szat Vizjerei, ale żadnej jeszcze nie widział. Zaczarowane szaty chroniły przed zaklęciami i demonicznymi stworami.

Darrick wiedział, że Taramis chce przekonać starca do oddania mu Gniewu Burzy, miecza ze starej legendy. Choć Darrick zetknął się z wieloma rzeczami podczas służby w marynarce, zanim jeszcze ujrzał demona w Porcie Tauruka, nigdy nie widział czegoś tak legendarnego jak ten miecz. Bawił się myślami o nim, zastanawiał, jak może wyglądać i jakie ma moce. Raz za razem jego myśli wracały jednak do tego, dlaczego Taramis uważał, że powinien wziąć z nimi udział w tej wyprawie.

– Darrick! – zawołał Taramis kilka minut później.

Darrick oprzytomniał z trudem, gdyż właśnie zaczynał drzemać, i trochę żałował, że musi wstać, gdy wreszcie oparł się wygodnie o drzewo. Spojrzał na mędrca. – Chodź z nami – poprosił Taramis, wstając i podążając za starcem przez podwórko. Darrick niechętnie podniósł się i zaniósł talerz na ganek, skąd zabrał go wnuk starca. Potem podążył za Taramisem i Elligiem Barrowsem do wybudowanej na zboczu pagórka piwniczki.

Stary mężczyzna wziął latarnię ze ściany piwniczki, zapalił ją od przyniesionego z domu węgielka i ruszył po schodkach.

Darrick zawahał się w drzwiach. Jego nozdrza wypełniał mdlący zapach wilgotnej ziemi, ziemniaków, cebuli i przypraw. Nie podobała mu się ciemność w piwniczce ani poczucie zamknięcia, które wywoływały w nim rzędy butelek wina i jedzenia w słojach. Jak na dom pośrodku pustkowia

gdzieś na wybrzeżu Zamarzniętego Morza, Ellig Barrows miał dużą spiżarnię.

– Chodź – powiedział Taramis, podążając za starcem na tył piwniczki.

Darrick przeszedł po nierównej, pokrytej kamykami podłodze. Sklepienie było tak niskie, że parę razy dotknął go głową i musiał się kulić.

Drugi kraniec piwniczki blokował potężny głaz. Latarnia Elliga Barrowsa zadźwięczała o kamień, gdy koło niego stanął.

– Opieka nad mieczem – powiedział starzec, odwracając się do Taramisa – razem z potrzebną do tego mocą została mi przekazana przez dziadka, zaś on otrzymał ową moc od swego dziadka. Ja uczę odpowiedzialności i mocy mojego wnuka. Przez setki lat Gniew Burzy był w posiadaniu mojej rodziny, czekając na czas, gdy będzie potrzebny, bo demon znów powstał.

– Miecz był potrzebny i wcześniej – powiedział poważnie Taramis. – Ale Kabraxis jest sprytnym demonem i nigdy nie używa tego samego imienia dwa razy. Gdyby nie spotkanie Darricka z demonem w Porcie Tauruka ponad rok temu, nie wiedzielibyśmy, komu teraz stawiamy czoła.

– Lodowy Pazur był okrutną i złą bestią – stwierdził starzec. – Stare opowieści mówią o rzeziach i morderstwach, których się dopuszczał, gdy chodził po świecie.

– Jeszcze dwa razy Kabraxis zjawił się na świecie – powiedział Taramis. – Wtedy Diabło i jego bracia odnaleźli go i wtrącili z powrotem do Piekieł. Teraz tylko miecz może pomóc przeciw demonowi.

– Wiesz, dlaczego miecz nigdy wcześniej nie został zabrany mojej rodzinie? – powiedział Ellig Barrows. Światło latarni pogłębiało cienie w jego oczodołach, przez co wyglądał jak kilkudniowy trup.

Darrick zadrżał na tę myśl.

– Miecz nigdy nie pozwolił się zabrać – powiedział Taramis.

– Dwóch królów zginęło, próbując go wziąć – stwierdził starzec.

Darrick nie wiedział o tym. Spojrzał na Taramisa, przyglądając się wyrazowi twarzy mędrca w bladożółtym świetle latarni.

– Zginęli – stwierdził mędrzec – ponieważ nie rozumieli prawdziwej natury miecza.

– Tak mówisz – odrzekł Ellig Barrows. – Z mieczem wiążą się tajemnice, których nie znam. Nie znał ich mój dziadek, a przed nim jego dziadek. A ty przychodzisz do mojego domu i mówisz mi, że wiesz o nim więcej niż oni wszyscy.

– Pokaż mi miecz – powiedział Taramis – a sam zobaczysz.

– Tak długo byliśmy odpowiedzialni za miecz. Nie był to lekki ciężar. – I nie powinien taki być – zgodził się Taramis. Spojrzał na starca. – Proszę. Mężczyzna z westchnieniem odwrócił się do ściany.

– Wasze życie jest w waszych rękach – ostrzegł. Jego palce nakreśliły w powietrzu mistyczne symbole. Gdy tylko któryś z nich został zakończony, zaczynał świecić i tonął w ścianie.

Darrick spojrzeł na Taramisa, chcąc zapytać, dlaczego to on został tu sprowadzony, zamiast jakiegoś innego wojownika. Kiedy jednak otworzył usta, ściana piwniczki zamigotała i stała się przejrzysta.

Ellig Barrows uniósł latarnię, a światło przeniknęło przez przezroczystą ścianę i oświetliło pomieszczenie po jej drugiej stronie. Wewnątrz pulsowała niesamowita energia.

Za ścianą, ukryty w cieniach tajemnej komnaty, w niszy wyciętej w pagórku leżał martwy mężczyzna. Śnieżnobiała broda sięgała mu do piersi, a na prymitywnej kolczudze nosił skóry zwierząt. Przyłbica zakrywała częściowo rysy jego twarzy. Ręce splótł na piersiach, a jego wyschnięte dłonie – na kostkach przebijała żółta kość – ścisnęły rękojeść długiego miecza.

DWADZIEŚCIA



Darrick patrzył na znajdujący się w tajemnej komnacie miecz, po który przybył, zadając sobie tyle trudu, Taramis Volken. Odkrył, że broń w niczym nie przypomina tego, co sobie wyobrażał od czasu, gdy mędrzec powiedział mu o niej. Miecz wyglądał na prosty, niczym nie ozdobiony, wykuty ze stali przez dobrego rzemieślnika, ale nie artystę. Była to broń żołnierza piechoty, nie zaś coś, co miało wywoływać strach demonów. – Jesteś rozczarowany? – spytał Ellig Barrows, spoglądając na Darricka. Darrick zawahał się, gdyż nie chciał obrazić starca.

– Po prostu spodziewałem się czegoś więcej.

– Może broni ozdobionej klejnotami? – spytał starzec. – Takiej, którą każdy napotkany bandyta będzie chciał ukraść? Broni tak wyjątkowej i uderzającej, że każdy od razu ją zauważy i domyśli się, czym ona jest?

– O tym nie pomyślałem – przyznał Darrick. Ale zastanawiał się jednocześnie, czy ktoś przypadkiem nie ukradł prawdziwego miecza dawno temu i w jego miejscu pozostawił ten prymitywny kawałek stali. Od razu poczuł się winien, bo to oznaczałoby, że starzec całe życie spędził wypełniając bezsensowny obowiązek.

Ellig Barrows przeszedł przez przezroczystą ścianę.

– Kowal, który go wykuł, pomyślał o takich rzeczach. Może Gniew Burzy nie jest zbyt eleganc ką bronią, ale za to skuteczną. Oczywiście przekonasz się o tym, jeśli uda ci się go zabrać.

Taramis przeszedł ścianę za starcem.

Po chwili Darrick również przeszedł magiczną ścianę. Poczłł zimno, jakby znajdował się w gęstych zaroślach i musiał się przez nie przebijać.

– Miecz jest chroniony przed złodziejami – stwierdził Ellig Barrows. – Nikt nie może go dotknąć ani zabrać, jeśli Kabraxis nie chodzi po świecie.

– A gdyby spróbował?

– Miecz nie da się zabrać – powiedział starzec.

– A ci dwaj królowie, którzy zginęli?

– Jeden zabił członków mojej rodziny – odpowiedział Ellig Barrows. – On i jego wojownicy zginęli następnego dnia. Światłość nie jest zła jak demony, ale mści się na tych, którzy przeciw niej wykraczają. Drugi próbował zabrać ciało Hauklina z miejsca spoczynku. Wtedy ten wstał i zabił ich wszystkich.

Darrick czuł strach. Choć jaskinie pod Portem Tauruka były większe, a wielkie drzwi wydawały się bardziej groźne, martwy mężczyzna z mieczem w rękach wydawał się równie morderczy. Darrick z chęcią wyszedłby z krypty i nigdy już więcej nie zobaczył nic magicznej natury.

Spojrzał na Taramisa.

– Czemu mnie tu ściągnąłś?

– Bo jesteś z tym związany – odrzekł mędrzec. – Od chwili, kiedy ujrzałeś przybycie Kabra-xisa do tego świata. – Spojrzał na trupa. – Sądę, że to ty będziesz w stanie wziąć miecz Hauklina i użyć go przeciwko demonowi.

– A czemu nie ty? – spytał ostro Darrick. Przez chwilę zastanawiał się, czy mędrzec go nie wykorzystuje i nie chce zaryzykować jego życia próbując zdobyć miecz.

Taramis odwrócił się i sięgnął po miecz. Jego dłoń zatrzymała się, drżąc, kilka cali od rękojeści. Wysiłek sprawił, że mięśnie jego przedramienia

napięły się jak postronki. Twarz mężczyzny wyrażała ból. W końcu z rozczarowaniem cofnął rękę.

– Nie mogę go wziąć – powiedział mędrzec. – Nie jestem wybranym. – Odwrócił się do Darricka. – Ale wierzę, że ty nim jesteś.

– Czemu?

– Ponieważ Światłość i Ciemność są w równowadze – powiedział Taramis. – Za każdym razem, gdy Światłość lub Ciemność przekazują moc do tego świata, musi zostać osiągnięta równo waga. Kiedy przychodzą demony, pojawia się sposób, by je pokonać. Jeśli Światłość próbuje naruszyć równowagę, wprowadzając potężny artefakt, który można wykorzystać przeciw Ciemności, Ciemność przywraca równowagę. Ostatecznie jedynym prawdziwym zagrożeniem dla równowagi, decydującym czy to Światłość, czy też Ciemność będą miały większą moc w tym świecie, jesteśmy my. Ludzie. Tak jak wtedy, gdy Mroczna Trójca pojawiła się na tym świecie w czasach zwanych Mrocznym Wygnaniem, anioł Tyreal zebrał na wschodzie magów, wojowników i uczonych, tworząc Bractwo Haradrimów. Ci ludzie nie zbraliby się z taką mocą, gdyby w naszym świecie nie pojawiły się demony. Gdyby Tyreal spróbował to zrobić przed pojawieniem się Mrocznej Trójcy, demony znalazłyby sposób na przywrócenie równowagi.

– To nie wyjaśnia, dlaczego myślisz, że będę w stanie zabrać miecz – powiedział Darrick, nie ruszając się.

– Słyszałem opowieści o tobie, gdy przybyłem do Zachodniej Marchii – powiedział Taramis. – I zacząłem cię szukać. Zanim jednak tam dotarłem, ty zniknąłeś. Dogoniłem twój statek, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Nie mogłem mówić ludziom, że cię szukam, bo to mogłoby zaalarmować sługi Kabraxisa, a wtedy twoje życie byłoby w niebezpieczeństwie. – Przerwał, patrząc Darrickowi prosto w oczy. – A jeśli chodzi o miecz, mogę się mylić.

Jeśli tak jest, to miecz po prostu nie pozwoli się zabrać. Nie masz nic do stracenia.

Darrick spojrzał na Elliga Barrowsa.

– Przez te wszystkie lata, kiedy miecz był ukryty – powiedział starzec – wielu ludzi próbowano go zabrać, tak jak Taramis. Jeśli w ich sercach nie było prawdziwego zła, miecz tylko nie pozwolił im się zabrać.

Darrick spojrzał na trupa i trzymany przez niego prosty miecz.

– Czy miecz Hauklina został kiedyś stąd zabrany?

– Nigdy – odrzekł Ellig Barrows. – Ani razu. Nawet ja nie mogę go wyjąć. Ja się tylko nim opiekuję, a po mnie będzie mój wnuk.

– Spróbuj – zachęcał go Taramis. – Jeśli nie będziesz w stanie go ruszyć, to cała moja wyprawa była pomyłką, a nieodkryte tajemnice lepiej niech pozostaną w ukryciu.

– Tak – powiedział Ellig Barrows. – W całym moim życiu nikt nie przyszedł po miecz. Już zaczynałem myśleć, że świat o nim zapomniał. Albo że demon Kabraxis został ostatecznie wygnany.

Taramis położył rękę na ramieniu Darricka.

– Ale demon wrócił – stwierdził mędrzec. – Wiemy o tym, prawda? Demon wrócił, a miecz powinien pozwolić się wyjąć.

– Ale czy ja jestem wybrańcem? – spytał Darrick ochryłym głosem.

– Musisz nim być – powiedział Taramis. – Nie potrafię wyobrazić sobie nikogo innego. Twój przyjaciel zginął. Musiał być powód, dla którego zostałeś ocalony. To równowaga, Darricku. Potrzeby Światłości muszą zawsze pozostać w równowadze z mocą Ciemności.

Darrick patrzył na miecz. Powrócił do niego smród stodoły za należącym do jego ojca sklepem rzeźnika. Nigdy niczego nie osiągniesz! wrzeszczał ojciec. Jesteś tępy i głupi i umrzesz tępy i głupi! Dni, tygodnie i lata takiego traktowania przepływały przez głowę Darricka. Znów czuł ból,

przypominający mu o chłostach, które znosił i jakoś przeżył. Przez ostatni rok głos ojca często go nawiedzał. Próbował go utopić w alkoholu, ciężkiej pracy i rozczarowaniu.

I w poczuciu winy po śmierci Mata.

Czy to nie wystarczająca kara? Darrick patrzył na prosty miecz w rękach trupa.

– A jeśli nie będę w stanie wziąć miecza? – spytał Darrick drżącym głosem.

– Wtedy odnajdę prawdziwą tajemnicę – powiedział Taramis. – Albo znajdę inny sposób, by walczyć z Kabraxisem i jego przeklętym kościołem Proroka Światłości. Ale mędrzec w niego wierzył, Darrick dobrze o tym wiedział. Z trudem mógł to znieść. Odpychając strachy, wpadając w ośpienie i wewnętrzną martwość, co robił zawsze, gdy musiał stawić czoła ojcu w stodole w Hillsfar, Darrick podszedł do trupa. Sięgnął po miecz. Jego ręka zamarła całe od rękojeści miecza i wiedział, że nie pójdzie dalej.

– Nie mogę – powiedział Darrick, nie chcąc się poddać. Rozpaczliwie pragnął być w stanie podnieść miecz i udowodnić swoją wartość, nawet przed samym sobą.

– Spróbuj – powiedział Taramis.

Darrick patrzył, jak jego ręka drży z wysiłku. Wydawało mu się, że próbuje się przebić przez kamienny mur. Poczul ból w swoim wnętrzu, ale nie miało to nic wspólnego z mieczem.

Jesteś głupi, chłopcze, i leniwy. Niewart czasu, wysiłku ani jedzenia.

Darrick walczył z barierą, każąc swojej dłoni ją przebić. Przyciskał do niej całe ciało, czując jak utrzymuje jego ciężar.

– Daj spokój – poradził Taramis.

– Nie – odpowiedział Darrick.

– Już dobrze, chłopcze – powiedział Ellig Barrows. – Widać ma być inaczej.

Darrick wysiłał się, pragnąc zbliżyć się do miecza choćby o ułamek cala, jeśli tylko się da. Wydawało mu się, że kości palców przebiją mu ciało. Poczuł przeszywający ból w całym ciele i zacisnął zęby, żeby go znieść.

Powinienem dać ci w łeb, kiedy się urodziłeś, chłopcze. Wtedy nie okazałbyś się takim żalonym śmieciem.

Darrick sięgał nadal, czując ogromne cierpienie.

– Poddaj się – powiedział Taramis.

– Nie! – stwierdził głośno Darrick.

Mędrzec chwycił go za ramię i próbował go odciągnąć.

– Zaraz sobie coś zrobisz, chłopcze – powiedział Ellig Barrows. – Tego nie da się zmusić.

Ból sprawił, że Darrick przestał cokolwiek słyszeć. W jego umyśle znów pojawił się obraz Mata spadającego z klifu. Darricka wypełniło poczucie winy, połączone z poczuciem braku wartości, które wywoływały często powtarzane słowa ojca. Przez chwilę myślał, że ból go zniszczy, stopi na miejscu. Tak zapamiętał się w próbie chwycenia miecza, że chyba nie byłby w stanie się wycofać, nawet gdyby chciał.

A co zrobi, jeśli mu się to nie uda? Nie znał odpowiedzi.

Wtedy jego głowę wypełnił spokojny głos, niosący ze sobą zaledwie ślad złośliwego rozbawienia. Bierz miecz, szefie.

– Mat? – spytał głośno Darrick. Był tak zdziwiony, słysząc jego głos, że z początku nawet sobie nie uświadomił, iż przewrócił się na trupa, objając sobie kolana o ziemię. Instynktownie zacisnął palce na rękojeści miecza, ale zaraz rozejrzał się wokół, szukając Mata Hu-Ringa.

Stali tam tylko Taramis i Ellig Barrows. – Na Światłość – wyszeptał starzec. – Wziął miecz. Taramis uśmiechnął się triumfalnie.

– Mówiłem ci.

Darrick popatrzył na trupa, obok którego się znajdował. Ciało wydawało się nienaturalnie zimne.

– Weź miecz, Darricku – zachęcił go mędrzec.

Darrick wyciągnął broń z rąk martwego wojownika. Robił to powoli, z niedowierzaniem, nie mając pewności, czy naprawdę słyszał głos Mata, czy też może była to część zaklęcia chroniącego miecz albo złudzenie. Mimo długości i nietypowego wzoru, oręż dobrze leżał w dłoni Darricka. Wstał i wyciągnął go przed sobą.

Coś w pokrytym zadrapaniami, ściemniałym metalu odbiło światło latarni Elliga Barrowsa i zabłysło srebrzyście.

Taramis ostrożnie wyciągnął rękę w stronę miecza, ale jego dłoń zatrzymała się kilka cali od niego.

– Nadal nie mogę go dotknąć.

Starzec też próbował dotknąć broni, ale wynik był identyczny.

– Ja też nie. Nikt z mojej rodziny nigdy nie był w stanie go dotknąć. Kiedy go przenosiliśmy musieliśmy przenosić też ciało Hauklina. – W głosie mężczyzny był smutek.

Darrick po raz pierwszy uświadomił sobie, że zabranie miecza sprawi, iż starzec i jego wnuk nie będą mieli czego chronić. Spojrzał na mężczyznę. – Przepraszam – szepnął. Ellig Barrows pokiwał głową.

– Wszyscy, którzy chronili miecz, modlili się, by nadszedł ten dzień, dzień, gdy zostaniemy wyzwoleni spod jarzma, ale zobaczyć to... – zabrakło mu słów.

– Taramis! – krzyknął z góry jeden z mężczyzn.

Gdy mędrzec rzucił się w stronę magicznych drzwi, w piwniczce rozległ się odgłos nieludzkich i przerażających ryków i warczenia.

Darrick podążył za mędrcom, pędząc między półkami zjedzeniem i winem, za nim zaś ruszy! Ellig Barrows z latarnią. Drogę wskazywało słabe, szare światło, wpadające przez wejście do piwniczki.

Gdy Darrick wbiegał po schodkach, jego uszy wypełniły głosy walczących mężczyzn, ich przekleństwa i krzyki, podobnie jak ryki i wycie stworów, z którymi się zmagali. Wybiegli na powierzchnię, a Darrick niemal wpadł na Taramisa.

Na polance wokół domu, jeszcze przed chwilą pełnej spokoju, wrzała bitwa. Wojownicy Taramisa szybko utworzyli linię naprzeciwko żądnych krwi stworów, które wypadły na nich z lasu.

– Lezanti – wydyszał Taramis. – Na Światłość, Kabraxis nas znalazł.

Darrick rozpoznał stworzone przez demona bestie, ale tylko dzięki słyszczanym na statku opowieściom. Podczas swoich licznych podróży nigdy ich nie spotkał.

Lezanti miały trochę mniej niż pięć stóp wzrostu i ludzkie kształty. Ich kolana zginały się jednak w przeciwną stronę, jak u wilków, a skóra była gruba jak u jaszczurów. Łby również były jaszczurcze, z wydłużonym pyskiem wypełnionym nierównymi kłami i płaskimi nozdrzami. Osadzone blisko siebie oczy, ukryte pod wełnistymi włosami, były zadziwiająco ludzkie. Ręce i nogi stwory miały przerośnięte, z wielkimi pazurami. Machały jaszczurczymi ogonami, zaostrzonymi na końcach.

– Łucznicy! – krzyknął chrapliwie Taramis. Jednocześnie gestykulował gwałtownie, rysując w powietrzu płonące symbole.

Czterech mężczyzn wzięło długie łuki, stanęło za wojownikami uzbrojonymi w miecze i naciągnęło cięciwy. Każdy z nich zdążył wypuścić dwie strzały, zabijając na miejscu lezanti, zanim dotarła do nich pierwsza fala istot. Wojownicy zatrzymali je swoimi tarczami, zaskoczeni ich

szybkością, siłą i wagą. Na polance zabrzmiały odgłosy uderzania ciała o stal.

– Darrick – powiedział Taramis, nie przerywając gestykulacji – utrzymaj drzwi do domu. W środku są kobiety i dzieci. Pospiesz się.

Darrick pobiegł w stronę domu, ufając że rząd wojowników zatroszczy się o jego plecy.

Taramis wypuścił falę migoczącej mocy, która uderzyła w środek stada lezanti, rozrzucając je i pokrywając płomieniami. Kilkanaście dymiących ciał zawisło na drzewach lub z hukiem uderzyło o ziemię. Tylko kilka z nich w ogóle próbowało się podnieść. Łucznicy spokojnie wyjmowali kolejne strzały i strzelali dalej, z opanowaniem, z jakim Darrick jeszcze się nie zetknął. Długie na jard drzewca wbijały siew oczy i gardła wrogów, zabijając ich na miejscu, jednak stosunek sił nie był korzystny dla wojowników. Ich było dwudziestu sześciu, wliczając w to Darricka, a lezanti co najmniej osiemdziesiąt.



Zginiemy, myślał Darrick, ale ani razu nie pomyślał o ucieczce. Magiczny miecz Hauklina pewnie leżał w jego dłoni.

Odgłos drapania ostrzegł Darricka. Obrócił się i zobaczył, jak lezanti skacze na niego z dachu domu, wyciągając pazury.

Darrick uchylił się przed atakiem istoty i ustawił się, podczas gdy ona uderzyła o ziemię. Nie tracąc równowagi nawet na chwilę, stwór podniósł się, parskając i kłapiąc paszczą. Wydłużony pysk wystrzelił w stronę Darricka. Ten odepchnął łeb mieczem i kopnął lezanti w brzuch, przewracając go. Zrobił krok w bok i ciął trzymanym oburącz mieczem w bok stwora. Ku jego zdziwieniu ostrze przecięło ciało na dwie połówki. Te

drżały jeszcze przez chwilę na ziemi, po czym przestały się ruszać. Wzdłuż ostrza przepłynęła błękitna energia, a wówczas krew lezanti wyschła i odpadła płatami, aż miecz znów był czysty.

Na polance mężczyźni walczyli i przeklinali, próbując powstrzymać hordę bezlitosnych istot. Jak zauważył Darrick, dwóch już nie żyło, a inni byli ranni. Taramis wypuścił kolejną falę energii, dwa lezanti pokrył lód. Zamarzły na miejscu, a wojownicy natychmiast to wykorzystali, rozbijając je na kawałki.

Wbiegłszy do domu, Darrick rozejrzał się po małym pokoiku wypełnionym rzeźbami i kilkoma książkami. Żona Elliga Barrowsa, równie siwa i chuda jak mąż, stała pośrodku pokoju z rękami splecionymi na piersi.

Darrick rozejrzał się wokół, zauważając szerokie okna we frontowej ścianie pomieszczenia, jak również jednej ze ścian bocznych. Było za dużo wolnego miejsca – tu nie uda mu się zapewnić bezpieczeństwa rodzinie starca.

Wnuk pociągnął ciężki dywan pokrywający podłogę.

– Pomóż mi! – krzyknął. – Pod spodem jest kryjówka. Darrick od razu zrozumiał, o co cho dzi, chwycił dywan jedną ręką i pociągnął, odsłaniając ukrytą klapę. Wiele domów wzdłuż granicy gdzie często zdarzały się napaści barbarzyńców, budowano od razu z kryjówkami. Rodziny mogły zamknąć się pod domami i przeżyć wiele dni dzięki ukrytym tam zapasom jedzenia i wody. Sprytne palce chłopca odnalazły ukryty haczyk i kłapa otworzyła się. Darrick wsunął miecz pod klapę i uniósł ją, odsłaniając drabinę. Chłopiec podniósł lampę z podłogi i wyciągnął rękę do starej kobiety.

– Chodź, babciu.

– Ellig – wyszeptała staruszka.

– Chciał, żebyście byli bezpieczni – powiedział jej Darrick. – Niezależnie od tego, co się tu wydarzy.

Kobieta niechętnie pozwoliła wnukowi zaprowadzić się do kryjówki.

Darrick zaczekał, aż oboje znaleźli się w środku, po czym zamknął klapę i zakrył ją dywanem. Za plecami usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Wstał z mieczem w dłoni, gdy lezanti z rykiem wpadło przez rozbite okno i rzuciło się na niego.

W domu było mało miejsca. Darrick odwrócił uchwyt na mieczu, trzymając go tak, że ostrze biegło wzdłuż ręki do łokcia i dalej. Lewą rękę trzymał z tyłu, pozwalając, by ciało ustawiło się zgodnie z pozycją miecza.

Lezanti rzuciło się na niego. Darrick machnął mieczem, ale nie pozwolił, by za mocno odstawa! od ręki. Trzymał go blisko, jak nauczył go Maldrin, prawdziwy mistrz brudnej walki w zamkniętej przestrzeni.

Darrick wykorzystał miecz, by odepchnąć na bok łapy lezanti, i przesunął się całym ciałem w drugą stronę, odwracając wciąż trzymany wzdłuż ramienia miecz. Ciął stwora w pysk. Lezanti zatoczyło się do tyłu, przyciskając łapę do zmiażdżonego oka i wyło z bólu. Darrick zrobił krok do przodu i znów ciął stwora w pysk. Zanim ten zdążył się wycofać, jednym cięciem zdjął mu łeb.

Gdy łeb jeszcze toczył się po ziemi, inne lezanti wpadło przez drzwi, a trzecie przebiło się przez okno wyglądające na studnię i stodołę.

Dyszząc ciężko, ale czując tylko spokój i koncentrację, Darrick sparował włócznię, którą istota posługiwała się zadziwiająco sprawnie, chwycił drzewce pod lewe ramię i lewą dłońią. Dzierżąc jego włócznię i w ten sposób trzymając lezanti na odległość, Darrick odwrócił się, puścił miecz, obrócił dłoń i chwycił go normalnie, zanim broń jeszcze dotknęła ziemi. Natychmiast odrąbał ramię drugiemu lezanti.

Lezanti z włócznią pchało ją, próbując wpakować Darricka na wyłożoną poduszkami ławę. Darrick pchnął włócznię tak, że jej ostrze weszło w ścianę. Puścił drzewce i zrobił krok do przodu, wiedząc, że lezanti bez łapy zbliża się do niego od tyłu. Ciął stwora przed sobą, odcinając mu łeb i jedno ramię. Nie zatrzymując miecza, odwrócił chwyt i wbił ostrze w pierś lezanti za plecami.

Po ostrzu znów przepłynęła energia. Zanim Darrickowi udało się kopnięciem zrzucić stwora z miecza, z ostrza wystrzeliły błękitne płomienie i w jednej chwili pochłonęły ciało. Przed zdziwionym Darrickiem zawirował popiół.

Zanim zdążył odpocząć, kolejne lezanti wskoczyło przez rozbite okno od strony stodoły. Darrickowi udało się uniknąć pazurów stwora, ale poleciał do tyłu pod jego ciężarem. Nie mogąc złapać równowagi, wypadł przez drzwi i wylądował na ganku. Poderwał się na równe nogi, zanim lezanti znów zaatakowało. Tym razem Darrick uskoczył i ciął stwora po udach, odcinając mu obie nogi. Tułów lezanti wyleciał w górę i wylądował przed gankiem.

– Im chodzi o miecz, Darrick! – krzyknął Taramis. – Uciekaj!

Choć Darrick zrozumiał, że to co mówi mędrzec jest prawdą, wiedział, że nie może uciec. Po tym, jak stracił Mata w Porcie Tauruka, a siebie samego przez większość ostatniego roku, już nie mógł uciekać.

– Nie – powiedział Darrick, wstając. – Już nie będę uciekał. – Mocniej chwycił miecz i poczuł przypływ nowej siły. Na chwilę opuściły go wszystkie wątpliwości.

Kilkanaście lezanti przebiło się za ciała wojowników, z którymi walczyły. Prawie połowa drużyny Taramisa leżała na ziemi. Darrick miał pewność, że większość z nich już nie wstanie.

Darrick czekał na szarżujące stwory z wysoko uniesionym mieczem. Zaatakowało go siedem, wchodząc sobie nawzajem w drogę. Wzdłuż ostrza miecza przepływała energia. Atakował przeciwników, kiedy znaleźli się w jego zasięgu, wbijał w nich miecz i przechodził przez otwór wypełniony wirującym popiołem –jedyнным, co pozostawił po sobie magiczny ogień. W takich atakach zginęły trzy, ale skoczyły nań pozostałe cztery.

Darrick zebrał się w sobie. Poruszając mieczem, jakby ćwiczył z nim całe życie, uderzał, odcinając głowę, dwie łapy i nogę, po czym przebił pozostałe dwa stwory, zmieniając je w kupkę popiołu. Przeszedł nad tymi, które okaleczył, przebijając ich serca mieczem i patrząc, jak zmieniają się w małe stosy, które osmaliły ziemię.

Wojownicy, podbudowani zwycięstwem Darricka nad lezanti, ujęli mocniej miecze i zebrali odwagę, atakując przeciwników ze zdwojoną siłą. Cena była wysoka, gdyż wojownicy ginęli na miejscu, ale lezanti umierały szybciej. Zaklęcia Taramisa i Elliga Barrowsa też zbierały żniwo wśród demonicznych stworów, paląc je, zamrażając, zniekształcając w groteskowo ohydny sposób.

Darrick nadal walczył, napędzany żądzą krwi. Dobrze było czuć się tak pewnym siebie, tego co się robi i tego co trzeba zrobić. Rąbał i ciął, przebijając się przez lezanti, które coś zdawało się przyciągać do niego.

Kącikiem oka zobaczył, że lezanti zbliża się z boku do Elliga Barrowsa. Wiedząc, że nie dotrze do starca na czas, by uchronić go przed atakiem, Darrick zmienił chwyt i rzucił mieczem jak oszczepem, nawet nie myśląc o tym, co robi, jakby robił to już wiele razy.

Miecz wbił się w pierś lezanti. Ostrze powstrzymało istotę, po czym zadrzało, gdy znów zbierały się niesamowite energie. Z nagłym błyskiem lezanti zmieniło się w stertę popiołu. Miecz upadł ostrzem do przodu na ziemię i wbił się w nią.

Wiedziony instynktem, Darrick wyciągnął rękę w stronę broni. Miecz znów zadrżał, po czym wyrwał się z ziemi i wrócił mu do ręki.

– Jak wiedziałeś, że masz to zrobić? – spytał Taramis. Darrick, wstrząśnięty, tylko potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem. To się... stało.

– Na Światłość – powiedział Ellig Barrows – to ty miałeś zabrać miecz Hauklina.

Ale Darrick pamiętał głos Mata w głowie. Darrick miał pewność, że gdyby Mat jakimś sposobem się tam nie znalazł, nigdy nie byłby w stanie wziąć miecza. Odwrócił się i spojrzał w stronę pola bitwy, nie wierząc, że udało mu się przeżyć taką rzeź bez jednego draśnięcia.

– Chodź – powiedział Taramis. Ruszył, by pomóc swoim ludziom. – Nie możemy tutaj zostać. Kabraxis jakimś sposobem nas odkrył. Musimy odjechać jak najszybciej.

– A wtedy co? – spytał Darrick, chowając miecz do pochwy i chwytając torbę z lekami, którą rzucił mu mag.

– A wtedy ruszymy do Bramwell – odpowiedział Taramis, przekrzykując jęki rannych wojowników. – Kabraxis już wie, że mamy Gniew Burzy, a ja nigdy nie lubiłem się kryć. Poza tym teraz, kiedy mamy miecz, to demon powinien się nas bać.

Choć słowa mędrca miały być pocieszające, a moc zawarta w mieczu dawała dużo pewności siebie, Darrick wiedział, że misja i tak może się skończyć śmiercią ich wszystkich. Przypominali

o tym wojownicy, którzy dziś upadli i już się nie podniosą. Otworzył torbę z lekami i próbował pomóc tym, którzy jeszcze żyli.

Ale w głowie miał mętlik. Jeśli to ja miałem wziąć miecz Hauklina, to dlaczego nie bytem w stanie zabrać go od razu? I skąd wziął się głos Mata? Czuł, że te pytania są ważne, ale nie miał pojęcia, jaka jest na nie

odpowiedź. Zabrał się ponuro do roboty, próbując nie myśleć zbyt daleko w przód.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Darrick siedział wysoko na wzgórzu na północ od Bramwell i kościoła Proroka Światłości, przyglądając się ogromnej budowli przez lunetę, którą udało mu się zachować nawet przez najgorsze chwile ostatniego roku. Odległa o ćwierć mili świątynia była jasno oświetlona latarniami i pochodniami, podczas gdy tłumy wiernych ciągle do niej wchodziły.

Dalej, w porcie, stało kilka również oświetlonych statków. Razem z wiernymi, którzy chcieli spróbować szczęścia i może przejść Drogą Marzeń, przybyli też przemytnicy, wietrzący zysk w zaopatrywaniu ludności w różne towary. Przez wszystkie wachty na statkach znajdowali się strażnicy, a i tak napaści piratów nie były niczym niezwykłym. Złodzieje okradali sakiewki wiernych i napadali ich w bocznych uliczkach.

Bramwell szybko stawało się jednym z najniebezpieczniejszych portowych miast w całej Zachodniej Marchii.

Darrick opuścił lunetę i potarł bolące oczy. Dotarcie do Bramwell z północy zajęło im prawie trzy tygodnie. Wydawało się, że zima następuje im na pięty mroząc lodowatymi wiatrami.

W domu Elliga Barrowsa zginęło siedmiu ludzi, a dwóch kolejnych zostało okaleczonych podczas ataku lezanti i nie mogło jechać dalej. Z drużyny łowców demonów pozostało siedemnastu ludzi.

Siedemnastu, zastanawiał się Darrick, podczas gdy zimny wiatr przecinał las za jego plecami, przeciwko setkom, a może tysiącom, które Kabraxis ma w świątyni. Stosunek sił był przeważający, a szansa powodzenia minimalna. Nawet armia nie miałaby szans.

A jednak Darrick nie mógł zawrócić. Nie pozostał w nim strach ani wyczekiwanie. Przez ostatnie trzy tygodnie w jego głowie dźwięczał głos ojca – w godzinach czuwania i snu – mówiący mu, jaki jest bezwartościowy. Wszystkie sny były koszmarami, zapętlonymi fragmentami wydarzeń ze stodoły za sklepem rzeźnika. Najgorsze były wspomnienia Mata Hu–Ringa przynoszącego mu jedzenie i leki, będącego tam, żeby pokazać Darrickowi, że nie jest sam – a jednak przez cały czas czuł się jak w pułapce. Aż udało mu się uciec.

Krzak za Darrickiem poruszył się. Mężczyzna przesunął się lekko, dłoń opadła na rękojeść leżącego na udach długiego miecza. Ostrze było nagie i gotowe do użycia, on zaś wtopił się w cienie nadchodzącej nocy.

Na zachodzie wisiał słaby blask zachodzącego słońca, w odcieniach ochry i bursztynu, jak winogrona rozgniecione w słabym, jasnym piwie. Ostatnie promienie dnia rzucały srebrzysty blask na przystań, przez co statki i łódki wyglądały jak dwuwymiarowe wycinanki na wodzie. Światło ledwo rozjaśniało miasto i wydawało się wcale nie dotykać kościoła Proroka Światłości.

Darrick wypuścił oddech powoli, by nie być słyszany, opróżniając płuca, by móc wciągnąć pełny oddech, gdyby musiał zacząć walczyć. Dwa dni wcześniej łowcy demonów rozbili obóz w lesie wysoko w górach i przez ten czas nikt im nie przeszkadzał. Tam, gdzie się znajdowali, i gdzie dosięgało ich zimno, było dużo zwierzyny, przepłoszonej przez miasteczko namiotów, które wyrosło wokół Bramwell.

Darrick uznał, że mógł to być jeleni. Potem jednak zmienił zdanie. Odgłos, który słyszał, był zbyt spokojny, zbyt regularny.

– Darrick! – zawołał Rhambal.

– Tutaj – odpowiedział cicho Darrick.

Podążając za głosem Darricka, Rhambal podczołgał się bliżej. Wojownik był potężnym mężczyzną, lecz poruszał się cicho jak leśne zwierzę. Jego szeroką twarz okalała przycięta broda, a przez nos i pod lewym okiem biegła rana od pazura lezanti, która przez ostatnie trzy tygodnie nie zagoiła się do końca. Wystawienie na kaprysy pogody i niemożność prawdziwego odpoczynku spowolniły proces leczenia. Kilku innych wojowników nosiło takie same znaki.

– Przeszedłem po ciebie – powiedział Rhambal. – Wolałbym tu zostać – odrzekł Darrick. Potężny mężczyzna zawahał się.

Mimo iż Darrick był jedynym spośród nich, który mógł dotknąć zaczarowanego miecza Haukli-na, jego brak chęci zaprzyjaźnienia się z innymi wojownikami sprawił, że ci traktowali go z podejrzliwością. Darrick sądził, że gdyby nie Taramis Volken, wojownicy zostawili by go albo zmusili do odejścia.

Oczywiście, bez Taramisa Volkena misja dostania się do kościoła Proroka Światłości zostałaby porzucona. Tylko charyzma Taramisa i jego ciągła odwaga zmuszały ich do kontynuowania dzieła.

– Taramis wrócił z miasta – stwierdził Rhambal. – Chce, żebyśmy się wszyscy zebrali i omówili sprawę. Uważa, że znalazł drogę do kościoła.

Darrick wiedział, że łowca demonów powrócił. Godzinę wcześniej obserwował, jak Taramis wspina się po zboczu.

– Kiedy ruszamy? – spytał Darrick.

– Dziś w nocy.

Odpowiedź nie zdziwiła Darricka.

– A jeśli o to chodzi, jestem gotów – powiedział Rhambal. – Przeszliśmy taką odległość z pomocy i dręczyły nas takie koszmary, że jestem gotów to zakończyć, tak czy inaczej.

Darrick nie odpowiedział. Koszmary były stałą częścią ich życia. Choć Ellig Barrows i Taramis starannie stworzyli wokół nich zaklęcie ochronne, które nie pozwalało Kabraxisowi ich szpiegować, wiedzieli, że jeżeli zostaną odkryci, ich życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Demon ich poznał. W ciągu ostatnich kilku tygodni kilkanaście razy ledwo uniknęli patroli wojowników i hord demonicznych istot, które na nich polowały.

Drużyna nie była jednak w stanie pozbyć się koszmarów. Taramis miał pewność, że nocne strachy zostały wywołane przez jakieś podstępne zaklęcie, którego nie udało im się uniknąć. Musiał je znosić każdy z wojowników: trzy tygodnie bezsennych nocy i przeżywania osobistego piekła wycisnęły na nich swoje piętno. Kilku wojowników twierdziło nawet, że koszmary były klątwą i nigdy się od nich nie uwolnią.

Palat Shires, jeden z najstarszych wojowników w drużynie, próbował ich opuścić, nie mogąc znieść tego, co go dręczyło. Darrick słyszał pogłoski, że Palat był kiedyś piratem, okrutnym zabójcą, którego nikt nie chciałby spotkać na swej drodze, aż Taramis wygnał mniejszego demona, który wszedł w jego umysł z noszonej przez niego zaczarowanej broni i niemal doprowadził do szaleństwa. Choć wiedział, że dopuścił się tego tylko dlatego, iż należał do demona, nie mógł sobie wybaczyć tych wszystkich morderstw i okaleczeń. Niemniej jednak przysiągł wspierać sprawę Taramisa.

Palat powrócił trzy dni po tym, jak odłączył się od grupy. Jego wymęczony wygląd od razu mówił, że nie udało mu się uciec przed koszmarami. Dwa dni potem tuż nad ranem podciął sobie żyły i usiłował popełnić samobójstwo. Tylko dzięki bezsenności jednego z żołnierzy udało się ocalić mu życie. Taramis podleczył starego wojownika jak mógł najlepiej, po czym zakopali się na cztery dni, aby przeczekać ulewy i pozwolić Palatowi odzyskać siły.

– Chodź – powiedział Rhambal – w kociołku zostało jeszcze nieco potrawki, a Taramis przyniósł chleb i masło z miodem. Był tak hojny, że nawet przyniósł worek z szarlotką.

Twarz wojownika rozciągnęła się w uśmiechu, ale nie rozpędził on malującego się na niej zmęczenia.

A co ze strażnikami? – zapytał Darrick.

– Siedzimy tu już od dwóch nocy – odparł Rhambal. – Przez ten czas nikt się tu nie podkładał. Nie ma podstaw, by sądzić, że coś się zmieni w ciągu najbliższej godziny.

– To za godzinę wyruszamy?

Rhambal skinął głową i spojrzał zmrużonymi oczyma w stronę ciemniejącego nieba.

– Jak tylko zapadną ciemności, przed wschodem księżyca. Tylko głupiec lub desperat wycho dziłby na takie zimno.

Darrick wstał i zaczął skradać się przez las, w górę zbocza. Zrobił to niechętnie, ponieważ oznaczało to przebywanie z wojownikami i oglądanie zniszczeń, jakie wywołała w nich ciężka podróż i bezsenne noce. Gęsty las chronił go przed silnym północnym wiatrem, który szalał na zboczu.

Obóz znajdował się w niedużej, ślepo zakończonej dolince, otwartej na zachód. Była mała, z kamiennymi ścianami, a znajdowała się wśród krzaków i wygiętych od wiatru sosen.

Ognisko było ogniskiem tylko z nazwy. Płomienie nie podskakiwały wokół polan, by ogrzać zebranych wojowników. Garść świecących na pomarańczowo węgielków pośród białego i szarego popiołu zaledwie odrobinę ogrzewała powietrze. Na węglach stał garnek z potrawką z zająca, bulgoczącą od czasu do czasu.

Wojownicy siedzieli wokół kociołka, głównie dlatego, że w dolince było tak mało miejsca, a nie z nadziei na ogrzanie się. Konie stały na końcu

kanionu, ich oddechy wypełniały powietrze srebrzystą mgiełką, a długie derki pokrywał szron. Dolinkę wypełniała woń mokrych koni. Zwierzęta żywiły się długą trawą, którą zebrali dla nich wojownicy.

Taramis siedział po turecku najbliżej ogniska. Błady pomarańczowy blask sprawiał, że jego twarz wyglądała na rozgorączkowaną. Napotkał spojrzenie Darricka i skinął głową na powitanie.

Trzymając ręce nad węglami, mędrzec powiedział:

– Nie mogę wam zagwarantować, że nasz dzisiejszy wypad się uda, ale mogę was zapewnić, że w Bramwell jest cieplej niż tu, na górze.

Wojownicy zaśmiali się, bardziej z grzeczności niż z prawdziwej wesołości.

Rhambal usiadł obok Darricka i wziął dwa cynowe kubki ze skąpego zestawu naczyń, leżącego przy ognisku. Potężny wojownik zanurzył je w potrawce, którą ugotowali ze znalezionych warzyw i liści oraz trzech nieostrożnych zajęcy złapanych tuż przed zachodem słońca. Wyjąwszy kubki z garnka, Rhambal przeciągnął kciukiem po ich ściankach, żeby je oczyścić, i oblizał palec.

Mimo zmęczenia i poczucia niepewności, Darrick przyjął kubek i skinął głową w podziękowaniu. Przenikające przez cynowe ścianki ciepło ogrzewało jego dłonie. Trzymał go tak przez chwilę, ogrzewając się, po czym zaczął pić, żeby za bardzo nie ostygł. Kawałki mięsa zajęcia były twarde i żylaste.

– Znalazłem drogę do wnętrza kościoła – ogłosił Taramis.

– Takie duże miejsce – zamruczał Palat – musi mieć co najmniej tyle dziur, co moje skarpety. – Uniósł jedną skarpetkę suszącą się przy ognisku, i rzeczywiście, dziur było w niej mnóstwo.

– Jest tam dużo dziur – zgodził się Taramis. – Rok temu Mistrz Sayes pojawił się w Bramwell z karawaną i zaczął budować kościół Czarnej

Drogi. Te budynki, które teraz składają się na świątynię, były budowane po kawałku, ale wybudowano je dobrze. Cały budynek wypełnia plątanina tajemnych korytarzy, wykorzystywanych przez Mistrza Sayesa, jego akolitów i strażników. Sam kościół jest dobrze strzeżony.

– A co z kanałami ściekowymi? – spytał Rhambal. – Zastanawialiśmy się, czy nie dostać się przez nie do budynku.

– Wejść do kanałów strzegą najemnicy – odrzekł Taramis. – Pilnują też podziemnych dróg dla zaopatrzenia pod budynkiem.

– Więc o jakiej drodze w końcu mówisz? – spytał Palat.

Taramis wyjął spośród dogasających węgielków niewielki, zwęglony patyk.

– Wybudowali tę świątynię zbyt szybko, zbyt dużą i nie biorąc pod uwagę późnowiosennych powodzi. Wszystkie budowle wzdłuż brzegów, włączając w to nowe studnie, które miały zasilać sadzawki i rezerwuary wewnątrz świątyni, sprawiały problemy.

Mędrzec narysował dwie nieregularne linie mające symbolizować rzekę, a obok duży prostokąt. Dodał kolejny mały kwadrat, który wychodził nad rzekę.

– Tu, gdzie kościół wystaje nad rzeką – ciągnął Taramis – tworząc wspaniałe tarasy, gdzie wierni mogą czekać na kolejne modły, patrzeć na miasto i być pod wrażeniem wspaniałości kościoła, rzeka podmyła brzeg i mocno osłabiła podparcie tarasu.

Przyjąwszy kawałek chleba posmarowany miodowym masłem, który podał mu Rhambal, Dar-rick nadal wsłuchiwał się w słowa Taramisa i mechanicznie jadł. Jego umysł wypełniał w całości plan rysowany przez mędrca. Sprawdzał i rozważał wszystkie szczegóły, jakie tylko się pojawiły.

– Podczas budowy tarasu, który właściwie powstał tylko przez ich próżność, pojawił się między innymi następujący problem – ciągnął dalej

Taramis. – Pale podtrzymujące taras musiały być ustawione tak, żeby nie przebijały starego systemu kanałów ściekowych, który kościół już przerósł. Choć z zewnątrz świątynia wygląda na błyszczącą i ukończoną, ziemia pod nią nadal przypomina stare bagno, które sprawiło, że miejscowi w tym miejscu nic nie budowali.

– A co planujesz? – spytał Palat.

Taramis spojrział na rysunek, ledwie oświetlony przez dogasające węgielki.

– Myślę, że jeżeli będziemy mieli trochę szczęścia i uda nam się ukraść jedną z tamtych łódek, to dziś w nocy dostaniemy się do kościoła i jeszcze odwrócimy ich uwagę.

– Dziś w nocy? – spytał Rhambal.

Mędrzec pokiwał głową i uniósł wzrok, patrząc w oczy każdemu z mężczyzn po kolei.

– Ludzie, z którymi rozmawiałem dziś w tawernie, mówili mi, że modły w świątyni trwają godzinami nawet po zachodzie słońca.

– To rzadko się zdarza – stwierdził Corrigor. – Zwykle jak ktoś pracuje w polu albo na łódce rybackiej, to po zachodzie słońca szuka ciepłego, suchego miejsca, żeby się przespać. Nie chodzi na modły.

– Większość kościołów – powiedział Taramis – nie daje za darmo leczenia ani szczęścia, które może zapewnić człowiekowi miłość, bogactwo albo władzę.

– Racja – przyznał Corrigor.

– I dlatego ruszamy dziś w nocy – stwierdził Taramis. – Chyba że jest wśród nas ktoś, kto wolałby poczekać jeszcze jedną noc. – Mówiąc to, spojrział na Darricka.

Darrick potrząsnął głową, a wszyscy pozostali zrobili to samo. Wszystkich męczyło już czekanie.

– Wystarczająco odpoczęliśmy ostatniej nocy – rzekł Rhambal. – Jeśli będę musiał jeszcze odpoczywać, zacznę, mnie swędzieć ręce.

– Dobrze. – Taramis uśmiechnął się ponuro, bez śladu wesołości i może z odrobiną przerażenia. Mimo iż mędrzec poświęcił się całkowicie polowaniu na demony i utracił rodzinę, nadal był człowiekiem i mógł bać się tego, co zamierzali tej nocy zrobić. Wówczas, spokojnym głosem i bez wahań, Taramis wyjaśnił im plan.

Niewielka mgła zasłaniała rzekę, ale latarnie i pochodnie wzdłuż brzegów i na statkach stojących na kotwicach przed składami i tawernami wypalały kawałki wilgotnego, wełnistego oparu. Głosy mężczyzn unosiły się nad wodą razem z gwizdem wiatru w olinowaniu i łopotem luźnych żagli. Inni mężczyźni śpiewali lub wykrzykiwali pieprzne limeryki i dowcipy.

Kamienne mosty łączyły brzegi rzeki w dwóch miejscach. Oba były wypełnione ludźmi szukającymi jedzenia lub picia. Niektórzy z nich byli podróżnymi, zabijającymi czas czekając, aż z kościoła wyjdą ludzie i zaczną się następne modły. Inni byli złodziejami, kupcami i strażnikami. Najgłośniej zachowywały się prostytutki, wykrzykując propozycje do marynarzy i rybaków na łodziach.

Darrick podążył za Taramisem wzdłuż brzegu, w stronę statku, który wybrał mędrzec. „Błękitny Zefir” był paskudnym, przysadzistym statkiem towarowym, który śmierdział zjełczalym tranem. Przez ten smród żaden porządny marynarz nie chciałby się na nim zatrudnić, ale Darrick wiedział, że mógł on zapewnić niewielkiej załodze przyzwoite pieniądze.

Na pokładzie niedużego statku pozostało trzech marynarzy. Kapitan i reszta załogi udali się do tawern przy ulicy Portowej. Staranna obserwacja załogi ujawniła jednak, że oni też mieli butelczynę i zebrali się w sterówce, by ją wypić.

Darrick wiedział, że złodzieje i przemytnicy z Bramwell nie połakomiliby się na ładunek „Błękitnego Zefiru”. Baryłki z tranem były za ciężkie, żeby je łatwo ukraść lub wypłynąć z nimi z portu.

Nie zwalniając kroku, Taramis doszedł do trapu, który prowadził na statek. Mędrzec zaczął się po nim wspinać. Darrick szedł za nim, uderzając butami o trap, a serce waliło mu w piersiach.

Trzej mężczyźni zebrani w sterówce natychmiast się odwrócili. Jeden wziął latarnię ze stołu i poświecił w ich stronę.

– Kto idzie? – spytał.

Dwaj pozostali marynarze wzięli do ręki miecze i przyjęli pozycję obronną.

– Orloff– odpowiedział Taramis, bez wahania kierując się w stronę mężczyzn.

Darrick oderwał się od mędrca. Przyjrzał się takielunkowi i w jednej chwili zdecydował, których płócien użyć i jak najszybciej je wciągnąć. Tylko czterech innych wojowników w drużynie miało jakiegokolwiek doświadczenie z żaglowcami, a mieli je o wiele mniejsze niż on.

– Nie znam żadnego Orloffa – powiedział marynarz z latarnią. – Może trafiłeś na zły statek, przyjacielu.

– Trafiłem na dobry statek – zapewnił go Taramis. Zbliżył się do nich, idąc pewnym krokiem. – Kapitan Rihard poprosił mnie, żebym zajrzał do was i zostawił wam to. – Uniósł pokrytą skórą butelkę. – Powiedział, że to was ogrzeje w tym chłodzie.

– Nie znam żadnego kapitana Riharda – powiedział marynarz. – Trafiłeś na zły statek. Lepiej spadaj.

W tym czasie Taramis już znalazł się wśród nich. Narysował w powietrzu magiczny symbol, który zapłonął szmaragdowe i znikł.



Zanim znikły ostatnie ślady koloru, przed trzema marynarzami wybuchła migocząca ściana mocy, która wyrzuciła ich za reling jak podmuch wiatru suche liście. Marynarz z latarnią trzymał ją mocno. Wyleciał wielkim łukiem do rzeki i spadał jak kometa, aż z głośnym pluskiem znikł w wodzie.

W tym samym czasie, na sygnał dany przez zakłęcie Taramisa, Rhambal podpalił nasączoną tłuszczem ścianę jednego z większych składów na południowym brzegu rzeki, żeby odwrócić uwagę tłumu. Z boku składu wybuchły płomienie, zwracając uwagę wszystkich w okolicy. W ciągu kilku chwil, gdy marynarze wylatywali z „Błękitnego Zefiru”, krzyki wypełniły ulice i brzegi po obu stronach rzeki.

Gdy marynarze wynurzyli się, nikt nie miał zamiaru im pomóc. Palat dołączył do Taramisa na rufie i naciągnął łuk. Marynarze zrozumieli go doskonale i popłynęli do brzegu.

– Opuścić żagle – nakazał Darrick.

Teraz, kiedy zaczęli działać i nie mogli właściwie zawrócić, czuł, jak krew śpiewa mu w żyłach. Część jego duszy powróciła do życia po roku prób, by ją zabić. Przypominał sobie czasy, gdy razem z Matem wspinali się po linach, by przygotować się do bitwy lub odpowiedzieć na niespodziewany atak.

Czterech wojowników z marynarskim doświadczeniem rozdzieliło się. Jeden poszedł do steru, a pozostali wspinali się po wantach.

Darrick wspinał się po linach jak małpa – choć od miesięcy nie żeglował, wracały mu wszystkie wyuczone ruchy. Magiczny miecz Hauklina objął się o jego plecy. Kord był na tyle krótki, że nosił go w pochwie u boku, ale drugi miecz lepiej leżał przerzucony przez plecy.

Gdy wspiał się po wantach i dotarł do zwiniętego żagla, szybko przeciął nożem mocujące go liny. Dusza marynarza biadała nad stratą liny, która na morzu była niezwykle cenna, ale wiedział, że im już się nie przyda. Te myśli przypomniały mu, co Taramis planował dla statku, a to sprawiło, że jeszcze bardziej posmutniał. Stateczek nie był zbyt okazały, ale pływał po morzu i miał swój cel.

Znalazłszy się na szczycie masztu, i uwolniwszy wszystkie żagle, Darrick spojrział w dół, na pokład. Pozostałych jedenastu wojowników – Rhambal miał dołączyć do nich w każdej chwili – zajmowało się wyciąganiem beczulek z tranem. Na szczęście, „Błękitny Zefir” przewoził oprócz wielkich beczek także mniejsze, bo inaczej, żeby wyciągnąć je na pokład, musieliby korzystać z bloczka.

Darrick zszedł na pokład.

– Przywiążcie żagle na miejscu. Pospieszcie się. – Przyjrzał się brzegowi.

Trzej marynarze, których Taramis wyrzucił ze statku, dotarli już na brzeg i zaczęli wołać innych marynarzy i strażników. Bez rezultatu. Ogień w składzie był ważniejszy, ponieważ gdyby się rozprzestrzenił, całe miasto byłoby w niebezpieczeństwie.

Patrząc na płomień strzelające wysoko w niebo, mocując jednocześnie żagle, Darrick stwierdził, że nie byłby w stanie dać rozkazu podpalenia składu. Jego właściciele nie zrobili przecież nic złego, podobnie jak ludzie, którzy składowali w nim swoje towary.

To było zło konieczne, wyjaśnił im Taramis. Inni wojownicy nie wydawali się tym przejmować.

– Darrick! – zawołał Taramis z rufy. Zdjął płaszcz, odkrywając pomarańczowe szaty Vizjerei ze srebrnymi symbolami.

– Tak – zawołał Darrick.

– Żagle gotowe?

– Tak – odpowiedział Darrick, przywiązując ostatni szot. Spojrzał na innych wojowników zajmujących się żaglami. Byli wolniejsi niż on, ale też już skończyli. – Gotowe. – Znowu spojrzał na pozostałych. – Przygotujcie się, chłopcy. Jeśli nam się to uda, będziemy musieli działać szybko.

Taramis odezwał się, a słowa, które wymawiał, brzmiały jak warknięcia. Nie ludzki język miał wypowiadać te zaklęcia i Darrick był pewien, że zaklęcie jest jednym z najstarszych, objawionych światu przez demony przebywające wśród Vizjerei. Niektórzy magowie i czarodzieje wierzyli, że magia była czystsza, gdy do rzucania czarów wykorzystywano stary język, w którym powstały.

Na powierzchni rzeki pojawiło się drżące odbicie płonącego składu. Odbijały się w niej również inne świetliste plamki rozciągnięte po obu stronach rzeki. Więcej znajdowało się w okolicach drugiego mostu, który leżał między statkiem towarowym a kościołem. Po wodzie niosły się chrapliwe okrzyki. Niedaleko składu ludzie podawali sobie wiadra z wodą.

Mimo przygotowania Darrick niemal się przewrócił, gdy zaklęcie Taramisa przywołało gwałtowne uderzenie wiatru ze wschodu. Płótno załopotowało i zaskrzypiało, żagle wypełniły się. Statek ruszył, płynąc pod prąd.

DWADZIEŚCIA DWA



Poruszany gwałtownym wichrem „Błękitny Zefir” popłynął rzeką. Nagły ruch zaskoczył trzech wojowników, którzy upadli na pokład. Beczułki z tranem przewróciły się i zaczęły toczyć, przez co sytuacja przez chwilę była niebezpieczna, póki statek nie wyrównał. Jeden z wojowników niemal wytoczył się przez otwór w relingu, gdzie wcześniej leżał trap, ale udało mu się zatrzymać tuż przed nim.

– Trzymajcie żagle! – krzyknął Darrick nad wyciem wichru do innych wojowników zajmujących się żaglami. Sam mocno trzymał szoty, by żagiel łapał pełnię wiatru. W sumie nie mieli zbyt dużo roboty, bo wezwany przez Taramisa wiatr dmuchał prosto w żagle i pędził statek towarowy przez rzekę.

Inne pobliskie statki kołysały się na kotwicach, zaś niewielkie żaglówki, których używano do przewożenia towarów przez rzekę przewróciły się, a ich żagle leżały na wodzie.

– Sternik! – wrzasnął Darrick, patrząc jak „Błękitny Zefir” z przerażającą szybkością zbliża się do płytkiej barki.

– Ano! – odkrzyknął Farranan.

– Ostro na prawo, do diaska, albo skończymy między statkami! – rozkazał Darrick.

– Ostro na prawo – powtórzył Farranan.

Statek natychmiast skreślił. Prawa część kadłuba otarła się o płytką barkę, unosząc się lekko. Zabrzmiał odgłos pękającego drewna. Darrick miał nadzieję, że to pękała barka.

Trzymając się lin przywiązanych do żagla, patrzył jak róg barki zanurza się pod ich statek, a jej dziób i drugi róg unosi nad wodę. Skrzynie, beczki i dokerzy powpadali do wody. Dwie latarnie również wpadły do rzeki i zgasły.

Statek w końcu minął barkę i znalazł się na otwartym kanale pośrodku rzeki. Inne statki były tak blisko siebie, że nawigacja między nimi była prawie niemożliwa. Darrick widział zdziwione twarze marynarzy spoglądających z większych statków na mały statek towarowy.

– Otworzyć beczki – nakazał Taramis.

Wojownicy toporami rozbili beczki, rozlewając ciemny płyn na pokładzie dziobowym. Tran był gęsty i płynął powoli, jak krew człowieka, który już niemal się wykrwawił.

Gdy statek przepływał pod mostem, który znaczył krawędź przystani, Darrick podniósł wzrok i ujrzał rzucającego się z mostu Rhambala. Gdy statek go mijał, rozpaczliwie chwycił wanty, uderzył w sieć olinowania, rzucił się na najbliższy żagiel i zsunął po nim na pokład. Wylądował ciężko na plecach.

– Wszystko w porządku? – spytał Darrick, podając mężczyźnie rękę. Wokół nich wył wiatr, a pokład unosił się i opadał.

– Co najwyżej zraniona duma – powiedział Rhambal, chwytając rękę Darricka. Wojownik podniósł się i skrzywił. – I może tyłek. – Spojrzał na płonący skład. – Myślę, że to wystarczająco odwróci ich uwagę.

– Już i tak trwa to wystarczająco długo – odrzekł Darrick, spoglądając na gęsty płyn pokrywający pokład dziobowy.

– Zakładając, że dotrzemy do pali, o których mówił Taramis – stwierdził Rhambal.

– Dostaniemy się tam – powiedział Darrick. Podniósł głos. – Ostro na lewo.

– Ostro na lewo! – odkrzyknął Farranan z rufy.

Darrick poczuł, jak „Błękitny Zefir” szarpie się i skręca w stronę północnego brzegu, gdzie stał imponujący monolit kościoła Proroka Światłości. Taras wystawał nad rzekę mniej niż trzysta jardów od nich i zbliżał się coraz bardziej. Dwa kamienne filary utrzymywały go dwadzieścia stóp nad powierzchnią rzeki, aby uwzględnić podnoszący się poziom rzeki w czasie sezonu powodzi.

Po obu stronach rzeki „Błękitnemu Zefirowi” towarzyszyły trzymane przez strażników pochodnie i latarnie. Strażnicy świątynni zapełnili taras, gdy statek towarowy zbliżył się do niego na sto jardów. Kilkunastu miało kusze i w powietrzu zaświstały bełty.

– Kryć się! – wrzasnął Palat, kuląc się za ładownią pośrodku statku. Wokół niego pociski uderzały w pokład.

Darrick słyszał, jak bełty gwizdzą, mijając go o cale. Schował się za centralnym masztem, ufając, że magiczne wiatry przywołane przez Taramisa zepchną „Błękitny Zefir” na pale. Nad nim bełty przebijały żagle.

– Trzymaj ster! – rozkazał Darrick, spoglądając do tyłu.

Farranan skulił się, rozpaczliwie próbując się ukryć. Słaby chwyt na kole sterowym sprawił, że statek zaczynał znów dryfować w stronę środka rzeki.

Darrick odepchnął się od masztu i rzucił w stronę steru. Jego kark i ramiona napięły się, gdy biegł po kołyszącym się pokładzie, w każdej chwili oczekując, że poczuje wbijający się w nie grot. Chwycił poręcz schodków i wbiegł po nich, niemal potykając się o Farranana.

Taramis stał przy relingu.

– Zejść z dziobu! – ryknął.

Darrick chwycił koło i skręcił je mocno w lewo, wyrównując kurs. Wiatr nie ustawał, uderzając w wanty i rozrywając żagle tam, gdzie przebiły je

groty. Koło szarpało się w rękach Darricka, ster walczył z prądem i magicznymi wiatrami.

Taramis narysował w powietrzu płonący siedmioramienny symbol i wypowiedział jedno słowo. Poruszony magią symbol przepłynął przez pokład i podpalił rozlany tran. Ciemny płyn z głośnym sykiem wybuchł żółtymi i lawendowymi płomieniami.

Darricka owiała fala gorąca, aż musiał zmrużyć oczy. Na chwilę przeraził się, gdyż uświadomił sobie, że przez płomienie i unoszące się węgielki nie widzi tarasu. Ogień wskoczył na olinowanie i objął już pierwszy żagiel, wspinając się na przedni maszt jak niedźwiadek, sprawdzający każde nowe miejsce odpoczynku, po czym idący dalej.

Uniósł wzrok, przez jedną szaloną chwilę myśląc, że może żeglować kierując się gwiazdami.

Miał tego zauważyć dzwonnice na szczycie najwyższej części kościoła Proroka Światłości. Kierował statek wedle dzwonnicy uświadomiwszy sobie, gdzie względem niej leży taras. – Trzymaj kurs – powiedział Taramis. Darrick ponuro pokiwał głową.

Bełty nadal spadały na statek, wbijając się głęboko w drewno. Jeden odbił się od trzymanego przez Darricka koła sterowego i wbił się w jego bok. Przez chwilę myślał, że jego żebra płoną, po czym spojrzał w dół i zobaczył wbity bełt.

Darrick poczuł mdłości, gdy pomyślał, że bełt przebił pierś lub żołądek. Potem zauważył, że przeszedł pod kątem, prześlizgując się po żebrach, ale nie wbijając się w mięśnie ani ważne organy. Wszystko wyglądałoby o wiele gorzej, gdyby nie miał na sobie płaszcz podróżnego.

Darrick zacisnął zęby, wyjął bełt z ciała i odrzucił go na bok. Na palcach miał własną krew.

– Uważaj! – ryknął Palat.

Przez jedną chwilę Darrick widział przed sobą grube pale podtrzymujące taras. Jesteśmy za wysoko, pomyślał, uświadamiając sobie, że statek towarowy trafił wyżej niż się spodziewali. Uderzenie nas zawróci.

Zapomniał jednak o samym tonażu statku, pchanego przez szalony wicher. Jeśli chodzi o statki towarowe, żaden chyba nie był tak zapakowany ani tak obciążony jak te przewożące tran. „Błękitny Zefir” był załadowany pod wierzch i gnany sztormem.

Statek uderzył w pale, wyrywając je z dna rzeki, przez co taras zawalił się. Do rzeki wpadło mnóstwo gruzu, podnosząc ścianę wody, która w połączeniu z wichrem wywołała niemal monsunową ulewę. Sterburta „Błękitnego Zefiru” została obtłuczona spadającymi na nią kamieniami. Statek zadrżał, jakby uderzył w niego olbrzymi kowalski młot. „Błękitny Zefir” był jak kowadło, równie twardy i niepoddający się. Kamienie i gruz odbijały się od pokładu, który przechylił się mocno w prawo. Statek ocierał się o odkryty brzeg.

Strażnicy świątynni spadali razem z gruzem. Darrick patrzył, jak lecą, jedni trafiając od razu w spieniony nurt na prawo od statku, a inni odbijając się jeszcze od pokładu. Dwóch z krzykiem wpadło na płonące żagle. Wrzeszcząc, zeskoczyli z olinowania i rzucili się do rzeki, płonąc jak świeczki.

Darrick wypuścił koło sterowe, wiedząc, że bez ryzyka poważnych obrażeń dłużej go nie utrzyma, zrobił krok do przodu i chwycił się relingu. Trzymał się mocno, podczas gdy statek walczył z wiatrem i brzegiem. Wędrując powoli wzdłuż relingu dotarł do wyblinki prowadzącej do steru, chwycił ją i przeszedł na lewą stronę.

„Błękitny Zefir” zatrzymał się na głazach.

Darrick słyszał, jak kadłub ociera się o kamienie, niby o gigantyczne zęby. Skrzywił się, uświadamiając sobie, jak bardzo zniszczyli statek i jak

wielu godzin trzeba będzie, by mógł znowu wypłynąć na morze. Spojrzał na pokład, zastanawiając się, czy podjąwszy się takiego ryzyka, osiągnęli to, co zaplanowali.

Cienie okrywały gruzy i ciemne błoto na brzegu rzeki. Darrick rozglądał się, ale nie widział zagrożonego systemu ściekowego, który odkrył Taramis. Mimo iż ich sytuacja była naprawdę poważna, nie czuł prawdziwego strachu. Tylko oczekiwanie i nadzieję, że rozpaczliwe szaleństwo poczucia winy, które znosił przez ostatni rok, wkrótce się zakończy. Po takim ataku strażnicy świątynni Kabraxisa nie pozwolą im żyć.

Taramis dołączył do Darricka przy relingu. Mędrzec wypowiedział słowo i wskazał na trzymaną przez siebie pochodnię. Natychmiast otoczyły ją płomienie, oświetlając bok statku.

– Ta pochodnia sprawia, że jesteśmy świetnym celem dla kusz – powiedział Farranan, stając obok nich. – Nie możemy tutaj zostać – stwierdził Rhambal. „Błękitny Zefir” nadal ocierał się o odsłonięty wapien brzegu.

– Statek też tu długo nie zostanie – stwierdził Darrick. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak cicho się zrobiło, gdy ucichły wichry. – Prąd nas zabierze.

Wyciągając pochodnię, Taramis przyglądał się brzegowi. Ze zniszczonego tarasu spadły kolejne kamienie.

– Mają łódkę na rzece – ostrzegł Palat.

Stojąc przy relingu Darrick zauważył zbliżający się do nich statek strażników. Latarnie podświetlały znak lorda Darkulana tak, żeby wszyscy go rozpoznali.

– Pochodnia jest za słaba – powiedział Taramis. – Ale to musi być tam. – Zamachał po chodnię, sięgając najdalej, jak mógł, ale bez rezultatu. Światło nie sięgało samego brzegu.

Wyjmij miecz, powiedział Mat Hu–Ring w głowie Darricka.

– Mat? – wyszeptał Darrick. Powróciło do niego poczucie winy, niszcząc spokój, który go ogarnął, kiedy uświadomił sobie, że nie ma ucieczki. Zaakceptowanie własnej śmierci było łatwiej sze niż zaakceptowanie śmierci Mata. Wyjmij miecz, powtórzył Mat, brzmiąc, jakby dochodził z wielkiej odległości. Odwracając się, choć wiedział, że przyjaciel nie stoi gdzieś za nim, choć tak to brzmiało, Darrick spojrział na zebranych na rufie wojowników, czekających na kolejny ruch Taramisa.

Miecz, przeklęty głupcze! powiedział Mat. Wyjmij ten cholerny wielki miecz. On pomoże tobie i całej reszcie.

Darrick sięgnął przez prawe ramię, czując ból z lewej, gdzie ranił go bert, i chwycił rękojeść miecza Hauklina. Poczuł mrowienie w dłoni, a broń właściwie wskoczyła w jego rękę. Trzymał przed sobą miecz, wielki kawał szarej stali poznaczony szczerbami wielu bitew.

Taramis i inni wojownicy trzymający latarnie i pochodnie ze statku, próbowali przebić cienie zakrywające brzeg.

– Może jeśli tam ktoś zejdzie – zaproponował Rhambal.

– Ten, kto tam będzie, nie będzie na statku, gdy ten odpłynie – powiedział Palat. – Może będziemy musieli trzymać się tej krypy, jeśli będziemy chcieli się stąd wydostać.

– Lepiej próbować szczęścia na ulicach – stwierdził Rhambal. – Nawet gdybyśmy dotarli do przystani, przegoniliby nas. Nie mamy doświadczonej załogi zajmującej się żaglami.

Wypowiedz imię miecza, nakazał Mat.

– Mat – wyszeptał Darrick, czując wewnętrzny ból, jak wtedy, gdy był świadkiem śmierci przyjaciela. Nie wyobrażał sobie głosu Mata. Słyszał go. Był prawdziwy i tkwił w jego głowie.

Wypowiedz imię miecza, ty cholerny niezguło, nakazał Mat.

– Co tu robisz? – spytał Darrick.

To samo co ty, odpowiedział Mat, ale ja jestem w tym od ciebie lepszy. A teraz wezwij moc miecza, zanim prąd zsunie was z kamieni, prosto w ramiona tych strażników. Mamy dziś w nocy dużo roboty. – A jak mam wezwać jego moc? – spytał Darrick. Wypowiedz jego imię. – A jak się nazywa miecz? – Darrick zapomniał go w całym tym zamieszaniu. Gniew Burzy, odrzekł Mat.

– Czy żyjesz? – spytał Darrick.

Me mamy teraz czasu, aby się w to wgłębiać. Jesteśmy w trudnej sytuacji, a do tego musimy się zająć Kabraxisem.

Statek znów otarł się o kamień, podskakując gwałtownie. Przez chwilę Darrick myślał, że się uwolnił.

– Gniew Burzy – powiedział Darrick, trzymając rękojeść oboma rękami i nie wiedząc, czego się spodziewać. Znów poczuł w rękach dziwne mrowienie.

W mgnieniu oka po ostrzu przepłynął zimny błękitny płomień. Światło nie grzało, było jasne, ale miało taki kolor, że nie oślepiało.

Magiczne światło bez trudu przebiło mrok spowijający brzeg rzeki. Błękitne światełka odbijały się od wód rzeki wpływających do pękniętego kanału ściekowego o średnicy ośmiu stóp, który biegł pod kościołem. Zderzenie statku z brzegiem oderwało taras i błoto, odkrywając tunel i otwierając o.

– Tu jest – stwierdził Taramis.

– Mat – wyszeptał Darrick.

Nie było odpowiedzi, tylko bryza gwizdała w takielunku. Statek znów się zakołysał, zsuwając cztery czy pięć stóp do tyłu i niemal się uwalniając.

– Tracimy statek – powiedział Taramis. – Ruszać się! Już! – Przeszedł przez reling i rzucił na brzeg, wskazując drogę.

Idź, szepnął Mat w głowie Darricka, ciszej niż wcześniej. Darrick czuł się jak w pułapce. Chciał wiedzieć więcej: dlaczego Mat był w stanie z nim rozmawiać? Myślał, że może jego przyjaciel jednak gdzieś żyje. Darrick wspiął się na reling i przeszedł przezeń, podczas gdy statek znów się poruszył. Dobrze wiedział, że jeszcze jedno uderzenie prądu i uwolni się zupełnie. Zszedł ze statku, rzucając się do przodu.

Wylądował w błocie, zapadając się aż po kostki. Stracił równowagę i poślizgnął się, upadając twarzą w błocko. Prąd przemoczył go i zmroził aż do kości. Za to rana w boku paliła go, jakby ktoś potraktował go rozgrzanym do czerwoności prętem.

Inni wojownicy skoczyli za nim. Większość trafiła w błoto, ale kilku wpadło do rzeki i prąd niemal ich porwał, zanim pomogli im inni. Przez chwilę się zbierali, a „Błękitny Zefir” służył im za osłonę. Bełty wystrzeliwane ze zbliżającej się łodzi strażników uderzały w burtę statku.

Chwilę później płonący statek obrócił się raz jeszcze i odpłynął z prądem. Łodzi pełnej strażników udało się go ominąć, ale fala wywołana przez przepływający okręt i ich wysiłki, by nań nie wpaść sprawiły, że niemal się wywrócili. W końcu statek towarowy minął ich i popędził w dół rzeki, w stronę statków na przystani, grożąc dalszymi zniszczeniami.

– Niech to! – zaklął Palat. – Jeszcze spalimy im to nieszczęsne miasto, próbując je uratować.

– Jeśli nawet tak się stanie – stwierdził Taramis – dla mieszkańców lepiej będzie, gdy odbu dową zajmą się ludzie, nie demony.

Ślizgając się cały czas, Darrick podążył za mędrcom do tunelu ściekowego. Dopiero wtedy zauważył, że jego miecz przygasł. Zostali więc z pochodnią Taramisa i latarniami niesionymi przez innych wojowników.

Kanał był na wpół zanurzony w wodzie z powodu problemów, o których dowiedział się Taramis, gdy odwiedzał tawerny Bramwell. Zderzenie z

frachtowcem przebiło mur, jak planował mędrzec, ale zniszczenia były większe niż Darrick się spodziewał. Woda wlewała się przez szerokie na palec pęknięcia w ceglany murze, dołączając do sięgającej pasa wody, która stawała się coraz głębsza.

Taramis zatrzymał się w połowie szerokiego kanału, patrząc to w prawo, to w lewo.

– W którą stronę? – spytał Palat, przecierając twarz ramieniem, by oczyścić jaz wody i błota. Smugi pozostały.

– W lewo – stwierdził Taramis i ruszył w tym kierunku. Wprawo, powiedział Mat. Jeśli pójdziecie w lewo, zostaniecie schwytani. Taramis brodził przez podnoszącą się wodę. Powiedz im!

Darrick zawahał się, gdyż nie był do końca pewien, że to Mat do niego mówił. Równie dobrze mógł oszaleć, ale nie zauważył tego aż do teraz.

– Idziesz w złym kierunku.

Taramis zatrzymał się w wodzie, która teraz sięgała do piersi. – Skąd wiesz? – spytał mędrzec. Darrick nie odpowiedział.

Powiedz mu, poradził Mat. Powiedz mu o mnie.

Krzyki na zewnątrz odbijały się echem w tunelu. Do otworu zbliżały się pochodnie i Darrick wiedział, że nie minie wiele czasu, nim strażnicy ich zaatakują.

– Ponieważ Mat mówi mi, gdzie mamy iść – stwierdził Darrick.

– Jaki Mat? – spytał podejrzliwie Taramis. – Twój przyjaciel, który został zabity w Porcie Tauruka?

– Tak – odrzekł Darrick, choć wiedział, że sam nie uwierzyłby w tę historyjkę, gdyby ktoś mu to opowiedział. Sam ledwo w nią wierzył.

– Jak? – spytał Taramis.

– Nie wiem – przyznał Darrick. – Ale to on kazał mi wezwać moc miecza i pokazał nam drogę do kanału.

Wojownicy zebrali się wokół Taramisa, wszyscy mokrzy i brudni. Ich twarze były pełne wątpliwości i podejrzeń.

– Co o rym myślisz? – spytał Palat Taramisa, robiąc krok do przodu, żeby oddzielić mędrca od Darricka.

Mężczyzna doskonale rozumiał ostrożność wojownika. Milczał. Sam by myślał, że oszalał, gdyby nie to, iż właśnie on słyszał głos Mata.

Taramis uniósł wyżej pochodnię. Płomienie liznęły kamienie, spalając pokrywające go mchy i porosty.

– Za każdym razem, kiedy do świata śmiertelnych wrywa się demon – zacytował – musi zostać zachowana równowaga. Pojawi się sposób, i tylko wybór człowieka może uwolnić świat od demona.

Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było wesołości.

– Czy jesteś tego pewny, Darricku?

Tak.

Rhambal powiesił latarnię na murze.

– Nie mamy wyjścia. Ci przekłeci strażnicy zaraz nas dopadną. Większość z nich to uczciwi ludzie, którym płacą za utrzymywanie porządku. Nie zamierzam włóczyć się po okolicy i walczyć z nimi, jeśli mogę temu zapobiec.

Taramis skinął głową.

– A zatem na prawo.

Poprowadził ich, trzymając pochodnię przed sobą.

Kanał stopniowo unosił się w górę. Darrick wyjątkowo odczuwał owo wznoszenie się, gdyż pędząca w dół woda omywała mu nogi i chwiała nim, przez co droga była jeszcze trudniejsza.

Jednak po chwili poziom wody zaczął się powoli obniżać, a światło pochodni Taramisa odbiło się od setek oczu przed nimi.

– Szczury – powiedział Rhambal i zaklął.

Zwierzęta siedziały po obu stronach kanału, wspinając się na siebie i tworząc całe ruchliwe wyspy szczurzych ciał. Ich łyse ogony bezustannie wiły się i skręcały.

Wznosząca się woda omywała ściany tunelu, wyciągając małe grupki szczurów z ich nietrwałego miejsca odpoczynku. Unosząc się na podnoszącej się wodzie, zwierzęta skupiły uwagę na wojownikach w tunelu.

W następnej chwili rzuciły się do ataku.

Podczas gdy gwardziści krążyli wśród tłumu, Buyard Cholik wprowadził głowę węża na powrót do ściany. Szepty czyniły we wnętrzu katedry szum, który uniemożliwiał rozmowę.

Ktoś zaatakował kościół.



Myśl zadudniła w głowie Cholika. Nie wiedział, kto mógłby ośmielić się dokonać czegoś takiego. Przez ostatni miesiąc jego stosunki z lordem Darkulanem stały się nawet lepsze, niż dotychczas. Rozpoczęło się nawiązywanie kontaktów i tworzenie umów, które miały doprowadzić do wzniesienia kościoła w Zachodniej Marchii. Kościół Zakarum walczył, aby zabronić kościołowi Proroka Światłości wejścia do stolicy ale Cholik wiedział, iż usunięcie tej przeszkody to zaledwie kwestia czasu. Dzięki pomocy lorda i obserwatorów samego króla, z których wielu kapłan zabawił w świątyni, władca dowiedział się, jak wiele bogactwa spłynęło do Bramwell dzięki pielgrzymom.

Ale pomijając już nawet bogactwo, które mógł ofiarować Zachodniej Marchii, kościół bez wątpienia czynił też cuda. A raczej czynił je pewien człowiek. Im więcej ludzi przychodziło do kościoła, tym więcej ceremonii

odprawiał Cholik. Obecnie było ich sześć dziennie. Cholik wiedział, że zwykły człowiek już dawno padłby z wyczerpania, ale on cieszył się nimi i spełniał je z nawiązką. Kabraxis dawał Cholikowi swoją siłę, wzmacniając go i pozwalając nadal działać.

Dokonywało się coraz więcej cudów, wszystkie dla tych, którzy mieli na tyle szczęścia, by podróżować po Drodze Marzeń. Podczas ostatnich miesięcy, wraz ze wzrostem liczby ceremonii, wzrosła też liczba cudów. Ludzie odzyskiwali zdrowie, otrzymywali wielkie bogactwa. Prostowały się krzywe kończyny, zyskiwano wzajemną miłość, polegli w bitwach synowie i mężowie wychodzili z buchającej płomieniami paszczy kamiennego węża, przywołani na Czarną Drogę z nie wiadomo jakich otchłani. Nie mieli żadnych wspomnień, nie wiedzieli, gdzie przebywali, aż do momentu, gdy wyszli z pyska węża.

Trzy razy przywrócono młodość starzejącym się wyznawcom.

Mówiło się o tym we wszystkich miastach położonych w Zatoce Zachodniej Marchii, gdzie statki niosły wieści. Słyszeli je kupcy i zawozili karawanami na wschód, do Lut Gholein, a być może także przez Bliźniacze Morza do Kurastu i jeszcze dalej.

Cholik wiedział, że przywrócenie młodości było najtrudniejszym zadaniem i wymagało wielkich ofiar. Kabraxis uczynił je, ale nie poświęcił się sam. Demon porwał z miasta kilkoro dzieci i poświęciwszy na Czarnej Drodze, odebrał im młodość, aby dać ją proszącym. Nagrodzeni byli osobami, które mogły pomóc kościołowi wkraść się w łaski króla. Jeden z nich był tak naprawdę zaufanym doradcą władcy, kimś, kto, jak twierdził lord Darkulan, był dla niego niczym ojciec.

Nastał czas cudów. Wszyscy w Bramwell mówili w ten sposób o kościele Proroka Światłości. Zdrowie, bogactwo, miłość, odzyskana młodość – czegoż więcej można było chcieć?

A jednak ktoś ośmielił się zaatakować kościół.

Cholik patrzył na wypełnioną ludźmi katedrę i narastał w nim gniew. Jeden z kapłanów niższej rangi, namaszczonego przez Cholika, wyszedł w położony niżej krąg światła.

– Bracia i siostry – odezwał się – wybrani Dien–Ap–Stena, połączmy się w modlitwie do naszego wspianego proroka. Wskazujący Drogę Sayes wstawi się za nami u niego i poprosi o uczynienie kilku dodatkowych cudów, nim zakończymy ceremonię.

Jego słowa, wzmacniane przez specjalnie zbudowaną scenę, unosiły się nad widownią, uciszając szepty, które wywołała wiadomość o ataku na kościół.

Wystarczy zagrozić, że odbierze się im szansę na cud, myślał sobie Cholik, a od razu wszyscy zaczynają uważnie słuchać.

Kapłan poprowadził modły do Dien–Ap–Stena i śpiewy chwalcące jego wielkość, dobroć i szczodrość.

Gdy łeb węża znalazł się w ścianie i przestał się poruszać, ogień zgasł i w tej części świątyni zapadła ciemność. Wielu wiernych zaczęło wówczas wykrzykiwać imię Dien–Ap–Stena, błagając powrót proroka i kolejne cuda.

Cholik zszedł z platformy nad głową węża na balkon na drugim piętrze. Ukryty w cieniu strażnik odsunął ciężkie kotary i otworzył dla niego drzwi. Przez cały czas za zasłonami stali kusznicy, podczas modłów zmieniani co godzinę.

Cholik wyszedł na korytarz i zobaczył, że czeka na niego tuzin osobistych strażników. Nikt nie używał tego korytarza oprócz niego, a łączył się on z tajemnymi przejściami. Mężczyźni trzymali latarnie, by oświetlić korytarz.

– Co się dzieje? – spytał Cholik, wchodząc pomiędzy nich.

– Kościół został zaatakowany, Wskazujący Drogę – odrzekł kapitan Rhellik. Był to mężczyzna o ostrych rysach, przyzwyczajony do dowodzenia najemnikami, prowadzenia małych wojenek i polowania na bandytów. – To wiem – wyrzucił z siebie Cholik. – Kto odważył się zaatakować mój kościół? Rhellik potrząsnął głową.

– Jeszcze się nie dowiedziałem, Wskazujący Drogę. Z tego co słyszałem, statek uderzył w dzie dziniec na południe od kościoła, ten, który zwiesza się nad rzeką.

– Wypadek?

– Nie, Wskazujący Drogę.

– Czemu atakować ten dziedziniec? Co chcieli przez to uzyskać?

– Nie wiem, Wskazujący Drogę.

Cholik wierzył dowódcy najemników. Kiedy Rhellik dotarł do kościoła przed prawie rokiem, był niemal zupełnie sparaliżowany: gdy podróżował z Lut Gholein, podczas bitwy z bandytami nadepnął na niego koń. Jego ludzie przywiązali go do noszy i przejechali dwieście mil, żeby znaleźć dlań pomoc.

Z początku Cholik nie widział w kapitanie najemników żadnej wartości, ale Kabraxis nalegał, by się mu przyjrzeć. Przez tygodnie Rhellik zostawał na każdych modłach, podczas gdy jego ludzie karmili go i kąpali w rzece, śpiewał też swoim słabym głosem hymny do Dien–Ap–Stena najlepiej jak potrafił. Pewnego dnia głowa węża podniosła go z tłumy i połknęła. Kilka minut później dowódca najemników zszedł z Czarnej Drogi, cały i zdrowy, i na wieczność obiecał wierność prorokowi Dien–Ap–Stenowi oraz Wskazującemu Drogę.

– To nie ma sensu – stwierdził Cholik, ruszając korytarzem.

– Nie ma, Wskazujący Drogę – zgodził się Rhellik. Uniósł latarnię, oświetlając korytarz. W drugiej ręce trzymał swoje paskudne, zakrzywione

ostrze.

– Nie rozpoznano żadnego z tych ludzi?

Nie.

– Jak duże siły zaatakowały kościół? – spytał ostro Cholik.

– Nie więcej niż parę tuzinów wojowników – stwierdził Rhellik. – Strażnicy miejscy próbowali ich zawrócić.

– Łódź musiała płynąć w górę rzeki, żeby wbić się w taras. – Cholik odwrócił się i skręcił w przejście po prawej. Wszedł po schodkach. Znał w kościele każdy korytarz. Jego szaty aż furkotały od pośpiechu. – Nie mogła płynąć szybko. Czemu strażnicy miejscy jej nie zatrzymali?

– Statek napędzała magia, Wskazujący Drogę. Nie mieli możliwości go zatrzymać.

– A my nie wiemy, kim są ci ludzie?

– Przykro mi to mówić, Wskazujący Drogę, ale nie. Powiadomię was, jak tylko się czegoś dowiem.

Po paru chwilach Cholik dotarł do ukrytych drzwi, prowadzących na główny korytarz na trzecim piętrze. Otworzył zamek i wyszedł.

Nikogo. Obcy mogli wchodzić jedynie na parter i pierwsze piętro, gdzie można było usiąść. A żaden z kapłanów, którzy tu mieszkali, nie był w swoich komnatach, gdyż wszyscy znajdowali się w świątyni. Południowe skrzydło na trzecim piętrze zarezerwowane było dla akolitów, którzy służyli w kościele od co najmniej sześciu miesięcy. Zadziwiające, jak szybko zapełniły się te komnatki.

Cholik odwrócił się i poszedł w stronę balkonu wyglądającego na taras i brzeg rzeki.

– Wskazujący Drogę – powiedział zmieszany Rhellik.

– Co? – warknął Cholik.

– Może byłoby lepiej, gdybyście pozwolili się nam chronić.

– Chronić?

– Tak, zabrać was do komnat niżej, gdzie będziemy w stanie lepiej was bronić.

– Chcecie mnie ukryć? – spytał zirytowany Cholik. – W czasie, gdy mój kościół został zaatakowany, oczekujecie, że będę się krył jak tchórz?

– Przepraszam, Wskazujący Drogę, ale tak byłoby najbezpieczniej.

Słowa najemnika ciążyły Cholikowi. Swoim umysłem szukał Kabraxisa, ale nie mógł go znaleźć. Ta sytuacja irytowała go i przerażała. Choć kościół był wielki, nie miał się gdzie ukryć przed zabójcami.

– Nie – stwierdził Cholik. – Strzeże mnie miłość Dien–Ap–Stena. To będzie moja tarcza i pancerz.

– Oczywiście, Wskazujący Drogę. Przepraszam za zwątpienie.

– Wątpiący nie pozostają długo w łaskach Proroka Światłości, kapitanie. Radzę, byś o tym pamiętał.

– Oczywiście, Wskazujący Drogę.

Cholik wszedł po stopniach na balkon. Owiął go nocny wiatr, nie było jednak śladu po magicznym wichrze, o którym mówił Rhellik. Oczy Cholika spoczęły na płonącym statku unoszącym się na rzece.

Płomienie okrywały cały statek, skręcały się, tańczyły i wznosiły pod niebiosa. Ze szczytów masztów i takielunku unosiły się pomarańczowe i czerwone iskry, gasnące w samobójczym wyścigu do nieba. Chwilę później statek uderzył w jeden z okrętów stojących na kotwicy, trafiając go tuż za dziobem.

Chmura iskier i unoszących się w powietrzu fragmentów żagli opadła na kolejne statki, omijając te, które się zderzyły. Pochodnie i latarnie wskazywały na marynarzy biegnących, by ugasić statki. Przystań była tak zapakowana, że ogień miał szansę szybko się rozprzestrzenić, jeśli nikt temu nie zapobiegnie.

Cholik spojrział w górę rzeki i na brzegu, pod zniszczonym tarasem, zauważył strażników. Przyglądał się, jak mężczyźni wyskakują z łodzi i brodzą w wodzie. Otwór w kanale ściekowym zauważył dopiero wtedy, gdy oświetliły go ich pochodnie. – Są w kanałach ściekowych – powiedział Cholik. Rhellik pokiwał głową.

– Już posłałem gońca do moich ludzi, żeby ich tam przejęli. Mamy mapy systemu ściekowego. – Zacisnął ponuro usta. – Ochronimy cię, Wskazujący Drogę. Nie musicie się o to bać.

– Nie boję się – powiedział Cholik, odwracając się do dowódcy najemników. – Jestem wybrańcem Dien–Ap–Stena. Jestem Wskazującym Drogę na Drodze Marzeń, gdzie zdarzają się cuda. Ludzie, którzy wtargnęli do mojego kościoła, są już martwi, choć mogą jeszcze o tym nie wiedzieć. Jeśli nie zginą z rąk strażników lub moich, zginą z ręki Dien–Ap–Stena. Dien–Ap–Sten, choć hojny dla swoich wyznawców, potrafi być bezlitosny wobec tych, którzy się mu sprzeciwiają.

Strażnicy zaczęli wchodzić do pękniętego tunelu ściekowego. Światło latarni i pochodni sprawiało, że otwór błyszczał wiśniowo, jak zainfekowana rana.

– Przekaż swoim ludziom moje życzenie – powiedział Cholik. – Chcę, żeby szukali poparzonego mężczyzny, który zaatakował mnie miesiąc temu.

– Tak, Wskazujący Drogę. Mogę się tylko modlić, by żaden prawdziwy wierny z taką dolegliwością nie przybył tu dziś szukając uzdrowienia. Na niego będzie czekać jedynie śmierć.

Cholik spoglądał na czarną rzekę. Po obu jej stronach widział skupiska świateł. Inne światełka pędziły po mostach łączących północną i południową część miasta.

Gdy napastnicy zostaną pojmani, a Cholik miał powody, by sądzić, że tak się stanie, zostaną skazani na śmierć. Ich głowy zostaną nabite na piki przed

głównym wejściem do kościoła, a on powie, że tak rozkazał Dien–Ap–Sten, by pokazać wrogom kościoła Proroka Światłości, że prorok potrafi być też okrutny i nielitościwy. To wzmocni wiarę tych, którzy wierzyli i będzie wspaniałą historią, która przyciągnie więcej ludzi pragnących zobaczyć kościół i poznać religię.

Buyardzie Choliku.

Zaskoczony głosem demona w swojej głowie, Cholik zadrzał.

– Tak, Dien–Ap–Stenie.

Dowódca najemników gestem kazał swoim ludziom cofnąć się od Cholika, sam też zrobił dwa kroki do tyłu. Wierzchem dłoni z mieczem dotknął tatuażu, który umieszczono nad jego sercem, gdy przysięgł wierność kościołowi. Z jego ust spłynęła wyuczona na pamięć modlitwa do proroka, prosząca o bezpieczną i oświecającą podróż, aby wieści o mądrości i mocy Dien–Ap–Stena trafiały coraz dalej.

Wróć na modły, powiedział Kabraxis. Nie chcę, by coś w nich przeszkodziło. Nie chcę wyglądać na słabego i potrzebującego pomocy. Demon wydawał się znajdować bardzo daleko.

– Kto zaatakował kościół?

Taramis Volken i jego banda łowców demonów, powiedział Kabraxis.

Robak strachu wpełzł w serce Cholika. Choć nie rozmawiał z Kabraxisem o łowcy demonów, kiedyś o nim czytał. Taramis Volken od wielu lat był zagrożeniem dla demonów. Kiedy już usłyszał opowieści o nim i zgłębił trochę ksiąg, przypomniał sobie, że kiedyś czytał o nim w archiwach kościoła Zakarum. Taramis Volken uważany był za człowieka nieugiętego, który nigdy się nie podda. W ciągu ostatnich kilku tygodni łowca demonów potwierdził tę opinię. Po zdobyciu Gniewu Burzy, miecza Hauklina, drużyna znikła.

Tylko się ukryli, powiedział Kabraxis. Teraz znów są w moich rękach.

Zanim Cholik zdążył się powstrzymać, zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem nie znaleźli się w rękach Taramisa Volkena. W kościele Zakarum uczył się, że demony nie pojawiały się na świecie bez naruszenia równowagi między Światłością a Ciemnością. Taramis Volken kilka razy udowodnił, że jest wybrańcem Światłości.

Taramis Volken zginie w kanałach ściekowych, warknął Kabraxis w głowie Cholika. Zwątp we mnie, a zapłacisz, Buyardzie Choliku, choć jesteś moim wybrańcem. – Nie wątpię w ciebie, Dien–Ap–Stenie – powiedział Cholik. W takim razie ruszaj. A ja zajmę się Taramisem Volkenem.

– Jak sobie życzysz, mój proroku. – Cholik dotknął czoła w geście błogosławieństwa i odwrócił z furkotem szaty.

– Wskazujący Drogę – powiedział Rhellik, podnosząc wzrok – powrót do katedry może nie być najbezpieczniejszy.

– To najbezpieczniejsze miejsce – stwierdził Cholik – gdy idzie się tam z błogosławieństwem Dien–Ap–Stena. – A nie udanie się tam może być bardzo niebezpieczne. Ale od razu się poprawił, już w chwili, kiedy to pomyślał.

Teraz najbardziej niebezpiecznym miejscem były kanały ściekowe pod świątynią Proroka Światłości.

DWADZIEŚCIA TRZY



Machając bezwłosymi ogonami i kłapiąc ostrymi zębami, szczury rzuciły się w stronę Darricka, Taramisa Volkena i łowców demonów. Bładożółte światło latarni i pochodni ukazywało wyginające się ciała szczurów, które pędziły po półkach, nierównych ścianach i płynęły w mętnej wodzie kanału ściekowego zmieszanej z rzeczną wodą wpływającą przez pęknięcie w ścianie.

Przez chwilę żyły Darricka wypełniało lodowate przerażenie: wyobraził sobie, jak przykrywa go masa futrzastych ciał i wciąga pod wodę. Inni wojownicy przeklinali, wzywali Światłość i przyjmowali pozycje obronne.

Potężny Rhambal stał na ich czele. Jednym uderzeniem tarczy odbił tuzin skaczących szczurów. Uderzenia ich ciał o tarczę odbijały się echem od ścian tunelu.

– Stójcie! – nakazał swoim wojownikom Taramis. – Utrzymajcie je z dala ode mnie jeszcze przez chwilę.

Szczury zeskakiwały ze ścian, lądując na hełmach i opancerzonych ramionach wojowników. Ich pazury drapały pancerze i kolczugi, żądając krwi.

Darrick ostrym mieczem Hauklina przeciął jednego z ohydnych stworów od nosa do ogona. Krew szczura zalała go, oślepiając na jedno oko. Zanim obtarł twarz, wylądowały na nim trzy kolejne szczury, aż zatoczył się pod ich ciężarem. Zwierzęta natychmiast rzuciły się ku niemu, połyskując kłami w świetle pochodni. Przeklinając, Darrick zrzucił z siebie szczury. Te wpadły do wody i znikły by po chwili znów pojawić się na powierzchni.

Mimo wszelkich wysiłków, wojownicy cofali się przed naporem szczurów. W powietrzu migotały ostrza i młoty, niemal godząc w towarzyszy. Krew mieszała się z ciemnymi ściekami i białą pianą z rzecznej wody.

Prąd, który powstał z połączenia prądu rzecznej i napływających ścieków, niemal wyrzucił Darricka, który i tak z trudem utrzymywał równowagę na pokrytej błockiem podłodze. Machał mieczem, zadziwiony płynnością i łatwością, z jaką się poruszał. Martwe szczury i ich fragmenty przelatywały wokół niego, ale i tak wielu udało się go dosięgnąć. Ich kły przecinały mu ramiona i nogi tam, gdzie nie chroniła ich kolczuga.

Taramis wypisywał szybko w powietrzu magiczne symbole. Za jego palcami podążał zielony ogień, a ukończone symbole płonęły. Mędrzec kolejnym gestem posłał symbole do przodu.

Wybuchły w powietrzu kilka stóp dalej. Pojawiło się białe światło, które przebijało szczury i kładło trupem na miejscu, odrywając ciało od kości, aż pozostały tylko szkielety.

Przez chwilę Darrick myślał, że niebezpieczeństwo minęło. Ugryzienia piekły, ale żadne z nich nie było na tyle poważne, żeby go spowolnić. Niebezpieczne mogły okazać się infekcje, gdyby udało im się wydostać z kościoła.

– Taramis – powiedział Palat, podtrzymując jednego z wojowników i przyciskając rękę do jego szyi. – Jeden ze szczurów ugryzł Clavyna w gardło i przerwał tętnicę. Jeśli nie powstrzymamy krwawienia, umrze.

Taramis podszedł do wojownika i potrząsnął głową.

– Nic nie mogę zrobić – wyszeptał chrapliwie. Nie udało im się znaleźć po drodze eliksirów leczących, a i tak nie mieli pieniędzy, by je kupić.

Twarz Palata zamarła, a krew nadal płynęła między jego palcami.

– Nie pozwolę mu umrzeć, do diaska – powiedział siwy wojownik. – Nie zaszedłem tak daleko, żeby patrzeć, jak umierają moi przyjaciele.

Potrząsając głową, Taramis powiedział:

– Nic nie możesz zrobić.

Mimo wybudowanych przez siebie barier, Darrick uczuł przerażenie. Gdyby Clavyn umarł szybko, musieliby zostawić tu jego ciało – dla szczurów. A gdyby umierał powoli, musiałby umierać sam, bo nie mogli razem z nim zostać.

Od chwili wejścia do tunelu Darrick powrócił do bezpiecznego miejsca, które stworzył, by znosić bicie ojca i jego ostre słowa. Nie pozwolił, by dotknęła go śmierć Clavyna.

Me, wyszeptał Mat. On nie musi umrzeć, Darrick. Użyj miecza. Użyj miecza Hauklina.

– Jak? – spytał Darrick. Jego słowa były głośniejsze od odgłosów fal odbijających się od ścian tunelu.

Rękojeść, odrzekł Mat. Musisz przycisnąć rękojeść do ciała Clavyna.

Darrick ruszył do przodu, gdyż nie chciał widzieć, jak ktoś umiera tak paskudną śmiercią. Gdy to robił, ostrze miecza znów zapłonęło błękitem.

Palat zrobił krok do przodu, stając między Darrickiem i rannym wojownikiem.

– Nie – powiedział. – Nie pozwolę, byś zakończył jego życie. – Nie chcę go zabić – powiedział Darrick. – Spróbuję go uratować. Wielki wojownik nadal się nie ruszył.

W tym momencie Darrick uświadomił sobie, że nigdy nie był jednym z nich i nigdy nie będzie. Podróżowali razem, razem jedli i walczyli, ale był inny od nich. Wiązała go z nimi tylko umiejętność posługiwania się mieczem Hauklina. Poczł gniew.

Darrick, powiedział Mat. Nie poddawaj się temu. Nie jesteś sam.

Ale Darrick wiedział, że to nie prawda. Był sam przez całe życie. W końcu nawet Mat go opuścił.

Nie, sprzeciwił się Mat. To, co czujesz, nie jest prawdą, Darrick. To demon. To Kabraxis. Jest tu z nami. Nawet teraz wojownicy zbliżają się, by przejść waszą grupę. Ale myśli Kabraxisa mieszają się z twoimi. Próbuje utrzymać go z dala od ciebie, ale on poznaje twoje słabości. Nie pozwól, by demon skłócił cię z tymi ludźmi. Oni cię potrzebują.

Darrick poczuł, jak między jego skroniami rodzi się paskudny ból głowy, a potem zaczyna pulsować tak, że niemal opadł na kolana w zimną wodę. Przed oczami miał mroczki.

Użyj miecza, Darrick, nalegał Mat. On może uratować was wszystkich.

– Co mogę zrobić? – spytał Darrick. Uwierz, odrzekł Mat.

Darrick próbował odnaleźć klucz, by magia zadziałała. Byłoby lepiej, gdyby istniało jakieś magiczne słowo, czy coś w tym rodzaju. Pamiętał tylko, jak miecz działał w domu Elliga Barrowsa i co wtedy czuł, i jak miecz się zachowywał, gdy oświetlił brzeg, pokazując tunel, do którego przed chwilą weszli. Darrick wiedział, że nie była to kwestia wiary, ale coś, co na pewno było prawdziwe.

Miecz zadrżał i znów zapłonął na niebiesko. Tunel wypełniło łagodne ciepło, ogrzewające ciało i kości Darricka, zabrzmiało też delikatne brzęczenie. W otępiłym zadziwieniu patrzył, jak spomiędzy palców Palata przestaje płynąć krew.

Palat z wahaniem zdjął rękę z szyi Clavyna, ukazując poszarpaną ranę. Gdy wszyscy przyglądali się, rana zarosła i pozostała po niej tylko mała blizna.

Brzęczenie i ciepło nie ustawały, a Darrick patrzył, jak odniesione przez niego obrażenia goiły się, włączając w to ranę na żebrach od kuszy, którą

odniósł wcześniej. W mniej niż minutę wszyscy wojownicy zostali uzdrowieni.

– Błogosławieństwo Światłości – powiedział Rhambal z dziecinnym uśmiechem na twarzy. – Zostaliśmy pobłogosławieni przez Światłość.

– Albo uratowani, żeby zginąć później – warknął Palat – jeśli tak tu będziesz stał i kłapał paszczą.

Darrick poszukał Mata, pragnąc usłyszeć jego głos.

Bądź silny, powiedział Mat. Najgorsze dopiero przed wami. To tylko cisza przed burzą. – Niech to! – zaklął Palat, wskazując na drogę, którą przyszli. – Strażnicy prawie nas dopadli! Czując szum we wciąż obolałej głowie, Darrick odwrócił się i spojrzał w tunel.

Ciemność za nimi wypełniało migotanie, dowód na to, że pojawiła się załoga statku strażników. Ich nadejście ogłaszał wszem i wobec chlupot.

– Naprzód – nakazał Taramis, unosząc latarnię i ruszając dalej tunelem.

Drużyna ruszyła do przodu, walcząc z wodą i śliskim dnem. Ciemność przed nimi ustępowała przed światłem pochodni i latarni. Kilka szczurów z piskiem przemykało w cieniach, ale żaden nie miał zamiaru zaatakować.

Coś uderzyło Darricka w bok, przyciągając jego uwagę. Spojrzał w dół, ledwo zauważając krótki kawałek kości, która przesuwała się pod wodą. Z początku myślał, że to jakaś istota o twardym szkielecie zewnętrznym, ale potem rozpoznał kość udową szczura, jednego z zabitych zaklęciem Taramisa.

– Patrzcie! – zawołał Rhambal, wyciągając rękę i wyjmując z wody małą szczurzą czaszkę. – To są szczurze kości.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, czaszka wyskoczyła mu z dłoni i uderzyła w twarz, zmuszając do cofnięcia się. Próbował ją trafić pancerną rękawicą, ale już wpadła z powrotem do wody i znikła.

– Czekaście – powiedział Taramis. Wziął latarnię od jednego z wojowników i uniósł ją. Światło odeгнаło ciemność, odbijając się od spienionej wody.

Światło latarni ukazało setki kości poruszających się w wodzie, migoczących zielonkawą bielą.

– To robota demona – warknął Palat. – On wie, że tu jesteśmy. Chwilę potem z wody wynu rżyła się przerażająca postać.

Wojownicy stojący najbliżej cofnęli się.

Zbudowany ze szcurzych kości stwór miał osiem stóp wysokości i był przysadzisty jak mała. Stał na krzywych nogach, ledwo widocznych w mętnej wodzie. Zamiast dwóch zwykłych rąk, istota miała ich cztery, a wszystkie dłuższe niż nogi. Gdy zacisnęła dłonie, wyrosły z nich rogi zbudowane z żeber i zębów szcurów, zmieniające pięści w morgensztemy. Rogi te miały ostre krawędzie, mogły służyć nie tylko do klucia, ale i do cięcia. Demoniczna twarz stwora złożona była z małych kostek i poszarpanych odłamków.

– To kościany golem – powiedział Taramis. – Wasza broń na nic się nie przyda.

Usta golema, zbudowane z ciasno splecionych kawałków kości, wyszczerzyły się i otworzyły. Zabrzmiało głucho wycie przypominające ryk północnego wiatru na cmentarzu.

– Przygotujcie się na śmierć, głupcy!

Taramis machnął wolną ręką, rysując magiczny symbol. Natychmiast zmienił się on w kulę ognia wielkości dyni, która uderzyła w niesamowitą istotę.

Uderzając golema w pierś, kula ognia przewróciła go na chwilę do tyłu. Płomienie otoczyły demonicznego stwora, przedostając się przez otwory między kośćmi, aż wydawał się płonąć również od środka. Wokół

kościanego pomiotu demona pojawiła się chmura pary, ale poza tym nie wydawało się, by na tym ucierpiał.

Otwierając znów usta, golem zawył, tym razem wypluwając płomień. Zawodzenie odbijało się echem od ścian tunelu, tak głośne, że aż ogłuszające. Kilku wojowników zatkało uszy rękami. Usta mieli otwarte, jakby krzyczeli.

Darrick nie słyszał ich krzyków, gdyż zagłuszał je mrozący krew w żyłach ryk. Usłyszał jednak głos Mata.

To należy do ciebie, Darrick, powiedział Mat spokojnie. Kościany golem zabije ich, jeśli będzie miał okazję. Tylko zaczarowany miecz Hauklina może go zniszczyć.

– Nie jestem bohaterem – wyszeptał Darrick, patrząc na stwora.

Może nie, powiedział Mat, ale nie macie gdzie uciec.

Oglądając się przez ramię, Darrick zobaczył zbliżających się strażników świątynnych wypełniających tunel za nimi. Ucieczka oznaczała nieuniknioną bitwę ze strażnikami i zapowiedź kolejnych, czekających w porcie.

Wojownicy za Darrikiem cofali się, najwyraźniej woląc walkę z ludzkim przeciwnikiem. Darrick patrzył na istotę, opanowując swój strach. Jedyna droga wyjścia prowadziła przez golema.

Zrobił krok do przodu i przyjął pozycję obronną, gdy potwór się przybliżał. Jedna z kolczastych pięści uderzyła prosto w niego. Darrick uchylił się przed ciosem, ustawił się i ciął w górę.

Chwytną ramię golema krawędzią ostrza, Darrick próbował przeciąć staw łokciowy. Pomylił się jednak o kilka cali i ostrze zsunęło się po ramieniu stwora.

Bardziej wyczuwając ruch przeciwnika, niż go widząc, Darrick uskoczył do tyłu, ledwo unikając pięści, wymierzonej w jego głowę. Wystające z niej

kostne ostrza przecięły jego skórzany płaszcz i plusnęły w sięgającą do pasa wodę.

Nim golem cofnął rękę, Darrick machnął zaklętym ostrzem. Tym razem miecz przebił ramię, rozbijając je na tysiące kostnych odłamków. Golem próbował uderzyć Darricka pięścią w twarz. Gdyby ten cios dotarł do celu, zerwał by mężczyźnie twarz z czaszki.

Darrick rozpaczliwie rzucił się do tyłu. Ostre krawędzie kości znów trafiły w jego pierś, przecinając nie tylko skórę, ale również ciało. Darrick poczuł, jak wypełnia go strach, niemal pozbawiając nadziei na zwycięstwo, ale miecz Hauklina pewnie leżał mu w rękach. Sparował kolejny cios golema, odpychając wielką pięść, po czym zrobił krok do tyłu. Impet istoty sprawił, że zgięła się w pół.

Darrick obrócił się i ciął w klatkę piersiową stwora, tuż pod kikutem dolnego lewego ramienia. Odłamki kości poleciały we wszystkie strony, ale istota pozostała cała.

Wciąż pozostając w ruchu i jakimś sposobem utrzymując równowagę na śliskim podłożu, Darrick odskoczył w tył, tnąc i parując mieczem Hauklina. Czerwień splamiła jego ubranie. Podczas cofania potknął się i przewrócił.

Kościany golem zaraz znalazł się przy Darricku, celując w jego twarz.

Na drodze stanął mu Rhambal, blokując cios swoją tarczą. Ostre jak brzytwa kolce wbiły się w nią zaledwie stopę od twarzy Darricka. Podnosząc się, mężczyzna zobaczył, jak kolce przebijają tarczę Rhambala i ramię, które ją trzymało. Gdy golem uwolnił pięść, popłynęła krew.



Rhambal, wyraźnie cierpiąc, zrobił krok do tyłu, zatoczył się i opadł na kolana, przyciskając do siebie ranne ramię, odsłaniając jednocześnie głowę.

Darrick uczył poczucie winy, bardziej bolesne niż rany na piersi. To moja wina, powiedział sobie. Gdybym nie uwolnił miecza Hauklina, nigdy by tu nie przyszli.

Nie, powiedział Mat. Przyszliby Darrick. Nawet bez ciebie i tego miecza. To wszystko przez demona w tobie. To on wkłada ci te myśli do głowy. Wypełnia cię złymi myślami i osłabia. Tu wszystko zależy od ciebie, dlatego powróciłem. Teraz ruszaj się!

Golem nie marnował czasu. Ustawił się i zaatakował nową ofiarę, która leżała przed nim. Chwytny miecz w obie ręce, Darrick zrobił krok do przodu i zamachnął się. Tam, gdzie ostrze trafiło na ramię golenia, pękły kości.

Rycząc z wściekłości, golem znów zwrócił uwagę na Darricka, machając dwoma pozostałymi ramionami. Darrick sparował jeden cios, a drugiego uniknął, wyskakując w powietrze i przeskakując nad ramieniem stwora.

Taramis i Palat rzucili się do przodu, wzięli Rhambala pod ramiona i odciągnęli od golema.

Darrick wylądował pewnie, zablokował kolejny cios, czując jak nadgarstki i ramiona drżą od uderzenia. Prawie wypuścił z rąk miecz. Pobiegł w stronę ściany po lewej, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, golem go dopadnie. Rzucił się w powietrze i uderzył ścianę nogami. Pod wpływem uderzenia z butów wyleciała woda.

Jesteś dla mnie przekleństwem, chłopcze, zabrzmiał w jego głowie głos ojca. Wstydem. Na Światłość, nienawidzę tej twojej paskudnej mordy. Nigdy nie miałem takiej twarzy. I te ryże włosy, u mnie w rodzinie takich nie było. W rodzinie twojej matki też nie, zapewniam cię.

Słowa wypełniały umysł Darricka, dekoncentrując go, gdy amortyzował uderzenie o ścianę podkurczając kolana i pochylając się do przodu.

Nie słuchaj go, powiedział Mat. To tylko ten przekleŧy demon do ciebie mówi. Szuka twoich słabych punktów, ot co. A twoje osobiste sprawy to nie jego interes.

Ale Darrick wiedział, że słowa te pochodzą nie tylko od demona. Pochodziły z małej stodoły na tyłach sklepu rzeźnika, z lat maltretowania i zimnej nienawiści, której jako dziecko nie rozumiał. Nawet jako młodzieniec Darrick nie potrafił się bronić przed ostrymi słowami ojca. Ojciec może i pojął, by nie brać się tak szybko do bicia, gdy Darrick zaczął mu odpowiadać tym samym, ale chłopak nigdy nie nauczył się, jak bronić się przez słownymi atakami i zaniedbywaniem przez matkę.

Darrick wpadł na ścianę, przycisnął się do niej, po czym grawitacja zaczęła go ściągać do wypełnionego wodą tunelu. Kątem oka widział, jak golem przygotowuje kolejny cios. Zanim pięść dotarła do ściany tunelu, na której wylądował, Darrick odepchnął się jedną ręką – w drugiej ścisnął miecz Hauklina – i wyskoczył w stronę tunelu za przeciwnikiem.

Pięść golema wbiła się w ścianę, rozbijając kamienie i wykruszając zaprawę, która je spajała.

Darrick wygonił słowa ojca ze swojego umysłu, uspokoił drżącą dłoń i przygotował się, wciągając śmierdzące powietrze w płuca. Chwyając magiczne ostrze obiema rękami i obserwując odwracającego się golema, Darrick zobaczył Taramisa i innych wojowników. Za nimi strażnicy świątynni czekali na okazję. Kuszniczy strzelali, ale bełty wbijały się w tarcze tylnej straży łowców demonów.

Zrób to! ryknął Mat w głowie Darricka.

Miecz znów zapłonął na niebiesko, prawdziwym zimnym błękitem morza, które zaraz zmieni się w czerń głębin. Darrick zamachnął się z całej siły. Poczł, jak broń przebija klatkę piersiową demona i grzęźnie w jego kręgosłupie.

Kościany golem zawył z bólu, ale w makabrycznym głosie była też nutka śmiechu.

– Teraz zginiesz, mrówko.

– Nie – powiedział Darrick, czując jak moc przepływa po mieczu. – Wracaj do piekła, de monie.

Niesamowite błękitne płomienie spłynęły po ostrzu i otoczyły kręgosłup stwora, który już zamierzał się na Darricka. Ogień wzmagął się, otaczając golema i wypalając magię, która połączyła szkielety szczurów. Płonące kości wpadały do ścieków, sycząc, gdy dotknęły wody.

Na moment wszyscy – włączając w to Darricka – zamarli w zadziwieniu. Uciekaj! ryknął Mat.

Darrick odwrócił się i zaczął biec, unosząc kolana ponad wodę. Miecz nadal świecił, odpędzając cienie wypełniające tunel. Taramis i łowcy demonów ruszyli za Darrickiem.

Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej tunel kończył się rozgałęzieniem w kształcie litery T. Miecz bez wahania pociągnął Darricka w prawo. Biegł dalej, cały mokry od potu i wypełniającej tunel pary. Oddech palił go w gardle. Darrick był przekonany, że wsiąka w niego odór tego miejsca.

Kawałek dalej tunel nagle się zakończył. Blask miecza oświetlał stertę gruzu blokującą przejście. Widocznie kiedyś, w przeszłości część tunelu zawaliła się. Po śmieciach, ukryte w cieniach i wśród popękanych kamieni łążyły szczury. Całe setki wspinały się po głazach.

Nad nimi znajdowała się zaokrąglona kopuła osypującej się ziemi. Nie podtrzymywana przez kamienie, ziemia przez lata zapadła się do środka, ale nie opadła do końca. Nie wiedzieli, ile stóp ziemi i kamienia dzieli tunel od powierzchni.

– Tunel bez wyjścia – warknął Palat. – Ten przeklęty miecz tym razem nas oszukał, Taramis. Strażnicy dopadną nas za chwilę, a my nie mamy

gdzie uciec.

Taramis odwrócił się do Darricka.

– Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem – przyznał Darrick.

DWADZIEŚCIA CZTERY



Darrick słyszał coraz głośniejszy chłupot, gdy zbliżali się do nich strażnicy świątynni. Przynajmniej w tej części tunelu woda sięgała kilka cali poniżej kolan, a prąd był słaby.

Darrick czuł się zdradzony. Głos, który według niego należał do Mata, był tylko jeszcze jednym oszustwem demona. Patrząc na miecz wiedział, że był on tylko przynętą w wymyślnej pułapce.

Nie, powiedział Mat. Tutaj właśnie masz być. Wytrwaj tylko, a wszystkiego się dowiesz.

– Co? – spytał ostro Darrick.

Taramis i inni wojownicy odwrócili się do niego i zaczęli go obserwować, a chłupot strażników świątynnych zbliżał się coraz bardziej.

Tej nocy w jaskini, gdy Kabraxis wszedł do naszego świata, było nas trzech, odrzekł Mat. Magia, którą uwolnił Buyard Cholik, otwierając drzwi do Piekieł, naznaczyła nas wszystkich. Te wątpliwości w twojej głowie, to tylko Kabraxis wykorzystujący twoje obawy. Po prostu trzymaj się kursu.

– Trzech? – powtórzył Darrick. – Nie było nas trzech. – Chyba żeby wliczyć w to Buyarda Cholika.

Był jeszcze jeden, upierał się Mat. Tej nocy wszyscy coś straciliśmy, Darrick, a teraz musimy stanąć razem, by to odzyskać. Demony, wychodząc na świat, zawsze sieją nasiona swojego zniszczenia. To ludzie muszą się domyśleć, co nimi jest. Ja? Ja byłem zagubiony przez długi czas, aż w końcu ty odnalazłeś miecz Hauklina, a ja powróciłem do siebie i ciebie.

Darrick potrząsnął głową, wątpiąc w to wszystko.

Jesteś bezwartościowy, chłopcze, mówił głos jego ojca. Nie wart nawet wysiłku, by cię zabić. Może po prostu poczekam, aż trochę podrośniesz, będziesz miał trochę mięsa na tych kościach, a wtedy cię sprawię i powiem ludziom, że uciekłeś.

Darrick zadrżał od starego strachu. Wydawało mu się, że w cieniach widzi twarz ojca.

– Darrick! – zawołał Taramis.

Choć Darrick dobrze słyszał mężczyznę, nie był w stanie odpowiedzieć. Został uwięziony we wspomnieniach i starym przerażeniu. Smród stodoły za sklepem rzeźnika wypełniał mu nozdrza, a mężczyźni przed nim i tunel ściekowy wydawały się nierealne.

Przestań, Darrick! zawołał Mat. Uważaj, do diabła! W ten sposób Kabraxis ma nad tobą kontrolę. Jeśli chodzi o mnie, to przez tego przekłętą demona zatraciłem się wśród duchów i pewnie jeszcze bym tam był, gdybyś nie znalazł miecza Hauklina.

Darrick zacisnął miecz w pięści, ale oskarżał go o to, że wprowadził ich w ślepy zaułek. Może i Mat uważał, że miecz był potężnym talizmanem, który pozwalał iść z podniesionym czołem przeciwko demonom, ale Darrick nie. Była to przeklęta rzecz, podobnie jak inne, o których mówił. Palat miał kiedyś przeklętą broń – wiedział, o czym mówi, kiedy nie podobał mu się miecz Hauklina.

To demon, Darricku, powiedział Mat. Bądź silny.

– Nie mogę – wyszeptał głucho Darrick. Przyglądał się światłom pochodni na drugim końcu kanału, gdzie zbierali się strażnicy.

– Nie możesz czego? – spytał Taramis.

– Nie mogę uwierzyć – odparł Darrick. Przez całe życie szkolił się w niewierze. Nie wierzył, że ojciec go nienawidzi. Nie wierzył, że był bity z

winy ojca. Wyrobił w sobie wiarę, że życie to ciąg dni w sklepie rzeźnika, a dobry dzień to taki, kiedy ojciec niczego mu nie połamał.

Ale uciekłeś od tego, wyszeptał Mat. – Uciekałem – wyszeptał Darrick – ale nie mogłem uciec przed swoim przeznaczeniem. Uciekłeś.

– Nie – odpowiedział Darrick, spoglądając na strażników.

– Czekają – powiedział Palat. – Zauważyli, że jest nas zbyt wielu, aby obeszło się bez pa ru trupów po ich stronie. Zamierzają poczekać, ściągnąć więcej łuczników i powystrzelać nas jak kaczki.

Taramis podszedł do Darricka.

– Wszystko w porządku?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wypełniała go bezradność, a on starał się ją odepchnąć. Uczucie gniotło mu pierś i ramiona, utrudniało oddychanie. Przez ostatni rok zepchnął całe życie na dno butelki, utopił w cienkim winie, którym upijał się w każdej tawernie, do której trafił. Potem popełnił błąd, starając się wytrzeźwieć i uwierzyć, że w jego życiu było coś więcej niż tylko bezradność.

Coś więcej, niż pech i uczucie bycia niechcianym, które prześladowało go przez całe życie.

Jesteś bezwartościowy, syknął głos jego ojca.

Po cóż się uratował? Aby umrzeć w kanałach jak szczur? Darrick nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Darrick, zawołał Mat. – Nie, Mat – odpowiedział Darrick. – Zaszedłem dość daleko. Pora to zakończyć. Taramis podszedł bliżej, unosząc latarnię tak, aby oświetlić mu twarz. – Darrick? – Przyszliśmy tu, aby umrzeć – powiedział Darrick, odpowiadając zarówno Taramisowi i Matowi.

– Nie przyszliśmy tu, aby umrzeć – odparł Taramis. – Przybyliśmy tu, aby zdemaskować demona. Kiedy czczący go ludzie zobaczą, kim jest

naprawdę, odwrócić się od niego i będą wolni. Darrick czuł się tak źle, że słowa mędrca z trudem do niego docierały. To demon, powiedział Mat.

– Mówisz do swojego przyjaciela? – spytał Taramis.

– Mat nie żyje – odparł Darrick ochrypłym szeptem. – Widziałem, jak umiera. Pozwoliłem go zabić.

– Czy jest tu z nami? – spytał Taramis.

Darrick potrząsnął przecząco głową, ale wydawało mu się to tak odległe, jakby ciało należało do kogo innego.

– Nie. Nie żyje.

– Ale rozmawia z tobą – powiedział mędrzec.

– To kłamstwo – odparł Darrick.

To nie kłamstwo, ty skończony durniu] wybuchnął Mat. Niech cię, tytępaku. Zawsze najtrudniej było cię przekonać do czegoś, czego nie widziałeś i nie mogłeś dotknąć. Jeśli teraz mnie nie posłuchasz, Darricku Lang, odejdę na zawsze drogą duchów. Nigdy nie zaznam spokoju. Czy chcesz, aby to mnie spotkało?

– Nie – odpowiedział Darrick.

– Co mówi? – spytał Taramis. – Czy dotarliśmy na miejsce?

– To sztuczka – odparł Darrick. – Mat twierdzi, że demon siedzi w mojej głowie i próbuje mnie osłabić. Mówi, że nie jest demonem.

– Wierzysz mu? – pytał Taramis.

– Wierzę, że w mojej głowie siedzi demon – odparł Darrick. – W jakiś sposób zdradziłem was wszystkich, Taramisie. Przepraszam.

– Nie – powiedział Taramis. – Miecz jest prawdziwy. Przyszedł do ciebie. – To była sztuczka demona. Mędrzec potrząsnął głową.

– Żaden demon, nawet Kabraxis, nie mógłby mieć władzy nad mieczem Hauklina.

Ale Darrick pamiętał, jak tam, w ukrytym grobowcu, miecz stawiał mu opór.

Ten miecz nie mógł zostać wyciągnięty tak od razu, powiedział Mat. Nie mógł. Musiał poczekać na mnie. Widzisz, on wybrał nas obu. Dlatego włóczyłem się jak potępiona dusza, ani tu, ani tam. Takie jest moje miejsce. A teraz zbliża się ten trzeci, mówię ci. – Zbliża się ten trzeci – powtórzył bezmyślnie Darrick. Taramis przyjrzał się mu, zbliżając latarnię do jego oczu.

Mimo irytacji, że ktoś świeci mu po oczach, Darrick czuł, iż nie może się ruszyć.

Nie jesteś moim synem, ryczał ojciec w jego głowie. Ludzie patrzą na ciebie i wcale by mnie nie winili, gdybym zabił twoją matkę. Ale ona rzuciła na mnie urok. Nie mogę nawet podnieść na nią ręki.

Policzek Darricka zapiekł boleśnie, ale był to ból z przeszłości, nie coś teraźniejszego. Chłopiec, którym był, wylądował na stercie pokrytego gnojem siana. Ojciec zbliżył się i zbił go, przez co Darrick przeleżał kilka dni w stajni, z gorączką i połamaną ręką. – Czemu wtedy nie umarłem? – spytał. Wszystko byłoby prostsze, znacznie prostsze. Mat żyłby dalej, mieszkał w Hillsfar wraz z rodziną.

Uznałem, że nie ma co tam siedzieć, powiedział Mat. Woląłem odejść z moim przyjacielem. A gdybyś ty nie dał mi powodu do opuszczenia Hillsfar, opuściłbym je sam. To nie było ciekawe miejsce dla kogoś takiego jak ty czyja. Mój tato wiedział o tym, tak samo jak o tym, że cię odwiedzam.

– Zabiłem cię – powiedział Darrick.

A gdyby nie ty jak sądzisz, ile razy byłbym już do tej pory martwy, zanim to wszystko skończyło się w Porcie Tauruka?

Darrick znów zobaczył Mata uderzającego o ścianę klifu ze szkieletem, przyssanym do niego niczym pijawka.

Ile razy kapitanowie, pod którymi służyliśmy, powtarzali nam, że życie marynarza Zachodniej Marchii jest nic nie warte? Ciężka harówka, słabe pieniądze i krótkie życie, co w większości przypadków się sprawdzało. Jedyne, co sprawiało, że to życie w ogóle miało sens, to towarzysze z załogi i te kilka dziewczek z tawerny, które na twój widok przewracały oczami, jakbyś był wielkim bohaterem.

Darrick pamiętał te słowa i tamte czasy. Mat był w tym najlepszy, zawsze zabierał najładniejsze panienki i miał najwięcej przyjaciół.

/ będę wiedział, że nadal mam szczęście, powiedział Mat, jeśli uda mi się skończyć to, co do mnie należy. Unieś miecz, Darrick, i bądź gotów. Nadchodzi trzeci człowiek.

Darricka opuściła część złego samopoczucia. Dopiero wtedy zorientował się, że Taramis chwycił go obiema rękami za koszulę i potrząsa nim.

– Darrick – powtarzał mędrzec. – Darrick.

– Słyszę cię. – Darrick usłyszał jak strzały uderzają o metalowe tarcze, które podnieśli inni wojownicy. Najwyraźniej straż świątynna nabrała odwagi i postanowiła usunąć kilku z nich. Póki co, wojownicy byli w stanie trzymać tarcze na zakładkę, tak aby żaden pocisk się nie przeniknął.

– Jaki trzeci człowiek? – dopytywał się Taramis.

– Nie wiem.

– Czy jest stąd jakieś wyjście?

– Nie wiem. Na twarzy mędrca pojawiła się desperacja.

– Użyj miecza. – Nie wiem, jak. Czekamy, powiedział Mat.

– Czekamy – powtórzył bezmyślnie Darrick. Tak bardzo zwinął się wewnątrz siebie, że nic nie miało już znaczenia. Głos jego ojca ucichł i znikł gdzieś w tle. Być może Mat znalazł jakiś sposób, aby utrzymać go w

ciszy, ale gdyby w to uwierzył, musiałby uznać, że Mat nie jest demonem, a Darrick był niemal pewien, że demon w jego głowie mówił też głosem Mata. – Nadchodzą kolejni strażnicy – oznajmił Palat. Nagle, bez ostrzeżenia, kamień szurnął o kamień.

Taramis spojrział nad ramieniem Darricka.

– Patrz – powiedział mędrzec. – Być może twój przyjaciel miał rację.

Darrick odwrócił się powoli i dostrzegł prostokątny otwór w suficie kanału, nad stertą gruzu. Przyjrzał się temu bliżej i zauważył, że nie były to otwarte drzwi, a raczej duży kawał kamienia, który został wyjęty i odrzucony. Gruz i wodę rozjaśniło światło.

W otworze pojawiła się głowa jakiegoś mężczyzny.

– Darricku Lang! – zawołał.

Taramis uniósł latarnię i oświetlił człowieka. Patrząc na te spalone resztki twarzy, Darrick nie mógł uwierzyć, że nadeszła pomoc.

– Darricku Lang! – zawołał ponownie spalony mężczyzna.

– Zna cię – powiedział cicho Taramis. – Kto to?

– Nie wiem – odparł Darrick, nie mogąc rozpoznać rysów twarzy wśród skaczących światła i cieni.

Znasz go, powiedział Mat. To kapitan Raithen. Ten od piratów z Portu Tauruka. Walczyłeś z nim na pokładzie pirackiego okrętu.

Zaskoczony, w jakiś sposób świadom, że Mat mówił prawdę, Darrick rozpoznał mężczyznę.

– Ale on nie żyje.

– Wygląda, jakby nie żył – zgodził się cicho Taramis – ale daje nam możliwość ucieczki przed pewną śmiercią. Na pewno jest mistrzem ucieczek.

– Tędy – powiedział Raithen. – Pospieszcie się, jeśli chcecie żyć. Ten przeklęty demon wysłał za wami więcej ludzi, a skoro zobaczyli, jak to

otwieram, sprawdzi na mapach i szybko zorientują się, jak się tu dostałem.

– Chodźmy – powiedział Taramis, biorąc Darricka pod ramię.

– To jakaś sztuczka – opierał się mężczyzna.

Me, powiedział Mat. Nasza trójka jest złączona. Złączona w tym przedsięwzięciu.

– Jeśli tu zostaniemy, zginiemy jak ryby w beczce – powiedział Taramis. Zmusił Darricka, aby ten, choć niechętnie, poszedł za nim. Kiedy podeszli do sterty śmieci, szczury rozbiegły się na wszystkie strony. Strzały uderzały w kamienie i czasem w zwierzęta, ale na szczęście wojownicy nie byli nawet draśnięci. Raithen wyciągnął rękę w stronę Darricka.

– Daj mi miecz – powiedział kapitan piratów. – Pomogę ci się wspiąć.



Zanim Darrick zdołał przesunąć miecz, kapitan chwycił go. Kiedy tylko jego palce dotknęły rękojeści, zasyczały Raithen krzyknął i cofnął dłoń. Cofał się do tunelu nad kanałem, a z jego palców unosił się dym. Zaklął i wyrwał jeszcze dwa kamienie, aby łowcom demonów było łatwiej wyjść.

Pierwszy przeszedł Taramis, wspinając się do mniejszego tunelu nad nimi. Darrick szedł bezmyślnie za nim, uważając na zaklęty miecz.

Przedstawivszy się, Taramis wyciągnął rękę. Kapitan piratów odsunął się i nie podał swojej. Jego wzrok skupił się na Darricku.

– Czy twój martwy przyjaciel kontaktował się z tobą? – spytał.

Darrick spoglądał na niego i nie mógł odpowiedzieć. Jedyne, do czego byłby zdolny, to do wbicia miecza Hauklina wprost w serce kapitana.

Usta Raithena rozciągnęły się w zimnym uśmiechu. Popalone ciało pękło w kilku miejscach, usta zalała krew.

– Nie musisz odpowiadać – powiedział. – Gdyby nie twój wtrącający się druh, nie byłoby cię tutaj.

Wtrącający się druh, tak?, spytał Mat. Gdybym tylko mógł dostać cię w swoje ręce albo wziąć w nie kowal ostrej stali, obciąłbym ci za to łeb, parszywy kundlu.

– Jak widzę, wciąż z nami jest – stwierdził Raithen.

– Słyszysz go? – spytał zdziwiony Darrick.

– Kiedy jest blisko, pewnie. Ciągłe terkocze. Dziękuję Światłości, że musiałem go słuchać tylko przez ostatnie parę tygodni. – Raithen spojrział na trzymany przez Darricka miecz. – Mówił mi, że niesiesz potężny miecz Hauklina. To on?

– Ano – odrzekł Darrick.

Inni wojownicy weszli do małego tunelu i kręcili się wokół. Taramis cicho wydał rozkazy, ustawiając ich po obu stronach otworu na dnie nowego korytarza.

– I on zabije Kabraxisa? – spytał ostro Raithen.

– Tak mi mówiono – odrzekł Darrick. – Albo przynajmniej wygna demona z powrotem do piekieł.

Splunąwszy krwią na podłogę, Raithen stwierdził:

– Ja wolałbym, żebyśmy go wypatroszyli i rzucili na pożarcie rekinom, a potem patrzyli, jak zżerają po kawałku.

– Nadchodzą strażnicy świątynni – powiedział Palat. – Lepiej ruszajmy.

– Biec tym tunelem z nimi za plecami? – spytał Raithen. Wyszczерzył się, a krwawa piana na wargach sprawiała, że wyglądał na szalonego.

Bo jest szalony, powiedział Mat. To, co zrobił Kabraxis, niemal odebrało mu rozum.

– Co tu robisz? – spytał Darrick Raithena.

Kapitan piratów uśmiechnął się, a więcej krwi splamiło jego wargi.

– To samo co ty, tak sędzę. Chcę uwolnić się od demona. Choć po tym, jak usłyszałem o śmierci twojego przyjaciela i pamiętając, co przytrafiło się mnie, muszę przyznać, że z tobą obszedł się najłagodniej.

Darrick nic nie powiedział.

W kanale pod nimi rozległ się chłopot. – Strażnicy świątynni nie będą czekać, aż skończycie pogaduszki – odezwał się Palat. Raithen zrobił krok do tyłu i ze ściany przy otworze wyjął baryłkę. Gdy ją wyciągał, popękała mu skóra rękach. Krew plamiła baryłkę, a Darrick i Palat pomogli mu, popychając naczynie w stronę otworu. Kapitan piratów zerwał wieko, ukazując ciemny tłuszcz.

– Lejcie – rozkazał.

Razem wylali zawartość baryłki na kamienie i wodę pod nimi. Szczury uciekały przed ciemnym płynem, a strażnicy ostrożnie trwali na swoich pozycjach.

Przez otwór wleciały dwa bełty. Jeden wbił się w bok baryłki, a drugi przebił prawą łydkę Raithena. Przeklinając, Raithen wyjął pochodnię z uchwytu na ścianie i wrzucił przez otwór, na stertę gruzu.

Wyglądając ostrożnie przez dziurę, Darrick zobaczył, jak tłuszcz zapalił się. Płomienie objęły całą stertę gruzu, wypłaszając szczury z kryjówek i popychając je na strażników. Olej unoszący się na wodzie też zapłonął. Niesione wolnym prądem płomienie sunęły w stronę strażników, zmuszając ich do odwrotu.

– Dzięki temu zyskamy trochę czasu – powiedział Raithen. Skreślił w lewo i ruszył tunelem.

– Gdzie nas prowadzisz? – spytał Taramis.

– Do demona – odrzekł Raithen. – Tam musimy się udać. Pobiegł korytarzem, zatrzymując się tylko po to, by wziąć z uchwytu kolejną pochodnię.

Korytarz był węższy niż kanał ściekowy poniżej, tylko trzech wojowników mogło iść nim obok siebie. Darrick czuł, że musi się spieszyć, stanął więc na czele łowców demonów. Po chwili dołączyli do niego Taramis i Palat.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Taramis, wpatrując się w postać biegnącą przed nimi. – To Raithen – odrzekł Darrick. – Jest... Był, zapewnił go Mat.

– ... był – poprawił się Darrick – kapitanem piratów w Zatoce Zachodniej Marchii. Rok temu pracował dla Buyarda Cholika.

– Tego kapłana Zakarum, który otworzył bramę Kabraxisowi?

Ano.

– Co mu się stało?

– Został zabity przez demona w Porcie Tauruka – powiedział Darrick ze świadomością, że brzmi to bardzo dziwnie, gdy patrzyli na biegnącego przed nimi poparzonego szaleńca.

– Jak dla mnie, to on nie jest wystarczająco martwy.

W tym samym czasie, gdy zginął Raithen, powiedział Mat, Kabraxis rzucił zaklęcie, by ożywić zombie i szkielety, które nas goniły. Ta magia przesiąkła też ciało Raithena, sprawiając, że powstał z martwych. Kiedy uwolniłeś miecz, zostałem ściągnięty tu, do niego. Odkryłem, że mogę z nim rozmawiać, tak samo jak z tobą. Nasza trójka jest związana, Darricku, i razem możemy zakończyć rządy Kabraxisa.

– Nie żyje – wyjaśnił Darrick, przekazując wszystkie szczegóły podane mu przez Mata.

– Proroctwo Hauklina – powiedział Taramis.

– Jakie proroctwo? – spytał Darrick. Nadal biegli za Raithenem i za nim skręcili za róg tunelu.

– Powiedziano, że miecz Hauklina może zostać zabrany z jego grobowca tylko po to, żeby zjednoczyć Trójkę – powiedział mędrzec.

– Jaką trójkę? – spytał Darrick.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ



– Jeden zatracony w śmierci, jeden zatracony w życiu i jeden zatracony w samym sobie – powiedział Taramis. – Jeden uwięziony w przeszłości, jeden uwięziony w terażniejszości i jeden uwięziony w przyszłości.

Darrick poczuł chłód.

– Twój przyjaciel Mat musi być uwięzionym w śmierci, gdyż śmierć w przeszłości go nie uwolniła. Raithen jest uwięziony w życiu, nie może umrzeć i musi żyć w stanie, w jakim się teraz znajduje. – Spojrzał na Darricka. – Pozostałeś jeszcze ty.

– Czemu nie wspomniałeś o tym wcześniej? – spytał Darrick.

– Bo nie wszystkie przepowiednie są prawdziwe – odrzekł mędrzec. – Z każdą bronią i arte faktem wiążą się historie, ale nie wszystkie są prawdą. Gdy wzięłeś miecz Hauklina, pomyślałem, że proroctwo jest fałszywe.

Słowa Taramisa uderzyły Darricka.

Ano, powiedział Mat w jego głowie, to ty byłeś zatraconym w sobie. Ale te smutne czasy są już za tobą, tak jak Hillsfari stodoła za sklepem twojego ojca. Pamiętaj o tym i wszystko będzie w porządku. Nie opuszczę cię.

– Proroctwo ma dalszą część – powiedział Taramis. – Jeden uniesie miecz, jeden wskaże drogę, a jeden zabije demona. – Mędrzec wpatrzył się w Darricka. – Nie mogłeś z początku podnieść miecza, bo twojego przyjaciela nie było z tobą. Nie mogłeś unieść miecza, póki nie usłyszałeś Mata.

Darrick wiedział, że była to prawda, a w dodatku wyjaśniało to wszystkie następne wydarzenia.

– On wskazuje nam drogę – stwierdził Taramis. – To oznacza, że ty masz stawić czoła de monowi.

– Obok mędrca – prychnął pogardliwie Palat.

Twarz Darricka zapłonęła ze wstydu. Wiedział, że wojownik nie uważał go za wystarczająco silnego i odważnego, żeby samemu stawić czoła demonowi, nawet z mieczem Hauklina. Co gorsza, sam nie czuł się wystarczająco silny i odważny.

Jesteś bezwartościowy, powiedział głos ojca.

Darrick skulił się wewnątrz siebie i rozpaczliwie pragnął wymigać się z czekającego go zadania. Nie był bohaterem. W najlepszym wypadku byłby przyzwoitym oficerem marynarki Zachodniej Marchii. Może – ale tylko może – zostałby przyzwoitym kapitanem.

Ale bohater?

Nie. Darrick nie mógł tego przyjąć. Ale gdyby odszedł, gdyby uciekł przed walką, żeby się uratować, co by mu pozostało? Poczł, jak wraz ze zrozumieniem oblewa go zimny pot, i niemal się potknął. Gdyby uciekł przed nadchodzącą walką, byłby wszystkim tym, o co oskarżał go ojciec.

A gdyby to zrobił, byłby tak samo uwięziony między życiem a śmiercią jak Mat, czy Raithen.

Wszyscy możemy się uratować, powiedział Mat.

Nawet jeśli zostanę męczennikiem?, zastanawiał się Darrick.

– Za nami ktoś jest – zawołał Clavyn z tyłu.

– To strażnicy – powiedział Raithen. – Mówiłem, że nas znajdą. Ten tunel jest jednym z nowych. Wykorzystują go, żeby zaopatrywać kościoły. W tych budynkach jest pełno tajemnych przejść. Przez ostatnie parę tygodni poznałem większość z nich.

– Gdzie nas prowadzisz? – spytał Taramis.

– Do katedry – odrzekł Raithen. – Jeśli chcecie stawić czoła Kabraxisowi, znajdziecie tam jego i Cholika.

Kilka stóp dalej kapitan piratów zatrzymał się pod skośnym sklepieniem. Drzwi również były skośne, by do niego pasować.

– Czasem czekają tu strażnicy – powiedział Raithen. – Ale teraz ich nie ma. Poszli na dół, żeby pomóc w schwytaniu was w kanałach, nie wiedząc, że ten korytarz się z nimi krzyżuje. – Podciągnął się i wyjrzał przez szparę.

Darrick przyłączył się do niego z mieczem w ręku. Taramis stanął po jego drugiej stronie.

Wyglądając przez szparę, Darrick ujrzał Buyarda Cholika stojącego na platformie nad wielkim kamiennym węzem o płonącym pysku. Wąż kołysał się i przesuwiał nad czekającą widownią. Sposób, w jaki ludzie krzyczeli i wzywali węża i mężczyznę nad nim, sprawił, że Darrickowi zrobiło się niedobrze. Wiedział, że kilku wiernych mogło wiedzieć, iż korzą się przed złem, ale większość nie była tego świadoma. Byli niewinni, modlili się o cuda i nie wiedzieli, że padli ofiarą piekielnego demona.

– Tam są setki, może tysiące ludzi – powiedział Palat z zadziwieniem, również wyglądając przez szparę. – Jeśli tam wyjdziemy, będą mieli nad nami przewagę.

– Tłum pomoże nam też uciec – stwierdził Taramis. – Strażnicy świątynni nie będą w stanie zamknąć wszystkich wyjść i utrzymać tłumu pod kontrolą. Kiedy już zabijemy Buyarda Cholika, powinno wszcząć się takie zamieszanie, że zdołamy uciec. Potem w całym mieście zaczniemy opowiadać prawdę o Kabraxisie.

– Buyarda Cholika nie da się zabić – powiedział Raithen.

Darrick spojrział na kapitana piratów. Słyszał odgłosy kroków w tunelu i wiedział, że nie mają dużo czasu.

– Co to ma znaczyć? – spytał Taramis.

– Próbowałem zabić tego sukinsyna – stwierdził Raithen. – Parę tygodni temu. Pojawiłem się na widowni. Przeniosłem pod płaszczem ręczną kuszę i wpakowałem mu bełt prosto w serce. Wiem, że to zrobiłem. A jednak kilka godzin później Buyard Cholik odprawił kolejną ceremonię. Moja próba tylko zwiększyła jego sławę.

To Kabraxis, powiedział Mat. Demon go uratował. Ale nawet demon nie uratuje go przed mieczem Hauklina.

– Nie możemy tu zostać – powiedział Palat. – Ucieczka też nie wchodzi w grę.

Darrick spojrzał na drużynę łowców demonów, po raz kolejny dziwiąc się, że taka mała grupka ludzi odważyła się wejść do kościoła mimo tak niekorzystnego stosunku sił. Gdyby poproszono go o coś takiego, a nie zostałby wybrany przez zaczarowany miecz i nie towarzyszyłby mu duch zmarłego przyjaciela, nie wiadomo, czy by z nimi teraz był. On nie miał wyboru, ale oni go mieli.

Miałeś wybór, powiedział Mat. W każdej chwili mogłeś odejść.

Darricka otoczył kwaśny odór siana w stodole za sklepem ojca. Niemal czuł gorąco, wypełniające małą przestrzeń między belkami, gdzie trzymano siano. I gdzie po kolejnym laniu od ojca czekał, żeby umrzeć albo zostać zabitym.

Nie, powiedział sobie Darrick. Nie miał wyboru.

Jesteś bezwartościowy, sztychł głos jego ojca.

Darrick zacisnął zęby i odetchnął głęboko, żeby rozluźnić mięśnie. Spróbował zignorować ten głos.

– Co jest nad nami? – spytał.

Łomot kroków strażników wydawał się coraz mocniejszy, coraz bliższy.
– Schody – powiedział Raithen – ale na przeciwwadze. Kiedy otworzę

zamek, podniosą się. Darrick popatrzył na Taramisa, który spojrzał na swoich ludzi.

– Jeśli tu zostaniemy – powiedział Palat – zginiemy. Ale tam, nawet z tym kamiennym wę żem, mamy jakąś szansę.

Taramis pokiwał głową.

– Zgoda.

Wszystcy wojownicy przygotowali broń.

– Spróbujemy zabić Cholika – stwierdził Taramis – i uciekniemy stąd, jeśli się da. Miejmy nadzieję, że demon się ujawni. Jeśli nie, znów coś zaplanujemy. – Spojrzał na Darricka. – Miecz Hauklina powinien wypłoszyć Kabraxisa z kryjówki.

– Ano – powiedział Darrick, chwytając rękojeść miecza oboma rękami. Znów zajrzał do katedry, zauważając, jak bardzo okrągła przestrzeń pod poruszającym się łbem węża przypominała arenę. Pysk węża otaczały płomienie, a Cholik spokojnie stał na platformie nad jego szyją.

– Zrób to – nakazał Taramis Raithenowi.

Kapitan piratów sięgnął pod szatę i wyjął ręczną kuszę. Grube strupy na jego rękach popękały i popłynęła z nich krew. Gdy sięgnął po dźwigienkę nad głową, na splamionych krwią ustach pojawił się uśmiech szaleńca. Spojrzał na Darricka.

– Nie zawieź mnie, marynarzu. Już kiedyś skrzyżowałem z tobą ostrza, na pokładzie „Barakudy”. Bądź teraz tak dobry, jak byłeś wtedy. I bądź tym wszystkim, czym możesz być, jak twierdzi twój mały przyjaciel.

Zanim Darrick zdążył odpowiedzieć, Raithen pociągnął dźwignię. Ukryte drzwi wbudowane w schody uniosły się do góry, lekko jak piórko. Światło z wnętrza katedry wypełniło korytarz.

Taramis poprowadził ich na zewnątrz, furkocząc pomarańczową szatą.

Darrick wyszedł z kryjówki za mędrcom. Niemal ogłuszyła go kakofonia dźwięków wypełniających katedrę. Tysiące głosów wychwalały Dien–Ap–Stena, Proroka Światłości.

Strażnicy świątynni zajmowali platformę na prawo od nich. Wszyscy zauważyli otwierające się ukryte drzwi. Jeden z kuszników uniósł broń i nałożył strzałę. Nim jednak zdążył wycelować, Ra–ithen uniósł rękę z kuszą i nacisnął spust. Nieduży bełt przebił mężczyźnie jabłko Adama. Strażnik spadł z platformy między ludzi, wywołując niewielkie poruszenie i falę ochrypłych okrzyków.

Strażnicy zbiegli z platformy, a łowcy demonów pobiegli w ich stronę. Stal dźwięczała o stal, a Darrick znalazł się pośrodku walki.

Stojący na platformie nad głową węża Cholik zatrzymał bestię w chwili, gdy wielka, ognista paszcza otworzyła się i wypluła małego chłopca wprost w ramiona ojca.

Bądź gotów, powiedział Mat w głowie Darricka. Zaraz wszystko zmieni się na gorsze.

– Nie utrzymamy się – powiedział Palat. – Krew spływała po jego twarzy, ale nie cała należała do niego. – Musimy uciekać.

Ucieczka nie jest odpowiedzią, powiedział Mat. Masz moc, Darrick. Mamy moc. Ja i Raithen doprowadziliśmy cię tak daleko, ale reszta zależy od ciebie.

– Wyznawcy Dien–Ap–Stena – zagrzemiał Buyard Cholik. – Widzicie przed sobą niewiernych, którzy chcieliby, żeby wasz wielki kościół został zburzony i nie mógł już gościć Proroka Światłości i Drogi Marzeń.

Katedrę wypełniły ryki strachu i wściekłości.

Darrick walczył o życie. Już teraz strażnicy mieli przewagę liczebną, a wiedział, że może być tylko gorzej. Parował i ripostował, odepchnął ostrze

na bok, po czym wbił swój miecz w pierś najemnika. Kopnięciem posłał mężczyznę na trzech innych, którzy pędzili, by zająć jego miejsce.

Szybko i zgrabnie poruszając dłońmi, Taramis wyrysował w powietrzu magiczne symbole. Gdy wykrzyknął słowa mocy, symbole poleciały w stronę dachu katedry. Pod dachem utworzyła się czarna chmura.

Darrick zablokował kolejny cios, a jednocześnie łokciem i pięścią uderzył strażnika, który mocno przyciskał Rhambala. Wojownik miał problemy z powodu zranionego ramienia.

– Dzięki – wydyszał wojownik. Jego twarz pod hełmem była kredowobiała.

Choć Darrick poradził sobie z jednym przeciwnikiem, na jego miejscu natychmiast pojawiali się kolejni. Mężczyzna, którego cios zablokował Darrick, uwolnił broń. Strażnik ciął twarz Darricka, podczas gdy nad nimi w chmurze pojawiły się błyski. Darrick znów zablokował jego ostrze, ustawił się, przekręcił i kopnął mężczyznę w głowę, aż ten poleciał w stronę zebranych wiernych.

Darrick oddychał ciężko, czując chłód w powietrzu. Rozejrzał się rozpaczliwie po katedrze. Niektórzy wierni już wyjmowali noże zza pasów i zamierzali przyłączyć się do walki.

Oni są niewinni, powiedział Mat w głowie Darricka. Nie wszyscy z nich są źli. Dali mu się tylko przyciągnąć.

– Gdzie jest demon? – spytał Darrick.

Wewnątrz węża, powiedział Mat. Na Czarnej Drodze. Wie, że masz miecz Hauklina.

Darrick zablokował, znów zablokował, sparował i zripostował, wbijając miecz w szyję mężczyzny. Z gardła strażnika popłynęła spieniona krew, a on sam zatoczył się do tyłu, zaciskając ręce na szyi.

Stworzona przez Taramisa chmura nagle wypełniła świątynię lodowatym chłodem. Rozszalały się mroźne wichry, przygaszając otaczające pysk węża płomienie. Na wielkim kamiennym stworze osiadł szron, jednak zaraz znikł, gdy stwór splunął ogniem. Otoczyła go para.

Wąż przechylił głowę, koncentrując się na grupie łowców demonów. W jego oczach tańczyły złowrogie płomienie.

Pierwszy jest Buyard Cholik, powiedział Mat. Musi zginąć, Darrick, bo to on wiąże Kabraxisa z tym światem.

Katedrę nagle wypełniła burza śnieżna, obsypując śniegiem jej środek, jak również wiernych. Poruszająca się biała zasłona utrudniała widzenie, a płatki paliły nagą skórę jak kwas.

Kamienny wąż zaatakował, rzucając się do przodu, a odkryte kły otaczał ogień.

– Uważaj! – krzyknął Palat, odciągając Rhambala ze ścieżki węża.

Łowcy demonów opuścili niebezpieczną okolicę, ale nie wszystkim strażnikom się to udało. Trzech zostało zmiażdżonych przez węża. Choć na posadzce świątyni pękały kamienie, wąż nie został uszkodzony.

Zebrawszy odwagę i stłumiwszy przepełniające go wątpliwości, Darrick pobiegł w stronę węża. Ten, skręcając się we wszystkie strony, podążył za nim. Na kłach wciąż tkwiły kawałki strażników. Mając świadomość, że nienaturalna bestia się do niego zbliża, Darrick uskoczył na bok i przeturlał pod ciałem węża.

Wolną ręką chwycił wyrzeźbione łuski. Wąż przetaczał się przez świątynię, wrywając i druzgo-cząc płyty podłogowe. Darrick wspinał się coraz wyżej, czepiając się rzeźbionych łusek na brzuchu węża. Dźwignął się na równe nogi i podskoczył, lądując na pysku stwora. Gad zasyczał, otworzył pysk i sięgnął do niego rozdwojonym językiem ognia.

Płomienie polizwały włosy Darricka, gdy ten biegł po pysku. Nienaturalna bestia otworzyła paszczę, co ułatwiło mu zadanie. Rzucił się w powietrze w stronę platformy, na której stał Buyard Cholik.

Nagle zrozumiałszy rozpaczliwy ruch Darricka, Cholik poruszył rękami, by rzucić jakieś zaklęcie. Było jednak zbyt późno. Nim zdążył je zakończyć, Darrick chwycił go za szatę. Kapłan miał jeszcze tyle szczęścia, że wojownikowi nie udało się wylądować na platformie.

Wiedząc, że nie uda mu się tam wylądować, Darrick gwałtownie wyciągnął wolną rękę i chwycił Cholika za dół szaty, pozbawiając go równowagi. Kapłan uderzył o żelazną barierkę i zdekoncentrował się. Darrick jedną ręką trzymał się płaszcza i szaleńczo kołysał. Wiedział, że wąż znów się skręca, by zrzucić go na ziemię i tam pochwycić. Zgiął rękę w łokciu, przyciągając się do Cholika.

Wokół nich szalała burza śnieżna. Choć zimno przywołanych przez Taramisa wichrów paliło jego twarz i odsłoniętą skórę, Darrick cofnął miecz, zmienił na nim chwyt i rzucił jak oszczep.

Zaczarowane ostrze Hauklina leciało prosto nawet w szalejącej wichurze. Przebiło serce Buyarda Cholika, aż mężczyzna zatoczył się do tyłu i potknął o utrzymaną przez Darricka szatę.

– Nie – powiedział Cholik, zaciskając ręce na mieczu, który go przebił. Gdy chwycił ostrze, jego ręce zapłonęły błękitnym ogniem, ale wydawało się, że nie może puścić go, tak samo jak nie był w stanie wyjąć go z piersi.

Wykorzystując fakt, że Cholik nie mógł z nim walczyć, Darrick chwycił drugą ręką krawędź platformy i wspiął się na nią. Uwolniony z uchwytu Darricka Cholik zrobił krok do tyłu i wypadł za barierkę.

Miecz! ryknął Mat w głowie Darricka. Kabraxisjest wciąż przed tobą.

Darrick lewą ręką mocno chwycił się platformy a prawą wyciągnął w stronę miecza. Życzył sobie, żeby ten wrócił do niego, jak zrobił to tamtego

dnia w domu Elliga Barrowsa.

W chwili, gdy trup Cholika uderzył o ziemię, Darrick poczuł jak moc wiąże go z mieczem. Patrzył, jak zaczarowane ostrze wyrywa się z trupa. Miecz Hauklina był w powietrzu i leciał w stronę Darricka, gdy wąż nagle podrzucił swój łeb do góry, wyrzucając go wysoko w powietrze i odpychając miecz na bok.

Darrick niemal zderzył się ze sklepieniem katedry. Kręcił się, machał rękami i rozpaczliwie usiłował odzyskać władzę nad swym ciałem. Przerażony patrzył, jak wąż opuszcza głowę i otwiera paszczę. Jego gardło wypełniał ogień, obiecując mu śmierć w płomieniach, gdyby tylko dał się pochwycić.

Łap miecz! ryknął Mat. Jeśli nie masz tego miecza, to nic nie masz.

Darrick skoncentrował się na mieczu, ale nie mógł wygnać ze swojego umysłu obrazu czekającego na dole węża. Dotarł do szczytu trajektorii i zaczął spadać. Gdyby nawet wąż jakimś sposobem go nie pochwycił, miał pewność, że i tak nie przeżyje upadku.

Miecz! krzyczał Mat. Miecz ochroni cię, jeśli go będziesz trzymał. I ja mogę ci pomóc przez moc miecza.

Darrick odepchnął od siebie myśli o śmierci. Jeśli nawet zginie, to będzie to koniec cierpień, które przeżywał przez ostatni rok i wszystkie wcześniejsze lata.

Skoncentrował się na mieczu Hauklina, wzmacniając więź, która między nimi istniała. Trup Cholika leżał na kamiennej posadzce obok łba węża, ale zaczarowane ostrze uwolniło się z niego i poleciało w stronę wyciągniętej ręki Darricka.

Trzymaj miecz, powiedział Mat. Trzymaj miecz, a ja ci pomogę.

Nie będąc w stanie zmienić kierunku lotu, Darrick spadał jak kamień w stronę czekającej na niego paszczy węża. Otoczyły go płomienie i przez

chwilę myślał, że zostanie spopielony. Czuł niewiarygodne, pozbawiające zmysłów gorąco.

Spokojnie, ostrzegł go Mat. Choć Darrick miał pewność, że głos pochodzi z głowy, i tak brzmiał słabo, jakby dobiegał z dużej odległości. To będzie najgorsze, Darrick, ale nie ma tego jak obejść.

Darrick nie mógł uwierzyć, że nie umarł. Sam upadek i uderzenie o kamienny pysk węża powinno go zabić, ale ogień jeszcze bardziej zmniejszał szansę jego przeżycia.



Żył. Czuł to wyraźnie, gdyż oddychał ciężko i z wysiłkiem, a całe ciało go bolało.

Nie możesz tu leżeć, powiedział Mat słabym głosem, jakby dochodzącym z bardzo daleka. To jest Czarna Droga. Spaczona Droga Cieni. Kabraxis jest tu jedynym władcą. W każdym razie w to wierzy. Zabije cię, jeśli tak tu będziesz leżał. Wstawaj...

– Wstawaj – powiedział ktoś szorstko. – Wstawaj, ty bezwartościowy bękarcie.

Darrick rozpoznał głos jako należący do ojca. Gwałtownie otworzył oczy i ujrzał znajomą stodołę za należącym do ojca sklepem rzeźnika. Odkrył, że leży na zepsutym sianie na stryszku.

– Nie myślałeś, że złapię cię, jak tu śpisz, co? – spytał ostro ojciec.

Darrick instynktownie zwinął się w kłębek, próbując się ochronić. Całe ciało bolało go od lania, które dostał wczoraj, może dwa dni temu. A może nawet i tego dnia, tylko wcześniej. Czasem po biciu Darrick tracił rachubę czasu. Prócz rachuby czasu zdarzało mu się tracić przytomność.

– Wstawaj, do licha! – Ojciec kopnął go, wyciskając mu powietrze z płuc i być może łamiąc kolejne zebro.

Darrick z przerażeniem stanął przed ojcem. Wydawało mu się, że coś ma w ręku, ale nic nie widział. Może znowu złamał rękę, ale tym razem czuł się inaczej.

Zdawało mu się, że słyszy głos Mata Hu-Ringa, ale wiedział, że Mat nie zjawiał się, gdy jego ojciec był w takim humorze. Nawet ojciec Mata wtedy nie przychodził.

– Wstawaj, mówię ci! – ryknął ojciec. Był potężnym mężczyzną z wielkim brzuchem i ramio nami szerokimi jak toporzysko. Ręce miał wielkie i twarde od długiej, ciężkiej pracy oraz niezliczo nych bójek w tawernach. Rozczochrane brązowe włosy pasowały do sięgającej do piersi brązowej brody.

– Nie mogę tu być – powiedział oszołomiony Darrick. – Byłem marynarzem. Była świątynia.

– Głupi, bezwartościowy bękart! – ryknął ojciec, chwytając go za ramię i potrząsając nim. – Z takich jak ty nikt nie zrobi marynarza – zaśmiał się pogardliwie. – Znów miałeś jeden z tych snów, które tak się ciebie czepiają, gdy się tu chowasz. Z twarzą płonąca ze wstydu Darrick spojrzał w dół. Był chłopcem, miał osiem, może dziewięć lat. Nie był wcale zagrożeniem dla ojca, a jednak ten traktował go jak najtrudniejszego przeciwnika. Ojciec spoliczkował go, aż jego głowę wypełnił ból.

– Nie odwracaj się, kiedy do ciebie mówię, chłopcze – nakazał ojciec. – Może nie nauczyłem cię niczego innego, ale chyba szacunek dla lepszych od siebie masz.

Po policzkach Darricka popłynęły łzy. Czuł, jak go palą, a później ich słony smak, gdy dotknęły drżących warg.

– Popatrz tylko na siebie, płaczący tchórze! – ryknął ojciec i znów podniósł rękę. – Nie masz nawet tyle rozumu, by ukryć się przed deszczem.

Darrick przyjął cios na tył głowy i patrzył, jak przez chwilę świat kręci się wokół niego. Przypomniawszy sobie, że tydzień wcześniej ojciec wygrał bójkę z trzema strażnikami karawany w błotnistej uliczce za tawerną „Pod Kulawą Gęsią”. Ojciec był przyzwoitym rzeźnikiem, ale gdy się bił, niewielu mogło mu dorównać.

– Czy nakarmiłeś inwentarz, jak ci kazałem, chłopcze? – spytał ostro ojciec.

Darrick wyjrzał za krawędź stryszku, choć bał się, że już zna odpowiedź. Zobaczył, że wszystkie koryta na obrok i wodę były puste.

– Nie – powiedział.

– Tak jest – zgodził się ojciec. – Nie zrobiłeś tego. Nie wymagam od ciebie zbyt wiele, bo wiem, że nie mogę dużo oczekiwać od takiego idioty. Ale sądziłem, że wystarczy ci rozumu, by nakarmić i напоić inwentarz.

Darrick skulił się. Wiedział, że gdy ojciec jest w takim humorze, nic nie pomoże. Gdyby nakarmił zwierzęta, ojcu też by się to nie podobało, powiedziałby, że dał im za mało albo za dużo paszy. Darrick poczuł, że żołądek podnosi mu się do gardła, jak na morzu podczas sztormu.

Ale skąd mógł wiedzieć, jakie to uczucie? Chyba tylko z historii, które czasem podsłuchiwał siedząc pod tawerną, którą ojciec odwiedzał wieczorami. Ojciec zawsze wolał zostawić Darricka w domu, ale matka rzadko bywała w nim wieczorami, a Darrick zbyt się bał, by zostawać wieczorem samemu.

Dlatego też w tajemnicy podążał za ojcem od tawerny do tawerny i z łatwością się przed nim ukrywał, bo ojciec za kołnierz nie wylewał. Choć ojciec potrafił być podły, stanowił jedyny stały punkt w życiu Darricka, ponieważ matki zwykle nie było w domu.

... nie tutaj...

Darrick oddychał płytko, gdyż wydawało mu się, że słyszy głos Mata Hu-Ringa. Ale to niemożliwe, prawda? Mat nie żył. Zginął... zginął...

Gdzie zginął?

Darrick nie pamiętał, a właściwie nie chciał pamiętać. Mat zginął gdzieś daleko od domu, a była to wina Darricka.

Jesteś na Czarnej Drodze, powiedział Mat. To wszystko sztuczki demona. Nie poddawaj się...

Głos Mata znów odpłynął.

Darrick czuł, jak coś obciąża jego rękę.

– Co to jest, chłopcze? – Ojciec obrócił Darricka, ukazując sznur i zawiązaną na nim pętlę. – Tym się bawiłeś?

Darrick nie odpowiedział. Nie mógł. Kilka dni wcześniej, wykorzystując sztuczki, których nauczył się od Mata, a ten od wuja-marynarza, Darrick uplotł sznur z resztek sznurów pozostawionych przez rolników, którzy przyprowadzali zwierzęta do ojca na rzeź.

Przez wiele dni Darrick myślał, by się powiesić i skończyć ze wszystkim.

– Nie byłeś w stanie tego zrobić, co, chłopcze? – spytał ojciec. Pociągnął sznur i wyrwał go.

Darrick krzyknął i zaczął się trząść. Nos miał zatkany i wiedział, że brzmi strasznie. Gdyby spróbował się odezwać, ojciec tylko by się z niego wyśmiewał i policzkował go, żeby zaczął mówić lepiej, nie przestając, dopóki Darrick nie straci przytomności. Wiedział, że potem przez wiele dni czułby w ustach krew z pękniętych warg i poszarpanych wewnątrz policzków.

Tym razem jednak ojciec miał w głowie coś innego. Przerzucił sznur przez krokiew po drugiej stronie stryszku i chwycił pętlę, gdy spadła po drugiej stronie.

– Zastanawiałem się, jak dużo czasu ci zajmie, zanim zbierzesz odwagę, by zrobić coś takiego – powiedział ojciec. – Wyrzwał na bok i trochę opuścił pętlę. – Chcesz się powiesić, chłopcze, czy wolisz złamać kark spadając?

Darrick nie odpowiedział.

To nie tak, powiedział Mat. Ja znalazłem sznur. Nie twój ojciec. Zabrałem ci sznur i kazałem ci przyrzec, że nigdy nie zrobisz czegoś takiego.

Darrick prawie sobie przypomniał, ale potem wspomnienie odpłynęło.

Ojciec założył mu pętlę na szyję i wyszczerzył się. Jego oddech śmierdział kwaśnym winem.

– Myślę, że złamanie sobie karku to wybór tchórze. Nie pozwolę, by mój bękarci syn bał się umierania. Stawisz j ej czoło jak mężczyzna.

To demon! ryknął Mat, ale jego głos przerywał się, jakby przekrzykiwał silny wiatr. Strzeż się, Darricku. Tutaj też możesz stracić życie, a jeśli demon zabierze je na Czarnej Drodze, na zawsze będziesz należeć do niego!

Darrick wiedział, że powinien się bać, ale nie bał się. Śmierć będzie łatwa. To życie było trudne, przedzieranie się przez wszystkie strachy, pomyłki i cierpienie. Śmierć, szybka czy powolna, będzie wybawieniem.

Ojciec mocno zaciągnął węzeł pod jego szczęką.

– Czas w drogę – warknął ojciec. – Przynajmniej kiedy wieści dotrą do miasta, wszyscy będą mówić, że mój syn odszedł z odwagą ojca.

Darrick stanął na krawędzi stryszku. Kiedy ojciec położył ciężką rękę na jego piersi, nic już nie mógł zrobić, żeby zapobiec upadkowi.

Ojciec pchnął.

Machając rękami spadał, a ktoś w jego głowie ryczał, żeby trzymał miecz. Ale jego kark nie pękł, gdy dotarł do końca liny. Ojciec nie wypuścił jej tak daleko.

Darrick kołysał się na końcu konopnej liny, która powoli wgrzyzała się w jego szyję, dusząc go. Prawą rękę trzymał u boku, zaś lewą chwycił sznur i próbował nadal oddychać.

– Po prostu puść – szydził ojciec. – Możesz łatwo zginąć. To tylko kilka minut.

Kłamie, powiedział Mat. Niech cię, Darrick, przypomnij sobie! To się nigdy nie wydarzyło! Nigdy nie wyruszylibyśmy na morze, gdyby to się zdarzyło!

Darrick patrzył w górę na ojca. Mężczyzna ukląkł na krawędzi stryszku, szczerząc się szeroko, a jego oczy płonęły wyczekiwaniem.

Popatrz za niego! krzyczał Mat. Popatrz na cień na ścianie za nim!

Choć w oczach zaczęły mu się pojawiać mroczki, Darrick spojrzął na cień na ścianie. To nie był cień jego ojca. To, co rzucało ten cień, nie było człowiekiem. Wtedy przypomniała mu się katedra w Bramwell i kamienny wąż z pyskiem pełnym płomieni.

Darrick nagle uświadomił sobie, że jest dorosły i wisi na sznurze przewieszonym przez krokiew.

– Za późno – powiedział demon. Jego postać zmieniła się z ojca Darricka na prawdziwą. – Zginiesz tutaj, a ja zabiorę twoją duszę. Może i zabiłeś Buyarda Cholika, ale wykorzystam cię jako kotwicę w tym świecie.

Darrick poczuł, jak przepełnia go gniew. Podsycił swoją wściekłość i trzymał się jej, pozwalając, by dała mu siły. Uniósł miecz w górę, przecinając sznur, i opadł na pokrytą słomą ziemię.

Tyle tylko, że to już nie było pokryte słomą klepisko w stodole za sklepem rzeźnika. Teraz była to wąska czarna wstążka rozciągająca się nad nicością.

Kabraxis spadł na Czarną Drogę przed Darrickiem. Demon bez słowa rzucił się na mężczyznę z wyciągniętymi pazurami i obnażonymi kłami.

Darrick walczył, mimo iż na szyi nadal miał pętlę, która utrudniała mu oddychanie, sprawiając, że przed oczami pojawiły mu się mroczki. Miecz w jego dłoniach był jak żywy, poruszał się z nieludzką szybkością, ale to i tak ledwie chroniło go przed śmiercią z rąk nieludzkiego przeciwnika.

Kabraxis machnął ogonem w stronę Darricka, lecz ten odciął mu go jednym ruchem miecza. Demon zaryczał z wściekłości i poruszył oboma łapami jak nożycami.

– Nie pokonasz mnie, bezwartościowy człowieku.

Darrick uchylił się przed ciosami, rzucił do przodu i przeszedł między nogami wysokiego stwora, potykając się na krwi wypływającej z rany po obciętym ogonie. Szybko się podniósł i popędził na tyły demona. Wskoczył w górę, zapominając o strachu przed porażką lub spadaniu w nieskończoną przepaść po obu stronach Czarnej Drogi, i rzucił się na plecy potwora.

Kabraxis próbował zrzucić Darricka z grzbietu, ale zamarł, gdy człowiek otoczył ramieniem jego łeb i wsunął ostrze Hauklina pod szyję, opierając je na gardle.

– Czekaj – powiedział Kabraxis. – Jeśli mnie zabijesz, zapłacisz. Nie jesteś tak czysty jak Hauklin. Nosisz w sobie strachy, które pozostaną w tobie na zawsze. Będziesz nosił w sobie coś ze mnie, co zawsze będzie cię dręczyć. Taka jest cena.

Darrick zamarł tylko na chwilę.

– Za... pła... cę... ją... – wyszeptał ochrypłym głosem. Przeciągnął zaczarowanym ostrzem po gardle demona, aż metal zazgrzytał o kość. Błyskawica rozjaśniła ciemność wokół nich.

Wybuch światła oślepił Darricka.

Gdy znów otworzył oczy, stał pośrodku katedry. Posadzkę wokół niego pokrywał śnieg. Trzymał w rękach łeb Kabraxisa, uchwyciwszy za jeden z

rogów.

Kamienny wąż nadal się poruszał i unosił nad trupem Buyarda Cholika.

Taramis i inni łowcy demonów walczyli ze strażnikami. Czterech z nich już leżało na ziemi – martwych lub ciężko rannych.

Kamienny wąż zwinął się i rzucił na Darricka.

– Nie – powiedział Darrick, czując wypełniającą go nienaturalną moc. Wbił ostrze Hauklina w zaśnieżoną podłogę. Sklepienie katedry przebiły zimne błękitne błyskawice i uderzyły w kamiennego węża, zmieniając go w stertę cegieł i zaprawy. Płomienie w jego pysku i oczach zamigotały i zgasły. Wszyscy w katedrze zamarli, gdy Darrick odwrócił się w ich stronę. Unosząc głowę demona, Darrick ryknął:

– To koniec! Demon nie żyje! Fałszywy prorok nie żyje!

Strażnicy świątynni odłożyli broń i wycofali się. Taramis i jego wojownicy, okrwawieni, ale niepokonani, odwrócili się i spojrzeli na Darricka.

– Idźcie do domu – powiedział Darrick wiernym. – Już po wszystkim.

Powiedział to, ale sam czuł, że to nieprawda. Wciąż musiał zapłacić cenę i dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, na czym ona polega.

EPILOG



Zimne, odległe słońce przecięło wschodnie niebo, przebijając białe chmury pasmami czerwieni i fioletu, jak zapłodnione jajo, które zostało rozbite zbyt wcześnie i miało krew w żółtku. Z gór wiał chłodny wiatr, lecz promienie słońca odeгнаły cienie nocy z Bramwell, w stronę morza.

Darrick Lang stał w ogrodzie na dachu kościoła Proroka Światłości, podobnie jak robił to przez całą noc. Miał na sobie ciężki płaszcz, jednak ten nie chronił go przed zimnym wiatrem. Niemal zamarzł, ale mimo to nie zszedł z dachu. Przez wiele godzin słyszał w głowie głos ojca, który dopiero niedawno zaczął się uciszać. Darrick nie słyszał już Mata i nie wiedział, czy ten nadal błąkał się w krainie duchów, czy też umarł po raz wtóry podczas ostatecznej walki. Ta niewiedza go męczyła.

Niektórzy z najemników Buyarda Cholika próbowali walczyć, ale kiedy ich pracodawca zginął, niewielu miało do tego serce. Palat splunął krwią i powiedział im, że są wściekli, bo stracili łatwą robotę, ale jeśli chcą stracić coś więcej, to proszę bardzo, niech się tylko zbliżą. Nie zrobił tego żaden z najemników. W czasie zamieszania Raithen zniknął.

Taramis trzymał drużynę razem, obawiając się zemsty ze strony otepiatego tłumu. Z początku wyglądało na to, że zebrani rzucą się na

łowców demonów, mimo iż Darrick miał w ręku głowę demona i pokazał im, w jakie kłamstwa wierzyli. Przybyli, by być świadkami cudów, a w zamian za to zobaczyli, jak się wszystko wali. Niektórzy godzinami siedzieli w ławkach ze słabą nadzieją, że Prorok Światłości i Wskazujący Drogę powrócą do tych, którzy naprawdę uwierzyli.

Na dachu zabrzmiał odgłos kroków.

Darrick odwrócił się, trzymając w dłoniach miecz Hauklina. Choć współpracował z Taramisem i innymi łowcami demonów, a także zabił Buyarda Cholika oraz Kabraxisa, wiedział, że tamci wciąż mu nie ufali. Jego droga nie pokrywała się z ich drogą. On nie wyruszy w stronę wschodzącego słońca ani nie znajdzie w porcie statku, żeby zacząć walkę z kolejnym demonem.

Kolejny demon. Darrick miał ochotę zaśmiać się gorzko, ale się powstrzymał. On jeszcze nie skończył z poprzednim demonem, ani z demonami, które miał w głowie przez ojca.

Taramis Volken szedł przez ogród. Mędrzec wciąż nosił ślady walki – krew, swoją i cudzą oraz sadzę – na swoich pomarańczowych szatach. Mimo wstającego dnia jego twarz zakrywały cienie, a w jasnym świetle wyglądał na dużo starszego.

– Zastanawiałem się, czy wciąż tu jesteś – odezwał się mędrzec. – Wcale nie – stwierdził Darrick. – Kazałeś Rhambalowi pilnować zejścia z dachu. Taramis zawahał się tylko na chwilę. – Masz oczywiście rację. Darrick nic nie powiedział.

Mędrzec podszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół. Wiatr wydymał jego pomarańczowe szaty.

– Wielu wiernych nie chce odejść.

Darrick niechętnie przyłączył się do starszego mężczyzny i też spojrzał w dół. Ulice przed kościołem zapełniły tłumy ludzi, mimo

wysiłeków strażników, którzy próbowali ich rozproszyć. Z kilku spalonych budynków unosił się dym.

– Nie przestali wierzyć – stwierdził Taramis.

– Ponieważ Cholik i Kabraxis dał im to, czego pragnęli – odrzekł Darrick.

– Niektórym – poprawił go Taramis. – A cena była wysoka. – Ale to wystarczyło, by utrzymać innych na miejscu z nadzieją, że następnym razem to oni zostaną wybrani. – Spojrzał na Darricka. – To, co zrobił demon, było straszliwe.

Darrick nadal milczał. Pomocny wiatr nie był wcale bardziej lodowaty od słów mędrca.

– Straż miejska walczy z oszalałymi bandami wyznawców – stwierdził Taramis. – Wielu z nich nie wierzy w to, co wydarzyło się w nocy. Mówią, że Cholik i Prorok Dien–Ap–Sten zostali zabici przez lorda Darkulana z zazdrości, a demona nigdy nie było.

– Demon zginął – powiedział Darrick. – Niewiara, że Kabraxis był demonem, nie sprowadzi go z powrotem.

– To prawda, ale oni chcą zemścić się na mieście za poczucie winy, zmieszanie i gniew, które czują. Jeśli Bramwell będzie miało szczęście, to nim strażnicy opanują sytuację, zostanie zniszczonych tylko kilka budynków i zabitych kilka osób.

Darrick rozmyślał o swoim gniewie. Uczucie to pozostało po tym, co zrobił mu ojciec. Teraz to wiedział, ale wiedział też, że ślad pozostanie w nim na zawsze i nie da się go usunąć.

– Powiadają – powiedział Taramis – że kiedy człowiek stawia czoło demonowi, poznaje siebie jak nigdy przedtem. Ty stawiałeś czoło Kabraxisowi i to tak blisko, jak nikt wcześniej.

– Przecież ty walczyłeś z demonami i je zabijałeś – sprzeciwił się Darrick.

Taramis oparł się o krawędź dachu i splótł ręce na piersi.

– Nigdy nie podążyłem za nimi do Piekieł, jak ty.

– Zrobiłbyś to?

– Gdybym musiał, owszem. – W głosie mędrca nie było wahania. – Ale zastanawiam się, dlaczego ty to zrobiłeś.

– To nie ja wybrałem tę drogę – przypomniał Darrick. – Wąż mnie połknął.

– Wąż cię połknął, ponieważ Kabraxis sądził, że pokona cię na Czarnej Drodze. I myślał, że pokona Gniew Burzy. Moje pytanie brzmi: dlaczego demon tak uważał?

Darrick milczał przez dłuższą chwilę, ale uświadomił sobie, że mędrzec nie ma zamiaru odejść.

– Z powodu poczucia winy – powiedział w końcu.

– Ze względu na twój przyjaciela Mata?

– Nie tylko – przyznał Darrick. Potem, nim zdążył się powstrzymać, opowiedział mędrce o swoim ojcu i laniu, jakie dostawał w sklepie rzeźnika w Hillsfar. – Wiele czasu minęło, nim uświadomiłem sobie, że matka zdradziła ojca i nie wiem, kto jest moim prawdziwym ojcem. Nadal tego nie wiem.

– A chciałeś się kiedyś dowiedzieć?

– Czasami – przyznał Darrick. – Ale Światłość wie, jakie mogłyby wymknąć z tego kłopoty gdybym się dowiedział. I tak miałem już dużo kłopotów.

– Kabraxis myślał, że osłabi cię, stawiając cię twarzą w twarz z gniewem ojca.

– I udałoby mu się to – powiedział Darrick – gdyby nie Mat. Zawsze po tym, jak ojciec mnie pobił, Mat był przy mnie. I stał przy mnie na Czarnej Drodze.

– Pomagając ci przejrzeć podstęp Kabraxisa. – Ano – Darrick spojrział na mędrca. – Ale zwycięstwo nie było tylko moje. Taramis popatrzył na niego.

– Pokonałem Kabraxisa w Piekłach – powiedział Darrick – ale część jego zabrałem ze sobą. – Szybkim ruchem wbił Gniew Burzy w jedną z kwiatowych grządek. Takie traktowanie broni było nie do pomyślenia, bo mogła zardzewieć od wilgoci, ale wiedział, że magicznemu ostrzu to nie zaszkodzi. Zostawił miecz i wyciągnął rękę. – Ten przeklęty demon jakoś mnie skaził.

Ręka Darricka zadrżała, po czym zaczęła się zmieniać, przekształcając z ludzkiej kończyny w demoniczną.

– Na Światłość – wyszeptał Taramis.

– Zniszczyłem Buyarda Cholika i drogę demona na świat – powiedział Darrick – ale sam stałem się tą drogą. – Z palców, pokrytych teraz owłosioną, zielono–czarną skórą, wystawały długie pazury.

– Kiedy to się stało?

– Gdy byłem na Czarnej Drodze – powiedział Darrick. – I powiem ci jeszcze jedno: Kabraxis nie zginął. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie miał inne ciało, w którym będzie mógł żyć w naszym świecie, ale w Piekłach wciąż żyje. Od czasu do czasu słyszę, jak szepce do mnie, szydzi ze mnie. Widzisz, on czeka aż się poddam i zginę albo zatracę w picciu, gdy przestanie mnie obchodzić życie. – Sięgnął po miecz Hauklina, zacisnął na nim rękę i patrzył, jak powraca do normalności.

– Miecz Hauklina cię uziemia – powiedział Taramis.

– Tak – zgodził się Darrick. – I sprawia, że jestem człowiekiem.

– Kabraxis cię przeklął.

Darrick schował miecz do pochwy u boku.

– Brama Kabraxisa nie leży już pod ruinami nad Dyre. Tą bramą jestem ja. – A gdybyś został zabity? Darrick potrząsnął głową.

– Nie wiem. Gdyby moje ciało zostało zupełnie zniszczone, może Kabraxis nie byłby w stanie powrócić. – Uśmiechnął się, ale był to uśmiech zimny, pozbawiony radości, za to pełen goryczy. – Ujawniając ci to wszystko czuję, że ryzykuję życiem. Taramis nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Niektórych kusiłoby zabicie cię, by nie ryzykować powrotu demona.

– A ciebie?

– Zrobienie czegoś takiego sprawiłoby, że byłbym niewiele lepszy od potworów, na które poluję – odrzekł mędrzec. – Nie, mnie nie musisz się obawiać. Ale jeśli Kabraxis wygra z tobą, odnajdę cię i zabiję.

– W porządku – stwierdził Darrick. Wiedział, że niczego innego nie mógł się spodziewać.

– Będziesz musiał zatrzymać miecz Hauklina – powiedział Taramis. – Wyjaśnię sprawę Elligowi Barrowsowi, ale istnieje szansa, że z chęcią będą trzymać się z dala od tego.

Darrick skinął głową.

– Co teraz zrobisz? – spytał Taramis. – Gdzie się udasz?

– Nie wiem.

– Możesz ruszyć z nami.

– Obaj wiemy, że tam nie pasuję – odrzekł Darrick. – Choć wtedy byłoby ci łatwiej mieć na mnie oko.

Na twarzy Taramisa pojawił się krzywy uśmiech.

– Zgadza się.

– Wraz ze śmiercią demona otrzymałem coś jeszcze – stwierdził Darrick. Zbliżył się do mędrca. – Jesteś ranny. Pokaż mi to.

Taramis z wahaniem odsunął szatę, ukazując głęboką ranę w boku. Ktoś ją prymitywnie zabandażował, ale nadal krew przesiąkała przez opatrunek.

Darrick przycisnął dłoń do boku mędrca, aż ten się skrzywił. Przez Darricka przepłynęła moc, a kiedy działała, głośniejszy słyszał szepty Kabraxisa w swoim umyśle. Zabrał dłoń.

– Obejrzyj ranę.

Taramis z niedowierzaniem zdjął bandaż i przyjrzał się.

– Wyleczyła się.

– Ano – odrzekł Darrick. – Tak samo jak rany, które odniosłem ostatniej nocy. Ale takie leczenie ma swoją cenę. Kiedy to robię, Kabraxis ma do mnie większy dostęp. Tylko miecz Hauklina sprawia, że jestem ludzki i zdrowy na umyśle.

– Uleczyłeś mnie szybciej i lepiej niż jakikolwiek uzdrowiciel i eliksir – powiedział Taramis. – Mógłbyś być bardzo pomocny.

– Ale komu? – spytał Darrick. – I za jaką cenę? Może Kabraxis dał mi tę moc, żebym ciągle jej używał i w ten sposób zbliżał się do niego.

– Co w takim razie zrobisz?

– Nie wiem – odpowiedział Darrick. – Wiem, że muszę się stąd wydostać. Muszę znów wrócić na morze, Taramis. To rozjaśni mój umysł. Muszę znaleźć dobrą, uczciwą pracę, prowadzić życie marynarza, żebym nie miał za dużo czasu na myślenie.

– Uwierz w Światłość – poradził Taramis. – Światłość zawsze wskaże ci drogę, nawet w najciemniejszych chwilach.

Kilkanaście godzin później, gdy słońce już wisiało na zachodzie, nad oceanem, Darrick stał w dokach Bramwell. Już zarezerwowali sobie miejsce na statku. Taramis i inni łowcy demonów przyłączyli się do niego, żeby razem spędzić przynajmniej tę część podróży.

Doki były zatłoczone, a ludzie kręcili się wokół jak bydło, które wprowadzano na okręty. Fale przyciskały statki do ścian doków, niosąc echa tych uderzeń.

Nagle poprzez hałas przebił się wysoki krzyk kobiety. Darrick, znajdujący już na trapie statku, odwrócił się i spojrzął za siebie.

Jakiś mężczyzna wyciągnął z wody dziewczynkę. Pod długą sukienką jej ciało było poszarpane i połamane.

Starsza kobieta, pewnie matka, uknęła obok dziewczynki, którą marynarz ułożył na ziemi.

– Proszę – błagała kobieta. – Czy ktoś może pomóc mojej malutkiej? Czy jest tu uzdrowiciel?

– Uzdrowiciel jej nie pomoże – stwierdził szorstko marynarz, stojący obok Darricka. – Ta mała miała pecha wpaść między statek a filar, kiedy wsiadała. Zmiażdżyło ją w środku. Nikt jej nie pomoże. Już jest martwa, tylko czeka, aż śmierć ją wezwie.

Darrick spojrzął na dziewczynkę, zmiażdżoną, przemoczoną i wyraźnie cierpiącą.

– Darrick – odezwał się Taramis.

Przez chwilę Darrick stał na trapie. A jeśli wypadek dziewczynki nie był wypadkiem? Jeśli Kabraxis to zaaranżował, żeby zachęcić go do użycia mocy leczenia? A jeśli ktoś z tłumu, jakiś podróżujący Vizjerei czy inny czarodziej rozpozna, że moc Darricka nie została dana przez Światłość, lecz pochodzi z dna Piekieł?

Chwilę potem Darrick ruszył się, zeskoczył z trapu na brzeg. Odpychał ludzi ze swej drogi, czując w sobie stary gniew i niechęć. Błyskawicznie znalazł się obok dziewczynki.

Matka uniosła do niego zapłakaną twarz.

– Możesz jej pomóc? Proszę, możesz jej pomóc?

Dziewczynka miała sześć, może siedem lat, była odrobinę starsza od jednej z siostr Mata, kiedy widział japo raz ostatni.

– Niedobrze – wyszeptał stojący obok mężczyzna. – Widziałem już tak zmiażdżonych ludzi. Ta mała już nie żyje.

Darrick bez słowa położył dłonie na ciałku dziewczynki, czując, jak w środku poruszają się kości. Proszę, pomyślał, ignorując ochryple szept Kabraxisa na dnie umysłu. Nie pozwalał, by słowa demona stały się wyraźniejsze, by je zrozumiał.



Przez ręce Darricka przepłynęła moc i wpłynęła w dziewczynkę. Minęła dłuższa chwila, po czym jej ciało wygięło się w łuk i przestała oddychać. Przez tę krótką chwilę Darrick miał pewność, że Kabraxis jakoś go zdradził, jakimś sposobem zabił dziewczynkę zamiast ją uratować.

Wtedy dziewczynka otworzyła oczy, najpiękniejsze i najczystsze błękitne oczy, jakie Darrick widział. Zawołała matkę i wyciągnęła do niej ręce. Kobieta podniosła córkę i przytuliła ją mocno.

– Uzdrowiciel – szepnął ktoś.

– To nie jest zwykły uzdrowiciel – powiedział ktoś inny. – On ją ożywił, tak jest. Ta mała już była właściwie trupem, a on ją ożywił, jak gdyby nigdy nic.

Darrick poderwał się. Okazało się, że otoczyli go ciekawscy i podejrzliwi ludzie. Położył dłoń na mieczu, z trudem powstrzymując się przed wyjęciem broni i wyrąbaniem sobie przejścia. Słyszał, jak demon śmieje się gdzieś w jego głowie.

Taramis nagle znalazł się przy Darricku, podobnie jak Rhambal i Palat.

– Chodź – poganiał go mędrzec.

– To Prorok Światłości – powiedział ktoś. – Powrócił.

– Nie – sprzeciwił się inny. – Ci ludzie zabili Wskazującego Drogę i zniszczyli Drogę Ma rzeń. Powiesić ich!

– Musimy iść – powiedział Taramis. Darrick zastanawiał się, czy tego właśnie chciał Kabraxis. Czy jego śmierć z rąk tłuszczy pozwoliłaby demonowi powrócić? Darrick nie miał pojęcia. Matka stanęła w jego obronie.

– Nie ważcie się go tknąć. On uratował moją malutką Jennę. Nawet jeśli zabił Wskazującego Drogę, to widać miał dobre powody, tak mówię. Ten człowiek jest cudotwórcą, wybranym Światłości.

– Wskazujący Drogę prowadził was do demonów – powiedział Taramis. – Gdybyśmy nie zabili sługi fałszywego Proroka Światłości, wszyscy trafilibyście do najgłębszych Piekieł.

Darrick czuł obrzydzenie. Nie był świętym ani bohaterem. Zmusił się, by rozluźnić uchwyt na Gniewie Burzy.

Ludzie niechętnie uspokoiли się. Próbowali znaleźć sens w tym wszystkim, co przeżyli w kościele Proroka Światłości.

Darrick patrzył w zadziwieniu, jak ludzie podchodzili z rannymi przyjaciółmi i członkami rodziny, błagając go, by ich uleczył. Odwrócił się do Taramisa.

– Co mam zrobić? Mędrzec popatrzył na niego.

– Wybór należy do ciebie. Możesz wejść na pokład i zająć się własnymi potrzebami, albo możesz tu zostać i zająć się potrzebami innych.

Darrick spojrzał na tłum.

– Ale ich jest tak wielu.

Już dwa rzędy bliskich śmierci mężczyzn i kobiet leżały w dokach. Ludzie wołali do mego, błagając go o pomoc umierającym krewnym i znajomym.

– Ale moc, którą posiadam – powiedział Darrick – nie pochodzi od Światłości.

– Nie – zgodził się Taramis. – Posłuchaj mnie jednak. Skąd wiesz, że umieszczenie cię wlaśnie w takiej sytuacji nie było planem Światłości?

– Skazil mnie demon.

– Posiadasz również wielką moc demona i jeśli zechcesz, możesz uczynić wiele dobrego.

– A jeśli się przy tym zatracę? – spytał Darrick.

– Życie polega na utrzymywaniu równowagi – stwierdził Taramis. – Równowagi między Światłością a Ciemnością. Nie byłbym w stanie tak odważnie i tak chętnie walczyć w imię Światłości, gdybym nie poznał Ciemności, która czeka w Pieklach, pragnąc nas pożreć. Człowiek musi zostać zahartowany jak stal, Darricku. Przeszedłeś długą drogę. Twoja terażniejszość jest równo wagą między przeszłością a marzeniami, które masz. Stoisz między Światłością a Ciemnością jako brama Kabraxisa, ale od twojego wyboru zależy, czy pozostaniesz zamknięty, czy się otworzysz. Musisz wybrać, czy ukryjesz swoją moc, czy będziesz ją wykorzystywać. Możesz się jej obawiać albo ją przyjąć. Tak czy inaczej, już zmieniła ona twoje życie.

Darrick w milczeniu spojrział na wyczekujący tłum, choć w głowie miał płataninę myśli, a demon szeptał coś na dnie jego umysłu. Potem odetchnął głęboko i ruszył na spotkanie przyszłości. Uniósł wysoko głowę, gdyż nie był już niekochanym bękartem, ale człowiekiem pełnym współczucia i przekonanym. Poszedł do rannych i umierających, i uzdrowił ich, zaś demon wrzeszczał gdzieś w jego podświadomości.

KONIEC TOMU DRUGIEGO :)

Czarna Droga

Mel Odom

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

EPILOG